

Helena Wanda Kwadrans

Błękit nieba

2019

Spis treści

Bez przeszłości jak bez drogowskazu...	13
Tato	17
I wojna światowa — 1914–1918	19
Stach	24
Kresy Wschodnie	26
Babka Petronela	28
Dziadek Jan	29
Moja mama	31
Strzała Amora	35
Złota obrączka	39
Dzieci Stanisławy i Jana	39
Wandzia	40
Cegły	41
Janka w ukropie	42
Szycie Janki	43
Rodzynki	44
II wojna światowa — 1939–1945	45
Zielona granica	48
Święte obrazy	50
Babcia Anna	52
Helena Wanda	54
Na Sybir	55
Wysiedleni	57
Grisza	58
Żyd	59
Walizka	59
Wincent maltretowany	60
Z dymem pożaru	61
Żandarm z herbatą	64

Przymusowe roboty	66
Ciocia Anna	67
Leopold	68
Ostrów płonie	71
Uciekinierka pod Kraków	73
Rawa Ruska	75
W studni	77
Nero	78
Bura	78
Mała patriotka	80
Ślepy Iwan	83
Na jagody	84
Na katorgę	85
Rzeź Polaków	86
Garbus	87
Lampa	88
Sasza	90
Frontowe żniwo	92
List do TVP	93
Po II wojnie — 6.10.1945	98
1951 — równanie granicy	101
Patriotyczny szlak ułana Jaśka	102
Spadek	116
Litr mleka	118
Ralf i łąn złotego łubinu	120
Jajko	121
Ostatni grosz	122
Jadą wozy kolorowe	123
Dzieci na służbę	125
Domowe porzekadła	129
Kopanie torfu	130
Wizyta Niemca	132
Zostały tylko wspomnienia	133

Urząd Repatriacyjny	135
Śliwki	136
Złot gwieździsty	137
Wujek Wojtuś	140
Mój pierwszy występ	143
Gruźlica	144
Oczy Władka	145
Czereśnie	146
Imieniny księdza	147
Pożar w kościele	148
Szkoła	152
Policzek	153
Jezioro skute lodem	153
Doświadczyć wszystkiego	157
Zaczarowany wóz	158
Pogrzebacz	158
Rower i barany	159
Smakołyki na choince	160
Pasek taty	162
Zabawy Stasia	163
Marzec '68	166
Janka	168
Kuzyn Andrzej	170
Elżunia	171
Wiesiek	172
Sebastian	174
Śmierć Mamy	175
Zapada zmrok	179
Męczyduchy	181
Nowa uprzęż	183
Lepsze czasy	184
Czółenka	187
Taka wola Twoja...	188

Odwiedza mnie w snach	189
Motor	192
Co kto lubi	193
Łąka — wianki	195
Błogosławiona Aniela Salawa	196
Szukaj wiatru w polu	203
Niespełnione marzenie Hanki	204
Maria	205
Janeczka	206
Ciocia Anna	209
Landrynki Petroneli	211
Zakonnica Zofia	212
Stokrotka pod ławką	215
Kobieta Wschodu	216
Miłość życia	220
Oświadczyzny	221
Kwadransowie	225
Wymarzona praca	229
Spotkanie po latach	236
Moje wnuczęta	238
Moje córki	249
Pierwsze mieszkanie	259
Syrenka	263
Zawiany żołnierz	264
Hojność Kornelki	265
Sympatie Kornelii	266
Przeprowadzka	269
Niebieski wózek	271
Zagraniczne wojaże	272
Spotkanie z Janem Pawłem II	279
Józek	280
Romantyczna historia	282
Beti i Irek	287

SOLI DEO — moja pasja	294
Uzdrawiająca moc ogrodu	297
Rok 2018	300
Opinie Czytelników	312

*Ślad zostawić na ziemi
małeńki, niewielki,
aby ktoś kiedyś raz spojrzawszy,
wiedział, jak iść i którądy.*
(Barbara Olszewska)

Bez przeszłości jak bez drogowskazu...

Inspiracją do opowiedzenia historii naszej rodziny stała się prośba moich córek, Beaty i Kornelii.

Czułam zaskoczenie i radość, gdy na pytania: — *Beatko, co sobie życzysz na urodziny? Jaki prezent sprawiłby ci radość?* moja córka bez wahania odpowiedziała: — *Najmilszym prezentem, mamo, będzie spisanie przez ciebie dziejów naszej rodziny, gdyż bez przeszłości jak bez drogowskazu.*

Pamięć i serce będą mi przypominały zdarzenia widziane moimi oczyma lub zapisane w pamięci rodziców, rodzeństwa i najbliższej rodziny.

Dzięki temu ocale od zapomnienia losy naszych przodków, bo przecież żyjemy tak długo, dopóki istniejemy w pamięci innych.

Tato

Jestem dzieckiem miłości. Miłości wielkiej, jedynej, przepełnionej oddaniem i szacunkiem. Miłości aż po grób. Miłości aż za grób. Widziałam ogromną tęsknotę taty do mamy nawet po jej śmierci. Śmierci nagłej, niespodziewanej i niesprawiedliwej. Mama była jeszcze pełna sił i energii. Mogła jeszcze długo żyć! Była sprawna i aktywna do ostatnich godzin swojego pracowitego życia.

Tato codziennie chodził na cmentarz i tam, siadając na ławeczce obok mogiły mamy, całymi godzinami z nią rozmawiał. Nie zważał na pogodę ani na swoje złe samopoczucie. W wyniku powstałych poważnych komplikacji oddechowo-kръżeniowych zmarł w szpitalu w Wyrzysku, po wylewie krwi do mózgu, nie odzyskawszy przytomności. Zaledwie w pół roku po śmierci mamy.

Jestem przekonana, że bardzo pragnął swojej śmierci, że modlił się o nią, że w niej widział swój ratunek. Bez swojej ukochanej Stasi, będącej motorem jego życia i życia całej licznej rodziny, stracił sens istnienia.

Bez niej był już innym człowiekiem. Smutnym i zagubionym. Energia i wola życia odpłynęły z niego wraz z duchem żony, kobiety wyjątkowej.

Było to niezwykle małżeństwo. Ich miłość to romantyczna historia. Od pierwszego dnia spotkania, gdy ona miała niepełna 12 lat, a on lat 21.

Jan Horabik (Chorabik) — Stanisława Zofia Bałuk

1.06.1901–15.09.1981 — 17.04.1910–18.02.1981

Brzączowice, powiat Myślenicki — Myślenice

woj. krakowskie — woj. krakowskie

Oboje urodzili się pod zaborem austriackim w tak zwanej Galicji.

Jakże nieprzewidywalne są losy ludzi, którym przyszło żyć w latach wojen. Chociaż jestem dzieckiem wojny, a może wła-

śnie dlatego, dziękuję Bogu i wielbię Go codziennie za to, że już ponad 70 lat żyję w pokoju i błagam Najwyższego, by ani nasze dzieci, ani nasze wnuki i ich dzieci nie zaznały nigdy wojny.

Mój ojciec, Jan Chorabik (Horabik), miał trudne i smutne dzieciństwo wypełnione ciężką pracą. Jego ojciec Piotr ożenił się z Anną Salawą z Sieprawia, stryjenką błogosławionej Anieli Salawy. A więc Jan i Aniela byli bliskim kuzynostwem, mieli wspólnych dziadków.

Mój dziadek Piotr Chorabik (1855? –1905) i babcia Anna (1858? –1939) posiadali średniej wielkości gospodarstwo rolne w Brączowicach pod Krakowem. Wychowali osieroconą Marię z pierwszego małżeństwa dziadka Piotra, Zofię, Wojciecha, Wincentego i najmłodszego Jaśka, mojego ojca.

Dziadek Piotr był bardzo pracowitym człowiekiem. Po zakończeniu robót polowych, wynajmował się do pracy u stolarza, a także u leśniczego do wyrębu drzew. Nie lubił mitrężyć wolnego czasu, a przede wszystkim pragnął swojej rodzinie zapewnić godne życie. Jednak czasami w niedzielę po kościele, tzn. po sumie lubił zagrać w brydża z kolegami. Pewnego razu karta mu nie szła, przegrał. Był silny, sprawny i kochał rodzinę, a nie chciał jej zostawić bez środków do życia, postanowił odzyskać przegrany majątek. Był pewien wygranej. Założył się z kolegami, że przeniesie na plecach cetnar, tj. 50 kg pszenicy na drugą stronę Raby po przewróconym drzewie.

Niestety! Kłoda drzewa była już oblodzona. Piotr pośliznął się, wpadł do lodowatej wody i się przeziębził. Wywiązało się ciężkie zapalenie płuc i wkrótce zmarł. Nie znano jeszcze penicyliny, a domowe sposoby leczenia zawiodły.

Życie osieroconej rodziny stało się biedniejsze, pełne wyrzeczeń. Babcia Anna stała się cicha i smutna. Teraz musiała dorabiać na „pańskim”, by zdobyć pieniądze na życie. Starsze dzieci pracowały, pomagając sąsiadom w pracach gospodarskich. Czteroletni Jasio jako małe, słabe dziecię pasł gęsi i krowy, a gdy podrósł, już w wieku dziewięciu lat pomagał przy karczowaniu lasu. Już wtedy powoził końmi podczas wy-

wózki ściętych drzew. Była to praca bardzo ciężka dla tak małego dziecka. Wszystko wykonywano ręcznie, bez urządzeń mechanicznych i elektrycznych.

Praca w drewnie sprawiała mu wiele przyjemności. W wolnych chwilach strugał różne zabawki. U mistrza stolarskiego nauczył się zawodu stolarza i cieśli, co w przyszłości bardzo mu się przydało.

W Brzeczowicach skończył szkołę powszechną. Budynek tej szkoły zachował się do dzisiaj, na wzgórku. Widziałam ją kilka lat temu. Robiąc tam zalew na zbiornik wody pitnej — Jezioro Dobczyce — dla Krakowa i okolic, szkołę oszczędzono, a kościół przeniesiono na wzgórze.

I wojna światowa — 1914–1918

Życie Jaśka nie rozpieszczało. Wkrótce po zamachu na arcyksięcia Franciszka Ferdynanda w Sarajewie Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Serbom. Wybuch wojny powszechnej dał Polakom asumpt do podjęcia walki i tworzenia wojska u boku armii zaborczych. W Krakowie rozpoczęła się wielka mobilizacja. Werbowano rezerwistów pod broń, by wspierać cesarską armię. Była to też szansa dla naszych rodaków, by wyrwać okupantom tak długo oczekiwaną wolność Polski.

Przez 123 lata Polska pogrążona w mrokach niewoli została wymazana z mapy Europy. Pod zaborem rosyjskim znalazło się 82% ziem polskich, pod austriackim 11%, pod pruskim 7%. Nie było państwa polskiego, ale był naród polski pielęgnujący patriotyzm w domach rodzinnych. Kilka pokoleń czekało na tę piękną chwilę, kiedy będą mogły żyć w wolnej i niepodległej Ojczyźnie. Od tej chwili Polacy już z radosnym wzruszeniem i łzą szczęścia śpiewać będą: — *Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki otaczał blaskiem potęgi i chwały... Przed Twe ołtarze zanosim błaganie: Ojczyznę wolną pobłogosław Panie!* A nie jak do tej pory: — *Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie.*

Miarą miłości do Ojczyzny było poświęcenie życia i zaangażowanie się w trud walki o własne państwo. Polacy dobrze znali gorycz zniewolenia, dlatego potrafili tak bardzo przeżywać radość z odzyskania wolności.

Towarzystwo Strzelec w Krakowie i Drużyny Harcerskie już w roku 1910 za zgodą władz austriackich prowadziły przygotowanie wojskowe.

Polacy przygotowani i wyszkoleni w organizacjach paramilitarnych chętnie podjęli wyzwanie udziału w wojnie. Z pierwszych ochotników zebranych na Krakowskich Błoniach zwanych Oleandrami Józef Piłsudski tworzy I Brygadę Kadrową, która daje początek Legionom Polskim. Dowódcą II Brygady był Józef Haller, a III Stanisław Szeptycki.

Podczas I wojny światowej całe Królestwo Polskie, potocznie zwane Kongresówką, utworzone w 1815 r. przez Kongres Wiedeński po klęsce Napoleona, znalazło się pod okupacją Niemiec i Austro-Węgier, ale do 1917 roku stanowiło część Imperium Rosyjskiego. W wyniku klęski Niemiec na froncie zachodnim oraz rozpadu Austro-Węgier okupacja zakończyła się w listopadzie 1918 r., a ustanowione przez okupanta Królestwo Polskie dało początek niepodległemu państwu polskiemu, II Rzeczypospolitej Polskiej.

Na wojnę o niepodległą Polskę idzie mój dziadek Jan Bałuk i starsi bracia mojego ojca Wojciech i Wincenty, a także Jan Płachetka narzeczony mojej stryjenki Zosi Chorabik.

Nasi przodkowie walczyli o niepodległość Polski pod sztandarami z hasłem: *Bóg — Honor — Ojczyzna*.

W dniu wybuchu I wojny światowej Jasiu — mój tata — jest jeszcze dzieckiem, ma dopiero 13 lat, ciągnie go na wojaczkę, o której śpiewają piosenkę *Jak to na wojence ładnie*. Wprawdzie zgłasza się w punkcie zbornym, ale komisja wojskowa nie chce go jeszcze przyjąć w swoje szeregi. Udaje mu się zaciągnąć na ochotnika dopiero w szesnastym roku życia w 1917 roku, dokładnie 100 lat temu.

Jest to rok bardzo znamienity dla historii Europy. W Rosji obalono carat i ustanowiono dyktaturę proletariatu. Rozstrze-

lano ostatniego cara rosyjskiego Mikołaja II Romanowa wraz z całą liczną rodziną. W wyniku Wielkiej Rewolucji Październikowej utworzono bolszewickie państwo radzieckie pod wodzą komunisty Włodzimierza Lenina.

W Imperium Osmańskim dokonano rzezi półtora miliona Ormian zamieszkałych w Turcji.

W Portugalii następują nadprzyrodzone zjawiska: w Fati-mie trojgu pastuszkom objawia się każdego 13. dnia miesiąca, od maja do października 1917 roku, Madonna w świetlistej białej szacie z przesłaniem dla świata. Przekazuje ludzkości prośbę o modlitwę, pokutę i nawrócenie się z grzesznego stylu życia. Podczas ostatniego objawienia, na oczach 80 tysięcy świadków, przez 12 minut trwa cud zwany tańcem słońca, widziany w promieniu 40 kilometrów.

A pod Krakowem zapłakana matka i siostra czule żegnają Jasia, najmłodszego z rodziny. Rozmyślają, kiedy wróci, czy jeszcze go zobaczą, przecież już tyle ofiar wojna zabrała. Do Krakowa, około 30 km, Jasiu idzie pieszo. W punkcie zbórnym otrzymuje wodę i bochenek chleba. Posilił się tym skromnym pożywieniem, odpoczęły mu poobcierane nogi, wyprał onuce, przespał się, by nabrać sił do walki z wrogiem. Czeką na rozkazy swoich przywódców. Każdy Polak-patriota czuł się w obowiązku walczyć o wolność i niezawisłość swojej umiłowanej Ojczyzny. Mój tato również. Chociaż jest jeszcze przecież dzieckiem.

Jaś wychował się na podgórskiej wsi, kochał konie i umiał się z nimi dobrze obchodzić. Szkolenie wojskowe przechodził w artylerii w Biedrusku koło Poznania, gdzie formowano pułk konnej artylerii. Brał udział w zwycięskim Powstaniu Wielkopolskim, po czym wyruszył do Galicji Wschodniej, gdyż tam, mimo zakończenia I wojny światowej, wojska ukraińskie i polskie jeszcze toczyły szereg bitew o nowe granice.

W chwili największego zagrożenia nastąpił przypływ patriotyzmu w społeczeństwie polskim. Do wojska wstąpiło 100 tysięcy ochotników, w tym, prawie cała młodzież gimnazjalna i studencka Warszawy. Na początku sierpnia 1920 r. wszystkie

ambasady, oprócz papieskiej, opuściły stolicę i przeniosły się do Poznania. Siły polskie rosły, a rezerwy przybyłe na front pełne zapału gotowe do boju.

Francja wydatnie wzmocniła armię Polską w nowoczesny sprzęt wojskowy, dzięki czemu miała ona przewagę techniczną nad nieprzyjacielem; samoloty, czołgi, pociągi pancerne, łodzie, artylerię. Wojsko polskie liczyło 170 tysięcy żołnierzy.

Pamiętam z czasów dziecięcych fotografię ojca siedzącego na koniu, wyprostowanego, pięknie wyglądającego w mundurze, czapce ułańskiej z orzełkiem i szabelką przy boku.

Niestety, w czasach stalinowskich po drugiej wojnie światowej wszystkie pamiątki i dokumenty, mające związek z Marszałkiem Piłsudskim, Hallerem i wojną z bolszewikami, należało zniszczyć. Za posiadanie ich groziło więzienie lub zsyłka na katorgę syberyjską. Nie wolno się było nikomu przyznać, że ojciec należał do Legionów i razem z Piłsudskim i Hallerem bronił Warszawy, biorąc udział 15.08.1920 roku w zwycięskiej bitwie nad bolszewikami zwanej „Cudem nad Wisłą”.

Bitwa o Warszawę, osiemnasta decydująca bitwa świata, jak ją nazwał angielski polityk lord Edgar de Abernon, uratowała Europę przed plagą komunizmu i powstrzymała na 20 lat pochód bolszewików, którzy jeszcze po zakończeniu I wojny światowej nadal toczyli bitwy o granicę wschodnią.

W tej bitwie Armia Czerwona odniosła poważne straty — 25 tysięcy zabitych i ciężko rannych, 60 tysięcy jeńców, 230 dział artyleryjskich, 1000 karabinów maszynowych.

A Polska? 4,5 tysiąca poległych, 22 tysiące rannych, 10 tysięcy zaginionych.

Nacierający na Radzymin bolszewicy zyskali zrazu powodzenie i złamali część polskich linii obronnych. 13 sierpnia rozpoczęły się ciężkie walki pod Warszawą. Następnego dnia polskie wojska przeszły do kontrofensywy. Kontrataki polskie przynosiły na zmianę sukcesy i niepowodzenia, w końcu jednak Polacy odzyskali Radzymin. Odparci pod Wołominem bolszewicy obeszlili miasto od południa i uderzyli na Ossów, uży-

skując początkowo przewagę. Kolejne walki polskich żołnierzy przyniosły jednak ostateczne zwycięstwo Polski.

W boju, z krzyżem w ręku, padł bohaterski ksiądz Ignacy Skorupka, kapelan Pułku Akademików. Zginął również Jaś Płachetka, narzeczony Zofii, siostry Jasia. Stryjenka, pogrążona w żałobie i wierna swojemu ukochanemu młodzieńcowi, do końca życia będzie nosiła czarną suknię i nie wyjdzie za mąż, chociaż kilku młodzieńców starało się o jej rękę.

Żołnierze polscy z przekonaniem opowiadali, że to Matka Boża ich prowadziła, dodając im odwagi i męstwa podczas bitwy 15 sierpnia, w święto Wniebowzięcia Matki Bożej.

Kiedy ojciec zapewniał, że widział tę „Jasność” bijącą z widocznej postaci Maryi, mama uparcie powtarzała mu:

— Jasiek, to niemożliwe, z pewnością nie byłeś w stanie łąski, więc jak mogłeś widzieć taki cud?

Ilekcroć słyszeliśmy opowieść taty o Bitwie Warszawskiej, zawsze nas rozśmieszała teoria mamy i jej pewność o stanie duszy Jaśka, którego przecież w tamtych latach jeszcze nawet nie znała.

Cieszę się, że mój tato walczył o odzyskanie ziem polskich z jarzma niewoli. Po czterech latach krwawych bojów 11 listopada 1918 roku skończyła się I wojna światowa i część obszarów polskich została wreszcie odebrana ciemierzcom. W wojnie wzięły udział 33 państwa. Do wojska zmobilizowano około 70 milionów ludzi. Przyniosła ona ogromne straty: około 14 mln zabitych i zniszczenia materialne nie do oszacowania.

W czasie tych wszystkich wojen i bitew tato odniósł kilka ran i zadrasnąć. Na karku rana trudno się goiła z powodu zabrudzenia i braku odpowiednich opatrunków, zrobił się tam okropny wrzód i dołączyła do niego bardzo wysoka gorączka. Ból rozpierał głowę. Poszedł więc do lekarza po pomoc, a ten przeciął ropniaka bez żadnych ceregieli jak rakarz i posłał tatę dalej na front. Najpierw jednak musiał odsiedzieć trzy dni ścisłego aresztu o głodzie i chłodzie w karczerze za to, że ośmielił się pójść do lekarza. Od tej pory bardzo niechętnie chodził do lekarzy, stracił do nich zaufanie.

Kształtowanie się obszaru II Rzeczypospolitej miało miejsce od końca 1918 r. do ostatecznego ustalenia granic w 1922 r. O wschodnią granicę kraju wciąż jeszcze toczyły się wojny i konflikty zbrojne z Ukrainą (1918–1919), Litwą (1919–1920), a przede wszystkim długa i ciężka wojna z bolszewicką Rosją od stycznia 1919 r. do października 1920 r.

Większość Ukraińców nie pogodziła się z utratą wschodniej Galicji, nie była zadowolona z prowadzonej akcji osadnictwa wojskowego na terenach wschodnich, a także zarzucała administracji polskiej dążenie do asymilacji i polonizacji innych narodowości.

Stach

Na wojnę poszedł również przyszyły mąż Julki, siostry mojej mamy, Stach Radwański, ten, który przez długie lata nosił w oficerkach składaną srebrną łyżkę z widelcem i nożem. Niebieski mundur swego ojca z białymi lampasami, opisuje dokładnie najstarsza jego córka, dziś jeszcze żyjąca 91-letnia siostra zakonna Zofia Radwańska. Przypomina też często przez niego śpiewaną pieśń *Legiony to żołnierska nuta, legiony to ofiarny stos...*

Stach Radwański, urodzony w 1895 r., na początku I wojny światowej walczył w armii austriackiej we Włoszech, tam ciężko postrzelony w nogę trafił do niewoli niemieckiej. Po uwolnieniu z niej udało mu się szczęśliwie dotrzeć do Francji. Kiedy w 1917 r. została tam powołana Armia Polska pod dowództwem generała Józefa Hallera, Stach wstąpił w jej szeregi. Dobrze uzbrojona 70-tysięczna armia w 1919 r. została przewieziona do kraju, gdzie wzięła udział w walkach polsko-ukraińskich we wschodniej Galicji oraz w wyprawie na Kijów i Bitwie o Warszawę.

Żołnierze Hallera nosili niebieskie mundury, stąd ich popularna nazwa Błękitne Legiony. W jej szeregach walczyli

zwerbowani Polacy, ochotnicy ze Stanów Zjednoczonych, Brazylii, z rosyjskiego korpusu walczącego we Francji oraz jeńcy z armii niemieckiej i austrowęgierskiej. Długa była droga mojego ojca chrzestnego na Kresy: z Krakowa do Włoch i Francji, Polski i wschodniej Ukrainy. Przebywając na wojaczce wśród wielojęzycznych legionistów, nauczył się porozumiewać w kilku językach.

Po wojnie, idąc drogą do Sokala żołnierza w błękitnym mundurze spotkał mój dziadek Jan i zaoferował podwiezienie go do celu jego wędrówki. Taki to przypadek sprawił, że Stach poznał Julcię urodzoną w 1905 r., najstarszą córkę Jana i Petroneli, z którą wziął wkrótce ślub. Stach i Julia skończyli przed wojną bardzo dobre szkoły, on w Krakowie krawiectwo męskie, a ona w Myślenicach — damskie. Na Kresach otworzyli pracownię krawiecką, żyzna ziemia dawała dobre plony i wszystko się dobrze toczyło. Sielankę zniszczył wybuch II wojny światowej, spalenie całości ich zabudowań i przymusowa ucieczka. Rodzina Radwańskich pochodziła z rodu szlacheckiego. Strykowie Stacha brali udział w Powstaniu Styczniowym 1863–64 roku. Za ten czyn zostali zesłani na Sybir i słuch o nich zaginął. Do Polski nigdy nie wrócili, prawdopodobnie zmarli na skutek katorżniczej pracy i ciężkich, mroźnych zim. Ojciec Stacha, Hieronim, był jeszcze małym chłopcem, więc na powstanie nie poszedł. Radwańscy posiadali majątki ziemskie koło Krakowa i Tarnowa, młyny, sklepy, hodowle koni. Jedna z ich wsi, w której urodził się Stach, nazywa się Biesiadki. Hieronim kształcił się w budowie kolei i mostów. Ożenił się z Marią, dziewczyną z niższych sfer, co zostało uznane przez jego rodzinę za mezalians. Dla niego miłość była ważniejsza niż koligacje rodowe. Wyjechał do Ameryki, gdzie pracował przy budowie kolei żelaznych przez kilkanaście lat. Po jakimś czasie ściągnął do Stanów najstarszego syna Jana, który zginął tam w tragiczny sposób, topiąc się w nurtach rzeki. Hieronim bardzo tęsknił do Polski i żony, która dzielnie zarządzała domem, prowadziła sklep z wszelkim asortymentem i czuwała nad majątkiem. Dobrze zarabiający Hieronim przysyłał dolary, więc jego majątek

stale się powiększał. Do Polski wrócił z dużymi zasobami finansowymi. Postanowił je zagospodarować, by ewentualna dewaluacja pieniądza nie przyniosła straty. Kupił ziemię, gdy się dowiedział, że na Wschodzie odbywa się parcelacja majątków. I tam w tzw. Ameryczce założył stadninę koni.

Kresy Wschodnie

Jak do tego doszło, że moi rodzice, urodzeni pod Krakowem, mogli szczęśliwie i dostatnio żyć i pracować na terenach II Rzeczypospolitej Polskiej na rubieżach wschodnich?

Otóż za udział w wojnie z bolszewikami tato jako legionista Marszałka Józefa Piłsudskiego i Józefa Hallera otrzymał spory żołd, który przeznaczył na zakup ziemi na Kresach. Kiedy młody Jaś walczył o te Kresowe ziemie, zachwycił się tamtymi krajobrazami oraz urokliwymi miastami. Podczas wielu miesięcy wojaczki miał możliwość spojrzenia na ogromne połacie uprawnych pól z bardzo żyznymi glebami. Biorąc garść ziemi w swoją dłoń, wychowany na podkrakowskiej wsi, poczuł ogromną różnicę w składzie tego urodzajnego czarnoziemiu i tamtej podkrakowskiej. Był pewien, że ta ziemia wyżywi każdego, bo rodzi obfite plony. Gdzie okiem spojrzał, widział falujące łąny pszenicy z ciężkim dorodnym kłosem ziarna, pola buraczane z wielkimi głowami korzennymi, pastwiska z bujną trawą dla bydła. Już wówczas przewidywał, że jeśli dobry los pozwoli mu założyć w przyszłości rodzinę, to przy takiej roli nie zazna głodu, jak to często bywało, szczególnie na przednówku w wielu gospodarstwach podkrakowskich. Skoro o te ziemie polskie walczył i szczęśliwie je wywalczył krwią i potem, głodem i żołnierską niewygodą, snem pod gołym niebem i brakiem wody do picia i do mycia, chętnie na nich się osiedli po zakończeniu wojny, gdy nadejdzie odpowiednia chwila. I jeśli dobry los pozwoli.

Na szczęście dobry los pozwolił. Po bardzo długim i zawiłym szlaku bojowym, podczas którego wyzwalał wiele wsi i miast, mój ojciec szczęśliwie wrócił do matki i siostry. Rodzina zostawiła swoje rodzinne strony i osiedliła się w okolicach Bełza położonego w województwie lwowskim. Pojechali chętnie na Kresy, na ziemię II Rzeczypospolitej Polskiej, które obiecywały dostatnią przyszłość. Zabrali swój dobytek z województwa krakowskiego i powędrowali do Głuchowa. Bracia Jaśka, Wincenty i Wojciech, także mieli smykałkę do wszystkich prac: murarskich, stolarskich, ciesielskich i zduńskich. Byli dobrymi rzemieślnikami. Sami zbudowali domy i zagrody. Byli już na swoim. Żyzne ziemie rodziły obfite plony.

Babcia i bracia zamieszkali w swoich gospodarstwach w pobliżu Jaśka. We wszystkich pracach budowlanych i polowych pomagali sobie wzajemnie. Tato ma 21 lat, ożeni się ze Stasią dopiero za 7 lat, ale już dla niej buduje dom. Stawia murowany dom z czerwonej cegły, wyrobionej i wypalanej z gliny znajdującej się na jego parceli, oborę, stodołę i warsztat stolarski. Mojemu ojcu prace stolarskie bardziej odpowiadały niż polowe. Był przygotowany, by robić różnorakie meble, szafy, trumny, wozy, łóżka, łóżeczka, skrzynie posagowe zdobione malowidłami, tapczany, bryczki, drzwi do cerkwi, wyposażenie meblowe plebanii, kołyski, zabawki dla dzieci, krzesła, więźby dachowe itp.

Był zdolny, a nade wszystko bardzo pracowity. Zawsze wstawał przed wschodem słońca, a latem, gdy były prace polowe, już o godzinie trzeciej.

Był szczupłym, niebieskookim i czarnowłosym mężczyzną. Typ urody Clinta Eastwooda — jego uśmiech, spojrzenie, zamysłenie, kształt głowy i rysy twarzy, a także sylwetka i chód. Po prostu doskonały sobowtór Clinta, mógłby z powodzeniem grać jego rolę. Pamiętam, jak byłam z niego dumna w dzieciństwie, gdy wśród tłumu przy kościele wyróżniał się swoją urodą i elegancją. Do kościoła, do wsi czy do miasta chodził zawsze w dobrze odprasowanym garniturze i w koszuli białej lub niebieskiej z krawatem. O jego elegancki wygląd zawsze

dbała mama. On zaś zawsze całej, bardzo licznej rodzinie, czyścił buty na glanc, by się świeciły jak lustro. Te umiejętności i przyzwyczajenia wyniósł z wojska, gdzie pełnił funkcję ordynansa oficera.

Choć był raczej małomówny, w jego oczach widziałam jasność bijącą z wnętrza, radość, zadowolenie i miłość.

Babka Petronela

Moja mama — Stanisława, to córka Jana Bałuka i Petroneli urodzonej w 1881 r. Petronela dzieciństwo spędziła w domu rodzinnym w Balicach koło Krakowa, gdzie teraz jest lotnisko. Rodzice babki Petroneli to Tekla i Błażej Bulka.

Petronela była drobną, energiczną kobietą, bardzo pracowitą, czasami trochę swarliwą. Będąc panienką, pracowała w pałacu u księcia. Wokół pałacu otoczonego urokliwym ogrodem i ogromnym parkiem zdobiły nadzwyczaj piękne kwiaty, polskie i egzotyczne, sprowadzane z ciepłych krajów. Cały teren był obsadzony ciekawymi krzewami i drzewami. Było gdzie odpoczywać i nacieszyć oczy cudowną przyrodą. Na każdą zimę książe z rodziną wyjeżdżał do Francji oraz innych ciepłych krajów, gdzie miał swoje posiadłości.

Siostra Petroneli była pokojówką w pałacu. Po ślubie urodziła dziecko. W tym samym czasie urodził się syn u „państwa”. Wówczas poproszono ją, by została mamką, to znaczy, by swoją piersią karmiła również dziecko z rodziny księcia Radziwiłła. Ponieważ była kobietą zadbaną, czystą i inteligentną, nie obawiano się oddać małego księcia w jej ramiona. W tamtych czasach w wielu bogatych domach często zatrudniano mamki.

Druga siostra Petroneli była akuszerką-położną w Krakowie. Ich ojciec pracował w kamieniołomach Solvej, w tych samych, w których podczas II wojny światowej pracował Karol Wojtyła, nieżyjący już nasz Papież — św. Jan Paweł II.

Dziadek Jan

Jan Bałuk, ojciec Stasi urodzony w Myślenicach w 1878 roku, został sierotą jako kilkuletni chłopiec. Ciężko mu było bez kochającej matki. Ojciec ożenił się z kobietą, która Janka źle traktowała, a hołubiła swojego Michała. Często przed pasierbem zamykała w kredensie chleb na klucz. Bywało więc, że chodził głodny, dlatego swoje dzieci bardzo rozpieszczał. Już jako małe dziecko pasł krowy. Gdy podrósł, wykształcił się na rymarza i tapicera.

Podczas zjazdu rzemieślników w Krakowie poznał Petronellę, która pracowała wówczas w restauracji jako kelnerka. Urzekła go bystrością, spontanicznością i otwartością. Dziadek już jako kawaler kupił dom, przy którym urządził pracownię tapicerską i kilka morgów ziemi na Zarabiu w Myślenicach. Był bardzo pracowity i oszczędny. Robił tapicerkę tzn. fotele, kanapy, otomany, tapczany, szezlongi oraz uprzęż dla koni bogatych ludzi, adwokatów, sędziów, ziemian.

Babka strasznie się denerwowała, gdy Raba podczas powodzi zalewała im pole i plody rolne. Wraz ze strumieniem wody na polach pozostawały ogromne ilości pstrągów, które znoszono koszykami do domu. Jedynie taki pożytek był z klęski powodzi. Dość częste podtopienia pól martwiły babkę.

Bałukowie byli zamożną rodziną, powodziło im się bardzo dobrze, bo prywatny zakład tapicerski przynosił duże dochody. Niczego im nie brakowało.

W związku małżeńskim urodziło się sześcioro dzieci: Stefania, Julia, Stanisława, Anna, Wojciech i Jan. Najstarsza córka Stefa zmarła, gdy w latach 1918–1919 szalała grypa hiszpanka, która pochłonięła, jak podają różne źródła, ponad 20 milionów ofiar śmiertelnych.

Dziadek był wspaniałym ojcem. Wszystkie jego dzieci były niejadkami, więc dziadek różnymi sposobami zachęcał je do jedzenia. Za ładnie zjedzony posiłek wręczał nagrodę w postaci słodczych czy owocu. Zawsze w niedzielę po sumie zabie-

rał je do cukierni i na spacer albo do kina. Nigdy nie bił dzieci ani nie krzyczał na nie. Pamiętał, jakich krzywd doznał w dzieciństwie od swej macochy, więc chciał ich oszczędzić swoim pociechom. Był człowiekiem o dobrym, łagodnym charakterze.

Natomiast babka Petronela łatwo się denerwowała. Opowiadano historię o Stasi i nowej sukience. Otóż pewnej niedzieli, jeszcze w Myślenicach, dziadek poszedł z dziećmi do cukierni na rurki z kremem. W pewnej chwili krem wypadł z rurki i poplaścił nową sukieneczkę Stasi. W jednym momencie przysła cała radość szczęśliwej dziewczynki.

— Jak ja się pokażę w domu? Mama będzie znowu zła, znowu będzie krzyczeć. Tato, boję się.

Dziadek obiecał małej córeczce, że udobrucha babkę i wszystko będzie znowu dobrze.

Petronela była kobietą z charakterkiem. Nie dawała dzieciom czasu na rozrywki. Wolała, aby wypełniały go nauką, modlitwą i pracą. Zdolna i pracowita, nawet przy świetle bijącym z otwartego pieca, czytała dzieciom wiele książek patriotycznych i religijnych. Jednak nie przywiązywała wagi do tego, by córki zdobyły konkretne wykształcenie, gdyż twierdziła, że i tak będą siedziały w domu i wychowywały dzieci. O to córki miały wielki żal, zwłaszcza Stasia i Anna. Julka zdążyła jeszcze w Myślenicach wykształcić się w bardzo dobrej szkole krawieckiej dla dziewcząt prowadzonej przez Jodłowską, więc na Kresy wyjechała już przygotowana do samodzielnego życia.

Pewna śmieszna anegdotka dotyczy babki Petroneli. Aniela Salawa, znana już za życia ze swej charyzmy i świętości, odwiedzała dość często swoją rodzinę. Pewnego razu Petronela z Myślenic poszła do kościoła w Sieprawiu, do którego chodziła także Aniela, gdy przyjeżdżała z Krakowa na uroczystości religijne lub rodzinne. Obie były rówieśnicami, lubiły się ze sobą spotykać. Rodzina taty, a także obcy ludzie często zdążali do kościoła, gdy gminna wieść niosła, gdzie i kiedy przyjedzie Anielcia. Wszyscy pragnęli zobaczyć tę nieprzeciętną dziewczynę słynącą z dobroci serca i uzdrowień za jej wstawiennictwem.

Babka powróciwszy do domu, opowiadała, jak to modliła się do różnych świętych, których obrazy wisiały w kościele. Tylko do jednego nie bardzo wiedziała, jak się modlić, bo „był jakiś taki niepokazny”. Nie mogła go skojarzyć z żadnym świętym, których portrety widziała w Żywotach Świętych. Dopiero podczas rozmowy z domownikami okazało się, że ta „niepokazna postać” znajdująca się wśród innych osób, to żaden święty, tylko diabeł Lucyfer, który wodzi ludzi na pokuszenie. Wiele razy do łez śmialiśmy się, wspominając tę historię. A mama umiała ją wspaniale zagrać. Przecież jeszcze w Myślenicach grała w teatrzyku szkolnym.

Moja mama

W Myślenicach pod Krakowem Stasia była bardzo szczęśliwa. Kochała szkołę, naukę, nauczycieli. Zawsze z szacunkiem i miłością opowiadała o swoich wychowawcach i nauczycielach. Marzyła, by w przyszłości mogła uczyć dzieci. Bardzo lubiła czytać i przez całe życie umiała dziesiątki długich wierszy na pamięć jeszcze ze szkoły, znała historię Polski i geografę, pięknie śpiewała. Z zapartym tchem słuchaliśmy jej barwnie opowiadanych historii, legend, baśni. Mówiła czystą polszczyzną, ale również po ukraińsku i rosyjsku, jeśli opowiadała o tamtych ludziach i zdarzeniach. Umiała też wymawiać tylnojęzykowe „ł”, co się coraz rzadziej spotyka, a mnie się nie udaje wcale. W szkolnych przedstawieniach grała po dwie role, ponieważ wspaniale umiała zmieniać intonację i modulować głos.

Jej marzenia o dalszej nauce, nauczycielstwie i szkole aktorskiej skończyły się wkrótce po I wojnie światowej. W Myślenicach skończyła pięć lat szkoły powszechnej, pozostałe lata siedmioklasowej szkoły w Ostrowie na Kresach.

Ziemie krakowskie i lwowskie, zarówno Myślenice Stasi, jak i Brzączowice Jaśka, leżały w zaborze austriackim. Pod tym

zaborem Polacy mieli możliwość kształcenia. Rząd zaborczy pozwalał na pielęgnowanie języka ojczystego, na zakładanie szkół polskich, na tworzenie stowarzyszeń oświatowych, czytelni i bibliotek. W Krakowie powstała Akademia Umiejętności. Z Uniwersytetu Lwowskiego i Krakowskiego wychodziły co roku szeregi oświeconych i uczonych Polaków. Założono szkoły wyższe, dziesiątki szkół średnich i setki ludowych. Oświata podnosiła się, rozwinęły się rzemiosła i fabryki, ulepszano gospodarstwa rolne.

O wiele trudniejsza była sytuacja w zaborze rosyjskim, gdzie rząd chciał zrobić z Polaków Rosjan i w tym celu kazał dzieci polskie oddawać do szkół rosyjskich, w których nie wolno było nawet między sobą mówić po polsku. Za tajne nauczanie języka polskiego w domu rząd rosyjski surowo karał rodziców i nauczycieli.

Najcięższe prześladowania cierpieli Polacy w zaborze pruskim. Rząd pruski otwarcie dążył do zniemczenia Polaków, dzieciom polskim nie wolno było nawet modlitwy odmawiać w swoim języku. Skupowano polską ziemię i zabraniano Polakom budować się na swoim gruncie. Słynny Drzymała, zakupił więc wóz cyrkowy, by w nim zamieszkać i codziennie przesuwał go o kilka centymetrów, co miało świadczyć, że jest w podróży, a nie na stałym miejscu zamieszkania. Wobec takiego fortelu władze niemieckie nie miały prawa usunąć go ze swojej ziemi. O bohaterskim patriotcie przypomina pamiątkowa tablica w Grabównie pod Piłą. Za przykładem Drzymały, chłopci również organizowali sobie wozy mieszkalne i wyrzucić się z ojcowizny nie pozwolili okupantowi.

Po odzyskaniu Ziemi Wschodnich (lwowskich) w wyniku I wojny światowej, wielce patriotycznym zadaniem było zasiedlenie ich przez Polaków. Babka Petronela już podczas I wojny światowej, gdy dziadek był na wojnie i się skończyły pieniądze, posprzedawała wszystkie uprząże zrobione przez dziadka, ale i tak nie miała gdzie kupić żywności dla rodziny. Pieniądze były, ale sklepy opustoszały. Często głodowali lub jedli nędznie, a babka nie była przyzwyczajona do gorszego życia. Po-

przysięgła sobie, że po powrocie dziadka z wojny, muszą mieć ziemię. Postanowiła wyemigrować z rodziną pod Lwów. Tak więc po wojnie polsko-bolszewickiej wyjechali na odzyskane Kresy Wschodnie, na ziemię po hrabim Platerze.

Dziadkowie przeżywali wiele kłopotów związanych z tą niepotrzebną emigracją z Myślenic, urokliwego miasteczka, gdzie dziadek miał dobrze płatne zajęcie. Jednak babka się uparła i postawiła na swoim. Za ziemię, dom i warsztat w Myślenicach mieli otrzymać bardzo wysoką sumę w złotych dolarach od kobiety z Ameryki. Ale babka się nie zgodziła, wołała papierowe polskie. Okazało się to jej wielką, nieświadomą głupotą! Wspomniana nowa właścicielka musiała nawet jeździć do Warszawy do banku wymienić część dolarów w złocie na polskie banknoty. Wkrótce nastąpiła dewaluacja i dziadkowie stracili wielką fortunę. Z trudem wybudowali dom i budynki gospodarskie w Głuchowie koło Bełza. Dobrze, że dziadek zabrał z Myślenic narzędzia i urządzenia przydatne do zorganizowania pracowni w nowym miejscu. Szybko się z tego biedniejszego życia podnieśli, ponieważ dziadek i teraz miał dużo zamówień od okolicznych ludzi, a dość duże gospodarstwo ziemskie dawało dobre dochody. Mimo to dziadek nie był zadowolony z tego wyjazdu, gdyż ani nie lubił, ani nie umiał pracować w polu, bo przecież był rzemieślnikiem, a nie rolnikiem.

Zdarzało się, że czasem płakał i kłął:

— Po co babka na tę Ruś Czerwienną wyjechała? Tak nam było dobrze w Myślenicach, przecież tam nam niczego nie brakowało. Przez upór babki — mówił — „Diabli wzięli Furdasówkę”.

Nikt nie był zadowolony z decyzji babki. Zosia Radwańska, jej wnuczka twierdzi, że babka kierowała się uczuciami patriotycznymi. A jej córka Anna też to potwierdza, lecz dodaje, że wyjazd przyspieszyła bzdurna sprzeczka z sąsiadką o kurę, która weszła w ogródek i narobiła trochę szkody, czy też zniosła jajko nie na swoim terenie. Dokładnie nie wiemy. Babka już podczas wojny planowała zakup ziemi, bo według niej zie-

mia zawsze wyżywi, a w sklepach po przejściu frontu stały puste półki.

Stasia, moja mama, bardzo przeżywała ten wyjazd. Płakała dniami i nocami, gdyż chciała się dalej uczyć w Myślenicach i Krakowie. Miała niespełna 12 lat. Była zżyta ze swoimi koleżankami, wesoła, szczęśliwa, towarzyska. Pragnęła zostać nauczycielką, była głodna wiedzy. Chciała nadal mieszkać w pięknie położonych Myślenicach. Stąd tak blisko do Krakowa, do gór, do Tatr! Było jej żal opuszczać miejsca, w którym dorastała. Nie chciała jechać na wieś, nie miała ze wsią nic wspólnego. Babka Petronela przyrzekła jej, że będzie kontynuować naukę w Sokalu. Skończyła wprawdzie siedmioklasową Szkołę Powszechną w Ostrowie, lecz do liceum już jej babka nie pozwoliła pójść. Poduczyła się więc podstawowego krajoznictwa od Juli i pomagała w domu i w polu. Do szkół babka posłała tylko synów, Wojtkę i Jankę. Obydwaj poszli w ślady ojca, bo widzieli, że tej pracy nigdy nie zabraknie. Ludziom wciąż potrzebne są nowe meble, a w starych zużywają się często materiałowe obicia i trzeba je wymieniać na nowe.

A przecież Stasia miała nieprawdopodobną pamięć! Pamiętam, jak przyszedłszy ze mszy w Gromadnie, podczas której kazanie głosił Prymas Polski Kardynał Stefan Wyszyński. Mama powtórzyła je niemal w całości, słowo w słowo, babce Petroneli, która nie miała siły iść do kościoła z powodu wysokiej temperatury i bólu gardła.

Wracam do jej dzieciństwa.

Tak więc, jako mała dziewczynka z wielkim żalem pożegnała się ze swoją dobrą szkołą, ukochanymi nauczycielkami, miłymi koleżankami i powędrowała z rodzicami i rodzeństwem szukać nowego nieznanego życia.

— Jaki los mnie tam czeka, jak będzie w nowej szkole, jacy będą nowi przyjaciele, czy będę tam szczęśliwa? — stale nurtowały ją te pytania. Urodzona optymistka i marzycielka wierzyła, że mimo wszystko pokona wszelkie trudy.

W Głuchowie kilka tygodni wcześniej osiedliła się rodzina Chorabików (Horabików). Obie rodziny nie znały się, chociaż

mieszkały w powiecie myślenickim, w odległości od siebie około 12 kilometrów.

W tamtych latach nie było tak dogodnej łączności między miejscowościami jak obecnie. Tylko nieliczni bogaci posiadali samochód, ludzie przemieszczali się głównie pieszo i konno, a między ważniejszymi miastami funkcjonowała słaba komunikacja.

Do Głuchowa pociągiem przyjechało kilkanaście polskich rodzin. Wszyscy zamieszkali obok wsi na parcelach po byłych właścicielach ziemskich, hrabim Platerze i Polanowskim. Osiedleni stanowili Kolonię Polską w pobliżu polskiego Ostrowa.

Strzała Amora

Jasiu Chorabik pomagał przybyłym ziomkom przy rozładunku przywiezionego dobytku.

Wśród grupy osadników, nad rzeką Sołokiją płynącą przez wieś, zobaczył małą, czarnooką, rezolutną, pogodną dziewczynkę o kruczoczarnych włosach splecionych w dwa długie, grube warkocze. Jej błękitna sukienka podkreślała smagłość karnacji jej dziewczęcej twarzyczki. Jasne spojrzenie tej śmigłej „jaskółeczki” i jej wesołe usposobienie natychmiast za władnęły o dziewięć lat starszym młodzieńcem. Rozmowa z nią była wielką przyjemnością. Spodobała mu się. Strzała Amora trafiła go nagle i niespodziewanie, do czego nie przyznawał się nikomu przez kilka lat. Postanowił, że pojmie ją za żonę, gdy dziewczynka dorośnie.

Była to miłość od pierwszego wejrzenia. Okazja do zapoznania się z nią nadarzyła się przez nieprzewidzianą okoliczność. Podczas przejazdu ze stacji kolejowej został uszkodzony wóz z dobytkiem moich dziadków Bałuków. Doszło do tego, gdy dziadek wjechał nim do rzeki Sołokii, aby nawilżone wodą drewniane części kół napęcznieły i uszczelniły się z żelaznymi obręczami kół. Złamała się główna oś. Widząc to, Jasek po-

śpieszył im z pomocą. Trzeba było znieść z wozu skrzynie i worki z różnymi przedmiotami zabranymi z Myślenic. Znając się na stolarce i ciesiołce fachowo naprawił wóz, choć przedłużał tę czynność tak, aby być dłużej w miłym towarzystwie. Rodzina Petroneli jest bardzo rozmowna, potrafi sprawić, że w ich obecności każdy czuje się dobrze. Jaśkowi spoglądającemu na rozmowną Stasię serce zabiło mocniej.

Do tej pory nie interesował się żadną inną dziewczyną czy kobietą, bo jak i kiedy? Od 16. roku życia był przecież żołnierzem na wojaczce. Ale od tego pamiętnego dnia, gdy ją zobaczył, całe życie był Stasi bezgranicznie oddany i wierny aż po grób. Często zastanawialiśmy się, czy to był przypadek, czy przeznaczenie. Rodzice wierzyli w przeznaczenie, byli święcie przekonani, że to Opatrzność pozwoliła im tę zawiłą drogę do siebie przebyć.

Wkrótce Jaś, na lata 1922–1924, został powołany do wojska do jednostki stacjonującej w Zamościu. Tam przeżywał obawy, czy jego wybrankę nie oczaruje inny młodzieniec. Przecież często miał okazję widzieć, jak chłopcy na nią łakomym wzrokiem patrzą, jak ubiegają się o jej względy. Po odsłuszeniu wojska z sercem bijącym z niepokoju wracał do domu.

— Czy Stasia jest przeznaczona dla niego? A może już innemu udało się zawładnąć jej uczuciami?

Na szczęście ich i nas, Jaś i Stasia byli dla siebie jednak przeznaczeni. Nieśmiało zaczęli ze sobą sprzyjać. Nie było to takie typowe chodzenie jak za moich młodych lat czy obecnie.

Nie spotykali się na umówione randki, tylko porozmawiali w drodze do kościoła, pomagali wzajemnie swoim rodzinom podczas prac polowych lub przy budowie. Szli z rodzinami do kina, na majówkę, dożynki, przedstawienie czy jasełka.

Wziąć Stasię za żonę nie było takie proste przy dość wymagającej babce Petroneli. Mała wzrostem, a taka silna osobowość!

Minęło kilka dobrych lat od pamiętnego spotkania nad Sołokiją.

Jaś zdążył wybudować dom dla swojej przyszłej żony. Marzył od dawna o poślubieniu tej sympatycznej dziewczyny. Z zazdrością patrzył na zabawiających ją kolegów. Wiedział dobrze, jaką przyjemność sprawia rozmowa z tą inteligentną dziewczyną. Największego rywala widział w przystojnym Stasiu Królu, inżynierze z Sokala. Wszyscy we wsi widzieli rozterki młodych. Jasiek prosił Stasię, by wybrała jego, bo kocha ją szalenie od pierwszego wejrzenia i tylko z nią pragnie założyć rodzinę i wieść dobre życie.

Babka nie chciała słyszeć o zamążpójściu Stasi, ponieważ starsza Julcia poślubiła Stacha, i w 1927 roku urodziła Zosię. Trzeba więc było ją wyręczać przy pracach domowych i w polu. Julia pięknie szyła i tą pracą pomnażała domowy budżet.

Babka sprzeciwiała się i nie przyjmowała żadnych oświadczeń. Nie chciała wypuścić z domu dobrej, pracowitej i posłusznej córki. Anna — młodsza siostra mojej mamy, opowiadała mi:

— Do Stasi podchodziło wielu amantów do zamążpójścia. Zachwycała swoją urodą, zgrabnością, elegancją, ciekawą rozmową na wiele tematów. Z nią nikt się nie nudził. Zawsze gustownie ubrana, pedantka, chodziła jak panienka z wyższych sfer. Kupowała rzeczy i materiały z dobrego gatunku, by zawsze schludnie wyglądać. Umiała szyc mniej skomplikowane rzeczy, co stało się bardzo przydatne. Wybrała Jaśka Chorabika. Była pewna jego miłości i widziała w nim odpowiedniego kandydata na ojca przyszłych dzieci. Przeczuciwała, że na nim nigdy się nie zawiedzie, że z nim stworzy kochającą rodzinę. Jego spokojny charakter i dobry fach zapewni bezpieczeństwo rodzinie. Kiedy Stasia skończyła 18 lat, Jasiek odważył się prosić rodziców o rękę wymarzonej dziewczyny. Oświadczyny zostały przyjęte z oporem, jednak na ślub babka nie chciała się zgodzić. Kazała przyjść za rok. Jasiek więc, co do dnia i godziny, wyliczył termin spotkania i po raz drugi poprosił o zgodę na ślub. Tym razem babka Petronela się zgodziła. Spodobały się jej konsekwencja i upór narzeczonego. Pracowity i spokojny Jaś był bardzo dobrą partią. Zaradny chłopak wybudował

już dom i zakład stolarski, dobrze prosperujący, oborę i stodołę. Wszystko z czerwonej cegły i kryte blachą. Na meble stale były zamówienia, był jedynym stolarzem w okolicy.

Zakochana para wzięła ślub 29 maja 1929 roku. I żyli razem zgodnie przez 52 lata. Rozdzieliła ich dopiero śmierć Stasi w roku 1981. A jej kruczoczarne włosy zachowały swój kolor do końca życia.

Babka Petronela nie poszła do kościoła na ślub ani nie przyszła na wesele. Nadaśana siedziała za stodołą. Cóż, miała charakterek. Po wielu latach, już po przyjeździe na Pomorze, stwierdziła jednak, że to właśnie Jasiek jest najlepszym zięciem i najlepiej czuje się w jego domu.

Chociaż nowy dom czekał na nowożeńców, babka nie pozwoliła im razem zamieszkać. Przez półtora roku nie pozwoliła również Stasi niczego dla męża wyprać. Zamieszkali ze sobą dopiero po urodzeniu Marysi — ich pierwszego dziecka. Na córkę czekała piękna malowana kołyska zrobiona przez ojca, a na mamę murowany dom wyposażony w meble wykonane również ręką Jaśka.

W nowym domu żyli zgodnie i szczęśliwie. Obok domu rozciągało się pole bardzo urodzajnego czarnoziemiu, a niedaleko las pełen malin, jagód, jeżyn oraz grzybów. Zbierano tylko borowiki i rydze, innych nie uznawano. Las dostarczał opału. Rzeka Sołokija ryb, szczególnie pstrągów.

Alejkę prowadzącą od furtki do domu upiększyli szpalerem róż. Ogród warzywny i kwiatowy oraz sad pod dobrą ręką Stasi odwdzięczał się wspaniałymi zbiorami. Nie tylko z owoców, ale i z płatków róż gospodyni robiła smaczne pachnące konfitury. Do pomocy, prac domowych i opieki nad dzieckiem, przyjęli Manię, która u nich zamieszkała przez dłuższy czas. Dobrze z sobą żyli. Między nimi nie było nigdy kłótni. Był zadowolony z wszystkiego, co Stasia zrobiła, wszystko mu się w niej podobało. Uwielbiał swoją czarnulkę przez całe długie życie. Wiodło im się dobrze. Urodzajny humus i warsztat stolarski zapewniały dobre życie. Nigdy nie odczuli głodu, tak jak wiele innych rodzin w czasie kryzysu w latach trzydziestych.

Złota obrączka

Jednak pewnej wiosny podczas odchwaszczania i spulchniania ziemi wokół młodych ziemniaków zdarzyła się przykra historia. Nie wiem, jaki temat omawiali w czasie owej pracy. W każdym razie, tata trochę zdenerwowany, użył słowa zaczynającego się na g... Wówczas obrażona Stasia, nieprzyzwyczajona do takiego słownictwa, zdjęła ślubną złotą obrączkę i rzuciła ją pod nogi Jaśka. Wiedziała, że jej nie zdoła schwycić, ale było jej wszystko jedno. Pogنیwała się i przestała do niego się odzywać. Długo nie przyjmowała przeprosin. W końcu dała się udobruchać, a skruszony małżonek przyrzekł, że już nigdy nie użyje żadnego przykrego słowa. Długo przeszukiwali kawałek ziemi, lecz niestety na nic, obrączka wsiąkła w ziemię. Potem, szczególnie po wojnie, kiedy straciliśmy swoją posiadłość oraz życiowy dobytek i nastały ciężkie lata, mama wspominała to wydarzenie ze smutkiem, bo przecież mogła sprzedać złotą obrączkę albo wymienić na artykuły spożywcze lub inne rzeczy potrzebne do domu.

Dzieci Stanisławy i Jana

Na Wschodnich rubieżach Stanisława urodziła pięć córek.

Maria — 6.12.1930–12.06.2017, Janina — 14.06.1933–3.05.2010, Wanda — 1936–1938, Anna — 5.02.1939 oraz Helena Wanda — 10.02.1942. Tam został poczęty Władysław, urodzony w Brzączowicach koło Myślenic podczas tułaczki wojennej — 5.06.1944.

Na Ziemiach Odzyskanych, na Pomorzu urodzili się w Gromadnie: Stanisław — 10.11.1946, i Wiesław — 4.01.1949, a Elżbieta — 18.11.1953 w Wyrzysku.

Mniej więcej w podobnych latach rodziły się dzieci Julii Radwańskiej, najstarszej córki Petroneli (1905–1997): Zofia, Roman, Franciszek, Stanisław, Antoni Piotr, Maria i Janina.

Kuzynostwo wychowywało się razem, bo mieszkało blisko siebie. Stasia po jednej stronie drogi, tuż przy lesie i łące nad Sołokiją, a Julia po przeciwnej stronie. Okna i drzwi wejściowe były usytuowane naprzeciwko, więc jedni i drudzy byli na bieżąco zorientowani, co u każdego z nich się dzieje.

Po II wojnie światowej wszystko się zmieniło, żeby się dowiedzieć czegokolwiek o sobie nawzajem, trzeba było przejść nie 7 metrów, a 7 kilometrów z Gromadna do Klawek.

Wandzia

W 1936 r. urodziła się Wandeczka. Była śliczną niebieskooką blondynką z kędziorami włosów na głowie. Bardzo długo chora na szkarlatynę leżała w kołysce. Kiedy przyszła wiosna i piękne słoneczne dni, mała Janeczka z litości wyniosła ją do przydomowego ogródka, by siostrzyczka zaczerpnęła trochę świeżego, ciepłego powietrza. Ucieszona dwuletnia Wandzia podziwiała kolorowe wiosenne kwiatki, żółciutkie malutkie kurczaczki, śmiała się z innymi dziećmi. Janka była bardzo szczęśliwa, widząc radość u chorej dziewczynki. Wynosząc dziecko, ubrała małą w najpiękniejszą sukieneczkę uszytą przez mamę. Wandzia ślicznie się prezentowała w białej batystowej sukienusi ozdobionej koroneczkami i falbaneczkami. Radość trwała jednak krótko. Trzeciego dnia stan chorej pogorszył się i wkrótce zmarła. Trudno powiedzieć czy to z braku odpowiednich leków, czy też przyczyniło się do tego jej wyniesienie z domu na zdradliwe wiosenne powietrze. Biedna Janeczka całe życie żałowała swojego czynu, gryzło ją sumienie, że być może przyczyniła się do śmierci dziecka. W tamtych latach leczyło się chorych głównie domowymi sposobami, do lekarzy mniej się chodziło, ale też i lekarstw tak skutecznych jak obecnie nie było.

Cegły

Podczas letnich wakacji ukraiński student opodal naszego domu wyrabiał z gliny cegły na budowę swojego domu. Już miał dość solidną kupkę, 3000 sztuk. Były podsuszone, ale jeszcze nie wypalone w piecu. Kilkoro dzieci sąsiedzkich i moje dwie starsze siostrzyczki postanowiły na nich się pobawić, bo takie miłe w dotyku, mięciutkie i zostawiały ślady stóp, a także różnych rysunków. Kiedy w niedzielę starsi i rodzice poszli do kościoła na sumę, dzieciom w to graj. Można będzie ciekawie spędzić czas.

Aby nie wyszło na jaw, kto był sprawcą zniekształcenia wyrobów budowlanych, Janeczka wpadła na pomysł, by swoje stopy przesuwając do przodu i do tyłu, a Marysia, by jeszcze na boki. Teraz nikt ich nie posądzi o zniszczenie cegieł. Zaba-
wa była znakomita, wspinały dzień.

W poniedziałek rano mama przychodzi budzić dziewczynki. Janka z Marysią śpią, a raczej udają, że jeszcze śpią. Mówią, że są chore, że bolą je brzuszki. Mama zostawia je w łóżku i idzie zrobić leczniczą herbatkę. Po chwili rozlega się pukanie do drzwi. Mama otwiera drzwi i zaprasza gości do pokoju. Wchodzi student z sołtysem i sąsiadem. Mówi po ukraińsku:

— Zdrastwujcie, gospodini Horabikowa. My z nieprzyjemną sprawą. My oczywiście wiemy, że to nie panine dzieci zrobiły.

— A co to się stało?

— Pani, moje cegły poniszczone.

— Moje dzieci na pewno tego nie zrobiły.

— My wiemy, że one nie zrobiły. Musimy jednak zbadać stopy, bo wszystkie ze wsi już mamy sprawdzone, ale niestety kilkanaście nam nie pasuje. Dzieci mówią, że wasze dziewczynki też tam były i też bawiły się przy moich ceglach.

Idą więc do sypialni. Pierzyna w górę. Mierzą stopy, żadna nie pasuje do przyniesionych cegieł.

— No, rzeczywiście to nie wasze dzieci. Przepraszamy, wiedzieliśmy, że wasze tego nie mogły zrobić. To przecież takie miłe, grzeczne dzieci. Nie gniewajcie się na nas.

Na to zadowolona mama:

— Panie, ja wiedziałam, że moje dzieci nigdy by nie uczyły nikomu takiej krzywdy.

— Wiem, pani Stasiu, wiem, jednak musiałem to zbadać — mówi student.

Po ich wyjściu skruszone dziewczynki przyznały się do wszystkiego. Nie uszło im to płazem. Rodzice nigdy nie uderzyli swoich dzieci, jedynie tłumaczyli, na czym polegał zły występpek. Zawstydzone siostrzyczki obiecały już nigdy nie bawić się w ten sposób. Szybko „wyzdrowiały” i poszły z rodzicami przeprosić właściciela.

W formie zadośćuczynienia tato pomógł studentowi robić nowe cegły z gliny przywiezionej z naszego pola.

Co jakiś czas zdarzały się różne, mniej lub bardziej miłe czy też niemiłe albo niebezpieczne przypadki, jak to zwykle bywa przy ruchliwych i pomysłowych dzieciach. Było trochę kłopotów.

Janka w ukropie

Było to zimą. Mama robiła pranie. Nastawiła kocioł z wodą do zagrzania. Poszła do babki Petroneli po balię do prania. Marysia w pokoju trzymała na kolanach małą Hankę i ją karmiła. Janeczka postanowiła zrobić mamie niespodziankę. Prędkutko wyprała jedną poszewkę i postanowiła szybko ją wysuszyć, zanim wróci mama. Myśli:

— Na dworze mróz, nie wyschnie. Ale w kuchni nad piecem kuchennym wisi sznurek. Tam powieszę. Płyta jest gorąca. Ubiorę buty, przysunę taboret i będzie dobrze.

Weszła na płytę kuchenną, kauczukowa podeszwa butów roztopiła się na rozgrzanym żelazie. Janeczka się poślizgnęła,

uczepiła się garnka, wrzątek chlusnął na jej plecy, pupą przejechała po gorącym piecu i spadła na podłogę dotkliwie poparzona.

W szoku uciekła i schowała się pod łóżka w sypialni, gdzie straciła przytomność. Znalaziono ją, gdy się ocknęła i zaczęła jęczeć z bólu. Bardzo cierpiała. Każdy z nas wie, że najmniejsze oparzenie bardzo boli, a tutaj większa powierzchnia ciała pokryta bąblami. Potem skóra schodziła jej płatami. Przez długi czas musiała leżeć tylko na brzuchu, bo plecy były jedną wielką raną.

Szycie Janki

Już w dzieciństwie Janeczka zdradzała zamiłowanie do krawiectwa.

W nadchodzącą niedzielę przypadało wielkie święto kościelne — Zielone Świątki. Wieś już przygotowana, wszystko pograbione, pozamiatane, dróżki przykościelne przyozdobione zielonymi brzoškami i kwiatami, zielone girlandy porozwieszane przy pobliskich domach. Mama również ustroi swoje dziewczynki w nowe ubranka. Na łóżku leży uszyta przez mamę piękna błękitna sukieneczka w białe groszki, przyozdobiona białym kołnierzykiem i białymi mankietami. Mama bardzo zadowolona ze swojej pracy. Cieszy się, że sukienka tak dobrze leży, a Janeczka wygląda w niej jak laleczka. Będzie ładnie wyglądać w kościele. Spokojnie idzie na pole po warzywa na świąteczny obiad.

Ale Janka widziała u koleżanki spodniczkę i bluzkę, które jej się bardziej podobały. Wzięła więc nożyczki krawieckie i przecięła swoją nową sukienkę. Gdyby udało się jej odciąć prosto, to może mama znalazłaby jakąś radę. Jednak drobne, niewprawne ręczęta ucięły materiał krzywo, skośnie i nic nie można było z tych kawałków pokombinować. To oczywiste, że mama się rozpłakała z powodu tej straty, ale więk-

szym powodem łez był brak czasu na uszycie nowej kreacji na jutro do kościoła.

Po jakimś czasie Janka, niezrażona niepowodzeniem szycia spódniczki, wymyśliła sobie, że uszyje majtki. Stwierdziła, że jeśli weźmie stare jako wzór, to szycie będzie łatwe i proste. Wyjęła z szafy nowe prześcieradło, pocięła je i, co tu dużo mówić, majtek nie uszyła, a prześcieradło zniszczyła. Jednak w przyszłości dopięła swego. Wyuczyła się krawiectwa i naprawdę pięknie szyła damskie rzeczy. Od niej i ja się poduczyłam i w młodości sporo szyłam dla siebie oraz dla moich córek.

Rodzynki

Na Święta Bożego Narodzenia mama jak zwykle upiekła sernik z rodzynkami.

Janeczka bardzo lubiła rodzynki, które były wówczas towarem deficytowym, nie tak jak obecnie w każdym sklepie spożywczym łatwo je znaleźć przez okrągły rok.

W kredensie kuchennym już ich nie było, w komórcie również pusto. Janka wpadła więc na nowy pomysł. Z krepy, z której robiliśmy ozdoby choinkowe, przygotowała sobie trochę ciemnych kuleczek. Dyskretnie poszła do komórki, uchyliła drzwi do pokoju, by rozjaśnić spiżarnię i zabrała się do dzieła. Co wyskubała rodzynekę z ciasta, to wsadziła w to miejsce papierową kuleczkę. Zadowolona z siebie nie daje poznać nikomu, że przed chwilą coś przeszkobała. Po głównym posiłku przyszedł czas na sernik. Mama idzie do spiżarni z talerzem, aby ukroić dla siedzących przy świątecznym stole. Jak nigdy, coś w serniku przeszkadza, mama mówi:

— Coś mi się w tym serniku ciągnie, pod nożem twarde, nie mogę ukroić, co to jest?

Przyniosła talerz do pokoju, oglądają przy lampie, smakują językiem, wypluwają... i wszystko się wydaje. Sprawczyni się

przyznaje i przeprasza. Mama ją rozumie i wybacza. Ani lania, ani krzyku nie było.

II wojna światowa – 1939–1945

Druga wojna, lata 1939–1945, to straszny okres w naszym życiu. Pierwszego września 1939 roku od zachodu półtora miliona żołnierzy niemieckich ruszyło na Polskę, a już 17 września 1939 roku między godziną pierwszą a drugą w nocy od wschodu nastąpiło drugie, podstępne uderzenie na nasz kraj. Armia Czerwona, w liczbie około miliona, przekroczyła granicę polsko-sowiecką na całej długości od Połucka po Kamień Podolski. Rozpoczęła się sowiecka agresja na Polskę. Był to dla nas „nóż w plecy”. Los Polski już był przesądzony. Zostaliśmy rozbici, osamotnieni, podzieleni, zniewoleni. Po napaści na rubieże wschodnie przez nasze ziemie kilkakrotnie przetaczał się front, po krwawych walkach zostawiał po sobie wielu zabitych i rannych, ruiny i zgliszcza, nie pozostał kamień na kamieniu. Wojna z najeźdźcami z Zachodu i ze Wschodu była bardzo trudna do udźwignięcia. Adolf Hitler i Józef Stalin podzielili się Polską, dokonując IV rozbioru naszej Ojczyzny. Ta wojna wciągnęła w swą orbitę 61 państw, około 1 miliard 700 milionów ludności. Toczyła się w Europie, Azji, Afryce Północnej, niemal na wszystkich morzach i oceanach. Ogółem powołano pod broń 110 mln żołnierzy. W wyniku wojny zginęło według różnych źródeł od 50 do 80 mln ludzi. Polska straciła ponad 6 mln obywateli i 38% majątku narodowego.

Początkowo nie wiedziano, jak traktować wkraczające do Polski wojska sowieckie, ponieważ niosły one białe flagi i kłamliwe hasła:

— Przybywamy wam z pomocą na Giermańca...

Zaczęła się straszna tragedia. Aresztowano żołnierzy i oficerów, urzędników państwowych i ludność cywilną. Toczyły się

walki z oddziałami sowieckimi, a jednocześnie bandy miejscowych Ukraińców podpalały domostwa osadników polskich, mordując wszystkich, którzy przyznawali się do polskiego pochodzenia. Nastąpił wielki chaos, ogromna dezorientacja. Co jest prawdą, a co fałszem? Marszałek Rydz Śmigły w swoim rozkazie napisał:

— Nakazuję ogólne wycofanie na Rumunię i Węgry najkrótszymi drogami. Z bolszewikami nie walczyć, chyba w razie natarcia z ich strony lub próby rozbrojenia oddziałów.

Zdezorientowane wojsko wracało do kraju, ale też wielu ginęło podczas stawiania oporu Sowiecom i bandom ukraińskim. Wszędzie wołały plakaty z odezwami do polskich żołnierzy:

„Obracajcie swą broń przeciw obszarnikom i kapitalistom, bijcie oficerów i generałów. Bronią, kosami, widłami i siekierami bij odwiecznych swoich wrogów — polskich panów, którzy przekształcili twój kraj w bezprawną kolonię, którzy ciebie kolonizowali, w błocie zdeptali twoją kulturę i zamienili ciebie i twoje dzieci w bydło, w niewolników”.

Prawdziwym celem Stalina była całkowita likwidacja polskiego państwa i eksterminacja korpusu oficerskiego oraz polskiej inteligencji. Zaczęły się aresztowania, procesy, wywózki Polaków na północ Związku Radzieckiego, Ural, Syberię i do Kazachstanu, do ciężkich robót w syberyjskich łagrach. Całe transporty ludzi rzucano w zamarzniętą i zaśnieżoną tajgę, by sami wyrąbali las i pobudowali sobie jako takie szałas. Zaczęła się tzw. Głgota Wschodu.

Wielu umierało z głodu, zimna i chorób już podczas deportacji. Wielu już tam na miejscu.

Ukraińcy, chcąc pozbyć się Polaków z tamtych terenów, wymyślają najokrutniejsze sposoby, palą ich żywcem, wbijają na pal, tną skórę na żywym ciele, związanych topią w studni lub w rzece, zmaltretowanych wrzucają na kopce mrówek, by tam w męczarni skonali.

Stosowano nieludzkie tortury fizyczne, a także psychiczne wobec Polaków przez OUN i UPA oraz innych ukraińskich szo-

winistów w latach wojny i po jej zakończeniu na południowo-wschodnich ziemiach II RP. Tym na wskroś barbarzyńskim okrucieństwom byli poddawani nie tylko mężczyźni, ale również kobiety, starcy i dzieci narodowości polskiej. Jak trudno uwierzyć, że czynili to ci, którzy przed wojną żyli z Polakami w zgodzie i przyjaźni. Nie można jednak powiedzieć, że wszyscy Ukraińcy byli mordercami. Najgorsi kaci to ci należący do band, banderowcy, nacjonaści, chuligani wyzuci z wszelkich uczuć. Wojna wyzwoliła w nich najgorsze instynkty.

Sowieci zsyłali Polaków na katorgę na Sybir, Niemcy mordowali w obozach śmierci, obozach pracy, w więzieniach. Ukraińskie bandy UPA najpierw okradają Polaków, a potem dokonują rzezi wielu wsi i miasteczek, by następnie je spalić. Z każdej strony widzisz wrogów.

— Jak tu żyć, skoro zewsząd czyhają bestialscy oprawcy?

— Jak się uchronić, trzeba uciekać ale gdzie się ukryć? Przecież dookoła tyle niebezpieczeństw.

Od pierwszych dni wojny żyjemy w strachu, w ciągłym strachu i niepewności. Co nas czeka dziś albo jutro, jak sobie poradzić z trójką małych dzieci?

A blisko nas Bełżec, Sobibór, Majdanek, Treblinka, nie tak daleko Oświęcim! Słyszymy, co się tam dzieje. Kolejne ziemie polskie były wcielane do Generalnego Gubernatorstwa. Hitlerowcy prowadzili politykę zmierzającą do wyniszczenia ludności polskiej. Wywożono Polaków na przymusowe roboty do Trzeciej Rzeszy, codziennością były egzekucje uliczne schwytanych w łapanekach cywilnych osób.

Po klęsce wrześniowej wielu żołnierzy polskich przedostało się do sąsiednich krajów, unikając niemieckiej niewoli. Do Rumunii ewakuowało się ok. 30 tysięcy żołnierzy, na Węgry 40 tys., na Litwę 13 800, na Łotwę 1300. Do Rumunii i na Węgry ewakuowało się ok. 25 tys. cywilów, w tym Rząd RP. Żołnierze polscy zostali w tych krajach internowani, lecz to nie przeszkodziło większości z nich w przedostaniu się na tereny kontrolowane przez sojuszników, czyli na Zachód.

Zielona granica

Obok naszego domu także uchodzili Polacy na Południe Europy. Pas graniczny musiał być czysty i często grabiony, aby można było dostrzec ślady ucieczek Polaków. Mój tato, wujkowie Stach i Janek oraz ciocia Anna przeprowadzali ich przez las, przez tzw. zieloną granicę. Wśród uciekinierów byli politycy, uczeni, ziemianie.

Prezydent Polski Ignacy Mościcki wraz z rządem polskim i korpusem dyplomatycznym już 17–18 września 1939 r. przekroczył granicę rumuńską, planując przedostanie się do Francji. Terytorium Polski opuścił Naczelnny Wódz marszałek Edward Śmigły-Rydz, przez Zaleszczyki na Węgry i do Rumunii.

W grudniu wśród uciekinierów znalazła się też kobieta podająca się za bliską krewną Marszałka Rydza Śmigłego.

Tego dnia u babki Petroneli ogromny stół do wieczery wigilijnej już jest przygotowany dla całej rodziny zgodnie z tradycją. Zapachy dwunastu potraw rozchodzą się po całym domu. Petronela zaprasza do modlitwy, za chwilę zgromadzona rodzina połamie się opłatkiem. Nagle słyszą ujadanie psa, rozmowę przed domem i pukanie do drzwi. Wszystkich ogarnął niepokój. Babka mówi:

— Któż to może być? Wszyscy nasi już są. Pewnie jakiś głodny i zmarznięty uciekinier nie ma się gdzie podziać. Janek, idź otwórz drzwi zbłąkanemu. Gość w dom, Bóg w dom. Puste miejsce i talerz dla nieznanego czeka.

Nagle do sieni wpada para Polaków:

— Przepraszamy za najście w takiej chwili, ale musimy się ogrzać i napić. Straszny mróz. Chcemy choć trochę odpocząć. Jesteśmy bardzo zmęczeni, szczególnie pani, którą powierzono mi do opieki podczas ucieczki z Polski ogarniętej wojną.

Babka Petronela zaprasza do stołu na wspólną kolację i proponuje:

— Zostańcie dłużej, idzie jeszcze cięższa zima. Spędzimy razem święta Bożego Narodzenia.

Piękna brunetka i śmiała się, i płakała z radości znalezienia tak przyjaznego domu Polaków. Gdy Stach wyraził podziw nad jej miłym usposobieniem w tak ciężkiej sytuacji wojennej, radośnie odrzekła:

— Proszę się nie dziwić. Ja taka jestem. Raz płaczę, potem śmieję się i skaczę. Jestem dzisiaj bardzo szczęśliwa, mamy przecież takie miłe święta. Nigdy wam tego nie zapomnimy.

Ścisnęła i całowała wszystkich po kolei, począwszy od gospodyni Petroneli.

Tematy rozmów nie miały końca. Wspomnienia, wojna, o której nikt jeszcze wówczas nie przypuszczał, że będzie trwała ponad pięć lat i zabierze tyle istnień ludzkich. Wigilię i Boże Narodzenie uciekinierzy spędzili w przyjaznym polskim domu. Podczas wspólnie śpiewanych kolęd niejedna łza spłynęła zebranych przy pachnącej choince.

Mundur wojskowy przybysza wujek Stach schował do głębokiej kryjówki, a podarował mu swoje cywilne ubranie. Kilka dni po świętach mężczyźni z naszej rodziny pod osłoną nocy przeprowadzili uciekinierów przez granicę i częściowo zamrożoną rzekę Sołokiję. Krewną Marszałka wujek Stach przeniósł na plecach, aby uchronić ją przed lodowątą wodą. Potem jej towarzysza. A pozostała rodzina, dzieci i kobiety w tym czasie na klęczkach prosili Wszechmocnego o szczęśliwe zakończenie tej akcji. Dopiero po powrocie mężczyzn modły zostały zakończone i wszyscy domownicy położyli się do łóżek.

Wujkom i strykom nie przeszkadzał nawet trzaskający mróz, ważne by pomóc ludziom. Stale narażali swoje życie, przeprowadzając wielu Polaków przez wschodnią granicę. Za pomoc groziła im niechybna śmierć. Mimo tych groźnych restrykcji, rodzina chociaż w taki sposób prowadziła wojnę z wrogiem. Nie tylko Polakom, lecz i Żydom nie odmawiali pomocy.

Coraz częściej rozchodziły się wieści o bestialstwach popełnianych przez nacjonalistów ukraińskich i bolszewików.

Święte obrazy

Z naszego domu na Kresach wszędzie było blisko. Do Ostrowa, do Krystynopola (obecnie Czerwonograd), do Sokala, do Bełża. W minionych wiekach, jeszcze za Piastów, były to miasta polskie, które w 1772 r. zostały zajęte przez Austriaków podczas I rozbioru Polski.

Do kina i na przedstawienia teatralne rodzice z dziećmi chodzili do Krystynopola, kościół, szkoła i urzędy były w Ostrowie. W pobliżu znajdowała się stacja kolejowa z połączeniami do Lwowa, Rzeszowa i Krakowa.

Na zamku w Bełzie była niegdyś ikona Czarnej Madonny namalowana na blacie stołu, przy którym siedziała Święta Rodzina z Nazaretu. Jej twórcą był św. Łukasz, jeden z uczniów Jezusa bywający często w jego domu. Łukasz był również lekarzem, miał zdolności plastyczne, namalował Marię zachwycony jej urodą i dobrocią. Obraz ten z Bizancjum zawędrował do Bełża. Stąd wywieziony do Częstochowy przez księcia Władysława Opolczyka w 1382 roku. Na murze kaplicy jasnogórskiej jest do dzisiaj napis: *Pięćset lat na bełżkim zamku byłam strażniczką*. W Polsce obraz Madonny z Dzieciątkiem trzyma straż na Jasnej Górze już 635 lat.

Legenda głosi, że najpierw ikonę wywozili Tatarzy. Gdy konie uparły się i nie chciały ruszyć z kopyta, bili je batem. Biczysko śmignęło, uderzając twarz Maryi, stąd te rysy na prawym policzku. Obraz podobno sam cudownie wrócił do Bełża. Wreszcie udało się księciu Władysławowi Opolczykowi wywieźć go do Polski, o co mieszkańcy Bełża mają do dzisiaj żal. W XVI wieku wywieziono z Bełża również inny sławny obraz Matki Boskiej, najpierw do Jazłowca, potem do lwowskiej katedry ormiańskiej, wreszcie w 1945 roku na Śląsk. Bełż rozstała się na świecie liryczna pieśń *Miasteczko Bełż*.

W czerwcu 1941 roku, w tajemnicy ostrzegli moich rodziców Ukraińcy:

— Uciekajcie, bo jutro o godzinie 16.00 przyjdą po was banderowcy. Wszyscy zginiecie.

Wówczas mama czym prędzej zebrała z domu symbole naszej wiary katolickiej, figurkę Matki Boskiej Fatimskiej, obrazy Świętej Rodziny i Miłosierdzia Bożego „Jezu, ufam Tobie”, zawięła w biały haftowany ręcznik i zniosła do najbliższej cerkwi w Głuchowie, by nie uległy zbezczeszczeniu lub spaleniu. Kościoły katolickie wówczas zostały już zamknięte.

Ze strachu nikt nie spał tej nocy, wszyscy na klęczkach błagali Najwyższego o pomoc, o ratunek, a jeśli musimy zginąć, to niech sprawi, byśmy wszyscy razem umierali bez wielkich i długich cierpień.

Czerwcowe noce są jasne i bardzo krótkie. W pobliskim lesie banderowcy czekają na nasz ruch. My na oprawców czekamy w domu, oczywiście z cichą nadzieją na jakiś cud. I o dziwo! Cud się zdarzył. 22 czerwca 1941 o godzinie drugiej w nocy na Związek Radziecki napadły hitlerowskie Niemcy. Do zsyłki lub mordu więc nie doszło. Byliśmy uratowani. Ale tylko na jakiś czas. Dla nas to chwilowa ulga, ponieważ uratowali nas od sybirskich łagrów lub zesłania do Kazachstanu. Co jednak będzie dalej? Trzeba jak najszybciej uciekać. Ale dokąd? Zewsząd zagrożenie. Teraz pozwolono nam wrócić do swojego domu w Głuchowie. Niestety na krótko.

Ukraińcy dostali nieograniczoną władzę od hitlerowców obiecujących im całkowitą swobodę pod warunkiem zlikwidowania wszystkich Polaków i Żydów. Ci na to tylko czekali. Nawet pop w cerkwi na kazaniu wołał:

— Wyróżnić ich! Wszystkich! Do ostatniego Polaka, do ostatniego korzenia, do ostatniego Lacha!

I wszystkim dał błogosławieństwo do walki z narodem polskim. Zaczęło się straszne mordowanie Polaków, grabienie całego majątku, palenie domów, obór i stajni ze zwierzętami, stodół i stogów zbóż. Do tej pory tylko NKWD zsyłało na katorgę w kazamaty, a teraz Ukraińcy „czyszczą” dla siebie Ukrainę.

— Nareszcie przejmujemy dla siebie wielkie latyfundia polskie, teraz my będziemy „panami” — cieszą się.

Niektórzy Polacy uciekali przed nimi do Rosji, nie wiedząc, jaki okrutny los ich tam również spotka.

Babcia Anna

Babcia Anna Chorabik (1858? –1939) zmarła wkrótce po wkroczeniu Sowietów na ziemie polskie. Przed śmiercią ze smutkiem powiedziała:

— Dopierośmy się zagospodarzyli, a już nadchodzi czas utraty.

W rodzinie mówiło się, że babci Annie pękło serce z żalu i rozpacz po zajęciu naszych ziem przez bolszewików. Została pochowana na cmentarzu w Waniowie, ponieważ nasz cmentarz parafialny znalazł się już poza linią graniczną. W 2006 r. odwiedziliśmy cmentarz, lecz nie sposób było znaleźć grobu babci. Zapaliliśmy jej znicz przywieziony z Polski, prawdopodobnie jedyni z rodziny, ale w imieniu wszystkich. W trójkę, tzn. mój mąż Władysław, brat Władek i ja odmówiliśmy *Anioł Pański* i wróciliśmy pamięcią do tamtych bolesnych czasów. Gdy dojeżdżaliśmy ze Lwowa do Bełza, przywitało nas czerwone jak krew wschodzące słońce. Trudno było nie skojarzyć takiego widoku nieba z przelaną krwią Żydów i Polaków zamordowanych tutaj podczas ludobójstwa wojennego.

Życie w czasie wojny było bardzo ciężkie i pełne niebezpieczeństw już od pierwszych dni. W wyniku fałszywych informacji panował ogromny chaos wśród polityków i wojskowych. To się udzieliło również ludności cywilnej. Oddziały wojskowe opuściły wiele miast bez próby obrony. Prawie wszyscy oficerowie zostali aresztowani i wywiezieni do obozów jenieckich w Rosji Radzieckiej, a następnie zamordowani w Katyniu i Charkowie.

Choć planowe egzekucje polskich jeńców i represje polskiej ludności na Kresach rozpoczną się w roku 1940, to jednak już we wrześniu 1939 r. Sowieci realizują planową ekstermina-

cję Polaków, dokonują wielu zbrodni przez NKWD. Udawało się im szybko zmobilizować także Ukraińców do rozprawy z Polakami, co było im na rękę.

— Zlikwidujemy Polaków, Ukraina będzie nasza! — cieszą się.

Najtragiczniejszy przebieg miały wydarzenia na Wołyniu oraz w województwach tarnopolskim, stanisławowskim i lwowskim. Na tych terenach bandy ukraińskie pozbawiały życia polskich osadników, wojskowych, służbę leśną, inteligencję i rzemieślników.

A my przecież jesteśmy polskimi osadnikami i wszyscy nasi mężczyźni mają zawody rzemieślnicze.

— Co nas czeka? — wszyscy z troską zadają sobie takie pytania.

Nasze tereny sąsiadują z Wołyniem, więc szybko dowiadujemy się o potwornościach wojennych. Słyszymy, że już we wrześniu 1939 roku tylko na Wołyniu bandy ukraińskie wymordowały około 1400 osób pochodzenia polskiego. W łunach pożarów płonęły majątki ziemskie, a tu i ówdzie były liczne wypadki straszliwego bestialstwa, m.in. polskie niemowlęta nasadzano na widły, przyczepiano kartki, że to *polskie orlęta* i wbijano je w kupy obornika, aby przez wiele dni straszyły ludność polską. A to właśnie *Polskie Orlęta* odbiły Lwów z rąk bolszewików ciężką walką w maju roku 1919. Większość tej wspaniałej walczącej młodzieży padła podczas boju o wolność Polski.

Najpierw pojedynczy bandyci, a potem zorganizowane grupy działały też w naszych okolicach. Trzeba było się przed nimi chronić i być przygotowanym na wszelką ewentualność. Parę razy schronili nas przyjaźni Ukraińcy, ale na dłuższy czas dla każdego było to trudnym zadaniem, tym bardziej, że im też grozono śmiercią za ukrywanie Polaków.

Często głodni i skąpo ubrani uciekaliśmy do pobliskiego lasu, spaliliśmy w stogach słomy, w kopach zbóż, w redlinach ziemniaków, w kukurydzy i burakach, a także w wysokiej tyczkowej fasoli „piękny Jaś”. Najtrudniej było utrzymać od płaczu

zziębnięte i głodne wystraszone małe dzieci. Jeżdżący na koniach bandyci wbijali długie bagnety i kosy w kopki oraz stogi zbóż, szukając uciekinierów. Najgorzej było zimą, gdy mróz ścinał krew, a śnieg zostawiał ślady ucieczki.

Helena Wanda

Jestem dzieckiem wojny. Podczas bardzo mroźnej i śnieżnej zimy, kiedy wojna jeszcze trwała, 25 stycznia 1942 roku urodziłam się ja — Wanda Helena Chorabik. W dokumentach mam jednak datę 10.02.1942, ponieważ mój ojciec chrzestny Stanisław Radwański podał księdzu niewłaściwą. Otrzymałam imię Wanda będące wyrazem patriotyzmu mojej mamy. Tym imieniem chciała zademonstrować Niemcom, iż my Polacy, tak samo jak legendarna *Wanda, co nie chciała Niemca, wolała do Wisły wskoczyć niżli cudzoziemca*, nie chcemy w naszym kraju hitlerowskich oprawców, którzy napadli na naszą Ojczyznę i od kilku lat mordują Polaków, a wsie i miasta grabią, bombardują, zostawiając ruiny i zgliszcza. Przez całe dzieciństwo byłam Wandą. Dopiero w liceum okazało się, że w metryce urzędnicy niemieccy wpisali Helena jako pierwsze. Natomiast nazwisko naszej rodziny — Horabik — zmieniono na Pomorzu na Chorabik, stąd rozbieżności w pisowni.

Druga wojna światowa przerwała spokojne, piękne życie mojej rodziny. Na Kresach rodzice spędzili swoją młodość, tam się pokochali, tam snuli marzenia i plany na przyszłość, tam rodziły się dzieci. Prawie dwadzieścia cudownych lat międzywojennych. W okolicy Głuchowa nie było innego stolarza, więc tato miał stale nowe zamówienia, zarówno od Polaków, Żydów, Ukraińców, jak i Rosjan. Nie była to lekka praca. Wszystko robił ręcznie, nie było tak nowoczesnych urządzeń stolarskich, jakie mamy obecnie.

Nie tylko w czasie pokoju pracował. Podczas wojny potrzebowano dużo trumien, gwiazd na groby. Stale ktoś po-

trzebował nowej kołyski, łóżka, wozu, beczki, ciesiółki do nowej budowy domu, obory czy stodoły. Tato zrobił meble dla Bejserowicza, komendanta policji w Sokalu i dla księdza w Ostrowie drzwi do kościoła, ale i ławki do cerkwi na prośbę popa. Pracy miał moc. Robota w polu wykonywana była głównie przez ludzi, którym ojciec robił zamówione sprzęty. Mama zajmowała się prowadzeniem domu i ogrodu oraz wychowaniem dzieci. Czasami szła w pole do lżejszych zajęć. Do cięższych prac polowych przyjeżdżał spod Krakowa Wawrzek, krewny taty.

Na Sybir

Po napaści Związku Radzieckiego na Polskę już 28 września 1939 roku Niemcy i Sowieci podpisują traktat „o granicach i przyjaźni”, który m.in. ostatecznie ustala granicę IV rozbioru Polski. Granica przebiegała przez naszą wieś na rzece Sołokii.

Przez trzy tygodnie trójki politruków uzbrojonych w karabiny i psy chodziły po polskich domach, spisując domowników i cały zwierzynek.

Nasza rodzina była bardzo potrzebna zarówno Ukraińcom, jak i Rosjanom z racji rzemieślniczych zawodów: stolarz, cieśla, rymarz, tapicer, krawiec i krawcowa. Sąsiedzi ukraińscy przekazali Rosjanom dobrą opinię o naszej rodzinie, więc tymczasowo zostawili nas w spokoju. Przed przygotowaną przez NKWD wywózką Polaków na Sybir moją rodzinę ostrzegli Ukraińcy. Sąsiedzi szanowali rodziców i żyli z nimi w przyjaźni. Nasze rodziny obchodziły nie tylko polskie święta, ale również szanowały religię prawosławną i ich święta. Sąsiedzkie stosunki były bez zarzutu, ciepłe i przyjazne. Wiele razy wspólnie bawiono się na majówkach czy dożynkach, śpiewano polskie pieśni i piosenki oraz tęskne ukraińskie dumki. Przez 20 lat obie strony zdobyły wielu wspólnych przyjaciół.

To procentowało w trudnych latach wojny. Przecież nie wszyscy Ukraińcy stali się wrogami, nie wszyscy krzywdzili swoich sąsiadów, wielu nadal pomagało Polakom, udzielając im schronienia. Najokrutniejsi byli nacjonaści.

Szczęśliwie uniknęliśmy deportacji obywateli polskich do ZSRR przez okupanta radzieckiego:

- 10 lutego 1940 wywieziono 140 tysięcy
- 12–13 kwietnia 1940 — 61 tysięcy
- 18–29 czerwca 1940 — 80 tysięcy
- maj–czerwiec 1941 — 36 tysięcy.

Aresztowano i wywieziono ponad 62 tysiące, w tym 50 tys. żołnierzy AK.

Do Armii Czerwonej w latach 1940–1941 wcielono ok. 50 tys. obywateli polskich.

Przed pierwszą wywózką sołtys chodził od domu do domu i spisywał chętnych do transportu do Ameryki, gdzie obiecywał lepsze bogatsze życie. Okłamywano Polaków. Niektórzy uwierzyli. Mój tato nie przystał na tę propozycję.

— Ja mam tutaj Amerykę i żadna inna nie jest mi potrzebna. Mamy tutaj wszystko, co jest do życia potrzebne. Żyjemy tutaj jak w raju — odpowiadał.

Udało się. Zostaliśmy. Jednak było coraz bardziej niebezpiecznie. Ludzie opowiadali straszne historie o okrucieństwach czynionych w okolicy. W styczniu i lutym 1940 roku wywozili na katorgę Polaków z Głuchowa i Ostrowa oraz całą kolonię polską po prawej stronie Sołokii. Czwartą wywózkę do sowieckich łagrów zaplanowano na 20 czerwca 1942 roku, wówczas miałam 5 miesięcy.

Nasza znajoma Maria Skałka o drugiej w nocy 09.02.1940 r. urodziła dziecko, nie miała siły wstać z łóżka, gdy po nią przyszli wczesnym rankiem. Kobieta wyczerpaną ciężkim porodem zostawili, ale zabrali męża i pięcioro dzieci.

Początkowo o tym nie wiedzieliśmy, ale mama bardzo się niepokoiła o nią, gdyż co noc jej się śniła. Jak nigdy. Nie zważając więc na 40-stopniowy mróz i wielką śnieżycę, po trzech

dniach poszła przez las kilka kilometrów, by zobaczyć, co się tam u niej dzieje.

— Muszę iść, bo skoro mi się śni, z pewnością woła o pomoc — stwierdziła.

I miała rację. Zastała tam żałosny widok. W nieogrzewanej zimnej izbie chora i zmarznięta kobieta leżała w łóżku z zanoszącym się od płaczu maleńkim noworodkiem. Nie miała siły zapalić w piecu i ugotować ciepłej strawy. Matka i dziecko były bardzo głodne, więc mama się nimi troskliwie zaopiekowała. Małe dzieciątko nakarmiła swoim pokarmem, bo akurat w tym czasie karmiła piersią swoją roczną Hanę. Rozpaliła ogień, ugotowała herbatę i obiad na kilka dni, przyniosła drewna do izby, aby chora je miała pod ręką, wyprała wybrudzoną pościel, odzież i pieluchy. Kobieta nie długo cieszyła się wolnością. Po dwóch tygodniach, gdy mogła wstać z połogu, została wywieziona na Sybir. Słuch o niej zaginął. Mówiono, że zamarzła w drodze na zesłanie, razem z maleńką córeczką przy piersi.

Wysiedleni

Ja urodziłam się w styczniu, a wiosną wyrzucono nas do Gruszowa, z którego wcześniej wywieziono na Sybir wszystkich Polaków. Nasz dom rodzinny w Głuchowie zajmowali i czerwonoarmiści i hitlerowcy, w zależności od zmieniającego się frontu wojennego, a z nim i czasowej władzy.

Sowiecka sprawiedliwość polegała na tym, że kto miał dom jak kurnik, dostawał pałac, a kto miał pałac, dostał kulę w łeb lub nędzną ziemiankę.

Ponieważ nasz dom był duży i nowy, przydzielono nam jedną izbę tak niską, że nie mogła wejść do niej nasza pojemna szafa. Zmartwiona i zdeterminowana mama postanowiła zawalczyć o lepsze warunki dla swoich dzieci. Poszła do sołtysa i komisarza, prosiła, płakała i wybłagała dwa pokoje z kuchnią.

Mama zawsze potrafiła być bardzo przekonująca, większość trudnych spraw załatwiała ona, nie tato. Była kontakto-
wa, elokwentna i umiała dyplomatycznie rozmawiać z ludźmi.

Jednak w jednym pokoju zakwaterowano wkrótce nadgraniczny sztab rosyjski, 3–5 osób. Mama musiała ich żywić, oczywiście za darmo.

Grisza

Wśród rosyjskich żołnierzy wyróżniał się piękny kozak Grisza Kocierzański, inteligentny, z poczuciem humoru i miłym głosem. Kształcił się w Akademii Lwowskiej. Co wieczór opowiadał o okropnościach wojny, o tyranie Józefie Stalinie i ciemionym narodzie rosyjskim. Przybliżał nam dobre i złe wieści z kraju i ze świata. Byliśmy zorientowani w polityce, wiedzieliśmy, co się zdarzyło w Katyniu w 1940 roku i co się dzieje w Oświęcimiu, Bełżcu, Sobiborze.

Potem, gdy przez długie lata wmawiano w PRL, że w Katyniu mord dokonali Niemcy, nie wierzyliśmy. Jednak głośno nie wolno było o tym komukolwiek mówić, bo groziła zsyłka do łagrów w głąb Związku Radzieckiego.

Rodzina Griszy posiadała w Kijowie bardzo duży majątek ziemski i ogromny pałac pięknie urządzony, w którym mieściło się wiele dzieł sztuki i pełne szkatuły drogocennych klejnotów. Podczas wielkiej rewolucji październikowej w 1917 bolszewicy zabrali im wszystko, co posiadali. Matkę z dziećmi pognali na Sybir, a skatowany ojciec zmarł z głodu pod własnym płotem. Młodego, wykształconego Griszę, wbrew jego woli, wcielili do Armii Czerwonej.

Żyd

Pewnego dnia zjawił się młody, wynędzniały Dawid. Chłopak ukrywał się w pobliskim lesie, bo Niemcy już dokonywali eksterminacji Żydów, również w naszych okolicach. Nie wiemy, czy uciekł z obozu znajdującego się w niedalekim Bełżcu, czy też był mieszkańcem miasta Bełż, w którym mieszkało bardzo dużo Żydów. Nikt go o to nie pytał, gdy często przychodził pod nasz dom i pił wodę z wiadra przy studni. Bardzo nieśmiały nie prosił o jedzenie. Tylko pił i pił wodę, bojaźliwie się oglądając, czy nikt z karabinem nie przyszedł za nim z lasu. Kiedy mama go spostrzegła, zawsze go nakarmiła. Zaopatrzyła również w lepsze ubranie, bo swoje miał nędzne, podarte i brudne. Nigdy nie odchodził z pustą ręką, dostawał prowiant na kilka dni. Nagle zniknął, być może zginął w pogromie Żydów. Dochodziły do nas wieści o holokauście narodu żydowskiego. Choć Polakom za pomoc Żydom groziła natychmiastowa śmierć, naszej mamy to nie odstraszało. Uważała, że każdemu bliźniemu należy pomagać niezależnie od wyznawanej religii i przynależności narodowej.

— Może i my kiedyś będziemy potrzebować pomocy lub kromki chleba czy szklanki wody — mówiła.

Nasz dom stał blisko lasu, a obok niego przebiegała droga. Rodzicom udało się niejedną raz w jakiś sposób pomóc Żydom. Może nasza pomoc uchroniła kogoś z nich przed śmiercią.

Walizka

Mama niejedną raz pomagała ludziom uciekającym obok naszego domu, karmiła i ogrzewała, dawała im swoje odzienie i buty.

Pewnego razu rosyjski pies wytropił kobietę, która cała mokra i zziębnięta schroniła się u nas. Ledwie mama zdążyła jej dać swoje ubranie, ogrzała i nakarmiła, wpadli z karabinami

rozłóższczeni czerwonoarmiści. Zaczęli strzelać do jej walizki. Janeczka prosiła, by tego nie robili. Jednak nie słuchali jej. Rozkazali otworzyć walizkę. Okazało się, że jest wypełniona złotymi sztućcami i pięknymi drogocennymi klejnotami: złote kolie i bransolety, perły i diamenty, pierścionki i kolczyki. Władok tego bogactwa strasznie ich rozjuszył. Kobięcie kazali się przebrać w swoje mokre ubranie, wywlekli ją z domu i zastrzelili na miejscu. Walizkę z kosztownościami zabrali. Mamie zagrozili konsekwencjami dla całej rodziny. Na wszystkich padł błąd strach.

— Co z nami będzie?

Wincent maltretowany

Po wkroczeniu Niemców bandy ukraińskie dokumentnie obrabowały rodzinę taty. Zosi, Wincentemu i Wojciechowi już nic nie zostało. Stryjek Wicek, w dobrej wierze, poszedł tę kradzież zgłosić na policję. Długo nie wracał. Wszyscy opłakivali jego pewną śmierć.

Jednak po trzech tygodniach przyczołgał się do domu niepodobny do człowieka, straszliwie pobity, poraniony, zmasakrowany, z połamanymi żebrami. Po spaleniu domu i zagród gospodarskich tata przyjął rodzeństwo do swojego domu na krótki czas, potem pojechali pod Kraków do rodziny. Stamtąd po zakończeniu wojny musieli wyjechać na ziemie odzyskane. Po dłuższej tułaczce osiedlili się w województwie wrocławskim, w Borszynie koło Góry Śląskiej. Na Kresach stryj Wincenty przeżył dramat z powodu śmierci swojej żony wkrótce po urodzeniu dziecka. Osieroconą Marysię przyjęła i wychowywała jak swoją córkę stryjenka Zofia, ta której narzeczony zginął w obronie Warszawy. Wreszcie miała dla kogo żyć.

Pamiętam, jak mieszkający pod Wrocławiem stryjek Wincenty podczas odwiedzin w Gromadnie przywoził malowane zabawki z drewna, które sam wykonał. Były to wózeczki, wia-

traczki, pajacyki, koniki, gąski i kaczuszek na kółkach, laleczki, czarownice i inne stwory. Zaczarowany worek pełen kolorowych rzeźb dostarczał nam wiele radości. Pomagał rozbudzać naszą wyobraźnię, odgrywać fantastyczne opowiadania, bajki i legendy. Lubiliśmy tworzyć domowe teatrzyki. A mama układała do nich wierszyki i piosenki. Do tej pory mieliśmy niewiele zabawek, głównie uszytych przez mamę lub wystruganych ręką taty. Bawiliśmy się patyczkami, kamyczkami, szmaciakami, ale najczęściej czytaliśmy bajki, baśnie, legendy, powieści lub słuchaliśmy barwnych opowieści starszych.

Z dymem pożaru

Już w pierwszych miesiącach wojny na naszych terenach było bardzo niebezpiecznie. Dochodziły też do nas wieści z bliższych i dalszych okolic, że tu i ówdzie dokonywano bandyckich napadów. Nasze rodziny nie ucierpiały jeszcze, ale wciąż żyły w niepewności, choć z nadzieją, że je ominie tragiczny los. Przecież nigdy osobiście nie doznały do tej pory żadnych nieprzyjemności ani krzywd ze strony Ukraińców.

Przez dwadzieścia lat Ukraińcy i Polacy, żyjący w Głuchowie i Ostrowie, wspierali się nawzajem. Kuzynka Zosia R. opowiada, że jako mała dziewczynka wiele razy piła mleko przynieszone bezinteresownie przez jej nauczycielkę Olgę Hadziukową, a jeśli podczas lekcji razem z klasą odmawiała *Ojciec nasz* po ukraińsku, to Olga tłumaczyła:

— Zosiu, ty jesteś przecież Polką, módl się po polsku, nie musisz po ukraińsku.

To właśnie pani Hadziukowa zaproponowała wujkowi, aby córkę przeniósł z trzeciej klasy szkoły ukraińskiej w Głuchowie, do piątej klasy polskiej szkoły siedmioklasowej w Ostrowie. Była pewna, że tak zdolna uczennica da sobie świetnie radę.

Wujka Stacha przed szykującym się na nich napadem band ukraińskich ostrzegł kolega Ukrainiec Bondziur Jura, sołtys.

— Stach, zbierz rodzinę i uciekajcie, bo ja już dłużej nie mogę komisarzy okłamywać, że brakuje dla was transportu. Już mnie podejrzewają, że coś kręcę, że coś kombinuję. Nie uwierzą mi i ja zginę z ich rąk. I cała moja rodzina. Uciekajcie jak najszybciej. Pomogę wam.

Na wszelki wypadek Jula miała już przygotowaną żywność i odzież. W najbliższych dniach miał być transport ze Sokala. Jednak nocą banda złodziei napadła na ich dom. Najpierw zaatakowali dom dziadków Bałuków. Wiedzieli, że Bałukowie są zamożni, więc jest ich z czego obrabować. Kiedy dziadek usłyszał hałasy przed domem, Annie i Jankowi kazał schować się na górze i nie pokazywać się pod żadnym pozorem. Banda z krzykiem łomotała w drzwi. Dziadek zrazu nie chciał im otworzyć, lecz kiedy nie ustali i zaczęli kolbami niszczyć drzwi, stanął w progu domu. Oprawcy pobili go. Pytany o Janka, płacząc, odpowiadał, że syna tutaj nie ma i nie wie, gdzie jest. Nie uwierzyli i dalej torturowali. Kiedy Janek usłyszał, co robią bandyci, postanowił natychmiast pójść do ojca z pomocą. Anna go z początku wstrzymywała, lecz gdy doszło do gróźb śmiercią, rzekł:

— Nie pozwolę, by zabili ojca, niechaj lepiej mnie zabiją, przecież to po mnie przyszli.

Wziął leżącą na strychu siekierę i natychmiast zbiegł po schodach, by go bronić. A oni zaraz go stłukli i wręczając mu do ręki latarkę, popychając go pistoletami, zmusili do oprowadzenia po mieszkaniu i wskazania, gdzie są pieniądze. Podczas strzelaniny Ukraińcy rozbili okno, a odłamek szyby skaleczył oko Janka. Od tej pory widział tylko jednym okiem. Zawsze waleczna Petronela tym razem musiała się ugiąć i oddać swoje kosztowności i oszczędności. Zabrali też ubrania i wszystko, co stało gotowe do wyjazdu do Krakowa. Zostali ogołoceni ze wszystkiego. Anna właśnie rankiem miała jechać do Myślenic, na krześle wisiało przygotowane ładne, nowo uszyte ubranie, które też jej zabrali. Biżuterię zdarli jej z szyi, a z palców pierścionki musiała sama pościągać i oddać napastnikom.

Na narzekanie mojej babki: — *W czym my teraz będziemy chodzić? Mamy tylko koszule nocne...* — rzucili jej jakąś zapaskę, a Annie bluzkę.

Jedynie babce Petroneli pozostał niezauważony, wiszący za drzwiami, góralski haftowany kożuszek. Wszyscy musieli prosić sołtysa o jakieś odzienie. Janek dostał podarty i zabrudzony farbą malarską kombinezon roboczy, podobny do więziennych pasiaków. Julka i Stasia natychmiast poratowały Annę i Petronelę swoimi ubraniami.

Ze spiżarni i piwnicy banderowcy powynosili na swoje wozy garnki smalcu, masła, szynki i pęta wędzonych kiełbas oraz worki suszonego chleba i bułek.

Gdy rabusie zajęci byli okradaniem dziadków, ciocia Julia z dziećmi cichuteńko uciekła przez drzwi z drugiej strony domu, ukrywając się w polu na skraju lasu. Stach miał w pracowni porozkładane do szycia futro dla kogoś ważnego z okolicy, a na wieszakach wisały do odbioru męskie garnitury. Do Radwańskich złodzieje jednak nie poszli. Może przypuszczali, że młode małżeństwo z czworgiem małych dzieci zbyt wielkiego majątku nie posiada? A może te dzieci ich wzruszyły?

Za trzy tygodnie przyszli znowu znienacka ciemną nocą z soboty na niedzielę. Tego wieczoru Janek nie mógł zasnąć. Czytał jakąś powieść. Nagle usłyszał dziwne ujadanie psów. Spojrzawszy w okno, zauważył stojące w ogniu stodoły. Błyskawicznie zbudził rodziców i poleciał do Stacha, waląc pięścią w okna, krzyczał:

— Wstawaj! Twoja stodoła się pali!

Ogień błyskawicznie trawił już całe gospodarstwa oblane benzyną, a więc obory, stajnie, dom i stodoły. Szybko pootwierali obory i stajnie, by ratować zwierzęta. Konie nie chciały przejść przez zaporę z ognia, stawały dęba, cofały się do żłobu. Z wielkim trudem jednak uratowano krowę i konia.

Babka z kobietami i dziećmi zdążyła schować się w wysokiej tyczkowej fasoli i pobliskich krzakach, skąd mogła obserwować całą tę tragiczną sytuację. Moja kuzynka Zosia chciała uciekać do lasu, ale ojciec zakazał, bo wiedział,

że w lesie stale grasują bandy i już jest tam bardzo niebezpiecznie.

— Ukryjcie się w fasoli i w krzakach w sadzie.

Po odjeździe zadowolonej bandy, dziadek zawołał:

— Żyjemy!!! Chodźcie już.

I przybiegli natychmiast. Babka Petronela uradowana, że nikt nie stracił życia, rzekła:

— Pan dał, Pan wziął. Nie martwcie się tak. Bóg troszczy się o lilie polne, o ptaszęta niebieskie, czy i o nas by się nie zatroszczył? Zaśpiewajmy Magnificat.

Wszyscy ze ściśniętym sercem, patrząc na płonący dobytek ich życia, klęcząc, dziękowali Bogu za uratowanie życia. Ze łzami w oczach niosło się po polach i lesie:

— *Wielbi dusza moja Pana...* i suplikacje — *Święty Boże, święty mocny...*

Ukraińcy roześmiani i szczęśliwi odjechali, pewni, że kolejna połać ziemi będzie dla nich, bo gospodarze w ogniu.

Babka Petronela mogła już wcześniej uciekać do Polski. Dziadek i dzieci ją namawiali, ale ona nie chciała ich słuchać. Mówiła:

— Przecież nic złego nie spotka nas od Ukraińców, żyjemy z nimi w przyjaźni i zgodzie, nigdy nic złego ani przykrego im nie uczyniliśmy, więc dlaczego mieliby nas gnębić. Zresztą dobry Bóg i Najświętsza Panienska nas ochroni.

Żandarm z herbatą

Nazajutrz smutny pochód pogorzalców poszedł do znajomych Stacha w Ostrowie, by przeczekać na transport kolejowy na ucieczkę do Krakowa i Wojnicza. Kto przyjmie rodzinę z pięciorgiem małych dzieci? Tyle niepewności i zmartwień.

Najstarsza 15-letnia Zosia prowadziła krowę, a wychodzący ludzie z niedzielnej mszy wyrażali współczucie i proponowali wodę, chleb, mleko. Niektórzy z nich łunę pożaru i dymy

unoszące się ponad lasem widzieli wczorajszej nocy dokładnie. Stała też grupka chłopaków, którzy na ten widok potrącali się, mówiąc:

— Zobacz, jaka ładna panna idzie i jeszcze krówkę prowadzi, w sam raz będzie dla ciebie.

Ale Zosi ani jej rodzicom nie do śmiechu było. Muszą opuścić swoje gniazdo, nie wiedząc, czy uda im się założyć nowe, bo okrutna wojna przecież trwa.

Podróż do Wojnicza trwała ponad dwa tygodnie w niewygodzie bydlęcych wagonów, ciasnocie, głodzie i pragnieniu, strachu łapanek i bombardowań. Wielogodzinne, a nawet kilkudniowe postoje pociągu w szczerym polu lub lesie przysparzały wiele zmartwień i cierpień.

Pociąg z uciekinierami, w tym z Zośką i naszą Maryską, przybył do Wieliczki tuż przed wieczorem. Szybko zrobiło się ciemno. Na stacji tumult okropny, każdy zajęty wydobywaniem swoich bagaży z wagonów, wszystko się miesza, panuje chaos, trudno odnaleźć swoich. Zosia z Marysią trzymają się razem, bo obie mają się zająć bezcennymi skarbami czyli naszymi żywicielkami, krowami. Wtem młodymi dziewczynami zainteresował się niemiecki żandarm. Zaprosił je na posterunek, aby się ogrzały, wypily herbatę i poczekały do rana pod jego opieką. Nie mogły się wymówić od przyjęcia propozycji, bo bezradne w tę ciemną noc nawet nie wiedziały, którądy mają dalej iść. Dookoła czyhało niebezpieczeństwo wojny, rodzice gdzieś się rozpiechli z kilkuletnimi synami, może szukali jakiejś kwatery, a może wrócą i będą córki szukać.

— Co robić? Dobrze mu patrzy z oczu, zostanmy — zgodnie dochodzą do wniosku kuzyneczki.

Na początku mężczyzna był rzeczywiście miły, dopytywał o rodzinę, o plany, o marzenia. Ale gdy już przygotował herbatę, to usilnie zachęcał, aby jedna przeszła do drugiego pokoju, by w jego towarzystwie mógł ją wypić. Ani jedna, ani druga nie chciały przystać na jego nalegania. Od kilku lat nasłuchiwały się o gwałtach, jakie są czynione na kobietach i dziewczętach przez Niemców, Ukraińców i Rosjan. Wiedziały dobrze,

że i jemu o to chodzi. Zresztą wcale nie ukrywał swoich zamiarów. Opór dziewcząt nie spodobał się żandarmowi. Nagle stał się niemiły, a nawet zły, grożąc im nieprzyjemnymi konsekwencjami odmowy. One jednak trzymały się stale mocno za ręce, mówiąc:

— Niczego się nie boję. Sama nie pójdę z panem, możemy iść tylko we dwie. Nie muszę pić herbaty.

Obie nie uległy jego zaczepkom i bohatercko obroniły swoją dziewczęcą niewinność. To zdarzenie bardzo nimi wstrząsnęło i wryło się w pamięć na długie lata. Właśnie przed kilku dniami opowiedziała mi o nim 91-letnia siostra zakonna Zofia, która tego osobiście doświadczyła.

Przymusowe roboty

Przyjaźń i zgoda były przed wojną. Teraz ludzie bardzo się zmienili. Trzeba było jak najszybciej uciekać. Słyszeliśmy już o rzezi na Wołyniu, o spaleniu wielu wsi i miast. Krwawa Niedziela na Wołyniu 11 lipca 1943 zostawiła po sobie zgłiszczą, popioły i stosy trupów. Z powierzchni ziemi zginęły całe wsie i miasta. Widok przeraźliwie smutny. Tragedia nie do opisania.

Wkrótce po spaleniu domów i zagród Bałukowie i Radwańscy z trudem dotarli do swoich rodzinnych stron pod Krakowem. Dziadkowie do Droginii, a Julia do Wojnicza pod Tarnowem, do brata Stacha. Nasi rodzice zdecydowali, że z wujkiem pojedzie również najstarsza córka Marysia i przewiezie część już przygotowanej żywności, a mama z małymi dziećmi dojedzie, gdy zdoła zdobyć wagon na transport. Michalina Jodłowska, narzeczona wujka Wojtka, pracowała w Krakowie, więc miała okazję i możliwość pójścia do gubernatora z prośbą o pozwolenie zameldowania naszej rodziny pod Krakowem. Niestety, gubernator nie pozwolił. Dlatego nasza tułaczka wojenna trwała ponad trzy lata.

Generalną Gubernię zarządzał Hans Frank. Były rozstrzelania, przymusowe roboty na rzecz III Rzeszy Niemieckiej, wywozy do obozów zagłady i wielu innych miejsc kaźni i ciężkich robót. Wszystkich, nawet nieletnich, zmuszano do ciężkich robót. Czternastoletniego Romka Radwańskiego wzięto do obozu. Karczował drzewa i kopał rowy strzeleckie w lasach. Wrócił po wojnie wynędzniały, wygłodzony i schorowany.

Piętnastoletnia Zosia też była przymusowo wzięta do kopania rowów strzeleckich koło Tarnowa i robienia w lesie zasieków obronnych. Jej grupę roboczą z Wojniczka przeprawiano łodzią na drugą stronę Dunajca. Była to bardzo trudna i ciężka praca dla wszystkich, a szczególnie dla kobiet i dziewcząt będących przecież jeszcze dziećmi.

W latach 1939–1945 okupanci hitlerowscy do Rzeszy wywieźli 2,5 mln obywateli polskich na przymusowe roboty, 200 tys. do obozów koncentracyjnych, 200 tys. dzieci w celu germanizacji. Pacyfikacją hitlerowską w 1942–1943 objęto około 150 tys. wysiedlonych Polaków głównie z terenów Załoźszczyzny.

Ciocia Anna

Ciocia Anna (1916–2006) nie przewidziała, że spotka ją taki ciężki los. Po osiedleniu się rodziców w Głuchowie nie była zadowolona z pracy w polu. Tęskniła za innym życiem, za życiem w mieście, którego trochę zasmakowała w Myślenicach. Skończywszy więc osiemnaście lat, powróciła do Krakowa w roku 1934. I tam, na Czyżynach — obecnie Nowa Huta, pracowała jako ekspedientka w sklepie spożywczym u brata Stacha. Miał on również młyny i piekarnię, więc mu się dobrze wiodło.

Cioci było tam bardzo dobrze, ale odeszła szybko, ponieważ Józef został wdowcem i zaproponował jej małżeństwo. Ona tego nie chciała, miała powodzenie u młodych chłopaków. Znała-

zła pracę u dziedzica w Zakrzewie koło Kalwarii Zebrzydowskiej. Została pokojówką. Przez wiele lat wspominała wykwintną kuchnię możnego pana, a nawet smażyła przepyszne oblane czekoladą pączki nadziewane konfiturą z pachnących płatków róż. Ich piękny zapach i znakomity smak jeszcze teraz czuję, myśląc o cioteczce. Jednak ta miła praca nie trwała długo, ponieważ w sierpniu 1939 roku, będąc w niedzielę w kościele, usłyszała, że wkrótce wybuchnie wojna. Natychmiast wróciła do rodziców na Kresy, mając nadzieję, że aż tak daleko wojska hitlerowskie nie dojdą. Niestety, jakże płonne są ludzkie nadzieje.

Niedługo cieszyła się wolnością. Wkrótce i ją, i młodszego Janka wzięto do kopania rowów wojennych w Parchaczu.

— Najgorzej było podczas zimy. W śniegu, mrozie i głodzie ciężko pracowaliśmy bez ciepłego jedzenia i jakiegokolwiek picia. Kromka chleba w kieszeni zamarała na kość. Choć byłam ciężko chora z przeziębienia, z uszu ciekła ropa, miałam bardzo wysoką temperaturę i okropny rozsadzający ból głowy, musiałam przyjść do roboty. W przeciwnym wypadku grożono rozstrzelaniem lub zesłaniem do obozu, skąd nie ma powrotu — wspomina Anna.

Leopold

W Głuchowie niedaleko naszego domu zakwaterowano trzech żołnierzy niemieckich. Czasami do nas przychodzili, by porozmawiać z naszą mamą. Poza tym, a może przede wszystkim, również z innego powodu.

Otóż jeden z nich Leopold Kuta, podkochał się w Annie, dwudziestotrzyletniej uroczej panience. On i dwaj pozostali Niemcy pracowali w żydowskim getcie, w oddalonym od nas około pięć kilometrów miasteczku Bełż. Byli to młodzi chłopcy wciągnięci do wojska hitlerowskiego wbrew swoim ideałom. Przeciwni wojnie, ubolewali nad strasznym losem męczonych Żydów, Polaków i Cyganów.

Od nich dowiadawaliśmy się o polityce Niemiec, o wydarzeniach wojennych. W czasie wojny nie zawsze dochodziły gazety, które i tak prawdy nie opisywały. A my dużo wiedzieliśmy od tych życzliwych żołnierzy. Leopold nauczył ciocię języka niemieckiego i strzelania z pistoletu. Mówił, że to się może jej przydać. I rzeczywiście przydało się w czasie ucieczki do Polski. Na stacji w Wieliczce Annę chciał zgwałcić Niemiec. Może to ten sam, który także chciał uczynić to Zofii i Marii? Ponieważ Anna mówiła po niemiecku, dogadała się z nim. Oddała mu wódkę, którą Niemcy zapłacili nam za zboże i zostawił ją w spokoju.

Gdy czekała na dworcu w Krakowie, taki tłum napierał na auto jadące do Myślenic, że nie miała nadziei i siły, by dostać się do środka. Stała smutna na boku, będąc pewna, że nie zdąży na ślub brata.

Nagle żandarm woła w jej kierunku:

— Frau, komm, komm, bitte, komm.

Ciocia nie dowierzała, że to do niej mówi. Nadal stała nieporuszona. Dopiero uwierzyła, gdy sam podszedł do niej, doprowadził ją do auta i kazał wejść do środka. Spodobała mu się ta młoda dziewczyna, elegancko ubrana, w czarnej sukience i modnym wówczas kapelusiku. Pięknie szyła, więc umiała sobie dopasować ubrania gustowne i modne. Myślał, że to Niemka, bo umiała z nim rozmawiać w tym języku.

Kiedy w Głuchowie i okolicach zrobiło się bardzo niebezpiecznie, Anna postanowiła uciekać do Myślenic, gdzie się urodziła i gdzie udało się ukryć jej bratu Wojtkowi. Po spaleniu domu nie miała się w co ubrać, poszła do sołtysa poprosić o pomoc. Dał jej kurtkę, tak zniszczoną, że jej — pedantce przykro było w takiej chodzić. Moich rodziców jeszcze nie okradziono, więc mama podzieliła się z nią swoim ubraniem.

Grasujące ukraińskie bandy UPA torturowały i mordowały znalezionych Polaków, więc taka ucieczka była wielkim ryzykiem.

Annie udało się uciec z Kresów pod Kraków z pomocą Leopolda, który podczas swojej warty razem z kolegą przeprowa-

dził ją przez granicę. Wystarał się również o przydział miejsca w wagonie towarowym. Ciocia jechała w wielkim stresie, gdyż obawiała się, czy zdoła dojechać na ślub Wojtka z Michaliną Jodłowską.

Leopold starał się okazać życzliwość również naszej rodzinie. Pewnego razu przyniósł Janeczce bogaty prezent. Była to papierowa torebka wypełniona złotymi klejnotami i drogimi kamieniami. Powiedział:

— Weź to dziecko, przyda wam się na chleb, idą ciężkie czasy. Jeśli nie przyjmiecie, to się to zmarnuje lub pojedzie do Berlina.

Nasza mama nie pozwoliła przyjąć tego daru nieświadomej małej córce. Była pewna, że biżuteria została odebrana Żydom wziętym do przymusowych obozów pracy lub zagazowanym. Nie chciała bogacić się na krzywdzie udręczonych ludzi.

Kuta dalej przekonywał i nie chciał odejść z cennym podarunkiem.

— Schowaj to, Janeczko, na trudny czas, na przyszłość. Chodź, zakopiemy pod jabłonką za stodołą.

Rodzice prezentu nie przyjęli. Przypuszczamy, że wykopano go po wojnie, gdy po odkryciu na naszej posiadłości złóż węgla kamiennego budowano kopalnię. Z powodu tych złóż w 1951 roku Związek Radziecki odebrał Polsce tę bogatą ziemię, a dał nieużytki w Bieszczadach z Ustrzykami Dolnymi. Wymianą objęto terytoria równe 480 km kwadratowych. Za południowo-wschodni czarnoziem — „najżyźniejszą ziemię świata”, jak twierdzą wygnańcy z Bełża, Uhnowa, Głuchowa, Krystynopola, aż po Sokal — Polska otrzymała nędzne nieużytki w Bieszczadach.

Ostrów płonie

Okrutny los spotkał również mieszkańców Ostrowa, naszego najbliższego polskiego miasteczka, w którym skupiało się życie kulturalne, religijne, oświatowe.

W okresie międzywojennym była tu 7-klasowa szkoła powszechna, do której chodziła mama i Marysia, dwa sklepy, poczta, stacja kolejowa, mleczarnia, karczma i dom ludowy oraz kościół z siedmioma ołtarzami. Niemcy już na początku wojny wywieźli cenne dzwony do Rzeszy i przetopili na kule armatnie. W Ostrowie działało koło gospodyń wiejskich, orkiestra dęta, ochotnicza straż pożarna. Gdy hrabiowie Plater i Polanowski zaczęli sprzedawać swoje ziemie, zaroiło się tu od kupców. Byli to przeważnie Polacy z przeludnionych województw rzeszowskiego i krakowskiego. Od wieków na tych terenach żyły w zgodzie trzy społeczności: polska, ukraińska i żydowska. Dopiero II wojna światowa zniszczyła ten porządek i wyzwoliła najgorsze cechy ludzkie: nienawiść i szowinizm. Dla ludności polskiej, która zamieszkiwała południowo-wschodnie kresy, była szczególnie okrutna, albowiem jej wrogami byli nie tylko Niemcy, ale także Sowieci i ukraińscy nacjonałści. Głównym zadaniem utworzonej Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA), było usunięcie Polaków nie tylko z terenów zabużańskich — Wołynia i Małopolski Wschodniej czyli Galicji Wschodniej, ale również z obszarów położonych po lewej stronie Bugu i Sanu, gdzie znajdowały się gospodarstwa naszych rodzin. Nacjonałści ukraińscy w Galicji Wschodniej wymordowali tysiące Polaków. Podobny los spotkał mieszkańców Ostrowa, Głuchowa i okolicznych wsi zamieszkiwanych przez Polaków.

31.03.1944 r. o świcie banderowcy otoczyli Ostrów. Napadu dokonali o takiej porze, by zaskoczyć pogrążoną we śnie ludność. Jednak mężczyźni pełniący całonocne dyżury w wyznaczonych punktach obserwacyjnych zdołali w ostatniej chwili obudzić swoich najbliższych. Na ratowanie dobytku nie było

czasu, ludzie w popłochu uciekali do centrum, do kościoła i szkoły, zabierając to, co najcenniejsze, dzieci i schorowanych starców. Za biegnącymi Polakami posypały się kule, w większości zapalające. Szybko roznieciły się pożary, które jak lawina zbliżały się do centrum, placu otoczonego kościołem, szkołą, domem ludowym i plebanią. W samym środku stała figura Matki Bożej ogrodzona żelaznym płotkiem, przy której rosły cztery świerki. Tutaj Polacy zdecydowali się bronić. Grube mury budynków chroniły ostrowian przed pociskami, a wieża kościelna spełniała rolę punktu obserwacyjnego.

Najtragiczniejszy los spotkał tych Polaków, którzy schronili się na stacji kolejowej. Niemiecka ochrona kolei na widok tak dużej liczby banderowców złożyła broń. Ostrowianie wpadli w ręce Ukraińców. Po sprawdzeniu tożsamości przez Ukraińca wszystkich rozstrzelano. Uratowali się tylko ci Polacy, którzy schronili się w piwnicy budynku stacyjnego.

Około godziny ósmej sytuacja Polaków zgromadzonych w kościele i szkole stała się tragiczna. Płonęła już cała wieś, a banderowcy podeszli w rejon obrony ostrowian. Od pocisków pękały grube szyby świątyni. Proboszcz ks. S. Wolanin odmówił z wiernymi w kościele spowiedź powszechną, udzielił rozgrzeszenia ogólnego i rozdał komunię św. Na wieść o pierwszych rannych ludzie wpadli w panikę, szukali schronienia w piwnicy i na strychu. Obrońcom kończyła się amunicja, zabarykadowano drzwi w kościele i szkole. Wydawało się, że są to dla wielu ostatnie chwile życia. Tymczasem stało się coś niespodziewanego. Około godziny dziewiętej strzały zaczęły cichnąć. Obserwator na wieży kościelnej zauważył, że banderowcy wycofują się na zachód w kierunku Głuchowa, a od strony Krystynopola idzie jakieś wojsko. Jak się okazało, byli to Niemcy, którzy przybyli do Ostrowa w samą porę. Zaskoczeni banderowcy nie próbowali zmierzyć się z dobrze uzbrojonymi w erkaemy Niemcami.

A jak do tego doszło? Skąd przybyła pomoc?

Zanim banderowcy zdążyli okrążyć Ostrów, trzech mężczyzn zamiast uciekać do szkoły lub kościoła, pobiegło w stro-

nę Sołokii i wykorzystując wały przeciwpowodziowe i łożynę rosnącą nad brzegiem rzeki, wydostało się z okrążenia. W Krystynopolu powiadomili niemiecką żandarmerię, że na Ostrów napadła jakaś partyzantka. O pomoc dla płonącego Ostrowa prosiła Niemców w Sokalu także nauczycielka szkoły podstawowej, pani Hartman. Wkrótce do płonącego Ostrowa wyruszyła kolumna samochodów z uzbrojonymi Niemcami. W godzinach popołudniowych Niemcy ewakuowali mieszkańców Ostrowa z zagrożonego terenu. W tym dniu z rąk banderowców zginęło 76 mieszkańców Ostrowa. Spłonęła prawie cała wieś.

Uciekinierka pod Kraków

Podobny los spotkał polskie rodziny z Głuchowa. Tutaj również bandy UPA mordowały i paliły. Polacy szukali ocalenia za wszelką cenę.

Wśród wcześniejszych uciekinierów znalazła się również moja mama z trójką dzieci. Chciała schronić się w swoich rodzinnych Myślenicach. Sytuacja ta była dla niej szczególnie trudna, ponieważ była w stanie błogosławionym, a tata zmuszony był do pozostania i świadczenia usług stolarskich. Miał nadzieję, że choć w nikłym stopniu uda mu się dzięki temu ocalić część dobytku, który później zamierzał przewieźć pod Kraków. Żyliśmy w ciągłej obawie o jego życie, ponieważ z Głuchowa dochodziły bezustannie tragiczne informacje o bezlitosnych poczynaniach banderowców, którzy mordowali Polaków i palili ich domy. Z ogniem poszły gospodarstwa dziadków z obojga stron i wujka Stacha oraz zabudowania wszystkich sąsiadów — Polaków. Cudem ocalał nasz dom, ponieważ tato jako jedyny stolarz był potrzebny Ukraińcom, bowiem niestety zapotrzebowanie na trumny było wciąż bardzo duże. Poza tym dom był z cegły murowany, a nie z drewna, więc pewnie już mieli co do niego jakieś plany na przyszłość.

Tato z wielkim trudem dołączył szczęśliwie do rodziny dopiero jesienią 1944 roku.

Rodzice postanowili uratować rodzinę i przedostać się pod Kraków z nadzieją otrzymania u swoich krewnych lub znajomych chociaż małego kącika na zamieszkanie.

Ja miałam dopiero dwa latka. Mama starała się o cały wagon towarowy, ale dostała tylko małą część. Zaczęła stopniowo na raty wywozić dobytek. Nie wszystko od razu się zmieściło. W workach przewoziła suszony chleb, wędliny, smalec, zboże. Wszyscy ubierali się warstwowo, na cebulkę, by jak najwięcej odzieży przewieźć. To była długa, trudna tułaczka wojenna. Z każdej strony czyhające niebezpieczeństwa. Głód, zimno, strach i poniewierka.

Mama kilka razy jeździła koleją z Głuchowa, by przewozić dzieci, żywność i niezbędne ubrania pod Kraków. Wiele razy trzeba było się przesiadać z jednego pociągu do drugiego. A dziecku trzeba zorganizować pożywienie. Stąd też wożenie przez mamę płyty kuchennej i garnka, by w każdym dozwolonym miejscu mogła rozpaścić ogień i nakarmić dzieci. Inne środki lokomocji było bardzo trudno zdobyć. Dostanie się do ciężarówki czy innego auta graniczyło z cudem. Po zbombardowaniu Ostrowa nie można już było jeździć pociągami, bo stację kolejową zniszczono. Po wielu trudach, po męczącej uciekinierce dotarliśmy do podkrakowskiej rodzinnej wsi Jaśka.

W Brączowicach mama dostała mały kąt u Marii Braški, przyrodniej starszej siostry Jaśka. Ona została w Brączowicach na gospodarstwie po rodzicach. Przyjęła nas, uciekinierów, i choć ciasnota była straszna, panowała radość z powodu przeżycia rodziny. Gdy do rodziny dołączył tato, wynajął przybudówkę u obcych ludzi. Tam były również ciężkie warunki, jednak więcej miejsca do zamieszkania. Teraz już można było swobodniej się zagospodarować.

Pierwsza z Głuchowa wyjechała razem z cicią Julcią dwunastoletnia Marysia, moja najstarsza siostra. Gdy zgłosiła się do sołtysa w sprawie zameldowania, Niemcy natychmiast zmusili ją do pracy w majątku odebrany polskiemu ziemiani-

nowi. Bardzo ciężko pracowała u niemieckiego bauera. Przyjemniejsze były prace w domu lub ogrodzie, gorsze w polu i oborze. Za odmowę pracy grożono jej wywozem do pobliskiego Oświęcimia. Pracowała prawie trzy lata za nędzną zapłatę.

Mama również była zmuszana do sezonowych robót u Niemca kilka miesięcy w roku. Wówczas musiała zostawić w domu same małe dzieci, Hankę i mnie. Jeszcze trudniej było, gdy przyszedł na świat pierwszy syn Władysław.

Tułaczkę wojenną bardziej odczuła mama. Miała dopiero trzydzieści lat, a tyle doświadczeń i stresów stało się jej udziałem przez sześć lat wojny. Z tatą jeszcze została Janka, aby pomagać w gospodarstwie. Tato musiał także wywiązać się z zamówień stolarskich. Robił trumny dla poległych żołnierzy. Przygotowywał też żywność dla rodziny, do której chciał jak najszybciej dojechać. Robił różne wędliny, siał pszenicę i jęczmień, sadził ziemniaki i zajmował się warzywniakiem. Planował plony zawieźć rodzinie pod Kraków, a jak wojna się skończy i — jak wierzył — powrócą tu, będzie z czego przygotować pożywienie na dalsze życie.

O, jakże płonne są ludzkie nadzieje!

Rawa Ruska

Mama z małymi dziećmi przeżywała osobiście tę bardzo uciążliwą uciekinierkę. Małe dzieci niewiele mogły unieść bagażu. Zawsze zorganizowana i przewidująca mama pierzynę przywiązała do jednej ręki, w drugiej ręce miała torby z żywnością. Na plecy przytwierdziła blachę kuchenną i garnek, w którym będzie można gdzieś w polu czy w lesie ugotować dzieciom gorącą strawę podczas ucieczki.

Miałam dwa latka, gdy rozegrała się dramatyczna scena na stacji kolejowej w Rawie Ruskiej pod Lwowem. Musiała mną ogromnie wstrząsnąć, skoro ją tak dobrze zapamiętałam.

Widzę tłum napierających ludzi oczekujących na pociąg do Krakowa. Mama objuczona bagażami próbuje dostać się do przydzielonego nam towarowego wagonu. Na peronie pełno żandarmów niemieckich z groźnymi psami i karabinami gotowymi do strzału.

Ja, malutka, ledwo drepnę w tłumie ludzkim małymi nóżkami. Już jesteśmy blisko celu, coraz bliżej. Już mamy wejść na stopnie wagonu. Nagle nieludzki żandarm okropnym krzykiem woła:

— Halt! Raus!

I kolbą karabinu odpycha mamę od pociągu.

— Jezu! Co on robi? Mamo?! Co z nami będzie? — płaczę.

Przez łzy widzę, jak mama się zatacza i leci, leci bezwładnie do tyłu z tymi przywiązаныmi ciężkimi pakunkami i pada na ziemię. Potłukła się bardzo. Nie może wstać. Żandarm kieruje na nią lufę karabinu, łapie za spust, chcąc do niej strzelić. Wtem staje się cud! W czasie upadku urwały się i poodpinały guziki płaszcza, i rozwiały na boki jego poły. Niemiec spostrzega u tej szczupłutkiej dziewczyny zaokrąglony brzuszec. Wtem jego twarz zmienia się, oczy łagodnieją. Odkłada karabin, pomaga mamie wstać i mówi do niej:

— To dziecko cię obroniło. Ja też mam małe dzieci. Jedźcie dalej.

Przed odejściem zabrał dla swoich dzieci ulubioną i jedyną lalkę Janeczki. Ciche łzy i radość, bo dalej jesteśmy razem, jeszcze żyjemy. Z Janką i Hanką strasznie płakałyśmy podczas tego zdarzenia.

Obolałej mamie teraz było jeszcze ciężiej wejść do pociągu. Ktoś jej pomógł. Cieszyła się, że pierzyna zamortyzowała upadek i uchroniła od złamań oraz jeszcze większych stłuczeń.

W końcu po wielu trudach w wagonie bydłęcym, dłuższych zatrzymaniach, licznych rewizjach, stłoczeni, głodni, spragnieni i zmarznięci dotarliśmy do Krakowa, a stamtąd dalej do Myślenic, Droginii i Brzeczowic. Przesiadki trwały wiele godzin. Na przewożonej blasze mama w polu gotuje dzieciom zupę. Ta ucieczka pod Kraków trwała ponad trzy ty-

godnie. Przeżywaliśmy gehennę. Wśród stłoczonych uciekinierów ze złachmanionej brudnej odzieży i rzadko mytych głów, łatwo rozprzestrzeniały się wszy, pchły i pluskwy dodatkowo męcząc człowieka. Po dotarciu do rodziny ojca, było nam ciężko, ale minął chociaż strach przed mordami i wywózkami na Sybir. Tutaj tylko wróg niemiecki. Wydawało się, że Rosjanie tu nie dojdą.

W studni

W Brączowicach też nie było łatwo. Wodę czerpało się z głębokiej, odkrytej cembrowiny studziennej żerdzią zakończoną hakiem na wiadro z łańcuchem.

Tego dnia mama jak zwykle poszła po wodę. Były jeszcze mroźne noce i dni. Podczas czerpania woda z wiadra rozpryskiwała się dokoła studni, tworząc lodowisko. Nagle mama pośliznęła się i wpadła do studni. Długo wołała o pomoc. Nikt jej nie usłyszał. Musiała sama walczyć o życie. Czepiała się oblodzonej cembrowiny, nadal wpadała do wody, skórę palców pozdzierała do krwi, zmarzła okrutnie, coraz mniej miała sił. Wreszcie sąsiad przyszedł po wodę i pomógł mamie wydostać się na powierzchnię. Przeziębiona bardzo długo chorowała. Za kilka miesięcy urodziła pierwszego syna, Władysława.

Przy kilkuosobowej rodzinie szybko skończyły się przywiezione ze Wschodu zapasy żywności. Dokuczał nam głód i zimno. Pomieszkiwaliśmy u rodziny lub u obcych. Wszędzie było ciasno. W Głuchowie nasz dom nie był pałacem, ale w zupełności nam wystarczał.

Żyzna ziemia kresowa dawała piękne plony, choć nie stosowano tam żadnych sztucznych nawozów tylko obornik. Z naszych pól podczas wojny Niemcy pociągami wywozili ten pszenno-buraczany czarnoziem do przydomowych ogródków.

Nero

W Głuchowie rodzice mieli wspaniałego wilczura wabiącego się Nero. Ten mądry pies nie tylko pilnował domu i dobytku, ale jeszcze przynosił zające, kuropatwy, dzikie kaczki. Koło naszego domu przechodziła granica. Nero wiele razy przez nią przechodził do lasu i na dalsze pola, by coś upolować. Niemcy podejrzewali, że to czołga się szpieg lub łącznik i przenosi meldunki czy inne ważne wiadomości Rosjanom. Zastrzelili go. W domu zapanował smutek. Straciliśmy wiernego przyjaciela.

Tamtego psa nie pamiętam, ponieważ nie było mnie jeszcze na świecie, gdy on służył wiernie moim rodzicom. Natomiast po wojnie, już w Gromadnie, najpierw mieliśmy kundelka głośno i często szczekającego, umiejącego zagonić do stajni z pastwiska stado owiec i krów. Bohaterstwa dokonał mądry Ralf, ratując Janeczkę przed śmiercią. Kiedy nasz braciszek Stasio, miłośnik zwierząt, zaczął bywać w świecie, przyprowadził do naszego domu kolejne psiska, dorodne i piękne. Wspaniały rudzielec wabił się Brylant, czarno-szary owczarek niemiecki Perła i przepiękny biały owczarek podhalański Bela. Ten ostatni długowłosey został zakupiony w Zakopanem podczas wycieczki lub obozu studenckiego. Otrzymał filmowe imię z bardzo wzruszającego serialu *Bela i Sebastian*. W tak odległym domu od wsi potrzebne były psy spełniające wiele pożytecznych i przyjemnych ról.

Bura

Na Kresach mieliśmy też krowę, która nie tylko dawała bardzo dużo mleka, ale to mleko było bogate w bardzo dobrą, tłustą śmietanę. Bura to nasza niezapomniana żywicielka przez wiele lat. Z mleka robiliśmy twarogi i sery smażone, serwatkę, śmietanę, masło, maślanek, a także zsiadłe mleko

wspaniałe do młodych ziemniaczków z koperkiem. Nadmiar wyrobów mlecznych mama zawoziła do Ostrowa, Sokala albo Bełza. Żona komisarza policji, pani Beiserewicz w zamian za otrzymane produkty oddawała Stasi swoje nic niezniszczone sukienki, bluzki, spódnice, płaszcze, wszystko w bardzo dobrym gatunku. Pani Oksana bardzo lubiła się stroić w coraz to inne ciuszki. Była zamożna, więc było ją na to stać. Obie miały jednakowe figury, więc nasza mama też elegancko i modnie się nosiła. Oczywiście, że Stasia również kupowała rzeczy w sklepach lub szyły jej siostry krawcowe.

Przed ucieczką mama uprosiła ówczesne władze, by pozwoliły nam zabrać z sobą tę krowę, gdyż bez niej dzieci będą głodne, chore i trudno będzie nam wszystkim przeżyć.

I wędrowała z nami Bura przez wszystkie lata wojny z miejsca na miejsce. Szmat drogi przebyła z ziemi lwowskiej poprzez ziemie rzeszowskie, krakowskie, wrocławskie, poznańskie, aż do bydgoskich. Po drodze trzeba ją było czymś karmić, by odwdzięczała się dobrym mlekiem. Nie wystarczała woda i powietrze. Znaleźć dla niej miejsce i karmę to również trudne zadanie.

Tylko ona nam z Kresów pozostała. Nic więcej. Jeden koń został sprzedany w Sokalu, a drugi na uciekinierce pod Krakowem. Dom murowany z cegły stoi do dziś niespalony. Początkowo po wojnie utworzono w nim szkołę, a potem przystosowano do celów kopalni.

Można sobie wyobrazić, ile trudu i niewygody trzeba było przeżyć, by z Burą przebyć setki kilometrów, spod Lwowa na Pomorze pośród wielu niebezpieczeństw. Jeszcze kilka lat służyła nam w Gromadnie, lecz w miarę jak przybywało jej lat, coraz mniej jadła, chudła i dawała coraz mniej mleka. Nie było wyjścia. Trzeba było ją sprzedać. To był bardzo smutny dzień. Już w nocy z przejęcia nie mogliśmy spać. Bardzo wczesnym rankiem wszyscy wybiegliśmy z domu, widząc jak tato wyprowadza ją z obory. Rozpłakaliśmy się. Zaczęliśmy ją głaskać, tulić się do niej, żałować, że odchodzi, że tracimy swoją żywicielkę. Wydawało się nam, że ona również to czuła, wiedziała,

że nas żegna, ponieważ miała bardzo smutne oczy, jakich nigdy dotąd nie widzieliśmy u niej. Przez wiele dni smutek nas nie opuszczał. Często chodziliśmy do obory, żeby chociaż popatrzeć na miejsce, gdzie stała, dotknąć koryta, z którego jadła, i łańcucha, którym była przywiązana. Długo nie mogliśmy zapełnić tej wielkiej pustki po niej.

Potem już nigdy rodzicom nie udało się kupić tak bardzo mlecznej krowy, jaką była Bura, dająca bardzo dużo mleka o wyjątkowo dużej zawartości tłustej śmietany.

Mała patriotka

Latem 1939 roku, kilka dni przed wybuchem wojny, tato jako rezerwista dostał nowy jasnobrązowy karabin. Miał się z nim stawić do walki z wrogiem, gdy otrzyma powołanie do wojska.

Naoliwił go dokładnie, owinał w koc i niósł schować do lasu. Ciekawska Janeczka całe wydarzenie dokładnie obserwowała od początku. Podśluchiwała, jak tato otrzymał zadanie od nieznanego Polaka. Usłyszała, jak rodzice cichutko naradzali się, gdzie by najpewniej i najbezpieczniej go schować. O zmierzchu tato wyszedł z domu z zawiniątkiem. Janka szła za nim krok w krok, chowając się w wysokiej kukurydzy i redlinach ziemniaków. W lesie chowała się za drzewami i krzakami. Tato wyszukał dwa wysokie dęby wyróżniające się od innych. Zakopał karabin pod lewym dębem przy rogatce. Nagle usłyszał trzask łamanej gałązki. Szybko się obejrzał, by wytropić intruza. Kiedy dojrzał własną córeczkę przeskakującą między zaroślami, opadł z niego strach przed czyhającym nań wyimaginowanym wrogiem.

Wydał jej natychmiast żołnierski rozkaz:

— Milczeć! Do odwołania rozkazu.

Wyjaśnił tej sześciolletniej dziewczynce, jakie grozi nam niebezpieczeństwo. Ona dotrzymała obietnicy przez wszystkie

lata wojny, dopóki ojciec nie odwołał rozkazu po jej zakończeniu.

Gdy Janka miała 10 lat, do ojca przyszli nieznani Polacy z prośbą, aby ich zaprowadził do partyzantów stacjonujących w naszych lasach. Janeczka znowu postanowiła pomóc ojcu w razie jakiegoś niebezpieczeństwa. Szybko uzbroiła się w drewniany orczyk od wozu i szła za nimi, gotowa bronić ukochanego tatę przed napaścią tych obcych, którym niedowierzała, a nawet podejrzewała o nieczne czyny, np. może chcą tatę zabić? I teraz czyniła to w tajemnicy i bardzo ostrożnie, by nie być zauważoną, chowała się między krzakami i grubymi pniami drzew. Nikt ojca nie zaatakował, jej obawy okazały się zbyteczne.

W Gruszowie pewnego dnia przyszła do nas nieznana nam kobieta. Okazała się wyrzuconą mieszkanką tego domu. Tłumaczy mamie po rosyjsku, że w kuchni zostawiła swoje sitko i jakiś garnek. Mama jej odpowiada również po rosyjsku. Proponuje jej, aby dokładnie sobie obejrzała cały dom, przejrzała szafki oraz szufladki i zabrała swoje rzeczy, jeśli takie znajdzie. Kobieta mówi, że chce również rozmawiać ze sołtysem. Mama poleca więc Jance, również po rosyjsku, by ją zaprowadziła do niego.

Janka, choć umie i po rosyjsku, i po ukraińsku, odpowiada mamie dumnie po polsku:

— Dobrze, mamusiu, zaprowadzę panią do sołtysa.

Nagle kobieta strasznie płacze, ściska mamę, tuli Jankę i szlochając mówi:

— Ja też jestem Polką! Bałam się przyznać ze strachu, by mnie nie wygnano na Sybir.

Zapanowała wielka radość i długie opowiadanie o tym, co się dzieje dookoła.

W Gruszowie, gdzie jeszcze naszej rodziny nie znano, tato obmyślił następującą taktykę. Skoro musiał wykonywać usługi stolarskie dla bolszewików, wymyślił sobie, że będzie udawał niemowę. Nie chciał z nimi rozmawiać i porozumiewał się na migi, by nie zdradzić swojego polskiego pochodzenia. Przez

jakiś czas ojcu udawało się utrzymać tę wielką tajemnicę. Niestety na krótko. Pewnego razu zdarzyła się wielka wpadka. Przez Jankę — patriotkę.

Podczas wojny Marysia i Jancia musiały chodzić do szkoły ukraińskiej, gdzie nie wolno było rozmawiać w języku polskim. Znajomość języka rosyjskiego i ukraińskiego przyda się Marysi do tłumaczenia polskim żołnierzom pism, rozkazów i ulotek podczas frontu pod Krakowem.

Pewnego feralnego dnia do szkoły przyjechał inspektor na wizytację. Podczas lekcji nauczyciel chciał się pochwalić bardzo dobrą uczennicą i mówi do Janeczki po ukraińsku:

— Podejdź no do tablicy i napisz po ukraińsku swoje imię i nazwisko.

Janeczka bardzo posłusznie podeszła do tablicy i z dumą napisała:

— Janina Teresa Chorabik. Jestem Polką.

Działy się straszne rzeczy. Krzyk inspektora na nauczyciela, na Jankę. Dzieci zaraz wysłano do domu, a w szkole okropna awantura. Wkrótce przyszedł do naszego domu nauczyciel i z żalem opowiadał, co zrobiła Janeczka. Od tej pory nie przychodził do nas na obiady, zabronił mu inspektor. Szkoda, bo dużo od niego można było się dowiedzieć.

Mówiono, że za ten czyn grozi nam niechybnie Sybir. W domu zapanował lęk przed okropnościami czekającymi naszą rodzinę.

Mama zaczęła przygotowania. Piekła chleb i suszyła go, by nie pleśniał i dobrze się przechował na trudne czasy. Zabito wieprza i cielaczka. Suszyła mięso, peklowała i wędziła, topiła smalec i klarowała masło, by je uchronić przed zjełczeniem.

Gromadziła ubrania. Wszystko w sześciu workach trzymała w jednej pierwszej izbie, bo wiedziała, że gdy przyjdą po nas, będziemy mogli zabrać coś tylko z pierwszej izby. Takie było prawo, tylko to pozwolą zabrać, co w ciągu piętnastu minut weźmiesz z pierwszej izby. Na szczęście nasze obawy nie sprawdziły się, zostawiono nas w spokoju.

Ślepy Iwan

Rodzice przypuszczają, iż jednym z powodów, dla których Ukraińcy ani nas nie wymordowali, ani nie wskazali NKWD do zsyłki na katorgę za Ural, było wcześniejsze dramatyczne zdarzenie.

Otóż pewnego gorącego dnia trzyletnia Janeczka bawiła się przed domem. Zajęta budowaniem babki z piasku nie usłyszała jadącej furmanki, którą ze swojego pola jechał z kilkoma snopkami pszenicy Ukrainiec. Miał on bardzo słaby wzrok, nawet mówiono na niego ślepy Iwan. On również nie zauważył bawiącego się dziecka. Tego dnia bardzo go bolał ząb, więc związał ciepłą chustą twarz, zasłaniając częściowo jedno oko. I zdarzyło się nieszczęście. Koń stanął kopytem na kolanie małej, a żelazne koło wozu przejechało przez jej brzuszek. Krzyk i płacz dziecka przywołał mamę. Iwan przeproszał i płakał, że nie chciał, że nie widział. Rodzice nie chcieli przyjąć od niego żadnego odszkodowania, chociaż bardzo nalegał. Janeczka strasznie cierpiała, wymiotowała, nie mogła jeść i bardzo długo leżała w łóżku. Przez półtora roku nie mogła chodzić, trzeba ją było nosić na rękach.

Jednak młody organizm z czasem zwalczył rany i obrażenia. Mama bardzo martwiła się, że dziecku grozi niedołęstwo lub deformacja kości. Codziennie z tatą masowali nóżki. Ileż było radości, gdy postawiła pierwsze kroki. Na szczęście wypadek nie pozostawił żadnych śladów na ciele, tylko zawsze musiała jeść małe porcje. Późniejsze prześwietlenia brzucha pokazywały jak gdyby dwa żołądki połączone wąskim prześmykiem. Natomiast chód miała wyjątkowo elegancki.

Na jagody

W piękny słoneczny dzień Stasia z Anną poszły do lasu należącego do naszej parceli. Roześmiane i szczęśliwe z powodu obfitych zbiorów malin i jeżyn szybko napełniają dzbany i bańki. Nagle tę miłą atmosferę przerywa buczenie i warkot nieznanych dotąd maszyn, warkot narastał i narastał, aż zmienił się w ryk coraz głośniejszy, coraz bliższy lasu. Siostry spoglądają w niebo. Błękit nieba niknie, zamienia się w czarną ogromną plamę. W górze dziesiątki samolotów bombardujących las. Nad głowami świszczą kule, ryk rozpadających bomb rozdziera powietrze. Spada grad liści, gałęzi i walących się pni. Drzewa łamią się z trzaskiem tuż obok nich. Już pali się las. Gryzący dym kłuje w oczy.

Przeraźliwy strach opanowuje dziewczyny. Padają na ziemię i przytulone do siebie czekają na śmierć. Szepczą słowa wszystkich modlitw, a znały ich bardzo dużo. Stasia przecież zostawiła w domu trzy małe córeczki.

— Boże, zlituj się, nie czyni z nich sierotek! *Pod Twoją obronę uciekamy się...*

Po jakimś czasie, który wydawał się siostrzom wiecznością, samoloty odleciały. Dziewczyny ocalały. Co tchu pobiegły do domu, do dzieci i swoich rodzin. Bez jagód. W popłochu i szamotaninie między leżącymi drzewami i gałęziami wysypały się. Kto by o tym myślał w takiej dramatycznej chwili!? Nie będzie smakowitego posiłku dla rodziny, ale jest ocalone życie. To przecież najwyższa wartość człowieka. W domu od bombardowania powypadały szyby. Spłakane i wystraszone dzieci witają ocaloną mamę. Tata szczęśliwy tuli swoją ukochaną Stasię. Zaraz zabezpieczy okna nowymi szklami. Dom stoi cały. Jakie to szczęście!

Na katorgę

Jedna z dróg na katorgę sybirską przechodziła obok naszego domu. Rodzice i starsze siostry widziały tłumy Polaków wywożonych furmankami pod eskortą bolszewickich karabinów i wielkich groźnych psów. Bywało, że szły, a raczej wlokły się ze zmęczenia i chorób wygłodniałe gromady. Głodnym, nędźnie ubranym zesłańcom nie wolno było pomóc w żaden sposób. Jeśli ktoś rzucił im kromkę chleba, jabłko czy cebulę, został zastrzelony lub z całą rodziną szedł do więzienia na ciężkie roboty albo do gułagu.

Słabi, chorzy, przemarznięci do szpiku kości umierali w drodze, często dobijani kolbami i kopniakami podkutych butów żołdatów. Często było słyszeć jęki, krzyki, płacz. Na białym śniegu widziano niejedną czerwoną plamę krwi wypływającą z rozszarpanego przez psy ciała. Najtragiczniejszy widok umęczonych Polaków przedstawiał się w lutym 1940 roku, gdy mróz sięgał -40 stopni Celsjusza, a zawierucha śnieżna potęgowała cierpienie nędźnie ubranych zesłańców wiezionych odkrytymi wozami.

Ilekość zbliżała się nowa grupa, zawsze słyszeć było rozpaczliwy śpiew umęczonych i zrezygnowanych wygnańców:

— *Serdeczna Matko, opiekunko ludzi, niech cię płacz sierot do litości wzbudzi.*

Wygnańcy Ewy do ciebie wołamy, zlituj się, zlituj, niech się nie tułamy...

Ta pieśń tak rozdzierała serca i dusze współczującym tym biedakom, że przez całe życie Janeczka nie miała siły jej nigdy śpiewać. Nawet podczas pogrzebu mamy nie potrafiła wydusić z siebie słów tej pieśni, bo przed oczyma zaraz miała tamten straszny widok z czasów wojny.

Wielu polskich zesłańców nie przeżyło, wielu tułało się po świecie, nie mogąc wrócić do Polski.

Rzeź Polaków

Kiedy zaczęły się masowe mordy na Wołyniu i w naszych okolicach, na przewózkę z Hrubieszowa wagon kolejowy załadował nam ksiądz z Ostrowa. Życie stało się bardzo niewygodne i niebezpieczne. Ukrywanie się w stogach siana, lesie, kukurydzy, w redlinach ziemniaków i piwnicach czy wykopanych ziemniakach podczas coraz zimniejszych nocy groziło wyniszczającymi chorobami. Strach o każdej porze dnia i nocy. Doszło do tego, że z obawy o swoje życie denuncjowano ukrywających się Polaków. Nigdy nie wiesz, kiedy i skąd przyjdzie kolejny wróg. Ukraińiec, Niemiec czy Sowieci. Na Wołyniu Ukraińcy dokonali okrutnej rzezi około 130 tysięcy Polaków. W swojej obronie lub odwecie za mordy, Polacy zgładzili około 6 tysięcy Ukraińców. W ogniu pożarów zniknęło z powierzchni ziemi wiele polskich wsi i miast.

Uciekinierka odbywała się etapami już wcześniej. Marysia z mamą i ciocią Anną przewoziły żywność i ubrania. Po narodzinach Władka tato z Janką dołączyli do nich dopiero jesienią. Wkrótce drugi koń został sprzedany, a za uzyskane pieniądze przez jakiś czas można było wyżywić rodzinę.

Podczas nocnej ucieczki ojca z Janką przez las drogę zagroził im znajomy Ukraińiec.

— Jasiek, macie szczęście, żeście na mnie trafili. Mamy rozkaz wybić wszystkich Polaków, bez wyjątku. Ja szanuję waszą rodzinę, byliście dobrymi sąsiadami. Jesteście ostatnimi, którym daruję życie. Pokażę wam najlepszą trasę. Jedźcie z Bogiem i czasem mnie wspomnijcie.

I wspominaliśmy go często. Zawsze z wielką wdzięcznością.

Garbus

To był najtrudniejszy okres życia mojej rodziny. Już kilka lat toczyła się wojna. Wojsko potrzebowało żywności. Partyzanci również. Zapasy jedzenia przywiezione z Kresów szybko się kończyły.

Co jakiś czas pod Krakowem przechodził front. Nie było gdzie kupić żywności. Od bauera Marysia za swoją pracę przynosiła kawałek chleba i trochę cukru. Pięcioro dzieci podczas tułaczki wojennej często głodnych chodziło spać. Wszyscy byliśmy niedożywieni. Tylko wiernie nam służyła mlekodajna krowa Bura. Latem i jesienią można było łatwiej kupić warzywa u sąsiadów, na przednówku głód doskwierał.

Z braku owoców i warzyw, z niedoboru witamin zachorowałam na krzywicę, mój kręgosłup został zniekształcony, chudзина byłam jak ludzie głodzeni w obozie niemieckim w Oświęcimiu. Rodzice przeżywali dramat, bardzo martwili się o mój wygląd. Mama zatroskana o mój los, często płakała, bo wyobrażała sobie, jak w przyszłości obce dzieci będą mnie obrzucać kamieniami i wołać: *garbus, garbus*.

Jak zwykle zebrała na kolana całą rodzinę i zaczęła odmawiać nowennę do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy i do Miłosierdzia Bożego. Ufała, iż modlitwa zostanie wysłuchana. Prosiła:

— Boże, jeśli to dziecko ma zostać pośmiewiskiem ludzkim, zabierz je lepiej do siebie.

I stał się cud. Dziewiątego dnia nie było śladu przykrej choroby. Kręgosłup został wyprostowany.

W Brzączowicach podczas pięknego letniego dnia poszłam z kuzynkami pobawić się nad jezioro usytuowane blisko naszego domu. Chodziliśmy nad nie często, by podpatrzeć rybki, żabki i kijanki, nacieszyć się żuczkami i biedronkami, nazbierać dla mamy polnych kwiatków. I stało się nieszczęście. Jak to bywa między dziećmi podczas zabawy.

Nie wiadomo czy celowo, czy przez nieuwagę, kuzynka Ma-

rysia H. tak niefortunnie mnie popchnęła, że wpadłam do wody. To starszej o trzy lata siostrze zawdzięczaam życie. To Hanka co sił w nogach pobiegła z krzykiem i płaczem po rodziców. W okamgnieniu mama wydobyła z wody nieprzytomną córkę. Nie dawałam znaku życia. Brzuch miałam wzdęty jak balon. Mama nie poddawała się, wiedziała, co robić. Podniosła mnie do góry nogami i wyduszała wodę. Było jej bardzo dużo. Potem zrobiła masaż serca i metodą usta-usta przywróciła oddech. Wyrwała mnie śmierci. Byłam uratowana.

Lampa

Pod Krakowem, po uciekinierce z Kresów, rodzina wyrzucana z domu chroni się w piwnicy. Od września 1944 do stycznia 1945 przechodzi front. W naszym domu zajęтым przez wojsko niemieckie, obraduje sztab. Dookoła huk wystrzałów, dudnią działa, gwizdzą kule, rżą konie, jęczą ranni żołnierze. W piwnicy ciemno i zimno. Kilkumiesięczny Władzio bardzo płacze, pewnie boi się ciemności, nie widzi nas. Wszyscy w ziemiance wystraszeni, roztrzęsieni, rozmodleni. Mała Janeczka pragnie pomóc braciszкови, postanawia pójść po lampę naftową do domu. Kule świstają, szrapnele wybuchają z wielkim hukiem, padające, ranne konie rżęą. Wojska sowieckie, niemieckie i polskie walczą zaciekle o każdą piędź ziemi, o każdy dom, o każdy karabin wroga.

Janka pod ostrzałem kul czołga się przez podwórko do mieszkania zajętego przez Niemców. Mija z przerażeniem wielu zbryzganych krwią żołnierzy, bez nóg i rąk, z rozprutymi brzuchami i wypływającymi z nich wnętrznościami. Smród dookoła obezwładnia ją. Z trudem dopełza do domu. O dziwo! Zajęty rozmową sztab nie zwraca szczególnej uwagi na dziecko. Wprawdzie pytają, po co przyszła, lecz nie robią jej krzywdy. Chyłkiem więc zabiera lampę ze stolika i cichutko wychodzi z izby, by przez podwórze jeszcze ostrożniej nieść zdobyty

skarbu. Z pustymi rękami dość szybko dotarła do celu, jednak powrócić z lampą, to ogromna trudność. Jedną ręką trzyma prosto lampę, uważając, by ta nie zgasła i by nie wylać nafty. Trzeba było też znaleźć odpowiedni rytm ciała, prawa ręka — lewa noga, lewa ręka — prawa noga, by czołganie przez podwórko usłane rannymi i trupami udało się. Trzeba przekładać palącą się lampę z ręki do ręki, by nie uronić ani jednej kropli nafty. Wydaje się jej, że ta droga nigdy się nie skończy. W piwnicy kto ma jeszcze siłę wśród łez i lęku, błaga Opatrzność o pomoc. Janka szczęśliwie donosi światło i niemowlę wkrótce przestaje płakać. Już widzi swoją matkę i pozostałych. Już nie czuje się samotne.

Za 65 lat, gdy czułe i odważne serce Janeczki zatrzymało swój bieg życia, wśród stosu pogrzebowych wieńców i wiązanek z czarnymi lub białymi wstęgami z treścią pożegnalną, rzuciła mi się w oczy wyróżniająca szarfa barwy błękitnej, na której widniał własną ręką wykonany flamastrem napis: *Za Miłość — Odwagę — Dobro — Życie. Za Światło — Bóg zapłać! — brat Władek.*

Byłam jeszcze bardzo mała, jednak w moją pamięć wrył się straszliwy obraz. Toczy się krwawy bój. Samoloty bombardują teren. Dookoła ogień, swąd palonych ciał ludzkich i zwierzęcych. Żołnierze strzelają, trupy i ranni padają na ziemię. Nad wielką łąką świszczą armatnie bomby, z ogniem padają rozszarpujące ziemię kule, szrapnele i granaty. Ryczą krowy i kwiczą zranione, zdychające konie. Krzyczą, jęczą i modlą się w bólu ranni żołnierze. Rozlewa się morze krwi. My jesteśmy ukryci w ciemnej piwniczce, ale przez szpary drzwi widzimy ten tragiczny bój. Modlimy się po cichu i płaczymy. Nagle wszystko się zmienia. Biegną i krzyczą Rosjanie w czapkach z czerwonymi pięcioramiennymi gwiazdami, zajmują nasz domek, Niemcy giną od ich strzałów. Płoną domy, giną żołnierze z obu stron. Widok przeraźliwy. Czy zdołam kiedyś wymazać z pamięci ten straszny obraz?

Po przejściu frontu na pobliskich polach i pastwiskach leżą stosy trupów i konających w straszliwych bólach po-

szarpanych rannych. Po skończonej bitwie pozostaje straszny widok. Jeszcze widzimy płomienie ognia, jeszcze unoszą się dymy frontowe, a jedenastoletnia Janeczka biegnie na pobożowisko, by zobaczyć, komu jeszcze pomóc. Gdy widzi poległego lub konającego żołnierza z orzełkiem, zbiera dokumenty i pamiątki rodzinne, by na ich podstawie zawiadomić rodziny, matki i żony o losie walczących. Wszystkie znalezione dokumenty zostały przekazane sołtysowi w asyście dwóch żołnierzy polskich.

Sasza

Kilka dni wcześniej do piwnicy przyszedł żołnierz rosyjski w niemieckim mundurze. Opowiadał, że jego mundur był już tak złachmaniony od lat używania na wojnie, że gdy znalazł niemiecki, szybko i bez namysłu przebrał się w niego. Pokazywał nam zdjęcie żony, dzieci i rodziców. Marzył o pokoju i szczęśliwym życiu. Cieszył się, że już nadchodzą swoi i postanowił ich przywitać, gdy nadejdą. Mama mu odradzała, aby tego nie robił, jakby coś przeczuwała. Kiedy rosyjskie wojsko zbliżyło się do naszej zagrody, uradowany Sasza z wyciągniętymi ramionami gotowymi do uścisku swoich braci, pobiegł na ich spotkanie. Mówił, że jest jednym z nich, tłumaczył, dlaczego niemiecki mundur ma na sobie. Niestety, gorzka prawda, swoi mu nie uwierzyli. Zastrzelili go na naszym podwórku. Na oczach dzieci.

Historia Saszy przypomniała mi inne tragiczne zdarzenie wojenne, które miało miejsce mniej więcej w tym samym czasie w Nakle nad Notecią między Bydgoszczą a Piłą, czyli ponad 500 km na północ od Krakowa.

Dekretem Hitlera Krajna została wcielona do Rzeszy. Od września 1939 r. do stycznia 1945 r. ginęli cywilni mieszkańcy Nakła i okolic, żołnierze BON „Nakło”, żołnierze oddziałów na frontach wojennych. Był to kolejny okres wynisz-

czania narodu polskiego i jego kultury. Mieszkańcy Nakła i Krajny od pierwszych dni II wojny światowej byli poddawani eksterminacji. Wielu wysiedlono i osadzono w obozach hitlerowskich. Ziemia nakielska została przesiąknięta krwią. Obóz niemiecki w Potulicach pod Nakłem stał się miejscem nie-ludzkiej pracy, śmierci głodowej i zagłady różnych nacji w czasie wojny. Paterek leżący po drugiej stronie Noteci stał się największym miejscem okrucieństw i zbrodni niemieckich w powiecie. W leśnych dołach i rowach strzeleckich w tzw. żwirowisku grzebano pomordowanych m.in. księży z Górki Klasztornej, Żydów, dzieci z wyrzyskiej ochronki, a nawet całe rodziny polskie. W Nakle miejsca straceń mieściły się w piwnicach I Liceum Ogólnokształcącego i w Urzędzie Stanu Cywilnego. Po sześciu dniach ciężkich walk, podczas których Nakło przechodziło z rąk do rąk, miasto zajęły wojska radzieckie. Walki o wyzwolenie Nakła zakończyły się 27 stycznia 1945 roku. W trakcie zaciętych walk bardzo poważnie ucierpiało miasto, uległy zniszczeniu głównie budynki wzdłuż ulic Hallera, Bydgoskiej i Dąbrowskiego.

Podczas wyzwoleniczych operacji frontowych rozegrała się tragiczna w skutkach historia rodzinna mojego zięcia Janusza Giminskiego. Dziadkowie Janusza mieszkali w domu leżącym w pobliżu ogródków działkowych, mniej więcej w okolicy dzisiejszego basenu nakielskiego. Gdy nadeszło wojsko rosyjskie, toczyły się zacięte walki z Niemcami. Wiele dziewcząt chroniło się w lasach przed napierającymi, zgłodniałymi żołdatami. Gdzie kto mógł uciekał i chował się przed nieznany los. Dopóki trwała kanoniera armat, huk wystrzałów granatów, krzyki i jęki, rodzina Teresy — mamy Janusza siedziała cichutko w piwnicy. Gdy nastała cisza, babcia Maria pewna, że już po wszystkim i Niemcy wycofali się z miasta, postanowiła sprawdzić, co się dzieje wokół. Gdy tylko otworzyła drzwi, żołnierz rosyjski, który przypuszczał, że w domu są jeszcze ukryci Niemcy, wrzucił przez okno granat, który zabił babcię. Co za ironia losu, wyzwoliciel pozbawił życia tę, którą miał wyzwolić od okupanta hi-

tlerskiego. Osierociła kilkoro dzieci. Matka Janusza miała dopiero 12 lat.

Frontowe żniwo

Po frontowych bitwach pozostały na polach i łąkach kopce min, granatów, szrapneli i bomb. Rosła tam bujna zielona trawa. Janka chodziła na tę łąkę z naszą krową, bo im lepsza trawa, tym więcej mleka, śmietany, masła, sera. Wprawdzie rodzice nie pozwalali na to, bo bali się o jej życie zagrożone przez toczone walki i przechodzący front, ale ona ich nie usłuchała.

A zza rzeki Raby przychodzili chłopcy rozbrajać bomby, miny i spadochrony, a przy okazji wydobyć ze spadochronów nylon, z którego szyto bluzki, spódniczki, sukienki i koszule. Zręczni chłopcy cieszą się, że im tak dobrze się wiedzie. Wzbogacą się, uszyją sobie koszulę albo swojej dziewczynie, mamie lub siostrze sprawią podarunek. Nagle, co za pech! Podczas rozbrajania trzynastej bomby nastąpił wybuch. Dwóch chłopaków zostało porozrywanych na kawałki, a zakrwawiona szczeka jednego z nich spadła na ramię Janki. Krew zabitego zbryzgowała jej twarz i sukienkę. Nastąpiły kolejne wybuchy, bomby zapalały się jedna po drugiej. Masakra.

Cała wieś stanęła na nogi. Ludzie biegli na łąkę nieść ratunek poszkodowanym, wśród nich i mama. Przecież tam było jej dziecko! Odrętwiała padła na kolana, płacząc rozpaczliwie i błagając Boga o życie dla córki. Była pewna jej śmierci. Mama nie miała siły ruszyć się z miejsca. Nie było przecież widać ani Janki, ani krowy. Obie leżały na ziemi. Wystraszona Janka czekała na kolejne wybuchy.

Gdy wszystko ucichło, zszokowana dziewczynka wstała z ziemi. W jednej chwili mamę opanowała ogromna radość, polały się łzy szczęścia. Wreszcie mamie wróciły siły, przytuliła i całowała uratowane dziecko.

Janka potem nieraz chodziła na nabożeństwo do Droginii, by podziękować Najświętszej Paniency za szczęśliwe ocalenie.

List do TVP

Dzisiaj niespodziewanie przyjechała do mnie najstarsza siostra, Maria Pogorzelska z niecodzienną sprawą.

— Wandziu, proszę, byś w moim imieniu napisała do Telewizji Polskiej o ludobójstwie na Kresach Wschodnich podczas II wojny światowej.

Nie mogłam jej odmówić. Powstało więc następujące pismo:

*Telewizja Polska,
ul. Woronicza 17
00—999 Warszawa*

W dniu 09.03.2001 roku w południowym wydaniu Dziennika TVP usłyszałam, iż poszukujecie świadków zbrodni popełnionych na Polakach mieszkających na Wołyniu, w województwie lwowskim i stanisławowskim. Ja również chcę dać świadectwo tych nie-ludzkich wydarzeń. Na własne oczy widziałam wiele tragedii ludzkich. Opowiadała też o nich nasza rodzina i znajomi. Wszystko dobrze pamiętam.

Urodziłam się w 1930 roku w Głuchowie, powiat Sokal, w pobliżu Bełza i Ostrowa, w województwie lwowskim. Wówczas była to Polska, II Rzeczpospolita Polska. Widziałam, co się działo na Kresach Wschodnich podczas drugiej wojny światowej. Ukraińcy w bestialski sposób dokonali tam rzezi Polaków.

Już przed wojną niektórzy śpiewali pieśni o tym, że z całej Ukrainy wybiją wszystkich Lachów, będą rznąć nożami i kosami, rąbać siekierami, rozstrzeliwać, aby oczyścić Ukrainę. Słyszałam, jak pop z ambony zachęcał swoich pobratymców do wyrżnięcia Polaków do ostatniego korzenia. Wołał:

— Ukraina tylko dla Ukraińców!

Tak też zrobili. Wielu z tych, którzy przed wojną byli przyjaciółmi, teraz przyoblekli się w skórę najgorszego wroga. Najpierw mordowali rozproszonych żołnierzy polskich powracających do domu już w październiku 1939 roku. Zabijali ich nożami w brzuch lub w plecy, zabierali im broń, by mieć dla siebie, a ciała wrzucali do rzeki Sołokii lub Bugu, a także do studni.

Potem w lasach na ułożonych stosach z drewna przywiązali leśniczych i gajowych i żywcem palili. Śmierć w płomieniach ognia jest męką nie do opisania i wyobrażenia. Przechodzi to ludzkie pojęcie. W taki sposób w Głuchowie pozbawili życia gajowego Szczepańskiego i robotników leśnych. Do wsi dochodziły krzyki i jęki męczonych. Przykrą woń spalonych ciał czuło się jeszcze długo.

17 września 1939 roku Rosjanie napadli na Polskę, na nasze tereny. W czerwcu 1940 roku przyszli Niemcy. Wówczas Stalin i Hitler podzielili się ziemią.

W naszej wsi granica przebiegała przez rzekę Sołokiję dzielącą Głuchów na dwie części. Po przegonieniu Rosjan przez Niemców 22 czerwca 1941 roku o godzinie 2.40 Ukraińcy rozpanoszyli się na dobre. Powstałe bandy UPA w 1942 roku zaczęły okrutną rzeź na narodzie polskim nasiloną w 1943 i 1944 roku. Bandownicy mordowali nie tylko w domach prywatnych, ale również w kościołach, które powinny być chronione. Zabijali siekierami, kosami, widłami, sierpami, łopatami, nożami i bronią zrabowaną polskim żołnierzom. Jeździli konno po polach i kłując widłami stogi i półkopki zbóż, wyszukiwali ukrytych tam wystraszonych ludzi. Dla nikogo nie mieli litości. Wszystkich gnali do stodół i palili żywcem. Mężczyzn, kobiety, dzieci i starców. Bez wyjątku. Nawet swoich chrześniaków i rodzinę. Jęków i przykrej woni palonych ciał nigdy nie zapomnę.

Drzewińskiemu, wracającemu z niewoli i wycieńczonemu z powodu długotrwałej ciężkiej choroby, nacjonałści wydłubali oczy, wycięli język, torturowali, wycinali skórę i kawałki ciała. Pytali:

— Czy widzisz teraz tę swoją ukochaną Polskę, do której z taką nadzieją i radością wracasz? Popatrz teraz i powiedz, widzisz? No, mów!

Po ciężkich męczarniach biedak skonał.

W Porucku w czasie niedzielnej sumy Ukraińcy wpadli do kościoła i rozpoczęli okrutną rzeź. Ksiądz poprosił ich, aby chociaż pozwolili mu udzielić ludziom rozgrzeszenia. Rzeka krwi płynęła z tego świętego przybytku. Stosy trupów leżały jeden na drugim. Tylko jednemu chłopakowi udało się wyrwać i opowiedzieć o tym bestialskim zdarzeniu. Przywalony trupami, choć ranny, z wielkim wysiłkiem i strachem wyczołgał się spod nich dopiero w nocy i ledwie żywy, głodny, opadający z sił dotarł do stacji kolejowej, gdzie stacjonowali Niemcy.

Naszego sąsiada Dopiura, żonę i dziecko przywiązali do łóżek i żywcem spalili. Starszą kilkunastoletnią dziewczynę w ciąży posadzili na ławkę przed domem, przywiązali, rozpruli brzuch i długo torturowali. Z bólu poobgryzała do kości palce rąk. Widział to przechodzący niedaleko zięć Szymańskich.

Innego dnia napadli na polską szkołę. Dzieci stłoczono do jednej sali, gdzie je bito, straszono, zmuszano do rozmowy w języku ukraińskim. Z grubszych konarów drzew porobiono zaostrome pale, wbito je w ziemię koło szkoły i na nie ponabijano niewinne polskie dzieci. Po długich męczarniach poumierały biedaczyny.

A sobie oprawcy zrobili wielki bal w szkole z piciem wódki i mięsiwem upieczonych kur i innych zwierząt zrabowanych polskim rodzinom. Pijaństwo i obżarstwo trwało kilka dni. Śmiechy i radosne śpiewy w języku ukraińskim słyszano w okolicy bardzo długo.

Wielu Polakom żywcem ściągano pasy skóry z ciała, wykrwawieni nieszczęśnicy konali w strasznych jękach z bólu. Każdy sposób zgładzenia Polaków był dobry. Im straszniejszy, tym bardziej podziwiany przez znajomków.

W Ostrowie cała ludność polska schroniła się w kościele z nadzieją, że Bóg nie pozwoli im tam zginąć. Wcześniej chcieli się połączyć z rodzinami i uciec przed krwawą rzezią. Niestety wszystkie linie kolejowe zostały poprzecinane. Znikąd pomocy. Po ratunek zaczęli wychodzić mali chłopcy. Po wyjściu z kościoła każdego mordowano. Dopiero szóstemu udało się niepostrzeżenie wydostać z obłę-

żonej świątyni. Czołgając się, dotarł do stacji kolejowej, gdzie stajonowali Niemcy. Natychmiast na pomoc przyjechało czterdzieści samochodów żołnierzy niemieckich, rozproszyli Ukraińców, a Polaków puścili wolno. Z wieży tego kościoła ksiądz bronił wiernych, niestety udało mu się zastrzelić tylko jednego Ukraińca. Podczas przeszukiwania kieszeni przy zamordowanych banderowcach znaleziono różaniec, książeczkę do nabożeństwa i błogosławieństwo od matki i popa, który życzył, by udało mu się zgładzić jak największą ilość Polaczków, niszcząc ich do ostatniego korzenia.

Na tamtym terenie zawierano wiele małżeństw mieszanych, ponieważ w czasie pokoju te dwa narody były dla siebie przyjaciółmi. Teraz w pierwszym rzędzie Ukrainiec musiał zgładzić swojego współmałżonka Polaka. Mordowano również syna, jeśli ojciec był Polakiem i córkę, jeśli matka była Polką. Z takiego właśnie powodu zabito Szczepańskiego, a jego siostrę po bolesnych torturach wrzucono do głębokiej studni.

Jeśli ktoś nie wykonał tego rozkazu, został natychmiast zabity, więc może usprawiedliwić należałoby tych, którzy czynili to z przymusu, a nie dla przyjemności i wzbogacenia się.

Chłopaka z mojej klasy pokłuto nożami i wrzucono na duży kociopek ogromnych czerwonych mrówek. Przeraźliwie cierpiał na tym mrowisku zjadany i kąsany trującym jadem. Nikomu nie wolno mu było pomóc, gdy się zbliżysz do cierpiącego, zginiesz i ty.

Dokonywano tam straszliwych rzezi na niewinnych cywilach i dzieciach. Wszelkie metody i sposoby były wykorzystywane, by Ukrainę (wówczas Polskę) wyczyścić z niepożądanych mieszkańców i przejąć ich dobra. Dokonywano czystki etnicznej.

W rodzinie mojego męża, mieszkającej na Wołyniu, wymordowano trzydzieści cztery osoby. Jego rodzicom udało się uciec w ostatniej chwili pod ostrzałem ukraińskich kul. Podczas ucieczki schronili się w Chełmie u obcych ludzi. Po wojnie Pogorzelscy osiedlili się na ziemiach odzyskanych w Klawku pod Wyrzyskiem, niedaleko Piły.

Nasi rodzice, widząc i słysząc, co się dzieje wokół, również postanowili uciekać do swoich stron pod Krakowem z nadzieją znalezienia dachu nad głową u znajomych i nielicznej pozostają-

cej tam rodziny. Niełatwo było tam dotrzeć. Tułaczka trwała długo, odbywała się w nieludzkich warunkach, z czwórką dzieci. Nigdzie nie chciano nas zameldować, ponieważ ci, którzy wyjechali po I wojnie światowej na Kresy Wschodnie, nie mieli prawa tutaj wrócić. Po długiej uciążliwej tułaczce osiedliliśmy się na Ziemiach Odzyskanych na Pomorzu, w Gromadnie w powiecie Wyrzysk, województwo bydgoskie.

Tam na Wschodzie, tuż za obecną polsko-ukraińską granicą zostawiliśmy piękny, duży murowany dom, warsztat stolarski, oborę i stodołę, wszystko wykonane z cegły i kryte blachą oraz 6 ha bardzo urodzajnego czarnoziem. No i ziemię dziadków z obojga stron: Bałuków, Horabików oraz Radwańskich. Prawdopodobnie było tam około 30 hektarów pięciu naszych rodzin.

Miałam wówczas trzynaście lat i wszystko dobrze pamiętam, jakby to działo się dzisiaj.

Teraz mam 70 lat i nie mogłabym umrzeć w spokoju, gdybym nie opowiedziała ludziom o okrucieństwach dokonanych na ludności polskiej przez Ukraińców. W tym ludobójstwie w bestialski sposób z rąk ukraińskich śmierć poniosło ponad 200 tysięcy Polaków.

*Maria Pogorzelska
Wyrzysk, 16.03.2001*

Wkrótce Maria otrzymała odpowiedź:

Szanowna Pani. W odpowiedzi na list adresowany do Telewizji Polskiej S.A. dziękujemy Pani za podzielenie się z nami wspomnieniami z Kresów Wschodnich. Uprzejmie wyjaśniamy, że informacja i wspomnienia dotyczące stosunków polsko-ukraińskich będą wykorzystane w miarę potrzeb przy realizacji audycji historycznych o tej tematyce.

*Starszy redaktor dokumentalista
T. Porowska-Kucewicz
Warszawa, 30.04.2001*

Maria zadowolona, że ktoś w Polsce dowiedział się o tej strasznej rzezi, wysłała ten list jeszcze do kilku instytucji.

Dożyła dni, podczas których postawiono pomnik ofiarom i odprawiono nabożeństwo żałobne w lipcu 2003 roku. Na uroczystościach wśród wielu osobistości był Prezydent Polski Aleksander Kwaśniewski, który w swoim przemówieniu mówił o tragediach Polaków na Wołyniu, w województwach łwowskim i stanisławowskim. Wspomniał również o rzezi w Porucku odbywającej się w kościele.

Po tej wizycie na nowo ożyły wspomnienia o rodzicach, o domu rodzinnym, o latach dziecięcych i tragicznych czasach wojennych. Jeszcze bardziej spotęgowała się moja wdzięczność Bogu za ocalenie całej naszej rodziny z zawieruchy wojennej. Jeszcze mocniej sobie uświadomiłam, jak bardzo nasze życie było zagrożone przez trzech okupantów: Rosję, Ukrainę i Niemców. W Polsce mordowali tylko Niemcy, na Kresach Wschodnich i Rosjanie, i Ukraińcy, i Niemcy.

— Jakże więc nie wielbić Stwórcy, jakże nie cieszyć się i nie dziękować Mu za dar życia?

Po II wojnie — 6.10.1945

W wyniku zawirowań historii musieliśmy opuścić swoje rodzinne strony i zamieszkać gdzie indziej, tam gdzie wskazało nam powojenne prawo.

Straciliśmy dorobek życia naszych rodziców i dziadków, ze Wschodu nie przywieźliśmy nic z wyjątkiem jedynej, ale bardzo mlecznej krowy. Osiedliliśmy się na poniemieckim gospodarstwie w Gromadnie. Była to chata za wsią, położona wśród piaszczystych pól, półtora kilometra od niej. Herman Krauze — właściciel domu musiał opuścić Polskę jak wielu innych Niemców po przegranej wojnie. Zastaliśmy dom już zamieszany przez ludzi pochodzących ze Słonima, obecnie Białoruś. Oni także musieli opuścić swoje rodzinne strony. Nie było lekko! Przydzielono nam dom ciasny, zimny, z nędznym umeblowaniem. Uciekinierzy z południa i północy Polski

musieli pomieścić się w trzech pokojach i dwóch kuchniach. Sześciuosobowa rodzina Kotowiczów w dwóch pokojach, nasza siedmioosobowa w jednym. Mieliśmy wspólną sień prowadzącą na podwórze. Było ciasno. Tato dorobił meble, a szczególnie łóżka, no i kołyski. Wszystkie jego dzieci wychowywane były w kołyskach podwieszanych lub na biegunach. Kołyski na biegunach szybciej się zużywały i niszczyły podłogę. Rodzice często opowiadali, że w nocy tato przywiązywał paskiem kołyskę do nogi, by łatwiej było nią poruszać bez wstawania ze swojego łóżka, gdy dziecko zapłacze. Łóżko rodziców wstawiono do kuchni, a z nieogrzewanej komórki zrobiono pomieszczenie do spania.

Było ciężko, ale był dach nad głową, wprawdzie bardzo dziurawy, więc, gdy padał deszcz, trzeba było na strychu ustawiać wiadra, miski, cebrzyki. Po każdej wichurze tata łątał dach, bo dachówki często się obsuwały i spadając na ziemię, rozбивały się. Zimą na ścianach gromadził się szron. Żeby go zlikwidować, trzeba było wiele opału, który niełatwo było zdobyć. Po kilku latach tato dokupił piec trociniaak, który ogrzewał pokój, a na blacie można było coś podgrzać, ugotować lub usmażyć. Gdy brakowało węgla i drewna, to pokój można było ogrzać tańszymi trocinami, po które ojciec jeździł do tartaku. A przy tym gorącym trociniaku w długie jesienno-zimowe wieczory śpiewaliśmy pieśni i piosenki, czytaliśmy ciekawą lekturę, snuliśmy plany na przyszłość i swoje marzenia.

Nasza tułaczka wojenna trwała ponad trzy lata. Jednego konia sprzedano już na Wschodzie, drugiego pod Krakowem na uciekinierce, ponieważ pieniądze były potrzebne na wyżywienie rodziny. Miałam trzy i pół roku, gdy osiedlaliśmy się na Pomorzu, na Ziemiach Odzyskanych. Z pociągu z Osieka nad Notecią szliśmy pieszo około 15 km do Gromadna. Być może ojcu udało się wynająć jakąś furmankę i część drogi przebyliśmy wozem, nie pamiętam. Pamiętam, że Marysia prowadziła Burą, mama mnie niosła, ponieważ jeszcze w pociągu zgubił mi się jeden bucik, biały, śliczny pantofelek. Było już zimno, więc nie mogłam iść boso. Dobrze pamiętam tę

uciażliwą drogę. Do dziś mam w pamięci ten pantofelek, tak bardzo było mi żal tych bucików. Innych nie miałam, a nowych nie było gdzie kupić. Tata wkrótce zrobił mi drewniaki, ale w nich było bardzo niewygodnie chodzić, a jeszcze gorzej biegać. Poza tym nieeleganckie. Po jakimś czasie mama zdobyła dla mnie przechodzone sandały i trzewiki.

Właściwie w Wyrzysku urzędnik dał tacie przydział na zamieszkanie w Klawku tuż pod Wyrzyskiem, jednak, gdy tata tam poszedł, dom już był zamieszkały przez innego człowieka. Tato zawsze spokojny i spokojliwy nie chciał z nikim wojować i zrezygnował z tamtego domu, oczywiście ze szkodą dla własnej rodziny.

Pierwszymi szukającymi domu byli wujek Stach i Franciszek Kalita z Sambora. Ówczesne władze w Wyrzysku uważały, że skoro udało im się uciec z „tamtego piekła” i przyjechać aż na Pomorze, zapewne są szpiegami. Wsadzono ich do więzienia na Wałach Jagiellońskich w Bydgoszczy, gdzie byli bici, torturowani i głodzeni przez pół roku. Ludzie z Urzędu Bezpieczeństwa nie wierzyli w ich zeznania.

Bałukowie i Radwańscy osiedlili się w Klawku. Szkoda, że tato tak szybko zrezygnował z pierwszego przydziału. Tam z pewnością byłoby nam dużo lepiej. Przede wszystkim zamieszkała tam cała rodzina mamy, więc wszelka pomoc w gospodarstwie byłaby na miejscu. Żyjąc razem, nie czulibyśmy się tacy osamotnieni jak na tamtym gromadzkim wydmuchowie. A co bardzo ważne, ta wieś była już zelektryfikowana. Wszędzie było blisko. Miasto powiatowe Wyrzysk bliźniutko. Jak na wyciągnięcie dłoni szkoła, kościół, urzędy i sklepy. Między Klawkiem a Falmierowem, w Polinowie już mieszało kilku osadników sprzed wojny z Małopolski w „poniatówkach”, a teraz dojechali powojenni uciekinierzy, których spotkał taki sam los, jaki dotknął naszą rodzinę. Razem z pewnością byłoby łatwiej znosić trud powojennego życia.

Z ciasnotą i zimnem jakoś radziliśmy sobie. Najgorszą sprawą były kiepskie ziemie. Wydawały one słabe plony. Zasiane na piaskach zboże czy posadzone ziemniaki z braku desz-

czu często wysychały. Na kilku małych lepszych kawałkach siano pszenicę, jęczmień, rzepak i buraki cukrowe. Ale gdzież tej ziemi do naszego czarnoziem — humusu w Głuchowie, który nigdy nie potrzebował nawozów sztucznych, a wydawał obfite plony. Wkrótce chore krowy padły, została tylko nasza przywieziona Bura. Herman Krauze zostawił kilka sztuk bydła, ale prawdopodobnie, jak głosiła plotka we wsi, okoliczni gospodarze wymienili swoje gorsze na lepsze i zdrowe pozostawione przez Niemca. Gdy padł koń, trzeba było zaprząć krowę do roboty w polu. Było to bardzo trudne zadanie i dla niej i dla taty, bo krowa nie jest stworzona do uprzęży, pług i ciężkiej pracy.

1951 — równanie granicy

W pierwszych latach po zakończeniu II wojny światowej, rodzice jeszcze żywili nadzieję powrotu łada dzień, łada rok do swojego domu i ziemi pozostawionej na Wschodzie. Niestety, w roku 1951, sześć lat po wojnie, klamka zapadła. Związek Radziecki, po odkryciu ogromnych złóż węgla kamiennego ciągnących się od Bełża aż po Sokal, zabrał je Polsce, a dał nieużytki: część Bieszczadów z Ustrzykami Dolnymi, Lutowiskami, Czarną i Krościenkiem. Nazywało się to „równaniem granicy”. Tak więc i nasze gospodarstwa znalazły się za granicą, na obszarze zagłębia węglowego. O zasobach węgla na tym terenie wiedzano już w końcu XIX wieku. Zbadał je geologicznie i udokumentował kilka lat przed II wojną profesor Jan Samsonowicz. Po zagarnięciu naszych ziem ojciec już całkowicie przestał śnić o Mikołajczyku na białym koniu, który wkrótce miał się zjawić i przywrócić nasze własności. Jakże płonne są ludzkie nadzieje! Teraz jego serce przepełniały smutek i żal.

Do tej pory nie szukał lepszego domu do zamieszkania, łudził się bowiem ciągłą nadzieją na powrót do Głuchowa. Prze-

cież przez tych kilka lat wszystkie opustoszałe domy po Niemcach już zapewne zasiedlono, gdzie więc szukać lepszego i czym pojechać? I tak zostaliśmy wśród pól i łąk. Było biednie, ale szczęśliwie. Zawsze kochający rodzice potrafili gromadzić dzieci stworzyć miły, radosny dom przepełniony nauką, pracą i modlitwą. Jednak czyż można się dziwić rodzicom tak bardzo tęskniącym do swojego domu i przyjaciół z Kresów? Do swojego raju?

Przecież tam im upłynęła szczęśliwa młodość w dobrobycie. Tutaj zgryzoty i walka o godne życie rodziny. Nie należy się również dziwić mamie, że przez kilka długich lat tęsknym głosem tak często śpiewała piosenkę, z której do dziś zapamiętałam kilka słów:

— *My, biedni Polacy, opuścili dom i przybyli tutaj do pomorskich stron...*

Serce mi się kraje, gdy jej rzewna melodia czasami jeszcze zabrzmi w mojej duszy...

Patriotyczny szlak ułana Jaśka

Mój brat Władysław Horabik bardzo często rozmawiał z tatą, który często wspominał swój udział w walkach toczących się o niepodległość Polski. Dzisiaj przesłał mi zapiski dotyczące tamtych wydarzeń:

*Wolność kocham i rozumiem
Wolności oddać nie umiem
Wolność kocham i rozumiem
Wolności...*

(Bogdan Łyszkiewicz)

*Droga Wando, dziękuję za książkę Błękit nieba!
Twoje opowieści barwnie ożywiają historie naszej rodziny.
To bardzo potrzebna i oczekiwana książka. Zawarty w niej bogaty*

materiał wspomnieniowy i historyczny pozwala zbliżyć się do dawnych dziejów oraz do epizodów i przygód, w których uczestniczyła nasza familia.

Rozbudziłaś potrzebę rozpoznania zapomnianych ścieżek i tropów z przeszłości. Za sprawą tej książki wracam do odległych wspomnień i rozmów z tatą, do odkrywania okolic, śladów miejsc, zdarzeń, adresów oraz osób.

Ucieszę się, gdy skorzystasz i z moich przemyśleń, a może ktoś, kiedyś pójdzie tajemną ścieżynką, rozjaśni, oświekli i oswoi interesujące dzieje przodków...

Służyć Polsce — Być dobrym żołnierzem

Dzieciństwo najmłodszego w rodzinie Jaśka płynie radośnie nad Rabą we wsi Brzączowice koło Myślenic. Szczęśliwe dni dziecka z łowieniem pstrągów spod kamieni pobliskiej rzeki przerywa wypadek ojca. Chłopiec zostaje sierotą zanim będzie miał pięć lat. Twardą lekcję życia pobiera od dziewiątego roku, ciężko pracując w oddalonych podgórskich lasach. Tam w leśnej głuszy, na stromych stokach pracuje przy ścinaniu drzew. Bezpiecznie powozi końmi, uczy się modulowania głosem przy wydawaniu komend. Codziennie wywozi z lasu ogromne drzewa oraz zerwane wielkie i rosochate korzenie. Terminuje też niełatwą ciesiółkę i stolarstwo od wczesnej wiosny do późnej jesieni.

Żyje w zaborze austriackim i jak każdy Polak pragnie walczyć — „aby wreszcie Polska nastała!”. Aktywnie praktykuje i ćwiczy w drużynach strzeleckich, lubi spotkania patriotyczne. Nie mając jeszcze piętnastu lat idzie pieszo do Krakowa by wstąpić do Legionów. Tam jednak, takiego podrostopka nie chcą przyjąć. Ponownie, również pieszo wyrusza do Krakowa w 1917 r. i tym razem zostaje przyjęty do wymarzonych Legionów Polskich.

Poznaje tam żołnierską dyscyplinę, wojskowe musztry i ćwiczenia, zostaje strzelcem. Od początku wykazuje się wysoką pilnością spełnianych poleceń i rozkazów. Młodzika stanowczo wyróżnia sprawne kierowanie końmi, pełna znajomość ich użytkowania, obsługi, karmienia i pielęgnacji. Nie głoduje,

gdy pracuje w kuchni wojskowej. W pocztowym oddziale, pozna je też drogi, sioła i miejsca odległych jednostek. Z kolei przy wyjazdach w szpicy zwiadowczej rozpoznaje oraz szacuje ryzyka, niebezpieczeństwa i zależności wojennych zdarzeń. W czasie kolejnych tygodni i awansów trenuje, ćwiczy i przysposabia się do służby w artylerii konnej. Zostaje kanonierem, bombardierem, później kapralem. Lubiany przez przełożonych aktywnie działa jako luzak, następnie ordynans oficerów. Po rocznej niełatwej służbie przyjmuje z radością i dumą przeniesienie do szwadronu ułanów, bliżej ukochanych koni.

Takie to typowe koszarowe żołnierskie życie, o którym marzył, nie zapowiadało jeszcze tego co go czeka w niedalekiej przyszłości. A były to czasy niezwykle, które zmieniły całe jego dalsze życie.

To wraz z wojskiem to na wschód i znowu na zachód, przez pagórki, lasy, potoki, wsie i miasta w bardzo trudnych i zróżnicowanych warunkach wojennych przemierzył prastare ziemie piastowskie. O głodzie i chłódzie poznawał piękne, często zaniedbane tereny zniewolonej od pokoleń Polski w każdym zaborze: austriackim, rosyjskim i pruskim. Pieszko, wierzchem, koleją i furmankami pokonywał z wojskiem wielkie przestrzenie ogarnięte wojną. W każdej jednak chwili gotowy w pełnym rynsztunku ruszyć dalej, stawić czoło wrogim zasadzkom, nieznanym zagrożeniom. Przemierzając wiele kilometrów dobrze wie, co znaczy żyć w społeczeństwie zniewolonym i czym jest pragnienie wolności. Widzi na swej utrudzonej drodze bolesne podziały narodowe i etniczne. Często bywa też świadkiem wyzysku i niesprawiedliwości. Nie wdaje się w meandry historii i polityczne rozważania. Widomy instynkt narodowy polskiego ludu wskazuje mu, że nadchodzą czasy przełomowe, że dzieją się rzeczy wielkie, a klęska okupantów jest zapowiedzią wolności, którą jednak trzeba zbrojnie wywalczyć.

W latach 1917 i 1918 Jasio walczył na wschodnich rubieżach dawnej Polski i aktywnie uczestniczył w burzliwych dziejach odrdzającej się Polski.¹

Kiedy w 1917 roku większość polskich żołnierzy odmówiła przysięgi na wierność obcym monarchom, ich oddziały rozwiązano. Legionistów internowano do obozu w Szczypiornie, a pozostałych wcielono do wojska austro-węgierskiego i wysłano na front włoski. Legioniści, w tym większość II Brygady pod dowództwem Józefa Hallera, zostali także przekazani pod dowództwo austriackie jako Polski Korpus Posiłkowy. W proteście przeciwko podpisaniu Traktatu Brzeskiego w lutym 1918 r., który Polacy uznali za czwarty rozbiór Polski — część żołnierzy przebiła się przez front pod Rarańczą, a w marcu połączyła się z II Korpusem Polskim w Rosji.

Jasiek po latach, często wspominał trudy tułaczki, głodu i chłodu, zimowe przemarsze oraz walki pod Rarańczą (15–16.02.1918) i majową bitwę pod Kaniowem (11.05.1918). Opowiadał o zimach śnieżnych, kwietnych wiosnach i pachnącym lecie, przemierzanych rozległych polach, kresowych łąkach i lasach, których bardzo brakowało pod Krakowem.

Wielka Wojna zwaną później I Wojną Światową kończy się 11 listopada 1918 r. Dokonano wówczas nowego podziału Europy; odrodziła się Polska, Czechosłowacja, Jugosławia, Litwa, Łotwa, Estonia, Finlandia. Granice niepodległej Polski zaczynają się kształtować. Nie jest znany jeszcze ich przebieg, ani zasięg. Rozpoczyna się proces scalania ziem mających tworzyć II Rzeczpospolitą. Marzeniem większości Polaków jest powrót do granic sprzed roku 1772, jednak nieliczni w to wierzą. Zaczynają się walki o Wielkopolskę, o Śląsk, a wcześniej walki o Lwów i Galicję. Niejasna jest kwestia odzyskania dostępu do morza i statusu Gdańska. Początek Wojsku Polskiemu dają także „królewiaczy”, którzy po rozbiciu Legionów dotrwali w szeregach Polskich Sił Zbrojnych do listopada 1918 roku.

¹ Szkic wojennej drogi Jaśka zamieszczony jest na mapie na s. 302. Mapa ta wraz z kalendarium pozwoli lepiej poznać przemarsze i daty bitew oraz losy jego życia.

W Poznaniu 27 grudnia 1918 r. wybucha Powstanie Wielkopolskie. Szybko rozszerzają się spontaniczne walki i wyzwolenicze idee ogarniające tereny zaboru pruskiego. W tym okresie z polskiego oddziału konnego powstaje pułk, a rdzeń formowanej jednostki tworzą powstańcy wielkopolscy oraz ochotnicy.

Stanowiony w Biedrusku pod Poznaniem 2. Pułk Ułanów Wielkopolskich jest najważniejszą formacją na szlaku Jaśka. Ta jednostka określona jako „białych ułanów”, później już w Bydgoszczy w 1920 r. otrzymuje nazwę 16. Pułk Ułanów Wielkopolskich.

Na Galicję do walki z Ukraińcami w marcu 1919, wyrusza ochotnicza kompania powstańców, a pośród nich niespełna 18-letni Jasio. Krwawe walki toczą się m.in. o Przemyśl i Lwów. Wojna polsko-ukraińska czyli konflikt zbrojny o przynależność państwową Galicji Wschodniej, zamieszkaney przez Polaków i Ukraińców, prowadzona jest od listopada 1918 do lipca 1919 r. Wojna ta wyrządzi wiele strat i wzajemnych krzywd, a później przez dziesięciolecia nieść będzie okrutne, tragiczne i ludobójcze implikacje...

Powrót do Macierzy i prastarych piastowskich ziem postępuje od 17 stycznia 1920 r. na mocy Traktatu Wersalskiego. Armia Wojska Polskiego, a w niej Jasiek, przejmuje Pomorze oraz liczne miejscowości Wielkopolski. W codziennym wytrwałym marszu wojska, w tym nasi ułani i błękitna armia, przywracają Ojczyźnie wsie, miasta, lasy i rzeki. Niosą radość i entuzjazm doznanej wolności od miejscowości do miejscowości, mimo mrozów, śnieżyc, zamieci i wielu krętych dróg. Na ulice miast, miasteczek, wsi wychodzą tłumy, by witąć wkraczających polskich żołnierzy. Do Polski powracają kolejne tereny, dając nadzieję i radość milionom Polaków. Uroczyste powitanie wojsk polskich w Bydgoszczy, po 148 latach niewoli, odbywa się 20 stycznia 1920 r. Szczególnie radośnie i tłumnie witane jest wymarzone wojsko w Nakle nad Notecią. Mieszkańcy pięknego Grudziądza i regionu uroczystie witają wojska w dniu 23 stycznia. To w tym mieście, później stworzono silny polski garnizon.

Bydgoszcz 24 stycznia 1920 r. wiwatuje przybycie pełnego składu 16. Pułku Ułanów Wielkopolskich. Staje się ona dla jednostki miastem garnizonowym, aż do końca jego istnienia. Kawalerzyści kwaterują w koszarach przy ul. Szubińskiej 1, które od tej pory nazywamy ułańskimi. Bez mała tysiąc oficerów, podoficerów i „białych ułanów” oraz ponad 900 koni pełni tutaj służbę w odrodzonej Polsce. Koszary zajmują obszar ponad 12 hektarów. Pułk podzielono na szwadrony, a wszyscy dbają o wzorową czystość i porządek, w tym o budynki koszarowe, familijne, stajnie, wozownie, kuchnie, jadalnie, ujeżdżalnie i place ćwiczeń. Z koszar, z ul. Wysokiej i Szubińskiej nietrudno z górki przejść do pobliskiego kasyna oficerskiego, które mieści się przy ul. Dolina.

Jasiek z ogromnym sentymentem wspomina żołnierskie życie — pobudki, capstrzyki, ceremonie, parady, marsze i ćwiczenia na ułańskich bydgoskich błoniach.

Morze Bałtyckie i Pomorze zaledwie częściowo powraca do Ojczyzny. Jasiek ceni, pamięta i często przekazuje wprost osobiste przeżycia oraz patriotyczny nastrój „Zaślubin Polski z Morzem”. Przygotowania w pułku do tych uroczystości trwają już od wielu dni, kiedy wszyscy oczekują wyjątkowego spotkania z tajemniczym jeszcze morzem.

Symbolicznych zaślubin Polski z morzem dokonuje pamiątkowym pierścieniem znany już wcześniej z walk w Galicji generał Józef Haller. Tuż przed uroczystością otrzymuje dwie złote obrączki z napisem „Gdańsk–Puck 10 lutego 1920”. Jedną z nich generał rzuca do pokrytego lodem morza, drugą nosi na palcu aż do śmierci. Barwy naszego Pułku wobec Błękitnego Generała (Józef Haller) i Ojczyzny w kompanii honorowej reprezentuje pierwszy żołnierz, współtwórca i organizator oraz pierwszy sztandarowy-plutonowy Wojciech Świerczyk, który z ułańską fantazją wjeżdża w poczcie sztandarowym we wzburzone i obludzone fale Bałtyku.

Jasiek już jako ojciec przekazuje synom zdobyte w wojsku umiejętności i praktyki. Chwali bardzo dobrze zorganizowane

ćwiczenia i manewry, jakie odbył w Centralnej Szkole Jazdy w Grudziądzu i na poligonach. Mając sposobność prezentuje synom jazdę wierzchem, walkę szabłą, ćwiczenia lancą, przeróżne pozycje jazdy konnej, stępa, kłus, cwał. Czyni to wszystko zwinnie, sprawnie, rytmicznie i z wielkim zaangażowaniem i ułańskim żywym błyskiem w oku... Ta ułańska szkoła oraz ważne miejsca, trasy i garnizon między bydgoskimi błoniami, a wreszcie polskim morzem, wywierają wielki wpływ na bardzo już zasłużonego żołnierza. Później, po latach na Pomorzu i Krajnie, każda przejażdżka saniami, wozem czy bryczką jest okazją do wspomnień lat młodości przez prawie sześćdziesiątka.

Legionista Jasiek ponownie jest potrzebny Ojczyźnie z powodu wojny polsko-bolszewickiej. Rozkaz wymarszu na front wschodni nasz Pułk Ułanów otrzymuje 9 marca 1920 r. Wyjeżdża z Bydgoszczy transportem kolejowym 20 marca. Tak więc ułan Jasiek w kolejnym już czwartym roku wraca do Małopolski Wschodniej w rejon Podhorec. Żołnierze do października ofiarnie i mężnie walczą pod Beresteczkiem, Brodami, Koziatyniem i Szczurowicami, a w kolejnej fazie wojny i Bitwie Warszawskiej — pod Białymstokiem, Niemirowem, Wisznicą i Wieprzem; później pod Lidą, Rakowem i Krzywiczami. Ofensywa połączonych wojsk polskich i ukraińskich zwana wyprawą kijowską, prowadzi do zdobycia Kijowa.

Okres maj–wrzesień w 1920 r. to czas największego nasilenia walk. Intensywne starcia toczą się w okolicach Sokala, Krystynopola, Ostrowa i Głuchowa, które Jaś wybierze po wojennych zmaganiach na najważniejsze miejsce życia swojej rodziny.

Jasio jako ułan 16. Pułk Ułanów Wielkopolskich zawsze szczególnie czci święto pułkowe na pamiątkę boju pod Szczurowicami — lipiec 1920 r. Bitwa była nie tylko ciężka, ale i najbardziej zaszczytna. Toczyła się przeciwko I Konnej Armii Budionnego. Jest dramatyczną próbą zatrzymania przez ułanów oddziałów Armii Budionnego szarżujących na zachód; na Lwów, Lublin, Zamość, Hrubieszów... W boju tym pułk i jego żołnierze wykazują najwyższy hart ducha oraz determinację godną podziwu i najwyższej chwały.

Bitwa pod Szczurowicami dla 16. Pułku Ułanów właściwie trwa 3 dni; zaczyna się 26 lipca dla formacji, która walcząc w szyku pieszym i konnym zwycięża bolszewickie oddziały konne (kilkukrotnie szarżuje i przejmuje sztandar 36. Pułku Kawalerii). Zdobywa wraz z 2. Pułkiem Szwoleżerów dobrze umocnioną wieś Szczurowice. Cały następny dzień to trudna walka o utrzymanie tej miejscowości. 28 lipca Budionny kieruje na Szczurowice cały ogień swojej artylerii. Nawała ogniowa która trwa kilka godzin powoduje duże straty wśród ułanów. Polacy udaremniają wszystkie próby sforsowania przez bolszewików mostu na rzece Styrze. Wieczorem, po trzech dniach ciężkich walk pułk zostaje zluzowany przez szwoleżerów. Siły główne rosyjskiej I Armii Konnej zostają okrążone w rejonie Brodów, a bitwę przerywa rozkaz Wodza Naczelnego Józefa Piłsudskiego. Ułani z Grupy Operacyjnej otrzymują, ze względów strategicznych, rozkaz manewru odwrotu. Ostatnim akordem bitwy jest opanowanie Brodów przez stronę polską.

Rosyjska I Armia Konna nie została wprawdzie rozbita, jednak została pobita w takim stopniu, że musiała wycofać się za rzekę Ikwę, czyli na odległość 60–100 km. Bitwa — chociaż zwycięska, to jednak taktycznie nierozstrzygnięta (ze względu na pilny rozkaz), daje naszej stronie przewagę operacyjną. Wódz Naczelný Józef Piłsudski zdecydował o szybkim przerzuceniu najlepszych polskich jednostek z południa (ukraiński obszar operacyjny), na północ, nad Wieprz, Wisłę i Wkrę, celem użycia ich w Bitwie Warszawskiej. Okazało się, że dzięki takiej ofensywie zdobyto bardzo potrzebną, wręcz cudowną przewagę nad bolszewikami.

Stoczone krwawe bitwy z konną armią Budionnego (od 26 lipca do 3 sierpnia 1920) pod Beresteczkiem, Brodami, Szczurowicami, Stanisławczykiem, Brodami i Jazłowczykiem były najkrwawsze w całej wojennej historii pułku.

Pułk potrzebny do walk o Warszawę „przerzucono” kolejną do Lublina, gdzie wchodzi w skład nowo powstałej IV Brygady Kawalerii pod dowództwem płk dypl. Adama Nieniewskiego.

W Bitwie Warszawskiej Jasiek i ułani naszego pułku walnie uczestniczą i dzielnie walczą w akcjach i bojach grupy środkowej

gen. Rydza-Śmigłego. W czasie obrony Warszawy Naczelny Wódz Józef Piłsudski użył tę grupę do ubezpieczenia prawego skrzydła 4. Armii i uderzenia na linię Parczew–Białą–Podlaską–Białystok, celem odcięcia odwrotu armii sowieckiej. Pułk Jasia rozpoczął działania z całą grupą świtem 16.08.1920 roku. Po 6 dniach i nocach bezustannych bojów, potyczek, zagonów i marszów pułk osiągnął z dużymi sukcesami nakazany cel — BIAŁYSTOK.

Z większych bojów stoczonych przez ułanów pułku podczas kontrofensywy są bitwy pod: Wisznicą, Niemirowem i Daszami oraz szczególnie ważną w historii pułku bitwa pod Mielejczycami. Tutaj nasz pułk przyczynił się do zlikwidowania rosyjskiej grupy uderzeniowej artylerii ciężkiej, przeznaczonej do bombardowania Warszawy. Rotmistrz Stefan Czarnecki nocą odcina artylerii sowieckiej drogę odwrotu zajmując miejscowość oraz mobilizuje obronę. Szarża szwadronów z brygady kawalerii polskiej dokonuje pogromu sowieckiej artylerii. Traci ona 37 dział, 1662 ludzi i 1441 koni. Nasi kawalerzyści zawsze czujni, sprawni i odważni, nieustannie prowadzą dalsze rozpoznanie, ubezpieczenie oraz pościg za rozbitym nieprzyjacielem.

Bitwa Warszawska określana później jako Cud nad Wisłą — to zasadniczo bitwa na przedpolach Warszawy w dniach 13–25 sierpnia 1920 roku toczona podczas wojny polsko-bolszewickiej. Zadecydowała o niepodległości Polski oraz przekreśliła plany rozprzestrzenienia rewolucji bolszewickiej na Europę Zachodnią.

Po niej nastąpiła operacja niemeńska, czyli wiele osobnych bitew o wymiarze taktycznym wraz z etapem działań pościgowych za armią sowiecką, którą ułani rozpoczynają 20 września 1920 r. Na czele grupy szarżuje 4. Brygada Jazdy ppłk Adama Nieniewskiego i zmiata oddziały litewskie. Zdobywa nietknięty most na Niemnie w Druskiennikach. Polacy rozbiją dwa litewskie pułki piechoty, biorą w niewolę ponad 1700 jeńców, 12 armat. Wyzwalają też Sejny, przejmują Marcinkańce i docierają aż do Porzecza. Bolszewickie oddziały na skutek niewłaściwego rozpoznania (m.in. braku lotnictwa) uderzają w miejsce, gdzie Polaków już nie ma. Z kolei osłabiona obrona pozycji Niemna nie wytrzyma polskiego natarcia. Sprawnie wykonano manewry na Lidę

oraz udany ułański zagon na Krzywicze. Zwycięskie bitwy powodują odebranie armii sowieckiej kolejnych miejscowości, w tym Druskiennik, Kopciowa, Krzywicze. Zawieszenie broni zastaje pułk w Głębokiem.

Traktat ryski w roku 1921 (podpisany 18 marca, wszedł w życie 30 kwietnia 1921 r.) kończy wojnę polsko-bolszewicką.

W połowie listopada 1920 roku pułk powraca transportami kolejowymi do Bydgoszczy. Przepięknym świętem staje się uroczyste powitanie 16. Pułku Ułanów Wielkopolskich na Starym Rynku w Bydgoszczy po zwycięskich walkach z Armią Czerwoną (25.11.1920).

Wielkim uznaniem, szacunkiem i zaszczytem przyjmujemy honorowanie imieniem 16. Pułku Ułanów Wielkopolskich szkół, ulic, pomników, tablic w wielu miejscowościach, w tym w Bydgoszczy, Nakle, Grudziądzu itp. Polacy uszczęśliwieni Wolnością chcą nagradzać żołnierzy; dziękują za trudy wojny, krew i waleczność wybawicielom.

Warto przywołać przy bitnych ułanach także ich najbliższego przyjaciela, z którym Jasiek jak i każdy inny kawalerzysta jest zawsze ściśle zjednoczony i od niego zależny. To koń, który jest nie tylko siłą pociągową wojska i środkiem lokomocji ułana, ale także współtwórcą jego sukcesów i zwycięstw, świadkiem trudów, głodu, chłodu, ran, klęsk i upadków. W codziennych trudach i obowiązkach żołnierskich kawalerzystów, koń stawiany jest zawsze na pierwszym miejscu. Najpierw koń jest czyszczony, karmiony i oporzędzany, a dopiero później żołnierz zaspakaja swoje potrzeby bytowe. Przez parę lat przyuczany do służby w szeregu, na ujeżdżalni, w polu, w marszach czy na postoju, koń staje się „druhem — starym żołnierzem”, reagując bezbłędnie na każde komendy wojskowe.

Ojciec z wielkim szacunkiem, zawsze galowo i patriotycznie świętuje ważne dni jego życia; 26 lipca Święto Pułkowe (dzień św. Anny) oraz 15 sierpnia (Dzień Wojska Polskiego). Te niecodzienne dni poprzedzają wspomnienia i rozmowy o dzielnych kolegach i dowódcach, śpiewane piosenki żołnierskie i patriotyczne, oczekiwanie na świąteczne ciasto i obiad mamy z wyjątkowym rosołem.

Każdego roku Jasiek z rodziną uczestniczy w kościelnych uroczystościach odświętnie ubrany w garnitur, białą lub błękitną koszulę, elegancko związany i dopasowany krawat; buty wszystkich lśnią czystością — błyszczą polerowaną skórą, bo przecież oficerski ordynans każdego dobrym przykładem skutecznie wyuczył. Z Janem modlimy się za przyjaciół szwadronu i pułku, odmawiamy „Wieczny Odpoczynek” i rozpalamy płomyczki za poległych w bitwach żołnierzy. Nigdy nie zapomnimy o intencjach za pokój dla rodziny, bliskich, Polski i świata...

Drogi i powroty Wolności, Pokoju, Domu...

Demobilizacja setek tysięcy polskich żołnierzy po działaniach wojennych dzieje się w dramatycznych okolicznościach, jakie dotyczą naszego kraju. Występujące kryzysy polityczne, społeczne i ekonomiczne, a zwłaszcza brak pracy i ziemi dopełniają się szczególnie w regionach wiejskich.

Za wielki wysiłek, wytrwałość i odwagę Sejm tworzy spóźnioną ustawę o nadaniu ziemi żołnierzom Wojska Polskiego. Opóźnienie rozporządzeń, brak uzgodnień, bałagan, niedostatek ziemi oraz bieda i ogólny kryzys powodują, że setki tysięcy żołnierzy walczących w wojnie polsko-bolszewickiej z obiecanej im ziemi nie może skorzystać. Łączna liczba osadników wojskowych na Kresach Wschodnich była tylko niewielką częścią odsetka zamiarów, obietnic i oczekiwań.

Zdemobilizowany ułan Jasiek Chorabik późną jesienią 1920 roku powraca z wojska do domu w Brzączowicach pod Krakowem. Niebawem wczesnym przedwiośniem 1921 roku, rezerwista Jaś z matką i braćmi opuszcza przeludnione wąskie skrawki ziemi podkrakowskiej. Zdążają do Województwa Lwowskiego w dobrze rozpoznane i zauważone na wojennym 4-letnim szlaku, żyzne tereny wschodniej Polski.

Swoje życie Jaś wiąże z płynącą wodą; przypomina sobie czasy młodości i wojennej zawieruchy na nadrzecznych terenach, jak łowi pstrągi pod kamieniami Raby, wykorzystuje nurty rzek do obrony zdobytych frontowych stanowisk, czerpie wodę ze strug

i potoków dla konia, przekracza rzeki wierzchem i z ciężkimi armatami. Znad rzeki rusza na odsiecz Warszawie, gna brzegami rzek Moskali, skutecznie broni mostów.

To tutaj nad czystą i rybną Sołokiją wpadającą do Bugu, postawi zagrodę w Głuchowie. W tej pięknej okolicy kupują hektary żyznych pól i zielonych łąk. Te żyzne czarnoziemy po wojennej pożodze i parcelacji potrzebują uprawy pod wiosenne zasiewy, budowy domów oraz zabudowań gospodarczych. Każdy z braci potrafi budować niczym prawdziwy mistrz. Są przygotowani na spotkanie i wyzwania długiego i szczęśliwego życia. Mieszkają już w Polsce — wymarzonej i wywalczonej Ojczyźnie!

Chociaż powoli postępuje dzielenie wielkich majątków ziemskich, to jednak na nowe osiedla Głuchów i Kolonię Ostrów między Bełzem, a Sokalem przyjeżdżają osadnicy z Myślenic. Kiedy Jaś naprawia rozbity i zatopiony w rzece wóz rodziny Bałuków, widzi uroczą Stasię — Miłość Życia.

Gospodarstwo Jaśka pięknieje, zbiory są zabezpieczone w stodołę, a w budynkach inwentarskich drób, trzoda i bydło nadzorowane przez wiernego psa Ralfa. Ukochane i zawsze zadbane konie gotowe do drogi, przy eleganckiej bryczce odrestaurowanej we własnej stolarni.

Głuchów — to najpiękniejsze czasy szczęśliwej rodziny nad magiczną rzeką.

Jasiek Chorabik i Stasia 29 maja 1929 — ślubują miłość, wierność, szacunek i przyjaźń do końca swoich dni, a słów przysięgi dochowują wzorcowo.

Szczęśliwie wychowali ośmioro dzieci, gorąco kochali pojawiające się wnuki. Jasiek kochał i był kochany.

Rozpoczyna się kolejny jakże bezduszny i istotny okres życia ułana i jego rodziny. Tragiczny czas pożogi wojennej (1939–1945) oraz krwawych, nieludzkich represji ukraińskich odwetowców, zmusza rodzinę Jana do opuszczenia kresów. Ukochaną zagrodę w Głuchowie wszyscy żegnają ze łzami w oczach. Pierwsza ewakuacja odbywa się już wiosną 1942 roku do podkrakowskiej wsi. Wyjeżdża najstarsza córka Marysia i kuzynka Zosia z rodziną.

Z kolei Mama i siostry ogromnie wyczerpane oraz ogarnięte strachem, w Głuchowie i Brzączowicach ratują i żywią nie tylko swoją rodzinę, ale i innych na uciekinierce. Wielokrotnie kolejną z Ostrowa na Kresach do Krakowa transportowane są krowy, konie, zboże, warzywa, arbuzy, solone i wędzone mięso. Wokół płonących wsi, pośród ginących w męczarniach znajomych, w stałym zagrożeniu śmiercią, Jan uprawia i z trudem zbiera tam życiodajne plony do ostatnich chwil. Dla bliskich i rodziny trzy najbliższe lata to czas organizowania i ładowania oraz wysyłania znad Sołokii ocalonych płodów. Na tym przerażającym przyczółku Jan jako jedyny stolarz musi również dla wielu nacji, zdążyć obrobić trumienne deski...

Mama, bardzo często wraca wspomnieniami do swojego ostatniego wyjazdu z Głuchowa. Pomimo srogiej zimy i zamieci w 1944 roku okrutni okupanci na stacji kolejowej w Rawie Ruskiej wyrzucają z bydłowego wagonu ludzi z dobytkiem. Wszyscy z przerażonej rodziny są przygotowani na najgorsze — rozstrzelanie... Przez długie lata Mama Dziękuje Opatrzności i wdzięczna mówi, że tylko cud ocalił życie jej, maleńkiej córeczki Wandzi i nienarodzonego... Nie w pięknym domu; bez swojego dachu nad głową, na uciekinierce w Brzączowicach — 5 czerwca 1944 r. przychodzę na ogarnięty wojną, wynędzniały i walczący świat — ja Władysław Jan Horabik, syn Jana.

Przez bardzo długi powojenny czas wegetujemy z rodziną w ciągłym oczekiwaniu. Wierzymy, że w niedalekim czasie powrócimy jak do „raju” na swoje ziemie i gospodarstwo na Wschodzie. Nowa władza zabrania jednak powrotu na Kresy — rzeka Sołokija staje się rzeką graniczną polsko-ukraińską od 1944 r.; podobnie jak w przeszłości jako granica niemiecko-rosyjska (1939–41). Nadzieje, na wymarzony powrót, z każdym dniem powojennej tułaczki, gasną...

Rodzina Jaśka cudem ocalona z gromadką dzieci, pozbawiona wszystkiego co materialne, za utracone gospodarstwo i warsztat w Głuchowie, ma otrzymać odpowiednie gospodarstwo na ziemiach odzyskanych. Repatriantom przyznano nieopodal obejsia

rodziny Bałuków, samodzielne, zadbane gospodarstwo w Klawku na Krajnie (poznanej i wyzwalonej w 1920) nad rzeką Łobżonką pod Wyrzyskiem. Jest tam urodzajna ziemia, wypełniona trzodą obora, elektryczność, łąka i las na pobliskich stokach.

Zmaltretowanych wielodniową podróżą, zziębniętych, głodnych i spragnionych „przywitał” jednak Polak z kresowym akcentem i siekierą. Rodzina nasza jeszcze przez lata ściszym głosem wracała do przerażających obelg i groźnych krzyków: To wszystko jest moje! Nikt tu nie wejdzie! Kto stopę na podwórku postawi — zginie!, dziecko, gdy zaśnie w stodole z dymem uleci, nie doczeka świtu...

Żadnej litości... żadnej pomocy... Przez łyzy i przejmujące łkanie wiatru, docierają fragmenty biblijne o uciekającej przed Herodem, Marii z Józefem i Nowonarodzonym... Kochana Mama potrafi znaleźć przypowieść dla każdej radosnej chwili i do każdego dramatu...

Zdruzgotani i przerażeni powlekli się jesienną słotą do Gromadna, gdzie wszystko przeczy oczekiwaniom i zapewnieniom. Tam przydzielono gospodarstwo wygnańcom z Litwy i Galicji i upchano w nim dwie wielodzietne wielopokoleniowe rodziny. Zabudowania są bardzo odległe od wsi, szkoły, sklepu, kościoła, drogi... Dom, piwnica, stodoła, obora, podwórze, wychodek, ogród i stajnia — wszystko niepewne, wyszabrowane, byle jak dzielone. W okolicy poszatkowane piaszczyste pola, suche i jałowe, bez własności, bez inwentarza, prądu, wody; żadnej łąki, żadnej rzeki w pobliżu...

Pomyśleli — taka Twoja Wola Panie... za jakie przewinienia... za czyje grzechy...

A może to znak... znak może bliskiego powrotu na żyzne czarnoziemy Głuchowa... Niestety, te marzenia, nadzieje, modlitwy i zaklęcia nigdy się nie spełniły...

Całe życie, bogate doświadczenia, dokumenty, historie, odznaczenia i radości szlaku legionowego, szczególnie wojny polsko-bolszewickiej musiały zostać zapomniane, zniszczone podczas powojennej czarnej nocy... Przez wiele lat stalinowskiego terroru, ubeckich akcji, prześladowań i codziennych zagrożeń każdy odna-

lezione dokument, znak, mundur, zdjęcie czy medal mógł unicestwić całą rodzinę dzielnego ułana. Po okresie wojny w kwestionariuszu urzędowym jedynie oficjalnie Jan przyznaje się do tego, że w latach 1922–1924 był powołany w Zamościu jako rezerwista do służby w Wojsku Polskim.

Jan Chorabik (1.06.1901–15.09.1981) — legionista w latach 1917–1920 uczestniczył w wielu heroicznych bitwach. Na ułańskim szlaku przywracał mieszkańcom wyzwolanych miast i wsi nadzieję i wolność. Przemierzył i poznawał piękne piastowskie ziemie od gór po morze.

Dziękujemy Jemu i wielu odważnym i ofiarnym żołnierzom polskim za bohaterską, zwycięską walkę o powrót zniewolonych terenów do Macierzy.

Warto za sprawą historii życia Jaśka spojrzeć wstecz, zrozumieć jakże trudne były czasy minione. Te w wielu przypadkach tragiczne doświadczenia, bolesne nauki życia, pozwolą nam dorosnąć i zmądrzeć. Tę historię pisali nasi przodkowie. Ulański szlak Jaśka Horabika to patriotyczny udział naszego ojca, dziadka i pradziadka w odzyskaniu Ojczyzny, to jutrzeńka „Cudu nad Wisłą”. Jest on i będzie zawsze powodem dumy dla nas wszystkich. Pozwala pamiętać, że „wielka historia” naszego narodu, rozpoczyna się w małych miasteczkach i wioskach, których bezimienni mieszkańcy składają ofiarę swojego życia, potu i krwi na ołtarzu Ojczyzny.

*Władysław Horabik, syn Jana i Stanisławy
Bydgoszcz, luty 2018*

Spadek

Po wielu latach, już po śmierci rodziców, Sąd Wojewódzki w Bydgoszczy ustanowił, że dzieciom Jana i Stanisławy Horabik należy się spadek z powodu odebrania im ziem i budynków przez ZSRR.

Tylko jak i gdzie go odebrać? Komu zabrać? A kto ci go da? Czy można wymagać, by nasza wciąż biedna i stale rozkradana Ojczyzna na tym ucierpiała? Chyba nie godzi się.

Tak stwierdziła również Maria, która najwięcej ucierpiała i dobrze знаła to, co straciliśmy.

— Gdyby to Rosja czy Ukraina poczuwała się do wypłacenia odszkodowania, to inna sprawa — mówiła.

W dzisiejszych czasach to nierealne. Chociaż niektórym ludziom podobno się udało.

W Głuchowie zostały zakopane klejnoty, a myśmy po wojnie biedę klepali. Chociaż do dziś krążą opowieści o tym, że niektórzy Polacy w czasie wojny bardzo się wzbogacili. Czasami, gdy głód zaglądał nam w oczy, marzyło się o tamtych przedwojennych dobrych czasach. To chyba ludzka rzecz.

Po wojnie władza ludowa uparczywie wymuszała przekazywanie gospodarstw rolnych do spółdzielni produkcyjnej. Rodzice nie ulegli tym presjom. W latach stalinowskich było szczególnie ciężko, gdyż wysokie podatki i niemały kontyngent należało odstawić państwu, prawie za bezcen. Na piaszczystej ziemi płody rolne były słabe. Egzekwowano wszelkie obowiązkowe dostawy zwierząt, mleka, wełny i zboża w wyznaczonym terminie. Zdarzało się, że jeszcze w polu żyto nie dojrzało, a już trzeba było odpowiednią ilość ton odwieźć do Gminnej Spółdzielni dla uczczenia święta państwowego 22 lipca, kiedy jeszcze nie ma żniw. Co robić? Kto nam pożyczy zboże?

Nie ma chętnych. Gdy skosisz żyto niedojrzałe, ziarno będzie mokre, bo nie ma czasu na jego wysuszenie. Takiego nie przyjmują i każą płacić karę. Tak źle i tak niedobrze.

Jeśli nie oddasz, pójdziesz do więzienia w Potulicach. Jeśli zabiorą ojca, mama nie poradzi sobie w gospodarstwie z małymi dziećmi.

Litr mleka

Na piaszczystych glebach przy suchych wiosnach zbiory zbóż były bardzo kiepskie. Jeśli nie starczało naszego zboża, prosiliśmy krewnych lub znajomych, by odstawili wymagane zbiory na nasze nazwisko za odpowiednią opłatą. Nie zawsze to się udawało.

Raz się zdarzyło, że do obowiązkowej dostawy zabrakło tylko jednego litra mleka. Tato leżał ciężko chory na zapalenie płuc, stan groźny przy toczącej go od kilku lat gruźlicy płuc. Nie miał siły wyruszyć po to mleko. A trzeba było oddać je do godziny ósmej rano w poniedziałek do skupu w Falmierowie, cztery kilometry od domu. W niedzielę po sumie pod kościołem mama pytała ludzi z okolicznych wiosek, gdzie można kupić litr mleka? Nikt nic nie wiedział.

W Gromadnie poprzedniego dnia też nie dostała mleka.

— Nie mieli? Czy może nie chcieli sprzedać? — zastanawiała się mama.

— Jeszcze nie byłam w Szczerbinie. Po drodze skrucę do Kościerzyny.

Wyszła w ciemną noc o godzinie czwartej, pieszo, około 6 kilometrów drogi. Niebo pięknie rozgwieżdżone, jasny księżyc lekko oświeśla pola. Jednak silny wiatr i tęgi mróz utrudnia oddech i szybsze dojście do celu. Co kawałek to przyspiesza, to chwilę odpoczywa, bo zmęczone nogi i skołatane serce nie pozwalają bez przerwy iść. Jednak udało się. Zdążyła kupić w Kościerzynie i zanieść ten bezcenny jeden litr mleka do mleczarni. Szczęśliwa zanoszi kwit do gminy. Jesteśmy uratowani. Teraz dadzą nam spokój, nie zabiorą taty do Potulic. Lecz mama bardzo się rozchorowała i przez kilka tygodni leżała w łóżku. Płakaliśmy często ze strachu o jej życie. Tym razem nawet nowenna nie pomogła. Wysoka gorączka, straszny ból gardła, ropne migdały. Przez trzy tygodnie nie mogła nic jeść i z wielkim trudem przeżywała kilka kropel wody.

Aż w Święta przyjechał w odwiedziny jej brat Janek, ojciec Zdzisława i Barbary. Jak zwykle przyniósł nam pyszne smakołyki i jak zwykle bardzo dużo opowiadał. Słuchając go, miałam wrażenie, że właśnie oglądam wspaniały film lub czytam interesującą powieść. Wszystkie dzieci babki Petroneli odziedziczyły po niej nieprzeciętny dar wymowy.

Mama leżała pod grubą pierzyną, bardzo umęczona przez długo trwającą chorobę. Przykro było patrzeć w jej smutne oczy i wychudzoną twarz. Staraliśmy się ją rozweselić. Wszystko na nic.

Przecież to już Święta, może mamę ucieszą kolędy?

— *Bóg się rodzi, moc truchleje... Podnieś rękę Boże Dziecię, błogosław Ojczyznę miłą...* — Jednak przy słowach *Dom nasz i majętność całą...* popłynęły nam łzy i każdy w cichości serca prosił Nowonarodzonego o zdrowie ukochanej mamy.

Żeby i mamę, i nas rozweselić wujek zaczął opowiadać różne anegdotki i śmieszne dowcipy. I to nic nie pomogło. Dopiero Janka wpadła na pomysł, abyśmy odegrali już wcześniej przygotowywane jasełka. Pod pachnącą lasem choinką dla mamy i wujka stworzyliśmy teatrzyk. Z przejęcia myliły się nam słowa i melodie.

Już nie pamiętam, podczas której scenki mama strasznie się roześmiała. Śmiała się i śmiała.

To niemożliwe, tak długo się śmieje? Coś się pewnie jej stało. Pytamy:

— Mamuś, co ci się stało? Co cię tak rozśmieszyło?

W oczach mamy widzimy radość, chce nam coś powiedzieć, ale nie daje rady. Siada, chrząka, bierze leżący obok niej ręcznik i trzyma go przy ustach. Po chwili odkłada i co widzimy? Ropa i krew.

— Bogu dzięki, jest uratowana! Pękły wrzody. Już będzie zdrowa, znów będzie taka jak dawniej!

Ralf i łoś złotego łubinu

W szkole w Falmierowie ogłoszono konkurs pięknego czytania. Janeczka zgłosiła się do niego. Czyta w domu, czyta w polu i reżyseruje małą inscenizację. Od rana pasie krowy i czyta. Cała w pąsach i zachwytach gra Kmicica z Jasnej Góry. Zna na pamięć każde zdanie, jutro stanie do konkursu. Na niebie dzisiaj żadnej chmurki, słońce praży niemiłosiernie, dokoła piękny zapach kwitnącego żółtego łubinu.

W południe, rozgrzana gorącym słońcem i odurzona trującym zapachem olejków eterycznych łubinu, już nie czyta, nic nie reaguje na psie zaczepki. Leży nieprzytomna z książką na brzuchu. Ciężka głowa, ciężkie oczy. Mądry Ralf już wie, że jego pani w niebezpieczeństwie. Pędzi po pomoc do domu, do mamy. Szczeka, skamle, prosi, błaga. Mama w kuchni gotuje obiad. Podaje mu picie i jedzenie. Nie chce. Nawet mięsa nie rusza. Dalej skamle i ciągnie mamę za spódnicę, ciągnie w kierunku pastwiska. Mama już wie, że mądry pies daje znak o jakimś nieszczęściu, że woła o pomoc. Biegnie więc za nim co sił w nogach. Nie widzi córki, nogi pod nią się uginają, resztkami tchu dobiega z wiernym psiskiem. Przy złotym łośie łubinu widzi konające swoje dziecko.

— Zbudź się Januś, zbudź, nie umieraj. Otwórz oczy. Życie przed tobą... nie umieraj!

Dziecko leży bez ruchu, bez oddechu, mama nie wyczuwa pulsu. Bierze córkę na ręce i niesie ją do domu wciąż z nadzieją, że ożyje. Poi ją wodą. Oziębła gorące ciało zmoczonymi w zimnej wodzie ręcznikami. Wreszcie córka odzyskuje przytomność i siły. Wierny i mądry Ralf ocalił życie Janeczki. Odtąd jest naszym bohaterem i prawdziwym przyjacielem.

Jajko

Skoro były obowiązkowe dostawy dla państwa po bardzo niskich cenach, a ziemia dawała marne plony, nietrudno sobie wyobrazić, że zdarzało się ograniczać niektóre potrawy domownikom. Mimo tych wszystkich trudów życia nie czuliśmy się nieszczęśliwi, ponieważ każde życie w pokoju jest nieporównanie lepsze niż to w czasie wojennej zawieruchy. Nadzieja na lepsze jutro nigdy nie opuszczała rodziców! To był ten wspaniały rys ich charakteru. Zawsze z optymizmem czekali na nadchodzące lepsze jutro.

Kiedyś przyjechała na niedzielę do domu Janka, która uczyła się krawiectwa i pracowała w Wyrzysku. Jak zwykle przynosiła nam wieści ze świata, opowiadała, co zdarzyło się u krewnych w Klawku, jaką książkę przeczytała, jaki film obejrzała. Tego dnia z zapartym tchem słuchaliśmy streszczenia romantycznego filmu radzieckiego pt. „Konik polny” i podśpiewywaliliśmy razem z nią wdzięczną melodię z filmu, którą przeplatała swoje opowiadanie. Było nam wesoło, bo i film był taki.

Nagle, nie przypominam sobie, co się zdarzyło w tej opowieści, jakie słowo na mnie tak depresyjnie zadziało, że poczułam bezgraniczny smutek. Cichuteńko wyszłam już przegnębiona z kuchni do pokoju, położyłam się na kanapę, a z żalu popłynęły mi strumienie łez. W żaden sposób nie byłam w stanie ich zatamować. Nie potrafiłam w sobie wykrzesać ani jednej wesołej myśli, która by przywróciła w moje serce radość i nadzieję na lepsze dni. Ponieważ dość długo nie wracałam do zebranych, mama i Janka przyszły zaniepokojone sprawdzić, co się ze mną dzieje. Mama pyta:

— Co ci to, Wandziu? Płaczesz? Co się stało? Ktoś cię skrzywdził?

Ja tylko wyszlochałam:

— Jajko... — a łzy płynęły dalej.

Dlaczego tak się działo? Wciąż byłam chuda, skóra i kości! Takie chucherko ze mnie czarne było, stale opalone od słońca.

W każdą sobotę, a bywało, że i częściej, mama przynosiła ze studni wodę, grzała ją w kilku garnkach, wlewała do ogromnej wanny lub balii i po kolei kąpała dzieci, zaczynając od najczystszeo. Gdy było zimno, ogrzewała nas ogniem z otwartego paleniska pieca kuchennego. Podczas jednej z kąpeli stwierdziła ze współczuciem:

— Jakaś ty chudziutka Wandziu, muszę cię lepiej karmić, bo jeszcze mi zachorujesz na gruźlicę! Obiecała mi wtedy, że raz w tygodniu dostanę jajko.

Bywało, że na przednówku co dzień jedliśmy suchy chleb z mlekiem, jeśli było lub posypyany cukrem i pokropiony wodą, by cukier w szkole nie spadał z kanapki. W lepszych czasach polany śmietaną lub posmarowany smalcem. Tylko w niedzielę było mięso, kiełbasa czy szynka po świniobiciu na święta.

No cóż... mija jeden tydzień, drugi, trzeci, jajka wciąż nie dostaję, bo trzeba je było oddać państwu. Nic nie mówię, tylko cierpliwie czekam, ale podczas wizyty Janki moja żałość wypłynęła łzami, i to gorzkimi łzami. Od tego dnia co tydzień otrzymywałam jajko, a jeśli zostało coś z obowiązkowej dostawy, to oczywiście częściej.

Ostatni grosz

Z domu często chodziliśmy do Górki Klasztornej, gdzie jest najstarsze Sanktuarium Maryjne w Polsce. Pielgrzymowaliśmy na wszystkie odpusty i ważniejsze święta. Podczas odsłonięcia cudownego obrazu Matki Boskiej Góreckiej zawsze ogarniało nas wzruszenie, a piękna pieśń powitalna, jak również pożegnalna, chwytiała za serce i wyciskała z oczu łzy:

— *Witaj Górecka Matko jedyna, uproś nam łaski u Twego Syna.*

Kilka razy jechaliśmy bryczką. Gdy było już nas coraz więcej, tato udekorował drabiniasty wóz gałęziami brzozy i pachnącego bzu z naszego ogrodu. Zaprząął konie i pojechaliśmy

do Górki wygodnie, całą rodziną. Po drodze zabieraliśmy pielgrzymów z mijanych wsi: Gromadna, Kościerzyny, Szczerbina, Kruszek. Było wesoło, śpiewaliśmy pieśni i piosenki. Dom i zabudowania gospodarskie w tamtych czasach zostawialiśmy bez opieki, z otwartymi drzwiami.

Jedno zdarzenie szczególnie zapadło mi głęboko w pamięć. Pewnego roku zachorowało prosię hodowane z przeznaczeniem na wyżywienie dla naszej gromadki. Drugie po odchowaniu trzeba będzie przymusowo oddać na kontyngent dla państwa. Rodzice bardzo się martwili, że tak ładnie uchowana sztuka zaraz padnie i uszczupli nasz jadłospis.

Nie pamiętam, jak to się skończyło, wiem tylko, że kiedy mamie zostało już tylko 20 zł i nie było żadnych szans na przypływ gotówki w najbliższym czasie, poszła do Górki Klasztornej, by dać ostatni grosz na mszę w intencji szczęśliwej śmierci dla całej rodziny.

Gdy ksiądz to usłyszał, spytał przestraszony:

— A co to ma się stać? Pani Chorabikowa, o czym pani mówi?

Wówczas mama opowiedziała o ciężkiej sytuacji. Ksiądz pieniędzy nie przyjął, kazał za nie kupić chleb dla dzieci, a mszę odprawił o błogosławieństwo dla rodziny, o zdrowie dla taty i poprawę naszego losu.

Jadą wozy kolorowe

W czasie mojego dzieciństwa przez naszą wieś dość często wędrowali Cyganie. Swoje tabory rozkładali przede wszystkim blisko wody nad jeziorem w Falmierowie przy figurze św. Jana, gdzie leżały pastwiska lub w Gromadnie na łączce z drugiej strony tego samego jeziora. Potem przejeżdżali do Kijaszkowa obok naszego domu. Ich wozy nie skręcały na polną drogę wiodącą do naszego domu, lecz zatrzymywały się przy skarpacech zielonych traw i łące zwanej Bielawki. Natomiast dwie

lub trzy kobiety dochodziły pieszo, by otrzymać coś do jedzenia, jak powiadały „dla głodnych naszych dzieci”, których mieli dużo. Pamiętam, że raz przyszedł Cygan, by sprzedać słynne cygańskie patelnie. Widziałam, jak mama dawała kobietom jajka, kurę i świeżo przez siebie upieczony bochen chleba oraz miseczkę smalcu.

A mnie strasznie się podobały cygańskie, sięgające ziemi barwne, zwiewne stroje, kwiaty we włosach, zawsze czarnych, długich i bardzo lśniących. Podziwiałam cudne, jedwabne spódnice i bluzki ozdobione falbankami, koralikami i złotem. Na dłoniach mnóstwo złotych pierścionków z pięknymi różnobarwnymi kamieniami szlachetnymi i bransoletki na przegubach rąk, a z uszu zwisające kolczyki. I ta ich niecodzienna wschodnia uroda wywodząca się z Indii.

Kolorowe, malowane wozy z okienkami, firaneczkami, przykryte daszkiem ozdobionym falbanką ciągnęły pięknej rasy zdrowe konie ubrane w bogatą, błyszczącą złotem, skórzaną uprząż. Było na co popatrzeć i było czego zazdrościć.

Zachwycaly mnie śpiewane przy płonącym ogniu ich tęskne pieśni i pełne wdzięku tańce. Wystarczyło, że ktoś z taboru zagrał na akordeonie czy harmonii albo wziął do ręki skrzypeczki, gitarę czy tamburyno i już zaczynała się pełna tajemniczego uroku zabawa.

U nich zawsze było wesoło. Czasami znad jeziora z wiatrem i do nas biegła ich cygańska muzyka, a gdy przejeżdżał pobliską drogą rozśpiewany tabor, szybko wchodziliśmy na strych, by na nich popatrzeć. Jak ja im zazdrościłam, jak bardzo chciałam być z nimi.

Pewnego majowego, a może czerwcowego dnia, pokonałam swoją wielką nieśmiałość i pobiegłam wąską polną ścieżką do miejsca, gdzie rozłożyli swoje tabory. To było pod wieczór, a przynęcił mnie smakowity zapach pieczonego w ognisku mięsiwa i cudowne, wesołe śpiewy. Być może byłam głodna, nie pamiętam, ale z pewnością ciągnęło mnie zawsze i wszędzie do muzyki, co pozostało do dzisiejszego dnia.

Poprosiłam ich, by mnie ze sobą zabrali, a oni odpowiedzieli, że mają dość swoich dzieci i mnie nie potrzebują. Poczulałam się bardzo zawiedziona. Na pocieszenie podarowali mi liche blaszany pierścioneczek.

Dzieci na służbę

Z pomocą rodzinie postanowiła przyjść bezdzietna ciocia Anna. Bardzo prosiła mamę, aby dała jej chociaż jedno dziecko. Jednak żadne z nas nie chciało opuścić rodzinnego domu. Było kilka prób, wszystkie na nic. Mama nas nie zmuszała.

Przez kilkanaście dni ja byłam u cioci, potem Władek i Wiesiek. I każde z nas wracało pieszo od wujostwa z Klawek 7 km do Gromadna, mówiąc:

— Wolimy biedę u mamy niż bogactwo i frykasy u cioci.

Władek przepłakał tam całą noc, a rano powiedział:

— Wolę suchy chleb u naszej mamy niż ciasteczka i szyneczki u cioci Haneczki.

Już w dzieciństwie tworzył rymowanki.

Cioci było bardzo przykro, bo nie miała dzieci, a tak bardzo pragnęła je mieć i kochać. Najdłużej u cioci w wakacje wytrzymał Staszek. Miał obiecaną nagrodę za pilnowanie krów na pastwisku, więc praca dawała mu trochę radości, a przede wszystkim nieco tłumiła tęsknotę za rodzicami i rodzeństwem, z którym przecież można spędzić mile czas, bawiąc się w różne, bardziej lub mniej wymyślne gry. Blisko pastwiska wujka znajdowało się pole saradeli oraz koniczyny PGR-u w Dobrzyniewie. Pomocnik wujka pewnego razu dał małemu Stasiowi lekcję nieetycznego czynu. Otóż pouczał go, żeby swobodnie pozwolił bydłu paść się na państwowym, a gdy przyjedzie dyrektor, niech udaje, że śpi. To się bracisz-kowi nie podobało, ponieważ rodzice uczyli go wręcz czegoś odwrotnego. Paść więc jak należy i do szkody bydłat nie dopuszczał.

Ale pewnego dnia rzeczywiście zasnął, a krowy weszły do smacznej koniczyny. Musiał to zauważyć objeżdżający na koniu swoje pola dyrektor i wkrótce zjawił się przed zasnym pastuszkciem. Gdy spostrzegł, że to mały chłopiec, w dodatku niewinnie śpiący, zmiękł i spuścił z tonu. Nie zrobił awantury, ale pouczył go, jak należy postępować.

Obiecana nagroda okazała się marna. Zamiast pewnej sumy pieniężnej, za którą mama wybrałaby potrzebną Stasiowi ciepłą kurtkę, ciocia dała mu cienkie i na niego absolutnie niepasujące spodnie.

W naszym domu panowała miłość i zgoda, wszystkim dzieliliśmy się sprawiedliwie i raczej bez oporów. Byłoby zbyt cukiernikowo, gdybym nie powiedziała, że owszem, drobne spory i kłótnie czy dąsy wśród dzieci też się zdarzały. Bywały przekomarzania czy mało znaczące skargi jednego na drugiego. Czasem ktoś na kogoś się naburmuszył. Wiadomo, nikt nie był i nie jest ideałem, każdy oprócz zalet miewa też swoje wady. Niezależnie od tego, pomagaliśmy sobie wzajemnie, staraliśmy się jedno drugiemu uprzyjemniać życie, sprawiając drobne radości. Wielkim szczęściem było pół dropsa lub landrynki po powrocie mamy z miasta po zakupy, najczęściej z Wyrzyska lub Łobżenicy. Chodziła tam pieszo, bo samochodu ani autobusu nie było wiele lat po wojnie, a tato nie zawsze miał konia lub czekała go pilniejsza robota w gospodarstwie. Z niecierpliwością zawsze czekaliśmy na jej powrót. Wchodziliśmy na strych, by przez okienko szybciej ją ujrzeć albo w pole na górkę, skąd widać było dalej. Gdy na horyzoncie zaświtała znajoma, kochana sylwetka biegliliśmy na przełaj przez pola jak opętani, by ją jak najszybciej przywitać i pomóc nieść ciężkie rzeczy. A niosła m.in. naftę, cukier, sól, chleb, choć częściej sama go piekła. Dopóki sił starczało i było nas w domu więcej, mama piekła chleb na kilka dni w dużym piecu chlebowym w wolno stojącym budynku piekarni. Po wyjęciu upieczonych bochenków chleba, jeszcze wysoką temperaturę pieca wykorzystywała na pieczenie ciast i gołąbków z kapusty faszerowanej kaszą okraszoną smacowym mięsem, najczęściej jagnię-

ciną. Zawsze z kawałka ciasta chlebowego na blasze kuchennej piekła wyborne podpłomyki, którymi nas raczyła zanim upiekł się chleb. Cudowny zapach i znakomity smak maminych gorących bochenków chleba jeszcze czuję do dzisiejszych dni.

Dzięki miłości, jaką nas rodzice otaczali, nasze dzieciństwo nie było smutne. Tato nie robił awantur, z wielkim szacunkiem i serdecznością odnosił się do mamy. Gdy był zły na nie pogodę, na nieurodzaj, na suszę, na sąsiada lub zmarłwiony czyjąś chorobą, to milczał. Wszystkie smutki przeżywał w milczeniu i zatracił się w robocie. Za to mama była dla nas radiem i telewizorem. Stale z nami rozmawiała na wszelkie tematy dotyczące teraźniejszości lub przeszłości. Snuła też marzenia o lepszej przyszłości dla nas. Interesowało ją wszystko: literatura, polityka, historia, geografia. Czytała wiele książek i czasopism. Dopiero 27 lat po wojnie doprowadzono do nas linię energetyczną i nie trzeba już było odrabiać lekcji przy lampie naftowej. Rodzice kupili telewizor i żelazko. Przedtem słuchaliśmy radia na baterie. Na bieżąco znaliśmy sytuację w kraju i na świecie, uczyliśmy się też wielu nowych piosenek. Ludzie lubili rozmawiać z Chorabikową, bo dużo się od niej dowiadrywali. Przyjechała przecież z daleka, przejechała taki szmat ziemi polskiej i ukraińskiej. Umiała i chciała opowiadać o tamtych stronach, o zwyczajach i obyczajach ludzi z Południa Polski i ze Wschodu. Lubiła służyć potrzebującym radą i pomocą. Była obdarzona niezwykle charyzmą. Dla wszystkich bardzo życzliwa, do nikogo nie czuła urazy, wszystkich usprawiedliwiała za ich słabości czy wady. Bardzo lubiliśmy z nią przebywać, bo przy niej nigdy nie było nudno. Chętnie dzieliła się swoimi myślami, nigdy nie narzekała, że jej ciężko, choć przecież często tak było.

Pamiętam, jak bardzo cieszyła się, gdy kiedyś w nocy usłyszała w radiu, że na zachodzie Polski koło Lubina odkryto złoża miedzi. Mówiła:

— Jak dobrze, ludzie będą mieli pracę, zarobią pieniądze i poprawią swój los!

Nie myślała tylko o sobie, cieszyła się szczęściem innych, a smuciła ich zmartwieniami.

Jeśli tato zbyt często wymagał od nas ciężkiej roboty, mama wstawiała się za nami. Pamiętam, że gdy tylko zobaczył nas wracających ze szkoły, zaraz wołał, abyśmy szybko rzucali tornistry i biegli do młocarni odgarniać słomę lub podawać snopki, bo za stodołą czeka już zaprzężony koń w kieracie. Wystarczy wziąć lejce i powiedzieć mu „Wio, Kary, wio, Gniady”. Mama jednak podawała nam obiad, a tatę prosiła, by odpoczął jeszcze trochę.

Jesień i zima, wiosna i lato, nieustannie była praca w gospodarstwie. Latem trzeba było wstawać o wschodzie słońca lub wcześniej, żeby o rosie z wiązać snopki, bo gdy słoma jęczmienna za sucha, to powróło pękało i trzeba było się bardzo namozolić, aby z wiązać snopek. Ileż mieliśmy powbijanych ostów i bąbli na rękach! Jak bardzo pokłute mieliśmy i ręce i nogi! Nikt chyba nie uwierzyłby, gdybym powiedziała, że robiliśmy to z wielką ochotą czy radością. Oczywiście buntowaliśmy się wewnętrznie, by rodzicom nie przydawać smutku, czasami ktoś się ociągał, ktoś zrobił bardzo złą minę, jednak wiedzieliśmy, że ta robota i tak nas nie ominie i jeśli ją wcześniej wykonamy, wcześniej będzie odpoczynek. W wiosce sąsiedzi mogli sobie wzajemnie pomagać, u nas to było niemożliwe.

Mama bardzo dbała o to, aby nie stygła rodzinna więź. W wakacje dość często odwiedzaliśmy krewnych w Klawku. Pomagałam tam zrywać porzeczeki, płatki róż na konfitury, a z dziadkiem Janem chodziłam na pola i łąki, zbierać kwiaty dziewanny oraz innych leczniczych ziół. Na pierwszą komunię otrzymałam od dziadków niecodzienny prezent, parkę prosiaczków. Bardzo ucieszyło to rodziców. Myślę, że i mnie trochę, bo wiedziałam, że po odchowaniu jedno sprzedamy, a z drugiego będą smakowite obiady i kolacje.

Domowe porzekadła

W rodzinie krążyła anegdota o „sprawiedliwym” podziale, którego bohaterem był jeden z wujków, taki trochę życiowy filozof.

Łodówek wówczas nie mieliśmy, bo i prądu nie było jeszcze długo. Rodzina umawiała się więc, by świniobiecie robić kilka razy w roku i dzielić na trzy rodziny. W ten sposób jedliśmy częściej świeże mięso i jego przetwory.

Pewnego razu swoją tuszkę dzielił wuj. I tak: Stasi — ucho, sobie — ryj, ucho-ryj. Co oznaczało, że lepsze części zostawały u niego, gorsze oddawał nam.

Od tego czasu powiedzenie *ucho-ryj* bardzo nas rozśmieszało i krążyło w naszej rodzinie jako symbol niesprawiedliwego podziału.

Oprócz rodzinnego *ucho-ryj* krążyły jeszcze inne znane powiedzenia. Jeśli ktoś zmarnował swój majątek, przehulał, przepił albo źle obracał zdobytymi lub odziedziczonymi pieniędzmi, mówiono: *Diabli wzięli Furdasówkę*. To powiedzenie jest zaczerpnięte ze *Starej bajki* Bolesława Prusa, w której autor opisuje historię utraty wielkiego majątku sędziego Furdasińskiego, przez jego syna hulakę.

Jeśli ktoś stracił, dołożył do interesu, poniósł uszczerbek, to: *Wyszedł na tym jak Zabłocki na mydle*, który dla uniknięcia cła podczas spławiania towarów Wisłą do Gdańska ukrył pod dnem łodzi skrzynie z kosztownym mydłem i cały przemycany towar woda mu w drodze wymydlila.

Nie znam genezy czwartego porzekadła: *Nie tak łatwo w kościele gwizdać*, które też dotyczyło napotykania trudności w rozwiązywaniu jakiegoś większego problemu. Małą Jancię tato nauczył pięknie gwizdać. Postanowiła osobiście sprawdzić czy to, co mówią często dorośli, jest rzeczywiście prawdą. Dwie niedziele z rzędu zabierała się do gwizdania, ale jakoś nie zdobyła się na ten czyn, zabrakło odwagi. Ale w trzecią twardo postanowiła o tym się przekonać. Po błogosławieństwie księdza

odprawiającego mszę, gdy tylko ludzie zakończyli pieśń, gwizdnęła raz i drugi, udało się.

— Sprawdzę jeszcze drugim sposobem — myślała. Teraz włożyła dwa palce do ust i znowu udało się jej bardzo głośno i długo gwizdnąć. Od tej pory już wiedziała, że dorośli także kłamią.

Kopanie torfu

Po torf na opał jeździliśmy wozem konnym na łąkę do Bąkowa koło Osieka nad Notecią. Węgiel był bardzo drogi i zbyt mało przydzielano nam go z urzędu. Kopanie torfu było bardzo ciężką pracą dla schorowanego taty. Wykopane ręcznie odpowiednią łopatą czarne „cegły” ziemi układaliśmy w kratkę, aby wyschły do palenia w piecu.

Tato kosił też tam kosą trawę, a myśmy ją po kilku dniach podsuszoną przewracali, by siano było pachnące i suche, zdrowe dla bydła. Ja często układałam siano i zboże na wozie lub przyczepie, aby je zwieźć do stodoły lub stogu. Zdarzyło się, że taka fura przechyliła się i jej część wysunęła się poza wóz. Trzeba było układać od nowa, a nie było to takie proste. Przypominam sobie, że kiedy byłam już panną licealistką i chłopcy z Wyrzyska mnie znali, to jadąc przez miasto kładłam się płasko na sianie, by mnie nie ujrzeli, trochę się wstydziałam. Gorzej było, gdy na wozie znajdował się torf i nie było się gdzie schować.

Ciężkie były wykopki ziemniaków przy jesieni zimnej i deszczowej, nielekkie hakanie i przerywanie buraków cukrowych i pastewnych, jednak o wiele cięższe wyrywanie ich i obcinanie liści w październikowe a nawet listopadowe dni, gdy już mróz ścinał deszcz w lód, a ziemia zamarzała. Jednak najobrzydliwsze było zbieranie stonki i jej larw do słoików, brrr... Trzeba było zniszczyć szkodniki, by ochronić ziemniaki. Nie lubiłam wyrzucać obornika ze stajni ani go rozrzucić

w polu, fetor gnoju obezwładniał mnie. Jednak wszystko się zniosło, bo wieczorami z ochotą czytaliśmy książki przy lampie naftowej. Przeważnie jedno z nas czytało na głos, a reszta, wykonując ciche prace domowe, słuchała poezji Marii Konopnickiej, *Quo vadis*, *Trylogii* lub *Krzyżaków* Sienkiewicza, powieści Kraszewskiego, Prusa, *Chatę wuja Toma* i wiele, wiele innych książek. Biblię — Stary i Nowy Testament mama знаła bardzo dokładnie i denerwowało ją, gdy ksiądz na kazaniu powiedział coś niezgodnego z prawdą ewangeliczną. Bardzo lubiliśmy czytać! Mama podczas lektury cerowała odzież i łątała nawet worki na zboże, zaczynała ciasto na ciasteczka. Gdy spracowanego tatę morzył już sen, kazał nam też iść spać, bo nie chciał uronić ciekawego wątku opowieści.

— Dzieciska, jutro trzeba wcześniej wstać, roboty huk i do szkoły musicie wczesnym rankiem iść. Prędko, prędko do łóżek. Już, już.

Często czytaliśmy z latarką pod pierzyną. Dużo książek wypożyczaliśmy z biblioteki, ale także mieliśmy sporą własną biblioteczkę, która niestety po śmierci rodziców zaginęła. Przez lata książek przybywało, więc ojciec zrobił na nie specjalny regał. Bardzo rzadkie były wieczory bez czytania, zdarzały się jednak po ciężkiej młócce, długich wykopkach, gdy ze zmęczenia marzyło się tylko o wyciągnięciu się w łóżku. Jednak nigdy nie udało nam się wymigać od wspólnego, długiego, wieczornego pacierza na kolanach. Rodzice byli bardzo religijni, babka Petronela chyba aż do przesady. Dopóki mieszkaliśmy u rodziców, to codziennie chociaż jeden przedstawiciel rodziny musiał uczestniczyć we mszy świętej. A nabożeństwa majowe, czerwcowe, różańcowe w październiku, roraty w adwencie przed Bożym Narodzeniem, drogi krzyżowe w piątki podczas postu przed Wielkanocą — w nich musiał brać udział kto żyw i zdrowy, nie bacząc na złą pogodę i długą drogę do wsi. Lubiliśmy te praktyki religijne, gdyż po pierwsze, jesteśmy wierzący i praktykujący, a po drugie w kościele się odpoczywa, nikt nie goni do pracy, można sobie pośpiewać, a śpiew wszyscy lubiliśmy. W kościele jest taki wyjątkowy na-

strój, człowiek może bardziej zbliżyć się do Boga i przemysleć wiele spraw natury duchowej.

Wizyta Niemca

Nasza wioska — Gromadno leży pomiędzy Wyrzyskiem a Łobżenicą. Okoliczne wsie to Falmierowo, Kościerzyna, Szczerbin, Kruszką, Kijaszkowo, Młotkówko, Młotkowo i Czajcze. Przydzielony nam ponemiecki dom z zabudowaniami gospodarskimi i 10,65 hektarami ziemi stał w szczerym polu, prawie dwa km od wsi. Po Niemcu w pokoju został stół z szufladką i 2 stoliki nocne wraz z toaletką z marmurowym blatem. W jednym budynku gospodarskim tato urządził warsztat stolarski. Wszystkie prace stolarskie wykonywał ręcznie przy użyciu prostych narzędzi, bo nie było tam jeszcze elektryczności.

Gromadno leży nad rybnym jeziorem. Na naszych polach były trzy nieduże stawki, które mama zarybiała narybkiem kupionym od rybaków. Bywało, że gdy się rozmnożyły, w tych stawkach koszykiem czerpaliśmy ryby zjadane z wielkim apetytem. A koszyki robił również nasz tata — „złota rączka”. Skąd miał wiklinę? Kilka wierzb rosnęło nad naszymi stawkami. Po obcięciu starego konaru odrastały piękne młode wiotkie gałązki. Ale pamiętam również, jak pewnego roku w płocie odgradzającym gospodarstwo i sad ze starości spróchniało kilka słupków podtrzymujących sztachety. Tato wymienił je na paliki z wierzb. Po jakimś czasie palik się ukorzenił w ziemi, a w górnej części wyrosły piękne gałązki wiklinowe. Właśnie z nich można było zrobić koszyk na różne płody z gospodarstwa. Był też koszyk półokrągły, którego jedna prosta ściana przylegała do pleców i w nim można było znosić większe ciężary z pól.

Mniej więcej dwadzieścia lat po wojnie do swojego domu przyjechał przedwojenny właściciel Herman Krauze. Na stół postawił pół litra wódki. Rodzice nigdy nie pili wódki, więc

i teraz nie chcieli się nią poczęstować. Opowiedział, jak tu było przed jego wyjazdem, jakie meble zostawił, jaką trzodę chlewną. Pytał, jak sobie dają radę, obszedł całą swoją posiadłość. Rodzice podejrzewali go o inne plany:

— Jasiek, mnie się zdaje, że on chce tutaj powrócić. Co my teraz zrobimy? Gdzie się podziejemy? Kto nas przygarnie? Znowu kolejna tułaczka?!

— Nie martw się Stacha, nie upadaj na duchu. Może jeszcze gdzieś w Polsce są wolne gospodarstwa, a jeśli nie, to mam w ręce fach i gdzieś przyjmą mnie do stolarki.

Kiedy się okazało, że Niemiec nie ma w planach powrotu do Polski, rozkołatanе serca się uciszyły i wróciły do właściwego rytmu.

Zostały tylko wspomnienia

Gromadno... tyle tam życia spędzonego, dzieciństwo i młodość. Tyle przeżyć wesołych i bolesnych, tyle marzeń i pragnień. Wrosłam tam jakby korzeniami. Jeszcze dzisiaj, cokolwiek mi się śni, prawie wszystko zdarza się tam, na podwórku, w domu lub jego okolicy, na naszej zielonej łące ubarwionej przepięknymi, polnymi kwiatami, nad stawami lub w naszych laskach albo polach kolorowych od maków czerwonych, błękitnych chabrów, szafirowych ostróżek, żółtych kaczeńców czy mleczków. Obok domu rosły bzy białe i liliowe, ulubione przez mamę narcyzy i astry, goździki i cegiełki. Nie brakowało wysokich malw i kolorowych onętków. Jednak róże nie chciały mamy uszczęśliwiać tak jak w Głuchowie, widocznie ta ziemia im nie odpowiadała. Do dziś śnię mi się smakowite wiśnie obsypane białym kwieciem lub owocami ociekającymi dojrzałym sokiem. Nigdzie nie widziałam tak wczesnych czereśni, jakie tam owocowały już na początku czerwca. Lasek orzechowy w roku nowej parcelacji przydzielono sąsiadom. Potem długo spoglądaliśmy tęsknym wzrokiem

na cały rząd leszczyn. Szczególnie jesienią było przykro, gdy wyjątkowo pełne zaścielały zieloną murawę dorodnymi orzechami. Rodzice zabronili nam je podnosić, bo to grzech brać z cudzego — siódme przykazanie *Nie kradnij!*

Ale nie mogę jednak powiedzieć, że byliśmy znowu takie całkiem idealne dzieci. Kusiło nas strasznie, ślinka leciała i czasami udawało nam się chyłkiem, boczkiem schylić i czym prędzej włożyć do kieszonki kilka upragnionych orzeszków. Mamie nie przyznawaliśmy się do tego występku, księdzu na spowiedzi — tak. Gdyby tamtędy nie wiodła droga do wsi, do szkoły, do kościoła, a nawet na pole, którą musieliśmy przechodzić, pokusa byłaby z pewnością mniejsza. Ta nowa parcelacja pozamieniała nie tylko pola, ale również układ mieszkalny domu.

Do tej pory sień, czyli korytarz z kamienną, a raczej betonową posadzką, dzieliła dom murowany z czerwonej cegły o spadzistym dachu na część wschodnią i zachodnią, gdzie po jej prawej stronie były dwa pokoje: południowy słoneczny, przydzielony Chorabikom, a północny sąsiadom, natomiast po lewej stronie południowa kuchnia i komora nasza, a dalej druga północna kuchnia i pokój sąsiadów. W sieni po prawej stronie była wędzarnia, a ze środka prowadziły schody na duży strych z jednym pokojem usytuowanym wokół komina, który go ogrzewał. Początkowo w tym pokoiku zamieszkiwał utrudzony i schorowany wojenną tułaczką sąsiad Stefan. Po jego śmierci suszyła się tam pszenica lub inne ziarno, a przy kominie wisały pachnące kiełbasy i szynki wędzone, o dziwo niepsujące się. Kiedy ten pokój należał do sąsiadów, wisały tam również półcie wędzonej słoniny i boczków.

Nowa parcelacja odebrała nam dużą kuchnię, więc tato w tej sieni postawił nowy dość duży piec kuchenny z duchówką czyli bratnikiem, w której mama dużo robiła wszelkich wypieków, a na obszernej blasze z krążkami różnej wielkości mogła pomieścić liczne garnki. Teraz mieliśmy dwa pokoje — południowy i północny oraz małe pomieszczenie kuchenne. Przed-

tem granica podziału domu przebiegała z południa na północ, teraz ze wschodu na zachód.

Może kogoś zadziwi, dlaczego z takimi szczegółami opisuję swój dom i jego obejścia gospodarskie? Dlatego, że już go nie ma, że został zmieciony z powierzchni ziemi. Po prostu chcę, aby moja liczna rodzina rozszana po kraju, mogła sobie wyobrazić miejsce, w którym żyłam i rozwijałam się od czwartego roku życia. I choć ten dom wcale nie był pięknym pałacem, ja do niego tęskniłam przez wszystkie lata, dopóki żyła mama. Bo jak mówi piosenka: *To nie sztuka wybudować nowy dom, tylko sprawić, by miał w sobie duszę...* A ten dom, dopóki mama żyła, miał naprawdę w sobie duszę.

Wiemy, że jego cegły zdobyły nowego właściciela i służą innej rodzinie w Wyrzysku.

Urząd Repatriacyjny

Gdybyśmy zgodnie z planem Urzędu Repatriacyjnego zamieszkali w Klawku obok rodziny ze strony mamy, byłoby nam żyć znacznie łatwiej. Ziemia tam była bardziej urodzajna niż gromadzkie jałowe piaski, kilka hektarów lasu, rzeka Łobżonka bogata w ryby, blisko szkoły, urzędy, kino, kościół. Gdy tata tam poszedł, okazało się, że już zamieszkał w nim ktoś inny, któremu i tak władze poleciły opuścić ten dom i przenieść się do innego, prawdopodobnie w Wyrzysku.

Tato, zawsze ugodowy, nie chcąc wszczynać awantury z nim, wrócił do urzędu i poprosił o inny przydział, co się okazało jego wielkim błędem. Nie walczył o lepsze gospodarstwo, gdyż według niego było to zamieszkanie tymczasowe na rok albo dwa. Wierzył, że wrócimy na ziemię lwowską lub chociażby krakowską.

Niestety, stracone złudzenia... Utkwiliśmy na zawsze na tym odludziu, w chacie za wsią, bez prądu elektrycznego. W dodatku wśród obcych ludzi, którzy często kaleczyli nalecia-

łościami tutejszej gwary, piękny, polski język. Mamę bardzo bolała taka mowa, mówiła:

— Boże, jak serce boli i uszy puchną, słuchając takiej mowy Polaków.

Początkowo niektórych ich słów nie rozumieliśmy. Nazywali nas *zabugocze* (zabużanie), a przecież myśmy nie mieszkali na ziemiach leżących za rzeką Bug, bo nasz dom stał daleko przed Bugiem, nad lewym dopływem Bugu — Sołokiją wypływającą z polskiej ziemi niedaleko Lublina. Poza tym nasze korzenie są krakowskie z obojga stron rodziców. Z czasem osłuchaliśmy się z tutejszą gwarą, jednak nie przyjęliśmy jej do w swojego słownika.

Zdarzyło mi się raz użyć określenia, często powtarzanego przez moich szkolnych kolegów, nie wiedząc, co ono oznacza. A było to tak.

Śliwki

Prawdopodobnie chodziłam do drugiej, a może trzeciej klasy szkoły podstawowej w Gromadnie. W klasie ja, jedyna dziewczynka i pięciu chłopców posługujących się często obcymi dla mnie słowami. W moim domu nigdy nie używało się wulgarnych określeń, jednak czasami, gdy tato był czymś zdenerwowany, powiedział: *psiakrym*, *psiakryminajsko jedna*, a w stanie najwyższego wzburzenia — *psiakrew*. Jeszcze można było usłyszeć: *choroba*.

A więc tamtej pamiętnej jesieni w sadzie, za szopą, obok piekarni obrodziły śliwki, takie zwyczajne, nazywane przez tutejszych głupkami. Widzę to jak dziś.

Jest piękny słoneczny dzień. Mama trzęsie gałęziami, a śliwki spadają i spadają, lecą i lecą. Po chwili zielona trawa zasypana jak kobiercem w barwach spopielałego fioletu i zielonożółtych liści. Patrzę na mamę pogodną, szczęśliwą z powodu tak obfitego urodzaju. Wołam więc radosna do mamy:

— Mamo, mamo, jak te ch... ki lecą! Zrobimy dużo powideł, będzie czym smarować chleb!

Mama, słysząc moje słowa, stanęła jak wryta, skamieniała, zasłoniła dłonią swoją twarz i z przerażenia dopiero po dłuższej chwili ledwo mogła spytać:

— Dziecko, czy ty wiesz, co to słowo znaczy?

Zawstydzona odpowiedziałam:

— Nie, nie wiem, ale tak mówią wszystkie dzieci ze wsi.

Mama na to:

— Wandziu, pamiętaj, nigdy tak nie mów, bo to bardzo brzydkie słowo.

Nie krzyczała, tylko była mocno zasmucona, a mnie zrobiło się bardzo wstyd. Nigdy go już nie wymawiałam, choć długo nie znałam jego znaczenia.

W naszej chacie za wsią nikt, nawet moi młodszy bracia nie plamili języka tak zwaną łaciną.

Złot gwieździsty

Wracam do czasów stalinowskich, powojennych lat 40–50-tych.

Po osiedleniu się rodziców na tym „wygnaniu”, gdzie w promieniu około dwóch kilometrów nikt nie mieszkał, brakowało nam towarzystwa ludzi miłych i kulturalnych.

Mama nie miała problemów w nawiązywaniu kontaktów z ludźmi ze wsi. Otwarta i bez barier dobrze porozumiewała się z nauczycielem, księdzem, sołtysem i wszystkimi innymi mieszkańcami. Najbardziej zaprzyjaźniliśmy się z rodziną posiadającą nieduży sklepik. Gdy się wyprowadzili do Łobżenicy, rodzice częściej po zakupy jeździli właśnie do tego miasta, by przy okazji odwiedzić tę miłą rodzinę. Oni podobnie jak my przybyli z innej miejscowości.

Na niwie kulturalnej nic początkowo we wsi i w okolicy się nie działo. Mamie nie podobał się taki marazm, taka

pustynia kulturalna. Ponieważ miała zdolności aktorskie i doświadczenie w tej dziedzinie z Myślenic i Ostrowa, postanowiła coś zrobić dla ludzi i myślę, że przede wszystkim dla nas. Mama miała niezwykle zacięcie aktorskie. Kiedyś tata wracając do domu, zatrzymał się w sieni, by wsłuchać się w różne głosy dochodzące z pokoju.

— Ileż u nas dziś gości? Kto to nas odwiedził? Rodzina czy ktoś obcy? — zastanawiał się przez chwilę.

Po wejściu do izby zobaczył mamę relacjonującą sąsiadce rozmowę z kilkoma osobami. Tak wspaniale umiała modułować głosy rozmówców. Potrafiła głęboko wejść w emocje, barwę i tonację głosu przedstawianej postaci. Gdy uważała, że trzeba też pokazać ruchy ciała i mimikę twarzy, nie miała z tym problemu. Bardzo często mieliśmy teatr jednego aktora i radości co nie miara. Ona od dzieciństwa czuła powołanie do aktorstwa.

Jakże płonne są ludzkie nadzieje! Jaka szkoda, że nie wszystkie marzenia się spełniają!

Jeszcze w dzieciństwie doświadczyła niespełnienia swoich wielkich marzeń. Nie chciała, by jej dzieci doznały podobnego bólu. Robiła wszystko, by ich talentów nie zaprzepaszczać, a rozwijać. Przeprowadzka na Kresy Wschodnie zamknęła jej drogę do kariery aktorskiej. Wprawdzie tam skończyła siedmioklasową szkołę powszechną w Ostrowie, ale babka nie pozwoliła jej iść do szkół wyższych. Bardzo trudno było Stasi się pogodzić z taką sytuacją, tym bardziej że babka jej to obiecała przed opuszczeniem myślenickiej szkoły. Na Kresach do wsi i miasteczek oraz kolonii polskich z pięknym repertuarem przyjeżdżały grupy studentów i aktorów z teatrów ze Lwowa, Krakowa i Warszawy. Szczególnie dużo działa się na niwie kulturalnej w okresie wakacyjnym, świątecznym oraz w czasie rocznic patriotycznych. Studenci organizowali wspólne czytanie polskich książek, wyświetlano filmy, uświetniano występami artystycznymi majówki, dożynki, święta religijne. Piękne patriotyczne wiersze, pieśni i piosenki umilały spotkania towarzyskie.

Teraz tutaj na Pomorzu mama zaczęła organizować życie kulturalne w swoim domu. Przygotowała więc scenki rodzajowe okraszone wierszykami i piosenkami głównie ludowymi i patriotycznymi.

Na poczęstunek upiekła ciasteczka i ugotowała kompot z owoców jabłoni i wiśni oraz porzeczek rosnących w naszych ogrodach. Tata zrobił scenę dla „aktorów”, podium z desek dla orkiestry i bawiących się gości oraz ławki dla widzów. Była też uszyta z zasłon bordowa kurtyna, spoza której wychodzili występujący artyści-amatorzy, tzn. my, dzieci recytując swoje role. Widzowie nie szczędzili oklasków i bisów dla występujących. Śmiechu i pozytywnych wzruszeń było bez miary.

Dzięki pomysłowi mamy kilka razy właśnie u nas odbywały się niezapomniane majówki i dożynki z inscenizacjami, wierszami i piosenkami, a nawet z tańcami. Każda taka impreza zaczynała się sumą w kościele, podczas której ksiądz proboszcz zapraszał z ambony wszystkich parafian do Chorabików.

Z okolicznych wsi przychodziły dzieci, młodzież i dorośli spragnieni miłej niedzielnej rozrywki. Gdy liczni przybysze szli do nas z sąsiednich wsi, wyglądało to jak zlot gwiazdzisty. Cała procesja z pieśnią i śmiechem, połąną drogą, między ukwieconymi polami i skarpami, zbliżała się do samotnej chaty wśród rozległych dojrzewających zbóż, kwitnących lip pachnących miodem, czerwonych czereśni i wiśni.

W czasie imprezy obok mamy z dzieckiem na ręku — mógł to być Wiesiek albo Staszek — siedział ksiądz, nauczyciel, sołtys oraz inni znaczący we wsi ludzie. Widzę to nawet dziś bardzo dokładnie. Mama była w swoim żywiole. Przygotowywała z moimi starszymi siostrami dekoracje oraz inne akcesoria potrzebne do inscenizacji poszczególnych scenek teatrzyku.

Wujek Wojtuś

Kilka lat po wojnie przyszła do nas przesyłka z Krakowa od wujka Wojciecha, brata mamy. Ileż było radości przy otwieraniu tej paczki. W liście wujek napisał, że przesyła prezent dla Wandzi. Mama wyjęła z kartonu strój krakowski i ułożyła go przed nami na stole. Nigdy nie widziałam tak pięknego ubrania dla dziewczynki! Urodziłam się w środku wojny, ziemię krakowską nakazano nam opuścić zaraz po wyzwoleniu, więc nie miałam okazji do oglądania takich artystycznych dzieł pracy ludzkich rąk. Teraz zauroczona ślicznym strojem, nie pozwoliłam mamie zaraz schować go do szafy. Uprosiłam, by wisiał na wieszaku na zewnątrz, abym mogła stale cieszyć niecodziennym widokiem swoje oczy. Z niecierpliwością czekałam na majowe dni, kiedy mama ubierze mnie w te cudne rzeczy. Najbardziej zachwyciłam się czarnym aksamitnym gorsetem z przodu sznurowanym czerwoną tasiemką, haftowanym w przepiękne szlaczki i fantazyjne wzory roślinne, głównie kwiaty. Oprócz barwnych nici wzory tworzone były z mieniących się złotem i srebrem cekinów, które pięknie lśniły nie tylko w słońcu. Ten gorset z baskinką to było istne чудо! Do tego kaszmirowa, suto marszczona spódniczka w czerwone róże i zielone liście oraz biała wyszywana z długimi, szerokimi, lekko ściągniętymi gumką, rękawami bluzeczka. Na ramieniu zebrane w rozetę kolorowe wstążki — białe, czerwone, niebieskie, żółte, zielone — wdzięcznie powiewały podczas ruchów ciała. W komplecie znalazły się białe rajstopy i kierzce z wytłaczanej we wzorki jasnobrązowej skórki zapinane paseczkiem zakończonym sprzączką. Na głowę starsze siostry uwiły mi wianeczek z kwiatów: modrych bławatków, czerwonych maków, błękitnych niezapominajek, żółtych kaczeńców, białych rumianków i margaretek, różowych polnych różyczek — w zależności od tego, co aktualnie kwitło w polu lub ogrodzie. Wiosną do kompozycji można było wykorzystać kwitnące gałązki wiśni i jabłoni. Pamiętam, że dopóki nie wyrosłam ze stroju krakowianki, przez kilka lat służył

mi on również do sypania kwiatów w procesji Bożego Ciała. Lubiałam ubierać się w ten odświętny przyodziewek, a mama była szczęśliwa, bo we wspomnieniach przenosiła się w świat swojego szczęśliwego wczesnego dzieciństwa spędzonego w Myślenicach, kiedy to w świąteczne dni tradycją było nosić ludowy strój danego regionu, w jej przypadku, krakowskiego. Wojtuś wiedział, jak podarować trochę radości swojej ukochanej siostrze.

W paczkach od wujka znajdowaliśmy różne zabawki i łakocie, obwarzanki krakowskie i oscypki z owczego sera, a przede wszystkim kaszę jaglaną, o którą wówczas na Pomorzu było bardzo trudno. Natomiast pod Krakowem wielu gospodarzy siało proso, więc jego ziarno było częstym pożywieniem każdej rodziny. Przywoził też czasami fasolę „piękny Jaś”, która to pięła się po tyczkach przy każdej zagrodzie podgórskiej. Kiedy dorosłam i mieszkalam już w internacie, wujaszek po odwiedzinach swoich rodziców i sióstr, w drodze powrotnej do Krakowa wysiadał z autobusu w Nakle. Odszukawszy mnie w szkole lub internacie, ofiarowywał mi finansowy upominek. Kiedy miałam opory z przyjęciem go, przekonywał, że to od wujka Janka z Bydgoszczy, więc muszę wziąć, nie ma wyjścia. Podobnie postępował wujek Janek. Jak oni się cieszyli, że dzieci Stasi się kształcą, że wyrwą się z tej wsi leżącej tak daleko od szosy! Wiadomo, jak ważna dla nas była każda złotówka w tych ciężkich powojennych latach. Z wujkiem prowadziłam korespondencję do ostatnich lat jego życia. Do roku 1999 pisywaliśmy do siebie długie listy, w których to opowiadaliśmy sobie, co się dzieje w naszych rodzinach, jak się życie układa temu i tamtemu. Wojtek był najbardziej podobny do Stasi, nie tylko z rysów twarzy, ale i z charakteru: pogodny, dowcipny, życzliwy, otwarty, bardzo towarzyski. Przysyłał mi także teksty pięknych wierszy oraz piosenek o treściach patriotycznych i wychowawczych, które były rozpowszechnione w szkołach krakowskich przed i po odzyskaniu niepodległości. Tak jak moja mama do końca życia umiał je na pamięć i chętnie je przytaczał swoim słuchaczom. Podczas jego odwiedzin

w Gromadnie śpiewom i recytacji nie było końca. To były niezapomniane wieczory. Zdawał nam też relacje, co się dzieje z naszym domem i ziemią pozostawionymi na obecnej Ukrainie. Korespondował z przyjaciółmi z Kresów i nawet się z nimi spotykał na neutralnym gruncie, stąd był zorientowany dobrze w bieżącej sytuacji.

Z całej rodziny Stasi, tylko Wojciechowi przepisy powojenne pozwoliły pozostać w rodzinnych Myślenicach. Wojtuś w młodości uczył się w seminarium duchownym. Z jakiego powodu zrezygnował z tej drogi tuż przed trzecimi święczeniami kapłańskimi, trudno mi dzisiaj powiedzieć. Nigdy nie przyszło mi do głowy, aby o to zapytać jego lub mamę. Swoim synom Petronela nie broniła dostępu do szkół. Wujek zdobył zawód introligatora, malarza oraz tapicera i przez całe życie prowadził działalność prywatną tak jak jego ojciec, co pozwalało zapewnić dobry byt rodzinie. Kilka lat przed II wojną światową wrócił z Kresów do Myślenic. Podczas wojny wziął ślub z Michaliną, działaczką AK. Miał okazję znać ją dużo wcześniej, ponieważ jego najstarsza siostra Julcia uczyła się krawiectwa u matki Linki z Krakowa. Wujek i wujenka to wspólni ludzie, wychowali dwóch synów — Wiesława i Jana. Udało mi się kilka razy ich odwiedzić i za każdym razem goszczenia u nich miałam okazję podziwiać ich dobre, przykładowe życie. Z wujkiem można było rozmawiać na różne tematy. Bardzo lubił długie dysputy, umiał zainteresować słuchacza i zachęcić go do dyskusji. W ciągu długiego i bardzo pracowitego życia wykształcił całe rzesze czeladników i mistrzów tapicerów i introligatorów. Wiele dobra czynił społecznie na rzecz swojego miasta i dla kościoła. Kilkadziesiąt lat swoim pięknym tenorem śpiewał w chórze. Wzruszał nas też swoim miłym zwyczajem obierania jabłek i krojenia ich na ćwiartki dla wielu osób zgromadzonych przy stole, nie przerywając przy tym ciekawej rozmowy. Niby taki drobiazg, a pamiętam to do dziś. Teraz kiedy obieram jabłka, zawsze powraca mi w pamięci postać ukochanego wujka Wojtusia.

Mój pierwszy występ

Nigdy nie zapomnę swojego pierwszego występu. Jeszcze do szkoły nie chodziłam. Miałam powiedzieć wierszyk z *Elementarza* Falskiego pt. *Rzeczka*, rozpoczynający się od słów: *Płyń, wije się rzeczka jak błyszcząca wstążeczka...*

Umiałam go bezbłędnie, jednak gdy wyszłam zza kurtyny, ogarnęła mnie taka trema, że po ukłonieniu się publiczności i wypowiedzeniu tytułu, spanikowałam i uciekłam. Wychodziłam chyba ze dwa razy, aż wreszcie przełamałam się i wyrecytowałam tekst jak należy.

Grałam też rolę skrzydlatego anioła, któremu mama zrobiła duże skrzydełka z białej postrzępionej krepy oraz „piękną krakowiankę pod zielonym jaworem” w stroju krakowskim ze sznurami koralikami nanizanych z czerwonej jarzębiny. Miałam jeszcze inne drobne role, recytowałam wiersze i śpiewałam, chociaż byłam bardzo nieśmiałym dzieckiem. Pięknie grały swoje role oraz śpiewały Janka i Marysia. Gdy starsze siostry założyły rodziny i poszły w świat, przedstawienia u Chorabików się skończyły. Ojcu skończyło się też zmartwienie o przyszłość swoich córek. Gdy były małe, mówił:

— Kto zobaczy w tych polach nasze córki? Pewnie będę musiał zaprzęgnąć konie do bryczki i przejechać się z nimi po okolicy.

Oczywiście żartował. Dziewczyny miały wielu konkurentów, ale żadna nie wybrała chłopaka z Gromadna.

Podziwiam mamę za to, że przy tylu małych dzieciach i ogromie pracy miała jeszcze tyle siły i chęci, by organizować życie kulturalne na wsi. I za to, że jej się chciało chcieć. Pokazała, że my, obcy przybysze z literaturą, poezją i śpiewem jesteśmy za pan brat. Wiem, że potem we wsi też organizowano jasełka, na które poszłam już jako licealistka. Do dziś pamiętam Heroda, którego grał znany kolega. Organizowano też majówki nad jeziorem.

Po pójsćiu do szkoły średniej mieliśmy już inne zainteresowania. Jeśli rodziców było na to stać, to korzystaliśmy z wycieczek szkolnych. Mama zawsze śledziła nasze trasy na mapie. Kiedy Władek przywiózł do domu duże ściennie mapy Polski oraz Europy i gdy mama usłyszała w radio, że coś się w danym miejscu zdarzyło, zaraz szukała go na mapie. Lubiła śledzić nasze zagraniczne wyjazdy, uzupełniając wiadomości o tych terenach z różnych książek.

Gruźlica

Wiele lat przed śmiercią tata zachorował na gruźlicę płuc, miał też astmę oskrzelową. Bardzo się martwiliśmy, czy wyjdzie z tej paskudnej choroby. Leczył się u lekarzy w Wyrzysku. Ktoś doradził mamie, by kupiła kozę, gdyż kozie mleko ma właściwości lecznicze. Tak też zrobiła. Bardzo dbała o to, by tato się dobrze odżywiał, co jest istotne przy gruźlicy. Po kilku latach nastąpiło zwapnienie jednego płuca w całości i częściowo drugiego. Oddychał więc tylko częścią zdrowego. Po wyleczeniu się z gruźlicy wrócił do sił i mógł znowu wrócić do prac polowych, musiał jednak częściej odpoczywać. Najwięcej pomagał mu Staszek, który skończył Liceum Ogólnokształcące w Łobżenicy, cały czas dojeżdżając autobusem, do którego musiał codziennie dochodzić prawie cztery kilometry. Zrezygnował z nauki w Technikum Młynarskim w Krajenie z powodu choroby ojca. Poszedł do szkoły dopiero pod koniec listopada, po skończeniu prac polowych. Zaległy materiał szybko nadrobił, uczył się bardzo dobrze i nawet otrzymał nagrodę za wyniki w nauce za I półrocze.

Podczas studiów w Wyższej Szkole Rolniczej w Poznaniu już mniej pomagał w polu, ale starał się zawsze szybciej zdać egzaminy, by wrócić do domu i włączyć się w roboty gospodarskie. Studiował zootechnikę. Dzięki Staszкови zobaczyliśmy pierwsze dzinsy. Mama nie mogła ich przeżyć:

— Takie cajgowe jak u robotników, bez zaprasowanych kantów, no i w dodatku takie drogie!

Władek w polu mniej się udzielał, bardziej lubił porządki domowe lub pichcenie w kuchni, szczególnie deserów. Nie wymigiwał się też od pójścia na targ do Wyrzyska, by sprzedać masło czy śmietanę. Ja nie miałam takiej odwagi, wstydziłam się stanąć na rynku z towarem, a Władek umiał zagadać do ludzi, podowcipkować, zawsze udawało mu się wszystko sprzedać. Najdłużej w gospodarstwie pracował Wiesiek. Tata planował, że zostanie na ojcowiznie, ale on nie chciał.

W Gromadnie wciąż się coś działo. Choć długo nie było radia ani telewizora, nie było nam nudno. Przy tak interesującej rozmówczyni jak mama, nie mogliśmy się nudzić.

Tam też zdarzały się rzeczy zarówno radosne, jak i smutne.

Oczy Władka

Nieraz było ciężko. Niezależnie od pogody trzeba było iść pieszo, bo samochodów nie było, a koni też szkoda w psią pogodę używać. Pewnej nocy Władek zachorował na zapalenie spojówek. Na polu razi iskrzący śnieg w ostrym słońcu. Okropny mróz. Rano Władek płacze, że nie może iść do szkoły, bo bolą go strasznie oczy, nic nie widzi. Tata nie pozwala mu zostać w łóżku, musimy iść, bo szkoła to święty obowiązek. Wychodzimy jednak z domu. Mały Władzio nie może spojrzeć przed siebie. Zamyka oczy, by w bólu wypełnić ojcowskie polecenie. Tato mu nie dowierzał. Powiedział, że symuluje, bo mu się pewnie nie chce pójść. Ale pójść musi. Szłam z nim przez te zaśnieżone pola na skróty i prowadziłam pod ramię, by nie upadł. Gdy tylko próbował otworzyć oczy, płynęły z nich łzy. Zła byłam na ojca, że mu nie dowierza i skazuje na cierpienie, a brata było mi bardzo żal. Jednak polecenie ojca było ważne. Teraz wiem, jak się czuł, bo od kilku lat i mnie jest bardzo trudno iść po śniegu

przy słońcu bez okularów przeciwsłonecznych. Mam wrażenie, że ktoś mi w oczy wbija szpilki.

Czereśnie

Mama uczyła nas żyć zgodnie z Dziesięcioma Przykazaniami Bożymi. Droga do wsi była obsadzona czereśniami. Boże, jak bardzo nam się chciało skubnąć coś z drzewa obsypanego czerwonym owocem! Bo te leżące na ziemi były brudne i podziobane przez ptaki. Pod koniec czerwca wracaliśmy do domu z bardzo dobrymi ocenami na świadectwie. Byliśmy szczęśliwi i radosni. Najlepsi uczniowie w swoich klasach. Zawsze. Oprócz Hanki. Władek wpadł na pomysł, by rzucić kamieniem w gałąź obsypaną dojrzałymi, soczystymi czereśniami. Nie pamiętam, czy oponowałam. Może pomyślałam, że to taki malutki grzeszek? Rzucił. Niestety! Kamień odbił rykoszetem od gałęzi i trafił go w głowę, raniąc ją bardzo mocno. Skóra na środku głowy przecięta, Władek zamroczony. Bawełniane chusteczki szybko nasiąkły krwią, papierowych wówczas się nie używało. Długo siedzieliśmy pod drzewem, tamując lejącą się krew, czekając na zelzenie bólu. Ogarnęło nas przerażenie i poczucie winy. Zgasła radość z bardzo dobrych ocen i rozpoczynających się zasłużonych wakacji.

Po pierwsze, byliśmy przekonani, że Bóg nas natychmiast ukarał, bo sprzeniewierzyliśmy się siódmemu przykazaniu — nie kradnij. Zgadza się, Bóg wszystko widzi. Ale jak zachować się w domu? Jak powiedzieć o tym? Jak się przyznać? Władziu zakrwawiony, blady i cierpiący. Nie da się nic ukryć przed rodzicami. W domu, na szczęście, nie było nikogo. Zmyłam więc mu tę krew wodą utlenioną, opatrzyłam plastrem, choć nie było to łatwe. Włosy miał na tyle długie, że przykryły ranę. Ponieważ czuł się źle, wymiotował, musiał poleżeć w łóżku. Ten stan wskazywał na wstrząśnienie mózgu. Umo-

ściłam mu łóżko w tej bocznej komórce z maleńkim okienkiem, by nie był na widoku domowników. Nazajutrz zastąpił go tata przy pilnowaniu czereśni. Po południu poczuł się lepiej, rany cięte i tłuczone pod włosami wkrótce się wygoiły.

Przez kilka lat aleję czereśniową pilnował mały Włodek przed ptactwem, które w okresie dojrzewania czyniło na drzewach ogromne spustoszenie. To była jego pierwsza praca i pierwsza zapłata. Mogłoby się wydawać, że to łatwe zadanie. Nic mylnego. Wstać trzeba było przed wschodem słońca, bo trele ptasząt już o świcie słyszać. Aleja była dość długa. A wróble i wrony szybko się przemieszczały. Zgonisz z jednego odcinka, lecą na drugi. Stale trzeba biegać i krzyczeć, stukać i pukać, a to w stary garnek, a to w pokrywkę lub we wszystko, co powodowało głośne dźwięki. A jeśli miał karbid i puszkę, to strzelał nim jak z armaty. Zdarzało się, że czasami, gdy miał gorszy dzień, tato go na krótki czas wczesnym rankiem zastępował. Mama wysyłała nas do brata ze śniadaniem lub obiadem.

Imieniny księdza

Ogólnie mówiąc, ksiądz St. G. nie był dobry dla dzieci. Nerwowo, często krzyczał. Brak wiedzy karał biciem. Uderzał linijką po rękach i głowie, gdy na religii ktoś nie umiał zadanych lekcji. Naszym obowiązkiem było też zbieranie sporyszu z kłosów żyta, który potem podobno sprzedawał za duże pieniądze.

Pewnego razu na imieniny księdza mama ułożyła wierszyk i piosenkę:

— Ach, księżu proboszczu, radość nas rozpiera, że w dniu twych imienin dziś ci składam cześć (...) — oraz piosenkę okolicznościową, której już nie pamiętam.

Kupiła w Wyrzysku piękne kwiaty i poleciła mnie i Władkowi, abyśmy przed majowym nabożeństwem złożyli księdzu życzenia. Ubrała nas w najpiękniejsze stroje i była dumna,

że tak ładnie nauczyliśmy się stworzonych przez nią utworów. Dzwonimy, dzwonimy, długo nikt nie otwiera drzwi. Jeszcze trochę czekamy, bo słyszymy z pokoju rozmowę. Wreszcie ktoś idzie. To ksiądz bez sutanny otwiera drzwi. A przy suto zastawionym stole siedzi panienska z sąsiedniej wioski. Ksiądz zadowolony z tak miłych życzeń, wysłuchał nas i odebrał kwiaty. Ale nie poczęstował nas nawet cukierkiem. Od tej pory już nigdy więcej mama nie wysyłała nas do niego z życzeniami imieninowymi.

Pożar w kościele

Władek był ministrantem bardzo chwalonym przez proboszcza, ponieważ wywiązywał się ze swoich obowiązków. Z wielką radością i gorliwością służył do wszystkich nabożeństw religijnych. Do czasu. Gdy miał 12 lat, ksiądz proboszcz wyrządził mu wielką krzywdę. Rodzinie również.

Pewnej niedzieli po południu z powodu przestarzałej instalacji elektrycznej w kościele w Gromadnie nastąpiło spięcie, które wywołało niewielki pożar, a właściwie zadymienie z powodu tłącej się instalacji za głównym ołtarzem. Ksiądz nie chciał brać na siebie odpowiedzialności. Zrzucił winę na ministranta. Zeznał, że Władek po zapaleniu świec przed sumą, o godzinie 10. rano, odłożył do pudełka zużytą zapalną, co miało wzniecić ogień. Było to kompletnym absurdem. Suma trwała długo, więc gdyby stało się to przy zapalaniu, to pożar zaczęłby się już podczas mszy. Kilka komisji strażackich stwierdziło winę instalacji, a nie Władka. Sąd w Nakle uniewinnił go także. Ale co przeżył i on, i my — lepiej nie wspominać. Od tego czasu oziębły się stosunki Chorabików z proboszczem. Przedtem ksiądz często mamę zapraszał, dużo rozmawiali i dyskutowali na tematy religijne. Nawet zdarzało się jej poprawiać kaznodzieję po niezgodnym z prawdą biblijną kazaniu.

W czasie przerwy odbywającej się w Nakle rozprawy sądowej mama podeszła do biskupa Cz., pytając go:

— Biskupie, wszyscy wiedzą, że ten mały chłopiec jest niewinny. Dlaczego go tak krzywdzicie?

Na to biskup:

— Kochana siostro, należało to oddać Bogu, wybaczyć i poświęcić się dla kościoła.

Ja mieszkałam już w internacie, ale poszłam do sądu spotkać się z mamą i bratem. Bardzo mi było ich żal, bo mama, chociaż sędzina ogłosiła niewinność Władka, stała na korytarzu bardzo zasmucona.

A kiedy podczas kolędy mama zaczęła drążyć temat niesłusznego oskarżenia i pytać:

— Jak ksiądz mógł tak postąpić? Skłamać, oczernić i skrzywdzić niewinne dziecko?

W odwecie ksiądz, wychodząc wściekły, powiedział:

— Niech będzie ten dom przeklęty.

Kiedy Elka poszła do pierwszej klasy, mama ubrała ją w piękną, elegancką sukienkę z ciemnoniebieskiej wełenki w kontrafałdy z białym kołnierzykiem ozdobionym falbaneczką. Musiała się dobrze prezentować, bo ksiądz na religii zwrócił na nią uwagę i zapytał:

— A od kogo ty jesteś, ładna córuchno?

Kiedy dowiedział się, z jakiej rodziny pochodzi, nic więcej nie powiedział, ale było widać, że jakoś spoważniał, zamyślił się i trochę inaczej do niej podchodził niż do reszty klasy. Można było sądzić, że gryzło go sumienie z powodu ogromnej krzywdy wyrządzonej najbardziej chwalonemu ministrantowi i jego rodzinie.

Mama bez wahania odrzuciła krzywoprzysięstwo i tym samym dobre relacje z proboszczem. Stała po stronie prawdy. Zrezygnowała z przyjaźni, by bronić swojego syna. Czyż mogła inaczej? Prawda i tylko prawda towarzyszyła jej przez całe życie. Kłamstwem i obłudą brzydziła się okrutnie.

Kiedy Elka była jeszcze w łonie mamy, przy naszym kościele pobudowano dzwonnice i zakupiono nowy dzwon. Podczas

uroczystości poświęcenia mama została poproszona do pierwszej pary Rodziców Chrzestnych Dzwonu. Uważano, że to zaszczyt dla parafianki w błogosławionym stanie.

Kilka lat po pożarze zdarzyła się niespodziewana okoliczność.

Jest niedziela. Mama z Elżunią jak każdej niedzieli idzie do kościoła na sumę. Zdziwione widzą wokół kościoła tłum ludzi dziwnie się zachowujących.

— Co tam się dzieje? Co to znaczy? Dlaczego ludzie nie wchodzi do kościoła?

Nikt ze wsi nam nie mówił, co planują parafianie.

Podchodzą bliżej, a wtedy wierni im opowiadają:

— Zabraliśmy księdzu klucze, zamknęliśmy kościół, zadzwoniliśmy po biskupa, żeby przyjechał odprawić mszę. I niech zabierze tego księdza, bo my już go tutaj dłużej nie chcemy. Dość krzywd narobił.

Nie dziwi więc, że w końcu parafianie, oburzeni jego niemoralnym zachowaniem, zamknęli przed nim kościół i zmusili do opuszczenia plebanii.

O co dokładnie poszło, nie wiemy, nie wnikałiśmy głębiej. Rodzice nie mieli żadnej satysfakcji z kary, jaka go spotkała, raczej współczucie dla zagubionego człowieka. Mama zawsze mówiła:

— Za księży trzeba się też modlić, bo ksiądz to tylko człowiek z wadami jak my wszyscy. I jeszcze bardziej narażony na pokusy tego świata: pieniądze i władzę nad człowiekiem.

Czasami się zastanawiałam się, czy to sprawa fałszywego oskarżenia o pożar wpłynęła na wybór drogi życiowej mojego brata. Jego zachowanie i gorliwa posługa podczas różnorodnych nabożeństw sprawiały, że proboszcz widział w nim przyszłego kapłana, a mama była z tego powodu szczęśliwa, bo szczerze mówiąc, marzyła o tym, by jej syn pierworodny głosił Słowo Boże. Do kościoła mieliśmy około 2 kilometrów, lecz Władka nie odstraszała ani wczesna godzina rorat, ani późna drogi krzyżowej i różańca, ani deszcze, mrozy i za-

wieje śnieżne. O każdej porze dnia z radością biegł do kościoła. Uwielbiał służyć przy ołtarzu.

Po tym przykrym zajściu mama zabroniła Władowi dłużej służyć do nabożeństw. Ciąganie małego dziecka po sądach i słuchanie kłamliwego oskarżenia rzucanego przez księdza zbyt drogo kosztowało tak bardzo wierzącą i szanującą kościół oraz księży mamę. Runął jej silny gmach wiary w prawdę głoszoną przez kler, ale nigdy, do końca życia nie przekreśliła wiary w Boga.

W liceum pedagogicznym brat już o ministranturze ani o kapłaństwie nie rozmyślał. Myślę, że to przykre zdarzenie miało wpływ na jego drogę życiową i z pewnością odcisnęło bolesne piętno na jego psychice.

Ożenił się z koleżanką szkolną, Krystyną Kozielską z Mroczy, nauczycielką matematyki. Z ich związku urodzili się Waldemar, Tomasz i Daria. Po ukończeniu liceum uczył w szkole w Pobórcie i w Mroczy. Po zamieszkaniu w Bydgoszczy bardzo zaangażował się w tworzenie największego i najtaniej wybudowanego w Polsce gazociągu na Czyżkówku, z którego w 1982 r. popłynął gaz do wielu gospodarstw domowych. Władek realizuje się jako społecznik od wielu lat. Jest stale bardzo aktywny w wielu przedsięwzięciach na rzecz swojego bydgoskiego środowiska. Wspiera sportowców, a także mój chór Soli Deo z Nakła.

A klątwa proboszcza spełniła się po kilkadziesiąt lat. Po śmierci rodziców nadal rwała mnie i tęsknota, i ciekawość, by zobaczyć co się tam u nas dzieje. I zaobserwowałam, jak po kolei wszystko chyliło się ku upadkowi. Zasypano studnię, zlikwidowano trzy stawki, usunięto wiele drzew, rozebrano płoty. Aż wreszcie któregoś roku rozebrano nasz dom, piekarnię, stolarnię, obory, stajnię, tuczarnię, kurniki, owczarnię, szopy i stodoły. Nie ma niczego, został tylko niewielki kawałek podmurówki stodoły wykonany z ogromnych głazów kamiennych połączonych twardym cementem. Pewnie nie można było go rozbić. Gdyby mój dziadek zobaczył ten smutny obraz, pewnie znowu by rzekł:

— No i diabli wzięli Furdasówkę.

Szkoła

Do szkoły mieliśmy daleko i jak to się mówi „pod górkę”. Jesienią i wiosną — droga błotnista, zimą — zaśnieżona. Pierwsze cztery klasy kończyliśmy w Gromadnie — 2 km od domu, resztę podstawówki w Falmierowie oddalonym o 4 km. Śnieg, mróz, deszcz, zawieja — nic to — trzeba było iść, zdobywać oświaty kaganiec. Robiłam to chętnie. Przez dwa lata przed obowiązkową nauką prosiłam nauczyciela, żeby mnie przyjął do szkoły, bo już umiałam czytać, pisać i liczyć. Marzyłam o nauce. Nie chciał. Pewnie myślał, że będę tępą. Jednak za kilka lat podczas majówki wiejskiej pochwalił mnie przy wszystkich zebranych za bardzo dobre wyniki w nauce i zachowaniu, mówiąc m.in.:

— Dzięki małej Wandzi Chorabikównie będę żył o 20 lat dłużej. Wszystko wie i zawsze wszystko umie.

W szkole bywało różnie. Wraz z rodzeństwem nie mieliśmy kłopotów ani z zachowaniem, ani z nauką. Mieliśmy jednak żal do naszego nauczyciela i przykro nam było, bo choć odchwasciliśmy mu wszystkie grządki w jego dużym ogrodzie, a w polu buraki i ziemniaki, to jesienią podczas zrywania owoców w sadzie mówił do nas:

— Tylko nie jedzcie tych jabłek, ani gruszek! One są zathrute!

To jego *zathrute* jeszcze dziś mam w uszach.

Czasem uderzył dziecko za nieodpowiednie zachowanie. Nam nigdy się to nie zdarzyło. Jednak inne dzieci płakały z tego powodu. Wyobrażam sobie, jak to musiało je boleć.

Policzek

W klasie drugiej miałam bardzo przykre zdarzenie. Do dziś nie wiem, skąd wzięłam tyle odwagi. Mała, chuda dziewczynka rozprawiła się z silnym, dużym chłopakiem.

Była późna jesień, zimno i wietrznie. Mama wyprała mi jedyny sweterek, który nie wysechł do rana, więc poszłam na lekcje w sukience w krótkim rękawem. Płaszcz w klasie trzeba było zdjąć. Wysoki, dobrze zbudowany Zenuś był jedynakiem i niczego mu nie brakowało. Chłopak zaczął się ze mnie wyśmiewać, że biedna, że nie mam się w co ubrać, że jesteśmy obcy, cudzoziemcy, hadziaje i... zabugocze, czyli ludzie zza rzeki Bug. Jakoś to zniosłam z pokorą. Jednak gdy wyjęłam z tornistra chleb posypany cukrem i zwilżony tylko wodą, bez masła i kiełbasy, zaśmiewał się, że jem suchy chleb. To mnie bardzo zabolalo. Upokorzenie sięgnęło zenitu. Z całej dziecięcej siły chudej, drobnej dziewczynki uderzyłam dłonią w jego pulchniutki, różowiutki policzek. Na twarzy prześmiewcy odmalowały się na krótką chwilkę moje drobne palce. O dziwo, nie oddał mi. I od tamtej pory odnosił się do mnie z szacunkiem i nie deptał mi po piętach, gdy ze szkoły wracaliśmy do domu wspólną drogą. Gdy targają tobą silne emocje, zapominasz o strachu i konsekwencjach swoich czynów. Przecież on mógł mi w odwecie zrobić jakąś krzywdę.

Jezioro skute lodem

Do dziś nie mogę pojąć, ile w nas, dzieciach było odwagi. Zimą skracaliśmy sobie drogę do szkoły w Falmierowie przez zamrożone jezioro. Ba! Żeby to całe było zamrożone i grubym lodem skute, to rozumiem. Ale gdzież tam! Ledwo po brzegach ścieło lodem, a my natychmiast, żeby było bliżej choć kilka kroków, byle szybciej dotrzeć do szkoły, idziemy skrótem. Na środku jeziora jeszcze woda, nad brzegami lód

trzeszczy i pęka pod naszymi nogami. A my biegiem do przodu. Nikt nie zliczy, ile razy byliśmy potłuczeni, posiniaczeni z powodu upadków na śliskim lodzie. Wracając ze szkoły, często robiliśmy piękne orły na śniegu. Im więcej spadło śniegu, tym piękniejsze orły. Małe dzieci — małe orły, wyższe — większe orły. Lubiliśmy tę zabawę. Kładliśmy się na plecach, a ręce i nogi rzeźbiły nasze godło. Kto więcej, kto ładniejsze zrobi? Takie zawody zimowe. Teraz za nic w świecie nie odważyłabym się tak chodzić po lodzie jak za dziecięcych lat. Po prostu zestarzałam się.

Pamiętam z dzieciństwa bardzo siarczyste mrozy i wysokie śniegi. Ażeby dojść po wodę do zasypanej studni, do obory nakarmić zwierzęta i wydoić krowy lub do szopy po drewno i węgiel, tato musiał wykopać szuflą wysokie tunele często sięgające naszych ramion. Nie ma porównania do obecnej zimy. Właśnie moja córka Kornelia zadzwoniła wczoraj 30 stycznia 2018 roku i powiedziała, że w jej ogródku już białe przebiśniegi wzrastają, a u Beatki moc tulipanów przebiło skorupę ziemi. Co będzie, jeśli przyjdą mrozy? Jeśli nie sypnie wcześniej śniegiem, to powstaną szkody.

Takie szkody to drobiazgi w porównaniu do dramatycznej sytuacji, jaka zaistniała 11 sierpnia 2017 roku. Nagle i niespodziewanie około godz. 21.40 nasze tereny nawiedziła straszna nawałnica. U Kory tylko wyrwała z korzeniami cztery tuje wysokości ich domu i wdarła się woda do niektórych pomieszczeń przez pozamykane okna i drzwi. U Beti wichura uszkodziła dach, taras, zniszczyła antenę. Woda jak rwący potok strumieniami wlewała się szczelinami do domu. Wiele godzin trwało usuwanie wody z zalanych podłóg. U mnie w mniejszym stopniu walczyłam z wodą po ciemku, bo w mieście zabrakło na dłuższy czas prądu.

Wichura z trąbami powietrznymi i ścianą deszczu trwała kilkadziesiąt minut, a narobiła niespotykane na naszych terenach spustoszenia. Z nakielskich parków, ulic, placów, cmentarza i osiedli zniknęła większość drzew. Piękny wieloletni drzewostan został połamany i powyrywany z korzeniami.

Wczesnym rankiem mieszkańcy z żalem ubolewali nad przykrym widokiem miasta zatarasowanego grubymi pniami drzew i konarów. Uległo zniszczeniu kilka domów i wiele dachów. Ale to, co zobaczyliśmy w lasach, przerosło naszą wyobraźnię. Setki hektarów lasów połamanych jak zapalki. W okolicy pozostały gdzieś tylko ich szczątki. Szkoda niepowetowana. Drzewo rośnie dziesiątki i setki lat, a potężny żywioł unicestwił je w ciągu kilkunastu minut. Niepojęta siła wiatru!

W dawnych latach sprawdzało się ludowe przysłowie „Idzie luty, podkuj buty”. Bardzo wątpliwe, aby w tym roku było ono aktualne. Śniegu było troszeczkę przez kilka dni, często pada deszcz i jest ponuro, od tygodni brakuje nam słońca.

Wczoraj moja siostrzenica Irena opowiadała, jak to pewnej zimy, gdy już chodziła do szkoły, wybrali się w odwiedzin do dziadków mieszkających w Gromadnie. Jest Święto Trzech Króli, trzeba je uczcić przejażdżką i odwiedzinami rodziny. Szwagier wyczyścił konie, aż ich skóra pięknie lśniła, założył im elegancką odświętną uprzęż ozdobioną sznureczkami i dzwoneczkami, po czym zaprzął do bryczki wyposażonej w miękkie siedzenia i oparcia obite aksamitem w kolorze bordowym. Maria swoją dziecięcą gromadkę ubrała w bardzo ciepłe ubranka i czapeczki. Grube, ciepłutkie koce i skóry baranie tworzyły miłe okrycia podróżujących. Była prawdziwa zima. Pola, lasy i drogi pokryte grubą warstwą śniegu. Dobra pieczyńska dla ozimin. Nie przemarznię podczas tego mrozu. Tej niedzieli mróz zelżał, więc Zygmunt postanawia sprawić i dzieciom, i swojej młodej żonie przyjemną wycieczkę.

Każde spotkanie z rodziną to wielkie święto dla obu stron.

A świat tego dnia wygląda bajecznie. Drzewa i krzewy obasypane białym puszystym śniegiem, białe dachy mijanych domów i zagród kojarzą się z obrazkami z bajek i pocztówek. Choć jaskrawe słońko z białym śniegiem bije w oczy, wszyscy radośni i weseli zachwycają się pięknymi, zimowymi krajobrazami. Zdrowe, wypasione i wypoczęte konie, parskając rażno, mkną do przodu. Zygmunt zaprezentuje teściom nowe gumowe koła przy ładnie odmalowanej bryczce. Dotychczasowe że-

lazne bardzo hałasowały na bruku i na nierównej drodze trzęsły pasażerami. Gumowe są wygodne i ciche. Nie wszystkich było na takie stać. Powózek i bryczek też we wsiach nie było zbyt dużo, ludzie przemieszczali się głównie wozami lub pieszo.

Droga z Klawek przez Polinowo do Falmierowa była już przejezdna, gdyż parafianie zmierzali nią do kościoła w Gromadnie, a dzieci do szkoły. Jezioro oddzielające Falmierowo od Gromadna już od kilku tygodni było zamrożone. Niektórzy śmiałkowicie skracają sobie drogę właśnie przez jezioro. Widząc ślady kół na zaśnieżonej pokrywie lodowej, Zygmunt postanawia jechać ich torem. Strach go dopada, gdy z dala spostrzega na jeziorze ciemne plamy. Są to prawdopodobnie przeręble wyrębane lub wywiercone przez rybaków. Jadący raz po raz słyszą pod kołmi i bryczką trzask pękającej tafli lodu.

— Co robić? Zawracać nie będę, zboczę bliżej brzegu — myśli woźnica.

Czym prędzej skręca kołmi bardziej na lewo, by ominąć środek jeziora z tajemniczymi przeszkodami. Nie warto ryzykować, tym bardziej, że legenda głosi o zdarzeniu sprzed wielu, wielu lat. Starsi ludzie opowiadają, że prawdopodobnie łódź się załamała pod cygańskim, pięknie złożonym wozem, który utonął w najgłębszym dnie jeziora. Podobno z wielkim skarbem.

Najgorzej było dojechać z wioski do Chorabików. Ta polna droga wijąca się między wysokimi skarpami była zasypana śniegiem aż do roztopów. Niemożliwością było ją przebyć przez wiele tygodni śnieżnych zim. Wówczas jechało się polami. Tak też zrobili nasi goście. Kiedy zjawili się w naszym domu, radości było co niemiara. Babcia Stasia szybko zaprzętnęła się przy kuchni, zmarzniętym podała gorącą herbatę, dobry rosół. Na stół postawiła wszelkie wspaniałości, jakie znajdowały się w wędzarni, a także ciasteczka, które zawsze były dyżurnymi smakołykami. Powrotnej drogi już nie ryzykowali jeziorem. Lepiej nie kusić licha.

Doświadczycь wszystkiego

Kolejne niezapomniane zdarzenie z mojego dzieciństwa. Wszystko mnie interesowało, do wszystkiego musiałam się wtrącać, wszystko sprawdzić, we wszystkim pomóc. Wścibska byłam. Tego dnia Marysia robiła makaron. Kroiła go ostrym nożem, a ja krojone części odsuwałam ręką, choć nie było to konieczne. W pewnym momencie zbyt blisko podsunęłam rękę pod nóż. I stało się! Opuszek palca wskazującego prawej dłoni wraz z całym paznokciem został odcięty. Wisiał tylko na skórcie. Krew spływała obficie. Przerażona mama natychmiast zrobiła mi fachowy opatrunek, obmyła ranę wodą utlenioną, dokładnie przyłożyła odkrojoną część do całego palca i starannie zabandażowała. Na szczęście palec zrósł się, ale ślad pokiereszowanego paznokcia widać na palcu do dzisiaj.

Kiedy usłyszałam, że podczas mrozów nie wolno ani mokrą ręką, ani językiem dotykać zmarzniętego metalu, postanowiłam to sprawdzić. Nie mogłam się doczekać, kiedy przyjdzie zima. W bardzo mroźny dzień poszłam do studni, by językiem przejechać po żelaznej korbie. Ledwie liznęłam metal, język przywarł do niego momentalnie. Nie mogłam bez bólu wyzwolić się z tej pułapki. Wierzchnia warstwa języka została na korbie. Krew ciekła obficie. Niemiłosierny ból utrudniał mówienie i jedzenie przez wiele dni.

Podczas tęgich zim każdego ranka zachwycaliśmy się cudownymi, wprost bajecznymi obrazami wymalowanymi na szybach w pokoju przez nocny mróz. Południowe słońce roztopiało je, a nazajutrz cieszyliśmy się nowymi obrazami pełnymi najwyższego artyzmu. To takie potyczki dwóch żywiołów przyrody. Co nocą wyrzeźbił mróz, w dzień słońce stopiło.

Zaczarowany wóz

Podobne zdarzenie miał mały Władzio. Na podwórku stały konne sanie zrobione przez ojca. W nocy przyszedł siarczysty mróz i wszystko pościął, jakby pomalował białą śnieżną szadzią. Władka zachwyca ten bajeczny widok: zaczarowane sanie, zaczarowany ogród, zaczarowany sad, zaczarowany las, zaczarowane płoty, a brona jak srebrna sieć pajęcza czy rybacka.

Sąsiad, widząc zachwycającego się tym widokiem braciszka, mówi:

— Hej, mały, wóz jest z cukierków, białe koła z lukru. Poliż sobie trochę, poliż.

— E, nie wierzę.

— To spróbuj, jaki słodki jest ten zaczarowany wóz, jakie słodziutkie ma koła.

A obręcze kół były z żelaza! Władzio próbuje i płacze. Zdarta skórka, język krwawi. Przez kilka dni nie może jeść bez bólu.

Pogrzebacz

Chciałam też zbadać właściwości rozpalonego do białości żelaza. Korciło mnie okropnie. Jak zwykle jesienią robiliśmy syrop z buraków cukrowych. Miał smak podobny do miodu i używaliśmy go do pieczenia pierników i smarowania pieczywa. Buraki gotowało się w specjalnym kociołku, a odpowiednim otworem z boku rurką spływała gęsta, słodka ciecz. W budynku gospodarskim obok tuczarni w kotle parowym gotowały się ziemniaki dla świń. Polecono mi pogrzebaczem poprawić ogień i dosypać węgla. Była więc dobra okazja na doświadczenie. Wyjęty z ognia czerwony pogrzebacz zrobił się szybko biały. Schwyciłam go i... o zgrozo! Wypaliłam sobie ciało do żywej kości między kciukiem a palcem wskazu-

jącym prawej dłoni. Nie trzeba opisywać, jak bolesne i długotrwałe były skutki tego doświadczenia. Przez wiele tygodni z trudem pisałam w zeszytach. Na drutach też nie dałam rady robić, bolał każdy ruch, dopóki rana się nie zagoiła. Natomiast czytałam na głos dużo ciekawych książek, by w ten sposób wypełnić sobie i innym czas. Chociaż tyle było pożytku z tej bolesnej przygody.

Rower i barany

W domu mieliśmy rower. Najczęściej tata jeździł nim do wsi i do miasta po zakupy lub z kosą na łąkę do Bąkowa za Osiekiem. Mama rzadko jeździła. Natomiast ja postanowiłam też nauczyć się jeździć, żeby nie chodzić pieszo do miasta po ciężkie zakupy. Najlepiej było próbować jazdę z górki. Rower podprowadzałam na górkę za wiśniami, wsiadałam i rower sam mnie niósł. Gdy nie zapanowałam nad kierownicą, pojazd wjeżdżał w piaszczystą drogę i jazda się kończyła.

Pewnego razu rower niesie mnie z szaloną prędkością i pędzę prosto na podwórze. A tam ogromne stado owiec zmierza do koryta z wodą. Ja jeszcze nie umiem ich wyminąć. Wpadam w stado i ląduję na baranie z kręconymi rogami. Przestraszony rogacz niesie mnie pędem w stronę domu koło studni. Za chwilę zawieszę się na nisko usytuowanej korbie studni! Co robić? Zeskoczyć z barana boję się, bo obok stado 60 owiec i baranów łatwo może stratować takie chucherko. Korba może mi zranić twarz i stłuc głowę. Mam jednak na tyle przytomności umysłu, że w ostatniej chwili chwytam ręką korbę i zeskakuję z barana tuż przed gankiem. Szczęśliwie wychodzę cało z niecodziennej opresji. Rower został pokiereszowany przez stado, ale po naprawie u kowala funkcjonował jak należy.

Z wczesnych lat dziecięcych pamiętam jeszcze jedno zdarzenie związane ze zwierzętami. Kiedy rodzice założyli hodowlę owiec, okoliczni gospodarze poradzili, aby owieczkom

skracać ogony, co przyniesie większy przyrost potomstwa. Tata nigdy tego wcześniej nie robił, więc nieporadnie i niechętnie zabrał się do pracy. Nie podobał mu się ten barbarzyński czyn. Już pierwszy ruch był niefachowy. Nóż, a może tasak, prowadzony drżącą ręką ojca omsknął się na rękę zamiast ogona jagnięcia. Z impetem przeciął żyły w przegubie lewej dłoni. Tato zemdłał, a krew obficie bryzgała na klepisko szopy. Szybko pobiegłam do domu po mamę. Natychmiast wyjęła z szafy czysty ręcznik i białe prześcieradło. Ręcznikiem zatamowała krwotok. Nacięła brzegi prześcieradła, zrobiła szerokie bandaże i opatrzyła zranioną rękę. Pojechali do szpitala do Wyrzyska. Końmi powoziła mama. Po tym niefortunnym wydarzeniu w jednej chwili rodzice zdecydowali, że nigdy więcej nie będą skazywać zwierząt na taki niepotrzebny ból. Przez wszystkie lata nasze stada chodziły z długimi ogonami, co wcale nie przeszkadzało w powiększaniu populacji.

Smakotyki na choince

Jako dzieci też mieliśmy swoje za uszami. Choinkę, zawsze żywą, przywoził tato z niedalekiego lasu spod Kijaszkowa. Do gałązek przypinaliśmy prawdziwe woskowe świece ustawione na blaszanych lichtarzykach. Trzeba było bardzo uważać, by nie wzniecić pożaru. Ozdabialiśmy drzewko jabłuszkami, orzeszkami i ozdobami z krepy, bibułki i słomki owsianej wykonanymi własnoręcznie. Nasze oczy cieszyły kolorowe łańcuchy z papieru, jeże, gwiazdy i księżycy ze srebrnej i złotej folii. Na choinkę mama kupowała cukierki w pięknych, kolorowych papierkach. Przeważał kolor złoty, srebrny, czerwony i żółty, aby ładnie odbijały od zielonych gałązek drzewka. Piekliśmy ozdobne ciasteczka: serduszka, księżycy, aniołki, zwierzątka i mikołajki. Kiedy już minęły święta, zaczynaliśmy stopniowo te łakocie wyjadać, a w kolorowy pusty papierek wkładaliśmy odpowiednio ukrojony kawałek ziemniaka. Wy-

glądało prawie tak samo! Gdy mama to odkryła, nie krzyczała, lecz śmiała się i mówiła:

— Niech wam to idzie na zdrowie!

Podobnie mówiła, gdy spostrzegła, że z kredensu zniknęło coś słodkiego.

Gdy spoglądam wstecz, to wydaje mi się, że Wigilię bardziej przeżywaliśmy niż samo Boże Narodzenie. Wszystkich obowiązywał tego dnia ścisły post, aż do samej Wieczery Wigilijnej, chociaż pusty żołądek ścisnął z głodu. Przez cały dzień należało być bardzo grzecznym, nie kłócić się z nikim, nie pyskować do nikogo, nie myśleć o nikim źle, bo tak będzie przez cały rok. To były dość trudne zadania, bowiem, co zakazane, to jeszcze bardziej pociąga. Dzieci ubierały pachnącą, prosto z lasu przyniesioną choinkę. Stale wyglądaliśmy na niebie pierwszej gwiazdki, która zezwoli na zajęcie miejsc przy stole. Dla zbłąkanego wędrowca zawsze stał talerz. A mama przyrządzała wiele dań świątecznych, których zapachy roznosiły się po całym domu. Na wieczerzy obowiązywało dwanaście postnych dań. Nie mogło zabraknąć z żytniej mąki białego żuru z grzybami, czerwonego barszczu z fasolą piękny Jaś, karpia, śledzia, grochu z kapustą, klusek z makiem, pierogów, pierników i kutii z pszenicy, maku z dużą ilością bakalii. Wieczerzę zaczynamy modlitwą za Tych, co już odeszli, odśpiewaniem kolędy i składaniem sobie nawzajem życzeń podczas łamania się opłatkiem. To bardzo podniosłe chwile. Po kolacji śpiewanie kolęd. Dania mięsne spożywane były dopiero w pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia. Chociaż do kościoła mieliśmy daleko, to zawsze całą gromadą szliśmy na pasterkę. Często brnęliśmy po omacku przez zaśnieżone pola, pośród smagających mroźnych wiatrów. Nigdy naszej drogi nie oświetlała żadna lampa, w bezchmurne noce pomagał nam księżyc i gwiazdy.

Pasek taty

Skórzany pas ojca służył do przytrzymania spodni i do ostrzenia brzytwy, którą golił brodę, a przez kilka lat także wąsika. Pasek zaczepiał na klamce drzwi lub gwoździu i szybkimi ruchami po napiętej skórze przygotowywał ostrze do właściwej ostrości. Niekiedy pas służył też do innego celu.

Otóż tata czasami się denerwował. Działo się tak, gdy krowy na pastwisku najadły się mokrej od deszczu koniczyny, co groziło wzdęciem, a nawet śmiercią. Wówczas tata krzyczał, brał pasek i udawał, że chce pasterza ukarać. Ja natychmiast broniłam rodzeństwa. Zasłaniałam winowajcę i tak przeskakiwałam przed wijącym się paskiem, aby tata nie mógł nikogo uderzyć. Mnie zaś chciał oszczędzić i winowajcy się udawało. Po przewinieniach najlepszą ucieczką przed karą ojczulka było schowanie się pod pierzynę i udawanie snu lub choroby. W takich razach mama mawiała:

— Ojciec, daj spokój. Dziecko śpi, a sen należy uszanować, zobacz, pewnie chore, takie blade...

Albo:

— Zobacz, jakie rozpalone.

I udawało się. Tato odchodził, a po czasie złość mu mijała.

Zdarzyło się jednak, że jeden raz w życiu tato mnie uderzył. Była wczesna wiosna, marzec, miałam około ośmiu lat. Po zimowych roztopach w piwnicach wody po kolana. Aby uchronić ziemniaki przed gniciem a dom przed zagrzybieniem, sąsiedzi wylewali tego dnia wodę wiadrami. Bardzo chciałam im pomóc. Poszłam tam boso, bo gumowych butów nie miałam, w cienkiej sukience z krótkim rękawkiem. I gdy tak niosłam po schodach w garnuszku metalowym wodę, nic nie przeczuwałam, że przy wylocie piwnicy stoi z paskiem przyczajony mój tato.

— A, smarkulo jedna, to tu przyszłaś? Bez ubrania! Ja ci pokażę! Szybko do domu! Marsz! Ale już! Już cię tu nie ma!

Posłusznie wyszłam, a ojciec śmignął mnie paskiem po gołej ręce, na której wystąpił przez krótką chwilę różowy ślad.

Bólu nie pamiętam. Mój troskliwy ojciec chciał mnie obronić przed przeziębieniem lub poważniejszą chorobą. Nie mam o to do niego żalu. Zapewne uczynił to z miłości. Podejrzewam, może niesłusznie, że oprócz miłości rodzicielskiej może miał trochę pretensji, iż pomagam sąsiadom. Bo przecież znane jest powiedzenie: „Powiadają jaskółki, że niedobre są spółki.” Jak to między sąsiadami, nie zawsze było miło i grzecznie. Na ciasnym wspólnym podwórku, gdzie mieszało się z sobą wiele zwierząt gospodarskich przy jednej studni, czasami dochodziło do spieć.

Zabawy Stasia

Najbardziej przeżyliśmy wypadek czteroletniego Stasia. Braciszek bardzo lubił zwierzęta, chętnie obserwował ich zwyczaje i często się z nimi bawił.

Trzeciego maja 1950 roku szczęśliwi wróciliśmy z przepięknej uroczystości odpustowej w Górcie Klasztornej. Zjedliśmy ugotowany przez mamę wczesnym rankiem smaczny rosół z kury, drugie danie i ciasto na deser. Mama poszła wydoić krowę i nakarmić ptactwo domowe. Hanka i Włodek spojrzeć na pastwisko tuż przy domu czy z bydełkiem i owieczkami wszystko w porządku. Stasiu bawił się z małymi kurczaczkami i gąskami. Z psami już też pohasał. Tata po ciężkim tygodniu wiosennych prac polowych poszedł odpocząć na kanapę. Zabrał ze sobą Stasia i przykazał mu:

- Połóż się przy mnie i prześpij się. Nie wychodź z łóżka.
- Dobrze tato, będę spał, nie wyjdę z łóżka.

Ale sen nie przychodził. Korciło go strasznie, by przywitać się ze żrebaczką, bo rano nie było na to czasu. Kiedy stwierdził, że tato zasnął, wymknął się po cichutku z domu, pobiegł do stajni, otworzył furtkę i wypuścił konia na wolność. Właśnie myłam w kuchni naczynia i nagle usłyszałam tętent kopyt. Pobiegłam do drzwi, patrzę, a to żreback galopuje

w stronę domu, gdzie przy studni czeka woda w korycie dla spragnionych zwierząt. Staś biegnie za nim, dogania go przy studni, łapie za ogon, jak robił to już niejedyn raz. Jednak tego feralnego dnia zabawa się nie udała.

Widzę to i nie mogę nic zrobić. Stoję na schodach domu struchlała, nie wiem, jak zaradzić ewentualnemu nieszczęściu. Uradowany braciszek biegnie za żrebakiem od studni do bramy wjazdowej. Tuż za nią, przed laskiem na piaszczystej drodze, żrebak kopie dziecko w główkę. Chłopiec nawet nie krzyczy, w jednym momencie leży bez życia. I mój straszny krzyk, płacz! Wszyscy biegniemy na miejsce wypadku, by ratować ukochanego braciszka. Biedactwo leży nieprzytomny, krew leje się z głowy strumieniem. Kawałek czaszki został odłamany kopytem i wgnieciony w główkę. Odślonięty mózg na prawej skroni pulsuje. Ogromny lament całej rodziny. Jesteśmy święcie przekonani, że już umarł, gdyż nie daje żadnych oznak życia. Klęczymy z mamą nad nim i szlochając, prosimy Boga, by zabrał go do nieba, będzie tam pięknym aniołkiem. Wydaje się, że te modlitwy trwają całe wieki. Nie ma już Stasia! Wielka rozpacz! Głęboki żal! Jesteśmy pewni, że nie ma już dla niego żadnego ratunku. Tato biegnie po czyste prześcieradła, by owinąć nimi dziecko i zanieść do domu. Nagle leciuteńko poruszają się powieki rannego! Słyszymy jego cichy jęk.

— Dzięki, Chryste! Żyje, jeszcze żyje! Boże! Błagamy Cię, zostaw go nam, nie zabieraj! Panienko Najświętsza ratuj... otocz go swoją matczyną opieką!

Powoli blada buzia lekko różowieje. Tato szybko zaprzęga konie do powózki i ile sił w końskich kopytach rodzice zawożą rannego do szpitala w Wyrzysku, odległego o 14 km. W miejscu wypadku tyle spłynęło krwi, że kury dziobały i dziobały zakrwawiony piasek, aż wydziobały bardzo głęboki dołek w ziemi. Zbolały cierpieniem syna tato natychmiast zdecydował pozbyć się żrebaka, który tak bardzo skrzywdził dziecko. Pojechał z nim na najbliższy jarmark w Wyrzysku, mimo iż młody koń wkrótce miał zastąpić starego, już mniej wydatnego w robotach polowych.

Przez dwa tygodnie Stasiu jest nieprzytomny, a kolejnych kilka znajduje się w bardzo ciężkim stanie. Rana ropieje, temperatura wysoka, braciszek w malignie. Janeczka codziennie przez sześć tygodni odwiedza chorego. Na poduszce wynosi go na świeże powietrze i do kaplicy, gdzie prosi Boga, by wyrósł na zdrowego, mądrego i dobrego chłopca. Błaga Stwórcę, by ten wypadek nie wpłynął negatywnie na jego rozwój umysłowy.

Rodzice nie zgodzili się na operację głowy, bo ktoś im powiedział, że gdy naruszy się mózg, dziecko może umrzeć lub być umysłowo chore. Tak więc w miejscu ubytku kości nie wstawiono mu płytki metalowej, jak planowali lekarze, i do dziś widać, jak pod skórą mózg pulsuje. Boję się, by w tym miejscu nie doszło do zranienia.

Przed wypadkiem Staszko miał proste włosy, zgolono mu je, aby nie przeszkadzały w zabiegach i opatrunkach. Zmarłwionej mamie zakonnica-pielęgniarka powiedziała:

— Proszę się nie smucić, odrosną mu piękne loki i zasłonią tę bliznę.

Tak się też stało. W szkole podstawowej jego włosami zachwycała się nauczycielka, czasem je czesała i przewiązywała wstążką, z czego chłopak nie był zadowolony. Modły Janki i całej rodziny zostały wysłuchane, Staszek uczył się bardzo dobrze, nigdy nie wymigiwał się od żadnej pracy w gospodarstwie. Jest dobrym i wrażliwym człowiekiem. Podczas mojej ciąży z Kornelią po lekcjach w Łobżenicy wpadał do Wyrzyska, by przynieść z piwnicy węgiel do kozy stojącej w pokoju, abym ja nie musiała go dźwigać. Przywoził mi też od mamy prowiant.

Marzec '68

Do dziś pamiętam opowieści Staszka o wydarzeniach z marca 1968 roku.

Już wiosna się zbliża milowymi krokami. Stasiu tak organizuje sobie zajęcia studenckie, by jak najszybciej przyjechać do domu i pomóc w pracach gospodarskich ojcu i młodszemu Wieskowi. Za kilka dni Wielkanoc, wiosną też dużo pracy w polu. Do walizki zabiera książki i notatki z wykładów. Z Poznania do Gromadna długa droga, z trzema przesiadkami. W Pile siedzi w poczekalni, bo czasu dość dużo, a na peronie już zimno. Ni stąd ni zowąd staje przed nim trójka mundurowych, milicja i ORMÓ, pytają: kto, skąd, dokąd, w jakim celu? Słowo *student* zadziało na nich jak płachta na byka. Rewidują wszystkie kieszenie, podejrzliwie patrzą na dokumenty i stojącą przy nim walizkę, rozkazują pokazać ulotki. Staszek mówi, że nie ma żadnych ulotek. Nie wierzą, szturchają go, popychają, szarpią, by szybciej otwierał walizkę. Wszystko wyrzucają na brudną podłogę. Przetrzęsają każdą rzecz, każdą książkę chwytają za grzbiet i bez najmniejszego szacunku dla słowa drukowanego rzucają jak popadnie w nadziei, że z nich wypadną materiały niesprzyjające obecnemu klimatowi politycznemu. Brat zestresowany okrutnie, gdyż wkrótce godzina policyjna i gdzie on się podzieje w ciemną, zimną noc. A co najważniejsze, aby nie powiązali dzisiejszego zdarzenia z niedawnymi studenckimi wypadkami marcowymi i aby nie otrzymał wilczego biletu, który zaprzępaści jego marzenia o zdobyciu ulubionego zawodu.

Kiedy w Warszawie zdjęto z afisza sztukę Adama Mickiewicza *Dziady*, w obronie tradycji narodowych i swobód demokratycznych zademonstrowali studenci. Zaczęły się represje, aresztowania i nagonka antysemitka.

W Poznaniu rektor zwołał wiec uczelniany, podczas którego apelował do studentów o spokój i powagę. Natychmiast przyjechała duża grupa milicjantów, aby rozprędzić zebranych

i zabrać przemawiającego rektora. W jego obronie solidarnie stanęła brać akademicka. Zaczęły się rozruchy. Od wymiany słów doszło do wymiany ciosów, ogólnej szarpaniny. Złapanych studentów relegowano z uczelni. Tzw. wilczy bilet nie pozwalał kontynuować nauki nie tylko na swojej uczelni, ale i w żadnej innej.

Kto zdążył uciec, miał szczęście. Jeden z kolegów podczas ich wspólnej ucieczki w okolicy pętli tramwajowej chwycił orłowca i zrzucił go z Mostu Teatralnego. Wkrótce stróże prawa chcieli przemocą wejść na rewizję do akademików. Studenci natychmiast zatarasowali drzwi wejściowe, a z okien rzucali krzesła, utrudniając wejście niepożądanych gości.

Innego dnia Staszek z kolegą, spacerując koło Parku Mickiewicza, bez najmniejszego powodu, bez jakiegokolwiek zaczepki zostali pobici pałkami po nogach i plecach przez trójkę mundurowych. Nie udało się chłopakom uciec, im szybciej uciekali, tym mocniej byli pałowani.

Nie ma co się dziwić, że mając w pamięci te wszystkie przeżycia, jeszcze świeże, mógł czuć w Pile nie tylko obawę, ale i strach o swoją przyszłość. Mówił, że paraliżujący strach psychiczny jest o wiele gorszy niż ból fizyczny. A tutaj dochodził jeszcze inny problem:

— Jak ja się pokażę rodzicom z wilczym biletem? Tak ich zawiodę?!

Na szczęście wszystko się dobrze zakończyło, święta spędziliśmy radośnie w rodzinnym gronie.

Po skończonych studiach na WSR Staszek wybrał dom i pracę na wsi, ponieważ od dzieciństwa interesowały go zwierzęta. Zamieszkał z rodziną w domu usytuowanym w parku nad jeziorem. Do czasu istnienia PGR-u miał dobrą pracę, zgodną ze swoimi studiami. Likwidacja PGR-u pozbawiła pracy wielu pracowników. Staszek sobie poradził.

Janka

Janeczka. Janina Balcerowska, matka Mariusza i Leszka. Janka to wielki rozdział mojego życia, to ukochana, umiłowana moja siostra, starsza ode mnie o 9 lat. To moja podpora życiowa od zawsze. To moja otucha i mój Przyjaciel. To moja druga matka. Już teraz wiem, że jeśli ją Bóg powoła przede mną, będę nieutulona w żalu, smutku i rozpacz. Pisząc o niej, cały czas płyną mi łzy. Martwię się, gdyż poważnie choruje na serce, nadciśnienie, jest po operacji usunięcia nerki z powodu raka.

Od moich najmłodszych lat Janka zawsze była dla mnie wielkim autorytetem, niedoścignionym wzorem. Uosobienie łagodności i spokoju. Zgrabna, elegancka, poruszająca się z gracją. Pogodna i uśmiechnięta, nieskarżąca się na swój, nie zawsze przecież łaskawy, los. Urodzona dyplomatka. Z lat stalinizmu ma przykre wspomnienia: przesłuchania przez UB za udział w nabożeństwach religijnych, za podarunek kuzynowi Frankowi różańca, za słuchanie muzyki z Radia Wolnej Europy itp.

Janeczka krawiectwa uczyła się w Wyrzysku i w Górze Śląskiej. Ponieważ potrafiła robić piękne projekty ubrań, szkoła skierowała ją do Wyższej Szkoły Wzornictwa Krawieckiego w Łodzi. Naukę i internat miała mieć za darmo, ale rodziców w pierwszych latach powojennych nie było stać na zakup dwóch kompletów pościeli i innego potrzebnego wyposażenia. Poszła więc do pracy. Najpierw jako krawcowa w Wyrzysku, potem bufetowa w restauracjach Zacisze i Złoty Róg. Od powstania Jagienki była jej szefową. Podczas przyjazdów do domu zawsze nam opowiadała dużo ciekawostek z „wielkiego wyrzyskiego świata”. Streszczała obejrzone filmy i przeczytane książki, jej ulubionym bohaterem był Marco Polo. Pamiętam, gdy przeszywał nas strach i zgroza, kiedy Janka przepięknie recytowała z pamięci *To lubię*:

— (...) *Bije raz, dwa, trzy już północna pora... duchy, cmentarze, Świtezianka* (...) — Adama Mickiewicza.

Miała piękny głos. Podczas wspólnego szycia u niej często śpiewaliśmy na dwa głosy długie wieczory. Janka obszywała całą rodzinę. Najwięcej szyła dla mnie, bo gdy byłam w internacie lub kiedy pracowałam w szkole, musiałam i chciałam ładnie się ubierać. Ona mi zafundowała wyprawę do szkoły i internatu. Przez wiele lat uwielbiała robić mi prezenty. Za pierwszą pensję kupiła dla całej rodziny upominki odzieżowe. Była to dla nas prawdziwa radosna niespodzianka! Pod choinkę też podkładała małe prezenciki.

Pomagała rodzicom finansowo, gdy już lepiej zarabiała. Nie lubiła i nie mogła pracować w polu, bo gdy dłużej się nachylała przy ciężkiej pracy, dostawała krwotoki z nosa i mdlała. Wołała więc pomagać, przynosząc z miasta wędliny, słodycze, ubranie, obrus czy zastawę stołową lub dając po prostu pieniądze. Czasami zjawiała się w domu jak bogata ciotka z Ameryki.

Dużym zastrzykiem finansowym był wyjazd jej męża Józka do Danii, gdzie został skierowany przez POM w Wyrzysku do naprawy kombajnów i maszyn rolniczych. Nam też z delegacji przywiózł trochę ładnych prezentów.

Kiedy Janeczka została kierowniczką Jagienki, lubiła podpatrywać lokale w innych miastach, by coś w swojej kawiarni ulepszyć. Zawsze mnie zapraszała do towarzystwa, gdy już byłam na rencie. Z każdej wyprawy wracałam z ładnym prezentem od niej. Chciała mnie rozerwać, widząc, jak mi smutno bez mojej umiłowanej pracy.

Jeden, jedyny raz widziałam Jankę w uniesieniu i gniewie. Był zimny, wrześniowy dzień.

Siedzieliśmy w pokoju. Obie siostry coś szeptały. Wtem Janka usłyszała otwieranie drzwi kuchennych i brzęk blaszanego wiadra. Spojrzawszy w okno, zobaczyła mamę idącą po wodę do studni. Natychmiast postanowiła ciężarnej mamie pomóc. Marii to się nie spodobało. Powiedziała o mamie coś ubliżającego, co tak ubodło młodszą siostrę, że ostro nakrzyczała na nią. Ten dzień był dla mnie godny zapamiętania z dwóch powodów. Pierwszy to sprzeczka do-

rosłych sióstr. Drugi — rozwiązanie tajemnicy tycia mojej szczupłej matki.

Po dwóch miesiącach urodziła się Elżbieta. I to właśnie Maria została jej chrzestną matką.

Kuzyn Andrzej

Ojcem chrzestnym Elki został mamy kuzyn z Krakowa — Andrzej, syn starszej siostry babki Petroneli, tej, która własną piersią wykarmiła księcia Radziwiłła. Podczas odbywania służby wojskowej w Pile często przyjeżdżał do nas ze swoimi kolegami żołnierzami wojskowym samochodem. Bardzo lubił mamę, a ona zawsze gościnnie przyjmowała go wraz z kompanami, czym mogła, nakarmiła żołnierzy, a na odjazd latem i jesienią łamała mnóstwo gałęzi z dorodnymi porzeczkami, czereśniami, wiśniami i śliwkami, aby mieli czym delektować się w drodze do bazy. Widzę, jak radośni, obładowani naczyniami owoców ze śpiewem odjeżdżają od nas.

Widzę to wszystko tak, jakby działo się dzisiaj. Mama, tata, Janka, Marysia oraz Andrzej wspominają czasy i ludzi z Krakowa i Myślenic. Było o czym rozmawiać. Wojna skończyła się przed kilku laty. Rodzina się rozproszyła, trzeba było się dowiadywać, co u kogo się wydarzyło, co się teraz dzieje, jak żyją i czy żyją. Nie było u nas telefonów i komórek tak jak w dzisiejszych czasach. Tylko listownie można było się komunikować.

Potem Andrzej wyjechał do pracy do Iraku. Stamtąd pisał, a raczej kaligrafował do nas piękne listy metalową stalówką czarnym tuszem z kałamarza. Na bal maturalny przysłał Elżbiecie różową koronkę razem z odpowiednią jedwabną podszewką, z której Janka uszyła jej piękną kreację balową.

Elżunia

Nasza najmłodsza siostrzyczka przyszła na świat w 44. roku życia rodzicielki. Dla mamy to był trudny okres. Biedne lata stalinowskie. Jednak bohatercko zniosła wszystkie niedogodności życia. Ja miałam wówczas niespełna 11 lat. Każdy wolny czas poświęcałam maleństwu. Rozpieszczaliśmy ją wszyscy i cieszyliśmy się z narodzin tej milutkiej dziewczynki. Mogę powiedzieć, że ją wylulałam i czułam się za nią odpowiedzialna.

Podczas lat szkolnych trochę ciężko jej było, szczególnie dźwigać do Falmierowa wypełniony książkami tornister. Za uskładane pieniądze w Szkolnej Kasie Oszczędności rodzice kupili dla niej piękny, błękitny rower. Teraz z przyjemnością pokonywała wąskie ścieżyny na skarpie naszej gromadzkiej drogi, jak również te wijące się wzdłuż brzegu jeziora. Miała też więcej czasu na czytanie książek i pomoc mamie.

W siódmej i ósmej klasie od późnej jesieni do wiosny zamieszkała u nas i uczęszczała do wyrzyckiej szkoły. Chciałam jej oszczędzić szarugi jesiennej, mroźnej zaśniewzonej zimy i roztopów wczesnowiosennych. Było mi jej żal, że marznie w zimnych murach starego domu, kiedy ja mam centralne ogrzewanie, a szkoła stoi niedaleko. Jakiś czas mieszkała u nas również w czasie nauki w Technikum Spożywczym w Staszicu w Nakle.

Po ślubie z Zygmuntem Zabrzyckim urodziła trzy córki. Po skończeniu studiów Patrycja i Ania zamieszkały w Poznaniu, a Kornela w Toruniu. Patrycja urodziła Gustawa i Maksymiliana, Kornela — Lenę, a Ania — Katarzynę. A Ela teraz stale kursuje między tymi miastami, by służyć pomocą malutkim wnukom.

Wiesiek

Pewnej zimy kilkuletni Wiesiek bardzo zachorował. Nie mógł w ogóle chodzić, ponieważ noga przykurczyła mu się w kolanie tak, że nie mógł jej wyprostować. W środku uda odczuwał ogromny ból. Opowiadał, że kiedyś uderzył się w duży żeliwny garnek. Nie było widać żadnego sińca, ale on z wysoką temperaturą leżał w łóżku już kilka tygodni. Wszyscy bardzo martwiliśmy się, że będzie kaleką, że może rozwija się gruźlica kości lub coś jeszcze gorszego. Żadne modlitwy, nowenny ani maści nie pomagały — noga sztywna, krzywa i chudsza. Szkoda nam było najmłodszego braciszka.

Żadne znoszone mu słodycze nie zmusiły chorej nogi do wyprostowania. Przyjechała Janeczka. Wpadła na pomysł, by go przekupić pieniążkiem. Wiedziała, że każda złotówka to dla niego radość, bo w domu nikt z nas nie miał kieszonkowego. Podarowała mu 10 złotych, co wówczas było niemałą sumą. Wiesiek bardzo się starał wyprostować tę chorą nogę, ale i to nic nie pomogło. Teraz widzieliśmy, że naprawdę nie symulował, o co czasami go posądzaliśmy. Aż wreszcie wybił na zewnątrz nogi ropny wrzód. Wiesiek był uratowany! Jeszcze kilka dni choroby, opatrunków i braciszek wrócił do pełnego życia.

Był zdolnym chłopakiem. Muzycznie również. W pierwszej klasie szkoły podstawowej, pojechał ze mną do Bydgoszczy zawieźć dziadkowi jajka, kurę i wędliny domowego wyrobu. W pokoju stało pianino. Wiesiek zapytał ciocię Sabinę, czy może coś zagrać. O dziwo! Po krótkim zapoznaniu się z dźwiękami zaczął bezbłędnie wygrywać różne śpiewane w domu melodyjki. Zaczął od *Wlazł kotek na płotek*, *Na Wojtusia z popielnika*. W późniejszych latach, gdy tato pozwolił mu kupić gitarę, sam bardzo szybko nauczył się na niej grać. W ge-nach przekazał te zdolności Dawidowi i Oktawii.

Pasjami czytał książki. Czasami tata zabraniał, bo szkoda czasu i lampy, czyli nafty. Wiesiek więc, w skrytości przed tatą,

czytał nocą pod pierzyną, świecąc sobie lampką. Żył tym, co czytał. Przy wesołych fragmentach zaśmiewał się głośno do rozpuku i tym wpadał, że jeszcze nie śpi. Pamiętam, jak strasznie się śmiał, gdy Jagna gniotła orzechy swymi pośladkami. Ten długi fragment powieści umiał na pamięć i wiele razy nam go przytaczał. Miał smykałkę do języków obcych. Sam bez niczyjej pomocy nauczył się angielskiego i niemieckiego. Pracując jako taksówkarz w Wyrzysku, czas oczekiwania na klientów wykorzystywał na naukę języka. Chociaż zdał w języku obcym kurs pilota wycieczek zagranicznych, nie udało mu się zatrudnić na żadną wycieczkę. Jednakże pilotuje polowania z obcokrajowcami.

Raz otarł się o śmierć. Był wtedy sam. Ile musiał wykazać przytomności umysłu i siły, by wyrwać się z objęć kostuchy. Z pewnością pomogły mu ćwiczenia, które od lat wykonywał, aby swoją drobną, chudą posturę obudować mięśniami. Zrobił różne ciężarki i przyrządy z kamieni, puszek i cementu, na których ćwiczył w szopie.

Tego jesiennego dnia orał ziemię na probostwie pod Kijaszkowem. W czasie pracy powkręcały się łąty ziemniaczane do przekaźnika mocy i traktor przestał pracować. Trzeba było to wszystko poodrywać. Gdy już kończył odrywać chwasty i badyle, silnik nagle się włączył. Przekaźnik zaczepił rękaw swetra, zaczął okręcać i coraz bardziej przyciągać Wieska. Jeszcze moment, a byłby zmiażdżony czy solidnie poturbowany. Zaczęła się walka człowieka z maszyną o napędzie 25 koni mechanicznych. Nie było możliwości zdjęcia swetra. Uwięziony Wiesiek nie mógłby też zbliżyć głowy do traktora, bo to pewna śmierć. Całe szczęście naszemu dzielnemu, silnemu bratu udało się wyszarpać z objęć maszyny z częścią swetra i uratować życie. Do dziś pamiętam ten poszarpany, postrzępiony, czarny, gruby sweter zrobiony ścięciem angielskim. Wiesiek wrócił do domu strasznie blady, zmęczony i słaby, ale szczęśliwy, że żyje i nie jest kaleką. W domu zapanała wielka radość. Tato stał się dla niego czulszy i mniej wymagający.

Wiesiek nie chciał zostać rolnikiem, pragnął żyć z ludźmi i mieć inną pracę. Jego marzeniem było kupienie amerykańskiego samochodu, zarobieniu potrzebnej sumy pieniędzy, poślubienie odpowiedniej dziewczyny. Tak też zrobił. Jadąc do Piły autobusem, poznał studentkę pedagogiki Barbarę Mołdrzyk z Wyrzyska. Zakochali się w sobie. Gdy pojechał do niej do Gdańska, został wysoko oceniony przez jej kolegów, z którymi rozmawiał po angielsku. Po ślubie planowali zamieszkać w Gdańsku. W dużym mieście widzieli lepszą przyszłość dla siebie i dla przyszłych dzieci. Niestety, stan wojenny wszystko im zepsuł. Wyszło zarządzenie, na podstawie którego musieli wycofać wkład mieszkaniowy, choć już wkrótce mieli otrzymać przydział na mieszkanie spółdzielcze. Bardzo przeżyli to, że ich marzenia się nie ziszczały. Po kilku latach życia i pracy w Wyrzysku zamieszkali w Złotowie.

Sebastian

Mój średni brat Stanisław urodził się już po wojnie. Oglądając filmy z Januszem Gajosem, zawsze widzę w nim mojego brata. Po studiach w Poznaniu na stażu poznał Kamilę Szpunar. Z ich związku małżeńskiego urodzili się Sebastian, Krystian i Karolina. O nich jest mi trudno mówić, ponieważ przeżyli wielką tragedię — stracili syna Sebastiana w bardzo młodym wieku. Nigdy nie pogodzę się z tą śmiercią i być może nigdy jej nie zrozumieć. Przecież mógł jeszcze długo żyć i wiele dobrego uczynić. Miał dopiero 29 lat, ukończone studia na AWF-ie, ślub z Danutą wziął rok przed śmiercią. Przystojny, wesoły chłopak. Jego oczy były pełne jasności bijącej z bogatego wnętrza. Określenie, że „oczy są zwierciadłem duszy” u niego w pełni się zgadzało. Myślę, że każdy, kto go poznał i z nim porozmawiał, musiał go pokochać. Charyzmatyczny wzór. Mówił, że dostał w życiu wielkiej łaski. Kiedy pod koniec liceum zastanawiał się, jak dalej żyć, usłyszał wewnętrzny głos wskazu-

jący mu drogę. Niósł miłość i dobro między ludzi. Napisano, że umiłowani przez Boga umierają młodo. To dla mnie żadne pocieszenie. Dlaczego los skazał go na tak wielkie upokorzenie i cierpienia wynikające z paraliżu ciała od pleców w dół na 6 miesięcy? A Sebastian? Mimo tych wielkich cierpień nie skarżył się, był uśmiechnięty i nawet nas załamanych pocieszał! Skąd miał tyle siły? Myślę, że jego siła i moc wynikały z wielkiej wiary. I z miłości. Tylko jedną osobę znałam umiejącą tak jak Sebastian mówić z miłością o Bogu i tak jak Sebastian żarliwie się do niego modlić. Była to jego babka po mieczu Stanisława Chorabik, moja mama.

Śmierć Mamy

Jak mam opowiedzieć o najboleśniejszej stracie? Jak przełać na papier to wszystko, co do dzisiaj czuję? Opowiedzenie o tamtym dniu stale odsuwałam na później, na później, jeszcze nie teraz. Ale nie ucieknę przecież od tego!

Jest 18 lutego 1981 rok — zima stulecia, śniegi tak wysoko zasypały drogi, że żaden samochód ani pogotowie nie mogły dojechać z pomocą do umierającej mamy. Miała dopiero 70 lat. Do ostatniej chwili życia była sprawna i przytomna! Pamiętam ten dzień, jakby to się dzisiaj działo. Mróz, śnieg. Władek, mój mąż wyjechał służbowo do Warszawy.

Ja od kilku lat poważnie chorowałam. W tym dniu od rana nie wstawałam z łóżka z powodu bardzo złego samopoczucia, byłam bardzo słaba i zmęczona nieustannymi atakami alergii. O godzinie 16.00 zadzwoniła do mnie Janka i bardzo ostrożnie, by mnie nie przestraszyć, powiedziała:

— Wandziu, mamie się pogorszyło i coś złego się z nią dzieje, więc dobrze by było, gdybyśmy tam pojechali.

Ona wiedziała, że mama jest umierająca, ale miała nadzieję, że pomoc lekarska przywróci jej życie. Wydzwaniała do lekarzy po szybką pomoc, ale śniegi utrudniały dotarcie

do chorej. Hanka biegła przez zasy najpierw do sołtysa w Gromadnie, który miał telefon, i do cioci Anny do Falmierowa, by wezwać pogotowie, choć mama jej powiedziała:

— Dziecko, to nie ma sensu, ja już umieram. Weź gromnicę i módlcie się za umierającą.

I tak się stało. Roztrzęsiony tato i płacząca Hanka razem z nią odmawiali modlitwę za konającą. O Boże, ile przytomności umysłu! Mama prowadziła te modły! Aż nieprawdopodobne, a jednak tak było. Cały czas mimo strasznego bólu w piersiach — jakby obręcz ją boleśnie ścisnęła wokół serca i klatki piersiowej, z głową pękającą z bólu, prawie do ostatniej chwili swojego życia potrafiła przewodniczyć w modlitwie. A znała na pamięć wszystkie modlitwy.

Hanka i tata wciąż płakali. Tato prosił, wołał:

— Stasiu, nie odchodź ode mnie, nie umieraj! Co my bez ciebie zrobimy?! Jesteś dla mnie wszystkim, całym życiem, nie potrafię bez ciebie żyć.

Przedostatnie słowa mamy brzmiały:

— Jaka szkoda, że nie będę mieszkać w nowym mieszkaniu w Wyrzysku.

I ostatnie:

— Taka wola Twoja, Panie.

Oczywiście po telefonie od Janki natychmiast wstałam z łóżka, poprosiłam 10-letnią Beatkę, by pobiegła powiadomić Elżbietę.

Mimo ciemna, zimna i strachu Beti pobiegła natychmiast. Ani na moment nie zawahała się, biegła, ile sił starczyło. Ja poprosiłam szwagra, Ryśka Koczaja, aby zawiózł mnie z córkami i Elą do Falmierowa. Dalsza droga była zasypana śniegiem. Żadnej lampy przydrożnej. Pobiegliśmy na przełaj przez zasnieżone pola.

Zjawiliśmy się tam około godziny 19., lecz niestety, nasza dobra, kochana, niezastąpiona mama już nie żyła!!! Szok, rozpacz.

— Mamo, dlaczego? Tak szybko! Przecież mogłaś jeszcze żyć!

Jeszcze była ciepła, jeszcze miała rumieńce na policzkach, jeszcze na twarzy lekki uśmiech, ale jej dusza wzniosła się już w zaświaty.

A my wszyscy jak osierocone kurczęta, nie wiedzieliśmy, co robić. Nie było już ratunku. Spotkany po drodze felczer oznajmił, że to był totalny zawał serca i wylew krwi do mózgu. Umarła szybko, tak jak sobie tego życzyła. Zawsze modliła się o krótką, szczęśliwą śmierć. Twarz wciąż miała pogodną, szczęśliwą. Może ten lekki uśmiech był jeszcze do nas, a może już do istot niebiańskich? Zawsze chciała iść do nieba, bo twierdziła, że:

— Tam jest pięknie i dobrze. Przecież sam błękit nieba i rozgwieżdżony firmament niebieski jest przepiękny, więc tam z pewnością są rzeczy daleko piękniejsze i bardziej zachwycające.

Do dziś nie mogę się pogodzić z jej śmiercią. Skoro jednak Najwyższy postanowił ją tak szybko zawezwać do siebie, to dzięki Mu za to, że chociaż cierpiała krótko i przed śmiercią była szczęśliwa.

Kiedy rodzice oddali dwa lata przed śmiercią mamy gospodarstwo na Skarb Państwa, nie było im źle. Otrzymywali emeryturę, mieli ogródek z warzywami i kwiatami, trochę drobiu. Wiesiek lub Hanka przynosili z Wyrzyska świeże pieczywo i inne potrzebne wiktuały. Wszystkie dzieci już pracowały. Prawdą jest, że mama chorowała od wielu lat na anemię, nadciśnienie i rzadko spotykaną w tym wieku tak rozległą miażdżycę — jak powiedział lekarz. Gdyby jednak leczyła się systematycznie, być może żyłaby dłużej. Chociaż i tak zawsze mówiła, że ja jej darowałam siedem lat życia, ponieważ załatwiłam leczenie szpitalne w Wyrzysku. Po szpitalu przez trzy tygodnie leżała u nas w Wyrzysku, a pielęgniarka przychodziła robić zastrzyki. Jej choroby wymagały systematycznego zażywania leków, lecz mama raczej tego nie przestrzegała.

Ile razy przyjeżdżałam do domu, co niedzielę lub co dwie, to mama, choć leżała, bo czuła się źle, gdy usłyszała samochód, szybko wstawiała i udawała, że czuje się dobrze, tylko

tak z lenistwa poleguje. Gdyby jeszcze nie to Karlino, w którym właśnie wytrysnęła ropa naftowa, a nam zachciało się tam pojechać i to zobaczyć na własne oczy... Może będąc u mamy w niedzielę, zobaczyłabym, że czuje się gorzej, może załatwiłabym lekarstwa, szpital. Może... Boże, jak mi tego żal! Mama umierała w środę, w dzień Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, tak jak gorąco pragnęła.

Tego dnia Wiesiek był w domu, przyniósł świeży chleb i inne potrzebne wiktuały.

Przyjechał też jakiś rolnik kupić brony. Mamę już trochę bolała głowa i serce, podobno była bardzo czerwona, ale jeszcze zrobiła obiad, który Wiesiek zjadł i poszedł do pracy, nie przypuszczając, że coś złego się stanie. Przecież mama często tak się czuła, lecz stale była ruchliwa i wszystko chciała zrobić. Po obiedzie była bardzo szczęśliwa, dużo się śmiała, cieszyła się, mówiła:

— Jasiu, jak nam teraz dobrze. Dzieci nas odwiedzają, przynoszą prezenty, robią zakupy. Wszystko mamy, nic nam więcej nie potrzeba. Jak dobrze, że już nie mamy ziemi i roboty w polu. W telewizorze widzimy, co się dzieje w kraju i na świecie.

Była radosna, wspominała też gorsze lata. Nagle strasznie rozboleła ją głowa i serce. Powiedziała:

— Módlcie się za mnie, bo ja będę umierać.

Kiedy Hance wydawało się, że mama straciła przytomność, pobiegła po pogotowie. Ciocia Anna prosiła, żeby zabrali Hankę, która im wskaże drogę do domu umierającej.

Kiedy wyrzyskie pogotowie ratunkowe dotarło jedynie do Falmierowa, bo dalej drogi były zasypane śniegiem, trzeba było samochód wypychać z zasp. Pchały go Hanka, ciocia i wujek. Felczer nie chciał pomagać, mówiąc, że nie będzie marnować swojego zdrowia dla jakiejś wiejskiej kobiety. Wówczas ciotka mu dała reprimendę, skrzyczała go za te słowa. Powiedziała o swojej siostrze, że to zasłużona osoba, tak wiele w życiu dokonała, wychowała i wykształciła tyle dzieci, zrobiła więcej niż niejedna miejska kobieta. Wtedy zawstydzony fel-

czer zaczął również pchać auto. Gdy w końcu wypchali ten ciężki samochód z głębokiej, zaśnieżonej koleiny i doszli do domu, mama już nie żyła. Gdyby kierowca posłuchał Hanki i jechał polami, być może zdążyliby uratować umierającą.

Zmarła mama leżała z twarzą pogodną, taką, jaką miała za życia. Trumnę z nią następnego dnia tato wywiózł saniami przez pola do Falmierowa, a stamtąd szosą samochodem do kaplicy w Wyrzysku. Na sercu mamy Janka położyła upleciony krzyż z ośmiu czerwonych róż, tylu róż, ile żyło dzieci. To był piękny pomysł. Hołd złożony mamie za życie — wyraz naszej bezgranicznej miłości do niej. Ona nigdy nikogo z nas nie wyróżniała, każdego rozumiała i broniła, wybaczała wszystko. Podziwiam mamę, która mimo ciężkiego życia i wielu bolesnych przeżyć była pogodna, wesoła, z nadzieją patrzyła w przyszłość. Marzyła tylko o tym, by nam w przyszłości było lepiej.

Zapada zmrok

W niedzielę rodzinnie chodziliśmy na spacer po naszych polach i łąkach. Elżbieta określiła je jako pachnące trawą, kwiatami, poezją, rozbrzmiewające złotymi nutkami treli skowronków i naszym radosnym śmiechem. Mama umiała zachwycać się każdym kwiatkiem, chmurką czy gwiazdami. Dziękowała Bogu za piękne dzieła przez niego stworzone.

W ciepłe niedzielne popołudnia organizowaliśmy sobie piknik nad stawkiem lub w małym lasku tuż za bramą. Mama piekła jakieś lepsze ciasto, robiła ożywczą lemoniadę, wodę z sokiem domowym i kompot z owoców z naszego sadu. Rozsiadaliśmy się na kocach pod cienistymi brzoźami, klonami i lipą. Znalazła się też tam i wiśnia, i czereśnia. To były piękne dni! Snuliśmy wspomnienia, marzenia i plany, odgrywaliśmy inscenizacje, recytowaliśmy wierszyki, śpiewaliśmy piosenki, opowiadaliśmy legendy i baśnie. I zjadaliśmy pieczone w ognisku ziemniaki.

A gdy słońce chyliło się ku zachodowi i najpierw różowiało, a potem krwście czerwieniało, i niebo malowało chmury wieloma pastelowymi barwami, my śpiewaliśmy ułożoną przez mamę pieśń wieczorną pt. *Panience na dobranoc — Zapada zmrok* — pięć zwrotek.

*Zapada zmrok, już świat ukołyszany
Znów jeden dzień odfrunął nam jak ptak.
Panience swej piosenkę na dobranoc
Zaśpiewać chcę w ostatnią chwilę dnia.*

*I chociaż wnet ostatnie światła zgasną,
Opieka Twa rozproszy nocy mrok.
Uśpionym wsio, ukołyszonym miastom
Panienko, daj szczęśliwą, dobrą noc.*

*I ludzkim snom błogostaw dłonią jasną,
I oddal od nich cień codziennych trosk.
A tym, co znów nie będą mogli zasnąć,
Panienko, daj szczęśliwą, dobrą noc.*

*A komu noc czuwaniem jest niełatwym,
Na czas bezsennej siłę daj i moc,
I tym, co zasną dzisiaj raz ostatni,
Panienko, daj szczęśliwą, dobrą noc.*

*Zasypia świat piosenką kołysany,
Odłynął dzień, by jutro wrócić znów.
Uśmiecham się do Ciebie na dobranoc,
Piastunko moich najpiękniejszych snów.*

Mama, żyjąc ponad 20 lat w województwie lwowskim, była zafascynowana dumkami ukraińskimi, muzyką sakralną, śpiewem chóralnym. Melodię do *Panienki*... zaczerpnęła z dumki

ukraińskiej **Stojit dziwcz nad bystroju wodoju*. W Polsce na tę melodię znana jest piosenka *Zarzuć płaszc, gitarę wezmę w rękę...*

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności księży w latach 60. chcieli wydać nowy śpiewnik religijny. Gromadzili pieśni śpiewane przez wiernych w kościołach, na pielgrzymkach i w domach. Jednego dnia Zosia Radwańska — siostra zakonna przyjechała do Gromadna z tą informacją do mamy. Powiedziała;

— Ciociu, ty znasz tak wiele pieśni, wierzę, że mi pomożesz!

Mama na to:

— Z radością to zrobię i dam nawet swoje piosenki.

Mama śpiewała, a siostra Zosia zapisywała słowa.

Zosia zapytała, czy podać imię autora, a mama odparła:

— Nie, nie potrzeba.

Podczas pontyfikatu św. Jana Pawła II do tego tekstu dodawano kolejne zwrotki poświęcone papieżowi. Szóstą zwrotkę, *Nad Ojcem Świętym czuwać nieustannie...*, ułożyła s. Magdalena Nazaretanka, a po jego śmierci bp Józef Zawitkowski *I daj mi sen o łąkach umajonych...*

Męczyduchy

Mama nigdy nie rozczułała się nad sobą, nie rozpieszczała się, zawsze służyła innym od świtu do nocy. Mimo tylu obowiązków związanych z dziećmi i gospodarstwem, prawie codziennie piekła ciasto: drożdżowe, pączki, amoniaczki lub kruche ciastka nazywane męczyduchami. Pamiętam, że przez wszystkie lata w białym, płóciennym woreczku na haku wbitym we framugę drzwi w pokoju zawsze były ciastka. Znakomite! Wszyscy zajadaliśmy je z apetytem. Tato uwielbiał ciasta drożdżowe, więc mama z radością je piekła. Nie miała ani robota kuchennego ani prodiża, bo przez długie lata nie było tam prądu. Mama gotowała i piekła to, co lubiliśmy. Prowadziła kuchnię urozmaiconą i zdrową.

W wędzarni tzw. duchówce wisały uwędzone i wysuszone własne wyroby — kiełbasy, szynki i boczek. Moje córki uwielbiały zwłaszcza wysuszone na wiór twarde szynki oraz schaby, które dziadkowie kroili w prawie przejrzyste plasterki. Kornelka i Beata bardzo lubiły jeździć do Gromadna. Tam spędzały część wakacji wraz z kuzynostwem. Dzieci bawiły się w stogach siana, wchodziły na drzewa, zbierały pieczarki z łąki, pały owce, hasały z domowymi zwierzętami.

Dziewczynki bardzo lubiły babci zacierkę, makarony i pierogi, które wspólnie lepiły, głównie Kora, bo była starsza od Beatki. W niedzielę był zawsze pyszny rosół z domowej kury z dużą ilością ziarnistego pieprzu, a w kompotach pamiętam smak i zapach goździków. Na śniadanie czasami mama gotowała na zrobionym przez siebie zakwasie chlebowym zupę kminkową doprawianą kwaśną śmietanką, jej dobrego smaku nie zapomnę. W zimnej, głębokiej piwnicy stało zsiadłe mleko, z którego spijałam tzn. palcem zbierałam prosto do ust wyborną, gęstą jak masło śmietankę. Nigdy nie zapomnę smakowitego żuru wigilijnego na własnej roboty zakwasie z mąki żytniej, którym się zjadałam przez całe Święta Bożego Narodzenia.

Obok domu rosły bardzo wczesne czereśnie i dużo wiśni, z których smażyliśmy konfitury, a także robiliśmy kompoty i soki. Wiele radości było, gdy śliwki obrodziły, gdyż mama przerabiała je na powidlą. Mieliśmy własny miód z kilku uli. Mamę pszczoły nigdy nie kąsały, natomiast tato musiał zakładać kapelusz z siatką podczas wybierania miodu i dokarmiania pasieki. Z buraków cukrowych robiliśmy syrop używany do chleba i pierników. W dużych kamiennych garnkach lub drewnianych beczkach kisiliśmy kapustę, a w niej jabłka, które smakowały potem wybornie. Wyśmienite były też ogórki z naszych pól zakiszone w dużych słojach lub glinianych garnkach. Wszystkie nadwyżki masła mama zawsze topiła, by nie jełczało. Po jej śmierci Hanka darowała mi gliniany garnek klarowanego masła, które długo mi służyło. Po każdym świnobiściu stał duży garnek smalcu z niemałą ilością skwar-

ków. Po dniu ciężkiej pracy w zimnym polu najpyszniej smakowała kromka chleba z dobrze rozgrzаныmi skwarkami na patelni lub młode ziemniaki z koperkiem, ogórkiem kiszonym i zsiadłym mlekiem. Latem w ogóle nie tęskniliśmy za mięsnym obiadem. W niedzielę zawsze był rosół z kury i sos. Najpierw do garnka szły koguty, bo one nie znoszą jajek.

Nowa uprzęż

W pierwszych latach powojennych było biednie. Mimo iż koło domu rosło kilkanaście wiśni i czereśni, to rodzice nie sprzedawali owoców, a rozdawali je darmo wszystkim chętnym. Chodziłam już do liceum, gdy lekko się temu sprzeciwiłam. Tyle w domu potrzeb, a wiśnie rozdawane. Tak chyba nie powinno być.

Wiśnie zawsze dojrzewały w czasie rozpoczynania koszenia żyta. Każde pole zboża trzeba było tak przygotować, by mogła wjechać kosiarka. Tego dnia i następnego nie poszłam w pole za ojcem z kosą wiązać snopków, a weszłam na wiśnie. Wspinałam się na najwyższe czubki, ściągałam najbardziej odległe gałęzie i zrywałam wszystkie owoce. Połamałam trochę gałęzi, co wyszło drzewom na dobre, bo w następnym roku odrosły nowe, młode obsypane owocem. Bordowych, soczystych wiśni zerwałam kilka koszy, wanien i wiader — cały wóz. Poleciałam tacie zawieźć je do skupu w Wyrzysku lub Łobżenicy i za te pieniądze kupić nową uprzęż dla koni, bo stara już cała się rozrywała. Było mi żal taty, gdy patrzyłam, jak wciąż ją naprawia. Nawet po ciężkiej pracy w polu zamiast odpocząć, ślęczy z szydłem i igłą nadzianą grubą dratwą na specjalnie zrobionej ławce szewsko-rymarskiej i zszywa, łąta już sparciate lejce i inną część upręży dwóch koni. Po prostu było niebezpiecznie jej dalej używać. A największy strach, że się rozleci, gdy konie nagle szarpną albo przy zjeździe szosą z górki do Wyrzyska, gdzie pędzą jak szalone, a ja za każdym

razem zamykam oczy z bojaźni przed roztrzaskaniem nas. Stara uprząż mogła się rozlecieć podczas wyciągania ciężkiego wozu załadowanego burakami, ziemniakami czy workami zboża z grząskiego pola lub błotnistej albo piaszczystej drogi.

Nowa uprząż była piękna, lśniła blaskiem nowej skóry, błyszcząły metalowe łączenia poszczególnych części. Już nie było wstydu pokazywać się w eleganckim ordynku. Tato był z niego bardzo dumny. A ja zadowolona, że moje niebezpieczne wspinanie się po cienkich gałęziach przyniosło rodzicom korzyść. Od tej pory rodzinie i przyjaznym sąsiadom rozdawaliśmy wiśnie, a resztę sprzedawaliśmy na potrzeby domu i członków rodziny.

Kiedyś z wiśni, czereśni i porzeczek mama robiła deserowe wino. Słodkie i klarowne, dobre czerwone wino. Często wano nim gości, głównie krewnych odwiedzających nas czasami z okazji świąt i spotkań rodzinnych. Butla z owocami zamknięta była dużym korkiem ze szklaną specjalną rurką. W okresie fermentacji mama wężykiem sprawdzała, jak smakuje wino i decydowała, co dalej czynić. Ale gdy moi bracia podrośli, to również po cichutku, pomalutku, po łyčku, po kropelce zaczęli się nim interesować. Bystra mama zauważyła to natychmiast, chłopcy dostali reprimendę i już w następnym roku wina mama nie nastawiła. Od tej pory pusta butla smętnie pokrywała się kurzem w szopie. Mama wiedziała, że pokusa czyni i złodzieja, i pijaka. W imię dobra swoich synów pozbyła się jej.

Lepsze czasy

Po latach biednych przyszedł znowu lepsze czasy. Rodzice dokupili około pięć hektarów urodzajnej, pszenno-buraczanej ziemi pod Kijaszkowem na tzw. probostwie. Ziemia niegdyś kościelna dawała bogatsze plony niż ta piaszczysta poniemiecka. Teraz rodzice mogli sobie pozwolić na kupno traktora, ko-

siarki, snopowiązałki oraz innego sprzętu gospodarczego. Praca na roli i w gospodarstwie domowym stała się łatwiejsza.

Pod rządami Edwarda Gierka już nie było przymusu oddawać państwu za bezcen płodów rolnych i zaczęło się nam lepiej powodzić. Oczywiście nie aż tak dobrze jak w latach międzywojennych. Wreszcie w roku 1972 do naszego domu doprowadzono prąd i zajaśniała żarówka. Na ten cel mama od kilku lat zbierała pieniądze ze sprzedaży wełny i owiec. Był to dla nas wielki wydatek, ale też duże ułatwienie życia codziennego. Wieś zelektryfikowano prawdopodobnie jeszcze we wczesnych latach czterdziestych, o czym świadczy fakt posiadania silnika elektrycznego przez mieszkańców Gromadna już w pierwszym roku po wojnie.

Rodzice kupili też telewizor, lodówkę, pralkę Franię, prożir i żelazko. Do tej pory pranie odbywało się w rękach lub na tarce blaszanej, a prasowało się żelazkiem na węgiel drzewny lub na duszę, czyli rozgrzanym w ogniu kawałkiem metalu wkładanym do żelazka. Już teraz nie trzeba było chodzić za końmi w kieracie, bo młocarnia działała na siłę elektryczną.

Gospodarstwo dawało większe dochody, ale nikt z synów nie chciał zostać na roli. Władek skończył Liceum Pedagogiczne w Nakle, Studium Kulturalno-Oświatowe i Akademię Techniczno-Rolniczą w Bydgoszczy. Staszek — Wyższą Szkołę Rolniczą w Poznaniu, Wiesiek — Technikum Rolnicze w Samostrzelu. W związku z tym rodzice coraz starsi i słabsi w roku 1979 oddali ziemię na Skarb Państwa, zarówno tę poniemiecką jak i tę zakupioną. Posprzedawali prawie cały żywy inwentarz, traktor i maszyny rolnicze. Sobie zostawili dom i ogródek. Cieszyli się, że nie muszą już ciężko pracować na roli.

To aż nieprawdopodobne! Prąd elektryczny w niemałym przecież gospodarstwie popłynął dopiero 27 lat po wojnie. Po prostu biała plama na mapie Polski.

Dobrze, że aptekarz Ignacy Łukasiewicz sto lat wcześniej (1852) w wyniku destylacji ropy naftowej wydzielił naftę, a w rok później skonstruował lampę, dzięki czemu mogliśmy to cudo wykorzystać podczas odrabiania lekcji i czytania książ-

żek, a nie używać łuczywa i świec z migającym słabym płomieniem.

Kiedy sobie uświadomimy, że w tym czasie już od 93 lat w Niemczech komunikacja i maszyny przemysłowe napędzane są elektrycznie, w USA Edison skonstruował żarówkę i już w 1882 roku powstała tam pierwsza elektrownia miejska, w Warszawie tramwaj elektryczny jeździł w 1888, a w USA w 1903 startował samolot, to bulwersuje i smutkiem napęłnia mnie fakt braku oświetlenia elektrycznego w moim domu. Z tej przyczyny całą szkołę podstawową ukończyliśmy przy lampie naftowej, a Staszek i Wiesiek również średnią. Władek, Ela i ja podczas nauki w szkołach średnich mieszkaliśmy w internacie w Nakle, więc mieliśmy możliwość korzystania z oświetlenia elektrycznego.

Tak właściwie to ani tata, ani mama nie byli rolnikami. To wojna ich do tego zmusiła. Warsztat stolarski został w Głuchowie, a tutaj na Pomorzu z czegoś trzeba było żyć i utrzymać rodzinę. W Gromadnie tato skompletował miniwarsztat stolarski, ale wystarczał on tylko na domowe potrzeby.

Kilka lat po osiedleniu się tutaj tata dobudował przed drzwiami wejściowymi małą izdebkę, werandę. W tym ganku były dwa okna, które pomieszczenie czyniły jasnym. Wzdłuż bocznych ścian umieścił sprytne ławy, które zarazem były skrzyniami na odzież. Bardzo lubiliśmy na nich siadać przy otwartych drzwiach i ciepłym słońcu. To było latem nasze miejsce spotkań, wszelkich dyskusji i czytania książek. Przed wejściem do domu w ogródku po prawej stronie rosły kwiaty, a po lewej zawsze kwaśne winogrono i dwie grusze, których owoców nie dawało się zjeść z racji cierpkiego smaku. Kiedyś próbowaliśmy założyć tam ogródek kwiatowy lub chociaż warzywniak, lecz niestety nic w tym miejscu nie chciało wzrosnąć. Goła ziemia została. Tylko drób tam miał ucztę. Prawdopodobnie przechodziła tamtędy żyła wodna, stąd te kłopoty z uprawą ziemi. Poza tym piwnicę sąsiadów często zalewała woda podskórna, a na ścianach nieogrzanego pokoju zbudowanego nad ową piwnicą skraplała się woda zamieniają-

ca się zimą w szron. W celu ogrzania pierzyny wkładaliśmy do łóżka butelkę z gorącą wodą, rozgrzaną cegłę lub termofor. Mogliśmy ją ocieplić także przy gorącym piecu kaflowym. Dawaliśmy sobie radę.

Czółenka

Mama udzielała nam dużo dobrych rad. Zawsze mówiła, że trzeba się uczyć, by być kimś w życiu, a nie męczyć się w polu. Pouczała nas też, abyśmy się ładnie, ale skromnie ubierali, bo:

— Jak cię widzą, tak cię piszą. Możecie zjeść mniej, co nawet wyjdzie wam na zdrowie, ale ubrać się elegancko do ludzi trzeba koniecznie.

Mama często pościła. W środy, piątki i soboty miała tzw. suche dni, żyła o chlebie i wodzie. Może nie każdy tydzień, ale często przed niektórymi uroczystościami religijnymi. Myślałam, że nie tylko ze względów religijnych, ale też i materialnych. Pewnie dlatego przez długie lata zachowała dobrą sylwetkę. Pamiętam, że nosiła ładne, czarne czółenka na dość wysokim obcasie. Gdy przyjeżdżałam z internatu do domu, to zakładałam je do kościoła lub do miasta. Mama — pięćdziesięciolatka, ja — szczupła licealistka, a nosiłyśmy te same pantofle. Miała bardzo długie, aż do bioder sięgające czarne włosy, które splatała w warkocz i upinała w kok. W chwili śmierci prawie wcale nie miała siwych włosów.

Pewnego razu plewiliśmy buraki cukrowe, a przejeżdżający z rodziną Jan K. wołał z drogi:

— Chorabikowa, wyglądacie jak szesnastka! Jak miło na was popatrzeć.

Dla mamy była to sytuacja krępująca, strasznie się zawstydziała, natomiast mnie było bardzo przyjemnie słyszeć takie pochwalne opinie o mojej dojrzałej już matce.

Taka wola Twoja...

Przed kilkunastu laty rodzice wpłacili należną sumę i czekali na przydział mieszkania ze Spółdzielni Mieszkaniowej w Wyrzysku, myśląc o Hance, by ta nie została sama w Gromadnie po ich śmierci. Gdybyśmy zgodzili się na jednopokojowe mieszkanie, mama być może żyłaby dłużej, bo i lekarz, i szpital byliby na miejscu. Prezes SM stale obiecywał przydział na dwupokojowe, ale na obietnicach się tylko kończyło.

Po przekazaniu ziemi państwu mama miała dużo czasu, planowała spisać dzieje rodziny. Kupiła już zeszyty. W pierwszym zaczęła spisywać wierszyki i piosenki dla wnuków. Planowała pojechać do każdego syna i córki na kilka dni i pouczyć wnuczęta dawnych patriotycznych, religijnych i popularnych utworów.

Boże, jak ciężko, że los sprawił inaczej. Nikt tego nie przewidział, że jej życie zgaśnie tak prędko, tak cicho...

Pamiętajmy więc: *Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą, jak dźwięk milkną w dali... Kochamy wciąż za mało i stale za późno* — ks. Jan Twardowski.

Jaki straszny ból ściska me serce... Jak trudno się z tym pogodzić.

*Ukochana Matko, ja jestem przy Tobie,
Przy płonących świecach na Twoim grobie,
W których to blasku widzę, Mamo, Ciebie,
Jestem w Twych objęciach, tulisz mnie do siebie.*

*Ty mnie na swych rękach wprowadzałaś w życie,
Jako niemowlę, jako małe dziecko,
Tuliłaś do piersi me oczy płaczące,
To dla mnie biło Twe serce gorące.*

*A kiedy mi w życiu nieraz ciężko było,
Jedynie Twe serce mnie pocieszyło,
Prostowałaś dla mnie cierpień drogę krętą,
Moja Ty Matko, byłaś dla mnie świętą!*

Wierzę w życie pozagrobowe. Wierzę w to, że nasi Bliscy tam z kosmosu czy z nieba — jak kto woli, są z nami, otaczają nas opieką i żyją naszym życiem. Przekazują nam na ziemię swoje przesłania czy myśli. Jak bowiem inaczej skomentować następujący fakt?

Kilka miesięcy po śmierci mamy Janka poszła do kamieniarza zamówić pomnik. Zapytał, jaki zrobić napis. Janka odpowiedziała, aby zrobił go według swojego uznania. Jakież było zdziwienie nas wszystkich, gdy w Dzień Zmarłych Hanka przysłała na cmentarz, przeczytała nagrobny napis i wykrzyknęła:

— Boże! Przecież to są ostatnie słowa mamy! — *Taka wola Twoja Panie.*

I jak tu nie myśleć, że przesłała te słowa kamieniarzowi? Wierzę w siły nadprzyrodzone.

Odwiedza mnie w snach

Już mamy nie ma i nigdy nie będzie. Nie ma jednak dnia, bym o niej nie myślała, tęskniła do niej, rozmawiała z nią. I śniła. Śniłam o niej tak często, że aż mi samej trudno w to uwierzyć. Przez wiele miesięcy po śmierci co noc, a przez wiele lat co kilka dni. Kiedy mi się nie przyśniła, zastanawiałam się, dlaczego tak się stało? Analizowałam swoje postępowanie.

Przychodziła do mnie w snach, ale rzadko kiedy mówiła. Jednak kilka snów pamiętam bardzo wyraźnie, choć śniłam je kilkanaście lat temu.

Jest 08.05.2001 roku, dwudzieste imieniny po śmierci. Jak zwykle odwiedziłam jej mogiłę w Wyrzysku, odmówiłam

Anioł Pański, zapaliłam znicz, złożyłam kwiaty i poszłam na mszę świętą w jej intencji. W nocy nie mogłam spać przez wiele godzin. Usnęłam jednak na tyle, by przyśnić piękny sen.

Przyjechała do mnie mama, smutna i zmarznięta. Namawiałam ją, aby się wreszcie sprowadzili do mieszkania czekającego na nich w Wyrzysku. Mama z radości płakała i tuliła się do mnie, łzy płynęły jej strumieniem, cieszyła się, że będzie jej już ciepło i nie będzie już noszenia z szopy ciężkiego węgla. Płakałam razem z nią. Nagle znalazłyśmy się w parku w Wyrzysku. Siedziałyśmy na ławeczce, podziwiając piękne otoczenie. Mama była ubrana w jasny, ładny prochowiec. Spostrzegła wrzosowy bez, zerwała dwie gałązki, jedną dała mnie, a drugą planowała zabrać do nowego mieszkania. Obok na drugiej ławce siedział młody znajomy mężczyzna i zwrócił nam uwagę, że w tym parku nie wolno niczego zrywać, bo wszystko jest pod ochroną. Mama tłumaczyła mu, że nie wiedziała o tym, przepraszała, że nigdy więcej tego nie uczyni. Bojąc się, by gałązek nie zabrała nam straż miejska, schowała je szybko pod poły swojego płaszcza. Młodzieniec odszedł z uśmiechem. My siedziałyśmy nadal w parku, bo pogoda była wiosenna, ciepła i słoneczna. Nagle ni stąd, ni zowąd powiedziała do mnie:

— Dobrze, Wandziu, że piszesz. Opowiedz dzieje naszej rodziny, bo wiele przeżyliśmy i cierpień, i radości.

Spoglądając w niebo, rzekła:

— A tytuł nadaj *Błękit nieba*.

Ale ja już właśnie miałam roboczy tytuł *Zeszyt szalonego małolata*, ponieważ na okładce zeszytu, w którym robiłam zapiski, widniał właśnie taki napis.

Spojrzałam w górę, a niebo było rzeczywiście błękitne. Mama wskazała inny tytuł, dlaczego? Może dlatego, że zawsze zachwycała się błękitnymi oczami u innych ludzi, błękitem nieba, niebieskością niezapominajek i chabrow, szafirem ostróżek polnych czy modrym łanem lnu. I bardzo lubiła nas ubierać na niebiesko.

A może czuła to, co w *Beniowskim* Juliusz Słowacki:

— *Boże, kto Ciebie nie czuł na Ukrainy błękitnych polach...*

Stale miała tamte błękity w sercu, zakorzeniły się w niej na długo, na całe życie, bo przecież pod tamtymi kresowymi błękitami przeszły jej najpiękniejsze lata młodości przepelnione miłością i radością z powodu narodzin pierwszych dzieci.

W każdym razie mimo tych gałązek bzu i błękitnego nieba, było mi wciąż bardzo przykro z powodu tych śnionych, zimnych lat mamy w Gromadnie. Płakałam nad tym bardzo, aż z żalu obudziłam się. Jakże się ucieszyłam, że to był tylko sen. Uprzytomniłam sobie, że przecież mama nigdy sama tam nie mieszkała, bowiem to ona umarła pierwsza, przed tatą. Taty też tam samego nie zostawiliśmy. Zaraz po pogrzebie mamy oboje z Hanką zostali przewiezieni do Elżbiety do Nakła. Tata mieszkał też u Janki, Staszka i Marysi. Kilkanaście dni leczył się w szpitalu w Nakle i dwa tygodnie w szpitalu sanatoryjnym w Chodzieży. Jednopokojowe mieszkanie w Wyrzysku otrzymali cztery miesiące po śmierci mamy. Przez dwa miesiące tata chodził codziennie na grób mamy i do kościoła, był bezgranicznie smutny. Wciąż przesiadywał na ławeczce przy mogile. Na kilka dni przed śmiercią zachorował na zapalenie płuc. Bardzo się martwił, czy nas jeszcze zobaczy, bo akurat spędzaliśmy wakacje w Jugosławii. Jeszcze teraz widzę radość w jego oczach, gdy zobaczył mnie w drzwiach swojego nowego mieszkania. Z temperaturą nadal chodził na cmentarz, więc stan jego zdrowia się pogarszał. Gdy dojechałam do szpitala stopem, od kilku godzin był nieprzytomny z powodu udaru mózgu. Spoczął w mogile obok swojej ukochanej Stasi. To był dla mnie szczególnie bolesny rok. W ciągu zaledwie kilku miesięcy straciłam obojga rodziców.

Kilkanaście lat temu miałam również bardzo wyraźny sen w kolejną rocznicę śmierci. Siedzę sobie w fotelu w dużym pokoju, a przede mną na stole leży ogromna sterta rodzinnych zdjęć wyjętych z szuflady. Przede mną pojawiła się mama z pustym albumem na zdjęcia. Nic nie powiedziała, tylko uśmiechnęła się do mnie i podała mi go wymownie, spoglądając na fotografie i na mnie. Nie potrzeba mi było słów, wiedziałam, co mam zrobić. Tego samego dnia kupiłam kilka dużych albu-

mów, posegregowałam zdjęcia porozrzucane w szufladkach i uporządkowałam je tematycznie i chronologicznie. Wreszcie!

Żałuję bardzo, że w albumie nie ma fotografii taty z Legionów Piłsudskiego. Zniszczyliśmy je wkrótce po wojnie, ponieważ za przynależność do jego pułku groziło ciężkie więzienie lub zesłanie w głąb Związku Radzieckiego.

Motor

Przeżyłam też śmieszną przygodę związaną z motorem. Podczas nauki w liceum robiłam prawo jazdy motorowe. O samochodowym nawet nie myślałam, bo posiadanie samochodu znajdowało się wówczas poza moimi marzeniami, zrobiłam je później, mając czterdzieści lat.

Pewnej niedzieli do rodziców przyjechała Janka z Józkiem swoim motorem. Poprosiłam szwagra, żeby mnie nieco poduczył. Najpierw z nim jeździłam koło domu, a później już sama. Koło zabudowań między laskiem a czereśniami było pastwisko, na którym pasły się krowy przywiązane łańcuchami do metalowych palików wbitych w ziemię. Jeżdżę już sama, dobrze idzie mi jazda, jednak nie zauważam białego w ziemię palika ukrytego w trawie. Wjeżdżam na niego, motor się na nim zawiesza, podnosi się wyżej, koła się kręcą w powietrzu, a ja wiszę nad ziemią i krzyczę:

— Józek! Józek! Ratunku! Pomocy!

Spanikowana zapomniałam, że wystarczy wyjąć kluczyk ze stacyjki lub wyłączyć gaz. Ta przygoda skończyła się dobrze, natomiast nakielska o wiele gorzej.

Na zajęciach kursu jeździłam na ogół wokół ulic I LO im. Bolesława Krzywoustego, po Nakle i okolicach. Tego feralnego dnia otrzymałam wiadomość o śmierci dziadka Jana — ojca mamy. Mieszkał on w Bydgoszczy u syna Janka, natomiast babcia Petronela trochę u nas w Gromadnie, a trochę u Anny. Podczas nauki jazdy rozmyślałam, kto z nas pojedzie na po-

grzeb, Władek czy ja. Oboje mieszkaliśmy w internacie. Jadąc ul. Lipową, byłam zamyślona i dlatego, zamiast zmniejszyć gaz przy skręcie w lewo i zredukować bieg, wszystko zrobiłam odwrotnie i wjechałam w mur winiarni naprzeciw LO. Rozbiłam lampę motocyklową, trochę się potłukłam i starłam naskórek na policzku. Przez dłuższą chwilę byłam nieprzytomna. Zanieśiono mnie do internatu do łóżka. Parę dni leżałam z podejrzeniem wstrząśnienia mózgu.

Gdy za dwa tygodnie pojechałam do rodziców, pierwszy raz ich okłamałam. Zobaczyli moją zranioną twarz, pytali ze współczuciem, co mi się stało. Skłamałam, że myjąc okna, spadłam z drabinki i pokaleczyłam się, pomagając przy porządkowaniu nowego Liceum Pedagogicznego na ul. Staszica. Nie przyznałam się do prawdy w obawie przed zakazem kontynuowania kursu prawa jazdy.

W niedzielę do rodziców przyjechał rowerem z Nakła mój szkolny kolega. Bardzo martwił się moim wypadkiem i chciał o wszystkim powiedzieć rodzicom. Jednak zabroniłam mu tego. Patrzyłam na niego błagalnym wzrokiem, by milczał. Zrobił tak, jak chciałam. Po powrocie do internatu miałam wielkie wyrzuty sumienia z powodu okłamania najbliższych. Napisałam zaraz bardzo długi list, w którym wszystko wyjaśniłam i przeprosiłam rodziców z głębi swojego skruszonego serca.

Co kto lubi

Władek lubił słodkości, gotował kisiele, budynie, galaretki. Staszek smażył najsmaczniejsze na świecie jajka sadzone. Gdy przyjeżdżał do domu ze studiów, to wszyscy czekaliśmy, by na kolację przyrządził swoje popisowe danie.

Elżbieta z ochotą wykonywała porządki domowe, wołała to od pracy w polu. Jak wszyscy pasła też krowy lub owce, gdyż przy tym zajęciu mogła zagłębić się w ciekawej lekturze.

Hanka stale prała. Przez 27 lat pranie odbywało się ręcznie, dopóki nie zelektryfikowano naszego gospodarstwa. To była bardzo ciężka praca. A brudnych rzeczy do prania stale zbierało się dużo, bo i rodzina była liczna i robota przy gospodarstwie powodowała szybkie brudzenie ubrań. Lubiła też karmić zwierzęta w obojętności gospodarskiej.

Ja lubiłam roboty polowe. Podczas pielęgnacji ziemniaków czy buraków lub przerywki, szybko robiłam swoje grządki tam i z powrotem, bo na końcu czekała na mnie ciekawa książka. Już w szkole podstawowej umiałam szybciej pracować niż rodzeństwo. Hanka robiła najwolniej, mama zawsze jej pomagała, by nie zostawała w tyle. Wiosną po wielkich deszczach rozsadzaliśmy brukiew, buraki pastewne i kapustę. Tato wykonywał najcięższe prace. Czasem pomagałam mu w bronowaniu ziemi i kultywatorowaniu, powożąc końmi, aby on mógł trochę odpocząć.

Grabiąc pole po żniwach grabiarką, musiałam bardzo uważać, by nie spaść z wysokiego siedziska. Bałam się, gdy furą ze snopkami zboża miałam wjeżdżać do stodoły, bo klepiska nie były szerokie. Gdyby nie udało się wjechać środkiem, to zahaczyłabym snopkami o filar i wszystko by się posypało na dół. Obawiałam się również uderzenia głową o poprzeczną belkę. By tych niebezpieczeństw uniknąć, już na podwórzu rzucałam lejce tacie, który wjeżdżał końmi do stodoły, a ja leżałam płasko na furze. Potem układaliśmy te snopki na klepisku, równo i jak najciaśniej, aby myszy nie miały łatwego dostępu do ziarna. Lubiłam od taty odbierać te snopki z wozu, gdyż udawało mi się je zręcznie schwycić widłami w locie i przerzucałam dalej, gdzie Hanka, mama lub ktoś z młodszego rodzeństwa układał je na dużym klepisku. Zawsze się cieszyłam, że żaden snopek podany mi przez tatę nie upadł na ziemię i praca wychodziła nam bardzo harmonijnie. Byliśmy zgraną parą, co nas bardzo cieszyło. Nie traciliśmy bezcennego czasu na podnoszenie snopka rzuconego pod nogi.

— Takie drobniutkie i kruchutkie to moje Skrzydełko, a takie sprytne w robocie — chwalił mnie tato.

Okropnie nie lubiłam doić krów. Może ze dwa razy to zrobiłam, ale bardzo nieudolnie, więcej mleka zostało poza wiadrem niż w nim. Niechętnie też strzygłam owce, ponieważ przeszkadzał mi przykry zapach łoju znajdującego się na wełnie. Po doprowadzeniu prądu do gospodarstwa na strzyżenie owiec przyjeżdżał fachowiec z elektryczną golarką, ale to dopiero od 1972 roku. Dzięki elektryfikacji rodzice powiększyli stado do 70 sztuk, ponieważ strzyżenie ich nie było już problemem.

Łąka – wianki

Lubiłam paść krowy lub owce na łące koło drogi gromadzkiej, ponieważ na niej od wiosny do jesieni kwitło bardzo dużo pięknych, kolorowych kwiatów. Zielona trawa z żółtymi, białymi, czerwonymi, fioletowymi, różowymi i błękitnymi kwiatami cieszyła oczy. Ich bajeczny zapach sprawiał, iż miałam wrażenie obecności w najdroższej perfumerii. Z kwiatów plotłam wianki na głowę, a bukietami upiększałam nasz dom, a szczególnie ołtarzyk. Przy okazji poszukiwaliśmy różnych ziół, z których będzie lecznicza herbata szczególnie przydatna przy chorobach.

W czasie oktawy świąt Bożego Ciała na tej łące zakwitały niecodzienne kwiaty, postrzępione, drobne, delikatne, amarantowo-różowe na wysokiej łodydze. Mama nazywała je *Krew Chrystusa*, bo tak właśnie wyglądały, jak płynąca kropla krwi. Na żadnych innych sąsiedzkich łąkach takich kwiatów nie widzieliśmy.

Wiele kwiatów z różnych skarp, miedz odgradzających zagony pól, rowów i z naszych ogródków przydomowych zbieraliśmy do koszyczka na procesje podczas oktawy trwającej osiem dni. Zabieraliśmy też duży kosz płatków i kwiatków dla dzieci, które albo nie miały czasu iść w pole, albo nie miały ich w ogrodach przydomowych.

Dla nas to zadanie było łatwe, bo mieszkaliśmy wśród pól i łąk. W białej sukience, z dużą kokardą we włosach, z koszyczkiem kwiatów z ochotą chodziłam na procesje Bożego Ciała. Towarzyszyła im strażacka orkiestra dęta uświetniająca te uroczystości.

Błogostawiona Aniela Salawa

Moja rodzina była bardzo religijna zarówno po mieczu, jak i po kądzieli. Po mieczu szcycimy się Anielą Salawą, wyniesioną na ołtarze przez Karola Wojtyłę, naszego papieża Jana Pawła II. Jest to siostra stryjeczna mojego ojca, czyli moja ciocia. Jej beatyfikacja miała miejsce w Krakowie 13.08.1991 roku. Byłam na tej pięknej uroczystości z moim mężem, Janką i Józkiem. Na Rynku Mariackim w Krakowie zebrało się ponad 100 tysięcy wiernych.

Aniela urodziła się 9 września 1881 roku w Sieprawiu niedaleko Myślenic, wówczas jeszcze należących do Cesarstwa Austriackiego, jako najmłodsze dziecko kowala Bartłomieja Salawy (1822–1906) i Ewy Bochenek (1836–1911), córki zamożnego piekarza z Sułkowic, którego np. było stać na ufundowanie kościoła p.w. św. Zofii. Ewa i Bartłomiej wzięli ślub w 1861 roku wbrew woli ojca, który uważał, że córka popełniła megalians, wychodząc za starszego od niej o 14 lat wdowca z dwójką dzieci.

Moja babcia Anna Chorabik z domu Salawa jako akuszerka odbierała Anielcię przy porodzie, a następnie uczestniczyła przy jej chrzcie świętym.

Mimo posiadania gospodarstwa rolnego i kuźni wielodzietna rodzina Salawów prowadziła dość skromne życie, szczególnie na przednówku. Ewa nie dostała żadnego posagu. Została wydziedziczona przez ojca z powodu poślubienia Bartłomieja. Matka Anieli wybrała miłość.

W rodzinnym domu Salawów zwyczajem było wspólne śpiewanie pieśni i piosenek, czytanie książek nie tylko religij-

nych, wspólna modlitwa i uczestnictwo w nabożeństwach. Ojciec zapewniał godne życie, a matka zajmowała się wychowaniem dzieci, czuwała nad ich rozwojem intelektualnym. Bardzo lubiła dyskutować na temat przeczytanych książek.

Mój tato dużo opowiadał o Anielse, dobrze ją znał, ponieważ Brzeczowice i Siepraw leżą w pobliżu, więc widywali się dosyć często. Umarła w Krakowie 12 marca 1922, mając czterdzieści jeden lat, rok po wyjeździe taty i jego rodziny na Kresy Wschodnie.

Aniela była słabym, chorowitym dzieckiem, a mimo to musiała się włączać do prac domowych. Lubiła paść gęsi, ponieważ przy tym mogła robić szydełkiem koronki, haftować serwetki i obrusy, modlić się i śpiewać. Jej piękny głos niósł się po polach i pastwiskach.

Kiedy było jej ciężko nosić po pagórkach wodę dla krów, prosiła Boga, by znalazła ją gdzieś bliżej. Modły zostały wysłuchane, przy drodze wytrysnęło źródło i teraz jest tam wykopana studzienka, do której pielgrzymują wierni prosić o łaski uzdrowienia. Aniela wyrosła na zgrabną, ładną panienkę. W Sieprawiu odebrała podstawowe wykształcenie. Gdy zgłosił się konkurent do jej ręki, rodzice postanowili wydać ją za mąż. Jednak szesnastoletnia Aniela sprzeciwiła się ich zamiarom. Jej decyzję poparły starsze siostry pracujące w Krakowie. Postarały się dla niej o pracę, by miała się z czego utrzymać. Dobrowolnie wybrała zajęcie pomocy domowej, wówczas określanej jako służąca.

Po przyjeździe do Krakowa, widząc wokół siebie wiele pięknie ubranych kobiet, zapragnęła się podobać innym. Zaczęła się stroić i bywać na zabawach. Bardzo lubiła tańczyć. Starsza siostra Teresa nawet upominała ją za próżność, jaką u Anieli dostrzegła. Przełom nastąpił w momencie, gdy w czasie tańca na weselu ujrzała postać Jezusa zasmuconego.

— Anieliu, ty się tu bawisz! A ja tam w kościele jestem sam przez wszystkich opuszczony?

To był jej ostatni taniec. Aniela bardzo się zmieszała, zawstydyła, zostawiła wesołe towarzystwo i pobiegła do kościo-

ła. Od tej pory całe życie poświęciła wielbieniu Chrystusa. Wszystkie swoje siły i zarobione pieniądze przeznaczała na pomoc dziewczętom zagubionym w życiu, oszukanym przez mężczyzn oraz innym potrzebującym ludziom.

Przez dwadzieścia lat pracowała u różnych rodzin. Podobała się mężczyznom, jednak z nikim się nie związała. Z tego powodu kilka razy odchodziła z posady, gdyż nie odpowiadały jej zaloty pracodawców. Najmilej wspominała życie i pracę u krakowskiego adwokata doktora Edmunda Fischera, u którego przez 11 lat była pokojówką, a w rzeczywistości zarządzającą domem. Cieszyła się nieograniczonym zaufaniem, obracała wysokim sumami pieniędzy, pilnowała mieszkania, kiedy „państwo” wyjeżdżali za granicę. Miała dużo obowiązków, ale była też dobrze traktowana i otrzymywała bardzo dobrą pensję, a także wiele wartościowych prezentów od pani Marii. Zyskała jej sympatię i zaufanie, zostały najbliższymi przyjaciółkami aż do jej śmierci. Z wielkim szacunkiem odnoszono się do jej praktyk religijnych. Żonie adwokata imponowała głęboka wiara i pobożność Anieli. Do prania i wielkich porządków najmowano kobiety, kucharką była Marynia. Apartament adwokata składał się z sześciu eleganckich pokoi, biur adwokackich, pomieszczeń gospodarskich i służbówki czyli pokoiku Anieli. Bardzo dużo czytała i swoją wiedzę dzieliła się z koleżankami. W pracowni adwokackiej pracował przez sześć lat aplikant Oskar Tadeusz Stuhr, stryjeczny dziadek Jerzego Stuhra, znanego polskiego aktora. Oskar bardzo lubił prowadzić dysputy z posiadającą dużą wiedzę religijną Salawą. Fischer często wyjeżdżał, a wówczas jego mieszkanie pozostawało pod opieką Oskara i Anieli.

Kiedy podczas procesu beatyfikacyjnego ktoś rzucił podejrzenie, że Salawa dopuściła się kradzieży, Oskar w Watykanie zaświadczał o jej uczciwości. Mówił m.in.: „Faktem było, że często pomagała przyjeżdżającym dziewczętom w poszukiwaniu pracy, dokarmiała biednych, ale dzieliła się tylko tym, co sama miała, często oddając innym całą porcję swojego wyżywienia.” (Jerzy Stuhr, *Stuhrowie. Historie rodzinne*).

To zeznanie odrzucało zarzut, że Salawa mogłaby się dopuścić kradzieży.

Intrygę o kradzieży uknuła kobieta wprowadzona do domu po śmierci mecenasowej. Aniela doznała od niej wiele przykrości z powodu zwrócenia uwagi na temat jej niewłaściwego stylu życia. Wówczas zabroniono jej przyjmować koleżanki. Wyrzuciono ją z posady. Bardzo przeżyła niesłuszne posądzenie, nie czuła się przecież winna. Teraz jej życie było smutne, pełne cierpień duchowych i fizycznych. Doszło wiele poważnych chorób, sił ubywało, coraz mniej pracowała. W ostatnich latach potrzebowała opieki. Zmarła w wieku 41 lat otoczona aurą świętości.

Samarytańska pomoc udzielana przez nią cierpiącym i chorym była znana mieszkańcom Krakowa i okolic. Podczas I wojny światowej z powodu wyjazdu chlebobdawcy Aniela miała więcej czasu na opiekę nad potrzebującymi. Gotowała i zanosila jedzenie walczącym żołnierzom i szpitalnym jeńcom, opatrywała ich rany, pisała listy do rodzin. Wolny czas spędzała w barakach, gdzie przebywali uchodźcy i jeńcy wojenni. W 1970 roku żyjący w Czechosłowacji były jeńiec wojenny Hlavaty, wspominał, że jako żołnierz austriacki przebywający na oddziale zakaźnym, swoje życie tak jak i wielu innych żołnierzy zawdzięcza polskiej kobiecie o imieniu Aniela, która go dokarmiała, pielęgnowała i dodawała otuchy. Oprócz roztaczania opieki nad żołnierzami, troszczyła się także o sieroty i chore dzieci przebywające w szpitalach. Już wtedy mówiono o niej „święta panienka”, a przecież nigdy nie była w zakonie.

Salawa zawsze wspierała ludzi, którzy nie mieli dachu nad głową, ubrania lub jedzenia. Dostrzegała biednych i cierpiących, nie tylko fizycznie, ale i duchowo. Wśród ludzi funkcjonowało przekonanie, że ktokolwiek potrzebuje pracy w Krakowie, powinien się udać do Anieli Salawy, ponieważ ona w tym pomoże. Drzwi do jej mieszkania nie zamykały się, nikomu z potrzebujących nie pozwoliła odejść bez wsparcia. Nie odkładała żadnych oszczędności. Rozdawała swoje zarobione pieniądze, żywność, odzież i obuwie otrzymywane

od bogatszych ludzi. W tym celu spieniężała również darowane klejnoty od mecenasowej i jej eleganckie ubrania. A w wolnych chwilach haftowała obrusy, szydełkowała koronki, by je sprzedać na targu. Wiele wartościowych paczek otrzymywała od swojej starszej siostry Karoliny Jóźwiak ur. 1877 r., która wyemigrowała do Ameryki. Dla siebie nie potrzebowała dużo, rozdawała uboższym.

Aniela prowadziła głębokie życie wewnętrzne pełne wyzrzeń. Obdarzona przeżyciami mistycznymi żyła w głębokim zjednoczeniu z Chrystusem. Za jej przyczyną wielu ludzi odzyskało zdrowie, gdyż na swoje prośby przejmowała ich choroby, szczególnie tych, którzy chcieli z rozpaczny odebrać sobie życie. Doczekała wyzwolenia Polski spod jarzma zaborców, o co gorąco się modliła przez wiele lat. Po śmierci z jej grobu na Cmentarzu Rakowickim ludzie zabierali ziemię jako relikwie. Kilka lat po wojnie jej ciało zostało przeniesione pod osłoną ciemnego, wczesnego poranka do Bazyliki św. Franciszka w Krakowie, gdzie za życia doznawała wielu objawień. Zrobiono to w tajemnicy, by uniknąć wielkiego zgromadzenia. Przed relikwiami Salawy często się modlił ks. kardynał książę Adam Sapieha, prosząc, by mu pomogła beatyfikować Królową Polski Jadwigę. Również Jan Paweł II prosił o pomoc w jej kanonizacji. W Krakowie opowiadano, że „Książę Pan i Ojciec Święty chodzą do służącej prosić o pomoc dla królowej”. Po jej śmierci dokonały się cuda uzdrowień z ciężkich chorób. Studenci obrali ją sobie za patronkę. Salawa dowiodła, że w każdym stanie i zawodzie świętość jest możliwa do osiągnięcia. W stanie świeckim również. O życiu Anieli Salawy i jej dokonaniach można przeczytać w licznych książkach oraz w Internecie.

Jej kult zatacza coraz szersze kręgi.

Przypadek sprawił, a może przeznaczenie, że podczas mojego leczenia sanatoryjnego, poznałam nowego członka rodziny Eugenię Twardosz z Łomży. Jest to krewna Anieli ze strony matki Ewy Bochenek, w takim samym pokrewieństwie, jak ja

ze strony ojca Anieli — Bartłomieja Salawy. Jesteśmy kuzynkami, a Błogosławiona jest naszą ciocią. Moją — po mieczu, a Eugeni — po kądzieli. Nawiazałyśmy kontakt telefoniczny i listowny, może uda mi się jeszcze z nią spotkać. We wrześniu obchodziła Jubileusz 60-lecia swojej pracy pedagogicznej. Na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim skończyła teologię. Nadal jest katechetką, dyrygentką chóru dziecięcego i młodzieżowego, pisze książki i udziela się charytatywnie. Jej rodzina pochodzi również z Małopolski spod Krakowa. Jej dziad Stanisław Bochenek, zamożny piekarz z Sułkowic, nie chciał się pogodzić z mezaliansem swojej córki Ewy z Bartłojem Salawą. Przypuszczam, że gdyby spodziewał się, że jego wnuczka, a córka Bartłojego — Aniela Salawa zostanie w przyszłości wyniesiona na ołtarze, dałby zakochanej parze błogosławieństwo na nową drogę życia i nie skąpiłby swojej córce Ewie należnego jej posagu. Skoro było go stać na ufundowanie kościoła w swojej parafii, to mógł bez problemu córkę należycie wyposażyć.

Moja odnaleziona przypadkiem kuzynka opowiadała, że w ich rodzinnej miejscowości żyły głównie rody Bochenków i Twardoszków. Ponieważ dzieci się rodziły, zakładały rodziny, które stale się powiększały, a ziemi nie przybывało i trzeba było ją dzielić na coraz drobniejsze działki, jej nowo poślubieni rodzice po I wojnie światowej wyemigrowali z Małopolski do Solca Kujawskiego, leżącego między Toruniem a Bydgoszczą. Tam kupili dom z budynkami gospodarskimi i kilka hektarów żyznej ziemi, na której ojciec uprawiał warzywa. Ich sprzedaż dawała dobry dochód. II wojna światowa podobnie jak wielu innym naszym rodakom pokrzyżowała wiele planów. Ojciec i najstarsza siostra zostali wywiezieni do Niemiec na przymusowe roboty, każdy do innej miejscowości, pozostałe starsze rodzeństwo musiało pracować u miejscowych bauerów niemieckich. Eugenia urodziła się w 1935 r. i podczas wojny musiała chodzić do niemieckiej szkoły, ale w domu uczyła się po polsku.

Zimą podczas choroby matki miała wynieść popiół z pieca żelaznego, tzw. kozy stojącej w pokoju. Posłusznie wyniosła

do drugiej części domu połączonego sienią ze stajnią. Był mroźny luty, więc wynoszenie popiołu na pole było nieprzyjemne. Popiół miał jeszcze trochę żaru, 5-letnia dziewczynka nie zdawała sobie sprawy z konsekwencji, jakie mogą nastąpić po wyrzuceniu takiej niebezpiecznej zawartości do skrzynki na słomę. Przyklepała patykiem, sądząc, że zadusi żar. Wkrótce matka usłyszała jakiś hałas i trzask i nawet poprosiła dziecko, by otworzyło drzwi, bo zdaje się, że idą starsi z pracy od bauera, więc niech nie stoją na mrozie pod domem. Eugenia spojrzawszy przez okno, nikogo nie zobaczyła i spokojnie wróciła do leżącej mamy. Wszystko stało się jasne, gdy do pokoju przez drzwi buchnął dym. Palił się ich dom. Obok żadnych sąsiadów, bo dom otoczony sadem stał kawałek od wioski. Zanim przyjechała straż pożarna, niewiele już było do gaszenia. Chora matka otulona pierzyną patrzyła z dworu na zgłiszcza swego gniazda rodzinnego. Wkrótce pojawili się Niemcy, którym Genia musiała kilkakrotnie przedstawiać wizję pożaru. Pogorzelnicy zostali przesiedleni na Kabaty do małego, starego domu zagrzybionego i zapluskwionego. W zatęchłej chacie bardzo nieprzyjemnie się mieszkano. Genia chciała przewietrzyć izby i wpuścić do nich świeżego powietrza. Po otwieraniu okna, by słońce wysuszyło zawilgocone ściany. Nie przewidziała skutku tej operacji. Dwuletni braciszek siedział bez czapki. Nagle się ochłodziło, zerwał się wiatr, powodując silny przeciąg. Dziecko się bardzo rozchorowało, wywiązało się zapalenie uszu i gardła, a lekarstwa nigdzie nie było można zdobyć i po kilku dniach zmarł.

Przez całą wojnę matka musiała płacić karę za spalenie domostwa. Na ocalałej podmurówce dom został odbudowany przez Niemców, ale Twardoszowie mogli do niego wrócić dopiero po wojnie.

Szukaj wiatru w polu

Mama zawsze lubiła hodować dużo drobiu, by przez cały rok mieć z czego przygotować dobre i zawsze świeże pożywienie, a nadwyżki sprzedąć lub zawekować. Pewnego roku już było odchowanych dorodnych 17 indyków. Radość z nich trwała krótko. Jednego dnia całe stado nie wróciło do kurnika. Przeszukaliśmy wszystkie okoliczne pola, przeczesałimy wysokie zboża, pole buraków, ziemniaków i kukurydzy. Nigdzie ich nie znaleźliśmy, żadnych piór, żadnych kości. Nasze rasowe psy też nie natrafiły na ich ślad. Nie można było posądzić lisa o ten niecny czyn. Mogli to zrobić jedynie źli ludzie, robiąc obławę na stado. Musieli mieć klatkę na wozie do załadowania tak licznej gromady dużego ptactwa. Od tej chwili już nigdy w naszym gospodarstwie nikt nie zobaczył indyków. Mama przestała je hodować. Zbyt duża strata. Zbyt duże przeżycie.

Przez wiele lat obok domu gęgały gęsi. Z ich piór mama robiła pierzyny, a z puchu szyła ciepłe kołdry dla każdego z nas, abyśmy nie marzli w nocy. Gdy rodziły się nasze dzieci, mama szyła beciki. Darliśmy pióra wiele razy w ciągu roku, ale najczęściej w długie jesienne i zimowe popołudnia i wieczory. Czas umilały nam opowiadania i śpiewy.

Pomagałam mamie prząść wełnę wrzecionem i na kołowrotku. Dość szybko nauczyłam się dziergać. Dla siebie i rodu robiłam wełniane skarpety, rękawiczki, czapki, swetry, szale. Z farbowanej owczej wełny tkaliśmy też samodzielnie na dużym krośnie zrobionym przez tatę. Z tych materiałów Julia ze Stachem oraz Anna szyli nam ładne, ciepłe ubrania, płaszcze i kurtki.

Po wymłóceniu zbóż robiliśmy na sprzedaż do GS-u słomiane maty. Najmilsze w pracy i wyglądzie były te ze słomy owsianej. Mieniły się kolorem złota. Gdy widziałam taką matę, np. w szkole jako podkład pod gazetkę ścienną z artykułami lub zdjęciami, a także w domu przy łóżeczku, wspominałam sobie ich produkcję w stodole, często zimnej, gdzie hulał

wiatr. Czasami sobie myślałam, że to może jedna z wielu wykonanych rękoma naszej rodziny.

Niespełnione marzenie Hanki

Rodzice opowiadali smutną historię, która przydarzyła się młodej Hance pod Krakowem. Mając około czterech lat, weszła na strych po drabinie. Zejść było jej trudniej, spadła z wysokiego szczebla. Bardzo się potłukła, była dość długo nieprzytomna. Po tym wypadku wolniej myślała i pracowała. W szkole uczyła się słabiej niż pozostałe rodzeństwo, ale nigdy nie powtarzała klasy. Zrobiła kurs gospodarstwa domowego oraz hodowcy drobiu. Tato nie miał dla niej cierpliwości, często się denerwował na jej powolną pracę.

Pewnego dnia przeżyliśmy szok, gdy przypadkiem znalazłam napisane przez nią w tajemnicy przed wszystkimi podanie o przyjęcie do klasztoru. Właśnie przyjechałam z internatu i zobaczyłam na parapecie okna w pokoju leżący złożony papier podaniowy. Rozłożyłam go i przeczytałam. Niedowierzanie! Hanka napisała prośbę o przyjęcie do zakonu. Cicha i skryta, nigdy nikomu o tym nie powiedziała, z nikim o tym nie rozmawiała. Wprawdzie mieliśmy w klasztorze siostrę Zosię, naszą kuzynkę, która każdego roku nas odwiedzała szczęśliwa i radosna. Może Hanka też chciała mieć podobne życie?

Mama jednak ją uprosiła, by porzuciła ten zamiar i została w domu, pomagając w prowadzeniu gospodarstwa, tym samym dając możliwość ukończenia szkół pozostałemu rodzeństwu. Mama do końca życia była dla niej taka dobra, czuła, wyrozumiała, wyręczająca ją we wszystkich pracach.

Po przekazaniu gospodarstwa na Skarb Państwa Hanka pracowała 20 lat w kawiarni Jagienka jako pomoc kuchenna.

Jesienią 2001 r. została brutalnie napadnięta przez trzech osobników w kominiarkach i dotkliwie pobita — połamane że-

bra, obojczyk, ręka i noga. Pół roku leżała w szpitalu na wyciągu, bo kości nie chciały się zrastać. Do chwili obecnej ma duże problemy z chodzeniem i sprawnością prawej ręki, której kości się nie zrosły. Od początku 2017 r. mieszka w DPS-ie w Nale, gdzie ma dobrą opiekę.

Maria

Maria, moja najstarsza siostra wyszła za mąż za rolnika z Klawka. Ciekawa rzecz, właśnie to gospodarstwo władze zaraz po wojnie przyznały mojemu ojcu. Niestety zostało ono bezprawnie zajęte przez innego mężczyznę. Kiedy tato poszedł do władz zgłosić, że w domu mieszka kto inny, dostał przydział na gospodarstwo w Gromadnie. Gdy ten nieprawowity mieszkaniec z nakazu musiał opuścić dom, władze przyznały go Pogorzelskim, uciekinierom przed rzezią wołyńską. Po kilku latach Zygmunt żeni się z córką Chorabika, która będzie z nim mieszkać właśnie w tamtym domu. Przypadek to czy przeznaczenie?

Kilku chłopaków ze wsi smaliło do niej cholewki, ale ona nie chciała nikogo z Pomorza, bo czuła się krakowianką. Poznała chłopaka pochodzącego z Małopolski i jakiś czas ze sobą sympatyzowali. Lubiliśmy jego wizyty, gdyż obdarowywał nas cukierkami. Na randki Janka upinała jej pięknie włosy i pożyczowała swoje ubrania. Odwiedzał nas też Zygmunt, którego oświadczyły przyjął. On opowiadał nam historie mrojące w żyłach krew, o wampirach i morderstwach, których wiele się wydarzało w pierwszych latach po wojnie. Słuchaliśmy go z zapartym tchem i czekaliśmy na nowe. Maria wychowała pięcioro dzieci: Reginę, Irenę, Annę, Elżbietę i Marka oraz doczekała się kilkanaściorga wnucząt. Troszczyła się o nią i lubią z nią przebywać. Maria kilka razy zabrała wnuczki do Krakowa, który znała z czasów wojny. Zwiedziły także Jasną Górę. Korzystała wtedy z ulgowego biletu inwalidy 1. grupy, noc spędzały

na dworcu. Ogromne poświęcenie babci, już niemłodej, bo po siedemdziesiątce. W czasie takiej eskapady ukradziono jej torebkę z dokumentami i pieniędzmi. Po jakimś czasie tylko dowód osobisty odesłano.

Maria miała trudne życie. Niemale gospodarstwo, mąż z częstymi atakami padaczki. Dzielnie znosiła wszelkie problemy. Może dlatego, że miała odwagę wszystko, co się jej nie podoba, wygadać, wykrzyczeć. Przed laty Marek sprzedał gospodarstwo i przeniósł się do miasta. Maria zamieszkała z Hanką w jednym malutkim pokoiku w Wyrzysku. Warunki dla dwóch chorych, starszych osób bardzo trudne, ciasnota niebywała. Ostatnio podupadła na zdrowiu. Z wiekiem dochodziły choroby. Od kilku lat opieka nad matką spadła na Marka i Danutę mieszkających w Wyrzysku. Córki mieszkają i pracują w odległych miastach. Syn spisywał się na medal, spełniał jej zachcianki. Codziennie przynosił gorące, dietetyczne posiłki, na jakie miała apetyt. Nad wyraz cierpliwy i spokojny. Wiele razy byłem świadkiem jego synowskiej troski i wyrozumiałości. Marysia zmarła w 2017 r. w szpitalu w Wyrzysku, przeżywszy 86 lat.

Janeczka

Moją siostrę Janeczkę podziwiam za pracowitość. Już skończyła 70 lat, a cały czas z wyjątkiem dwóch dni w roku, tj. 25 grudnia czyli w Boże Narodzenie i pierwszego dnia Wielkanocy jeszcze pracuje w Jagience. Wstaje o piątej godzinie, aby przygotować w kawiarni dokumenty i zamówienia na dany dzień. Chce, aby Leszek mógł dłużej pospać, ponieważ jego dzień pracy kończy się często nad ranem. Tak sobie postanowił w obawie przed konkurencją, nie bacząc na swoje zmęczenie i liczne choroby. Za dużo czasu spędza w pracy, boję się o niego również.

Leszek ożenił się z Gosią, pielęgniarką. Mają dwie córki, Michasię i Zosię. Odkąd objął po matce Jagienkę, nig-

dy nie miał dłuższego urlopu ani wolnego weekendu. Jest typowym pracoholikiem. Jak długo wytrzyma?

Mariusz, jego starszy brat ożenił się z Krystyną. Była jego sympatią już w przedszkolu. Mają dwoje dzieci, Joasię i Sławka. Mariusz prowadzi swój sklep drogerijny, a Krysia pracuje w bibliotece. U nich sklep można zamknąć i odpocząć. U Leszka restauracji — nie.

W dzieciństwie Mariusz z Leszkiem lubili spędzać wakacje u dziadków w Gromadnie.

Kiedyś mały Lesiu wpadł w zalany wodą deszczową dół, powstały po wykarczowaniu topoli koło szopy. Sam malutki nie miał siły wydostać się z dość głębokiej błotnistej dziury. Maż oblepiała nogi, a ręce ślizgały się po mokrej ziemi. Nikt nie słyszał jego płaczliwego wołania. Szczęśliwym trafem przechodził tamtędy po węgiel Wiesiek i wyratował go z opresji. Mama natychmiast zdjęła z niego zabłocone ubranie i wykąpała zmarzniętego w bardzo ciepłej wodzie. Na pocieszenie wyjęła z kredensu landrynki.

Dokładnie pamiętam dzień, w którym się urodził. Nastaly jesienne dni. Letnie rzeczy trzeba odłożyć do szafy. Już pracuję w szkole i jeszcze mieszkam u Janki. Marzy mi się nowa cieplejsza sukienka. Wracam z lekcji, a moja siostra pokazuje kupon wełny w kolorze burgunda. Pyta, czy mi się podoba. Oczywiście, jest piękny i miły w dotyku. Cieszę się bardzo z niespodzianki.

— Na jutro zdążymy uszyć, fason już obmyśliłam — mówi.

Bierze moje wymiary, kroi, fastryguje. Na maszynie do szycia poruszanej stopami zszywa poszczególne części nowej kieciki. Ja pomagam obszywać brzegi, aby w przyszłości się nie siepały. Jest miła atmosfera, w radiu leci przebój tego roku *Kriminal tango*. Tradycyjnie podchwycamy melodię i słowa, żeby nauczyć się nowej piosenki.

Janka przerywa i śpiew, i pracę, gdyż bóle porodowe nie pozwalają na ich kontynuację. Biegnę do telefonu, by wezwać pogotowie. Za kilka godzin w szpitalu rodzi się chłopiec, mój chrześniak. Leszek był bardzo radosnym dziec-

kiem. Nie sprawiał żadnych kłopotów rodzicom ani nauczycielom. Należał do drużyny harcerskiej.

W ostatnim czasie nasze obawy o zdrowie Leszka nie były bezpodstawne. Typowy pracoholik nie miał czasu zadbać o siebie. Od kilku lat przemawialiśmy mu do rozsądku, by przystopował szczególnie w nocnej obsłudze klientów w Jągience, których, prawdę mówiąc, niewielu się w tym czasie zbierało. Ale Leszek odpowiadał:

— Nie mam serca wyprosić kogoś z restauracji, to moi znajomi i koledzy. A konkurencja też nie śpi. Klient pójdzie do innego lokalu, na czym stracę i ja, i moje dzieci.

W 2010 r. zmarła jego największa podpora życiowa — matka. Z pewnością bardzo mu jej brakowało, a przede wszystkim stracił najważniejszego przyjaciela i powiernika. Kawiarnia przynosiła coraz mniejsze dochody, przysparzała coraz więcej zmartwień. Ciężkie choroby coraz mocniej go atakowały i odbierały siły do życia. Po wielkich cierpieniach zmarł w szpitalu w wieku 55 lat, osierocając dwie niepełnoletnie córeczki.

W zimowy dzień na wyrzyskim cmentarzu żegnał go ogromny tłum ludzi, nie tylko z Wyrzyska. Był znaną i lubianą postacią. Ksiądz proboszcz dziękował mu za to, że był pierwszą osobą oferującą mu pomocną dłoń w chwili objęcia wyrzyskiej parafii. Wzruszające pożegnanie jego klasy z nakielskiego *Krzywoustego* wycisnęło niejedną łzę wśród zebranych osób: „(...) Leszku, byłeś duszą towarzystwa na zjazdach klasowych, miałeś zdolność zauważania, że ktoś potrzebuje pomocy i nigdy tej pomocy nie odmawiałeś. Rozdawałeś dobro cicho i bezinteresownie. I tak jak numer jeden w klasowym dzienniku prowadziłeś nas w szkole, tak teraz odszedłeś pierwszy, żeby nas witać w swym nieodzownym czarnym wełnianym golfie, czapce-pilotce na głowie i długiśnym szalu w biało-czarną szachownicę, nawet w środku lata. Jesteśmy tu, gdyż chcemy zaświadczyć, że pamięć o tobie nie zginie, że będziesz miał w niej miejsce jako dobry kolega i serdeczny przyjaciel.”

Ciocia Anna

Krótko przed śmiercią w 2006 r. odwiedziłam ostatnią żyjącą siostrę mamy, 90-letnią Annę. Przeprowadzka na Kresy Wschodnie pogrzebała marzenia i pragnienia obu sióstr. Marzyły o innym życiu. Wszystko zabrała wojna. Teraz od kilkunastu miesięcy los zabiera jej wielki dar życia, wzrok. Akurat tej, która tak dużo szyła, czytała, pisała piękne listy. To wielka strata. Natomiast pamięć ma dobrą. Z przyjemnością słucham jej ciekawych opowieści.

Ciocia Hania przeżywała wiele rozterek sercowych.

Jej pierwsza miłość, Włodek W. — szewc z Gruszowa został zesłany na Sybir. Z trudem przeżył głód i mróz. Udało mu się uciec i wyleczyć z ciężkich chorób. Walczył pod Monte Casino we Włoszech podczas II wojny światowej. Wyjechał do Ameryki, skąd pisał do ciotki listy. Twierdził w nich, że zawsze ją kochał i kochać będzie niezależnie od tego, czy jest mężatką, czy osobą wolną, bo zawsze jest w jego sercu. Odwiedził ją w Falmierowie kilkanaście lat temu. Po tylu latach aż z Ameryki. Niebываłe.

Przed wojną ciocia miała adoratora Mietka U. z Krakowa, studenta III roku medycyny. Był w Legii Akademickiej. Za przynależność do Armii Krajowej został rozstrzelany przez hitlerowców. Ciotka jako pierwsza na obwieszczeniu w Krakowie odnalazła jego nazwisko i smutną wiadomość zaniósła jej matce. Obie bardzo rozpaczały.

Po wojnie rodzina Bałuków osiedliła się w Klawku pod Wyrzyskiem. Stąd ciocia pojechała pod Kraków, by poprosić dawnego parobka babki Petroneli do pomocy w gospodarstwie. Sami sobie nie radzili, bo dziadek Jan był rymarzem, a nie rolnikiem.

I tam ciocia spotkała Władysława Durlatkę, który właśnie wrócił z Niemiec z obozu pracy Briix, nosił tam nr 0308. W wieku 16 lat wybierał się do szkoły oficerskiej. Jednak już w pierwszych tygodniach okupacji w niedzielę w Sieprawiu

pod kościołem Niemcy zrobili obławę. Zabrali wielu mężczyzn, w tym i wujka do Krakowa na Arbeitplatz, gdzie przez dwa tygodnie bito go i torturowano. Potem w bydłych wagonach wywieźli aresztowanych do obozu pracy w Niemczech. Ledwie przeżył tę podróż w strasznych warunkach. Ciasnota, jeden stał przy drugim. Zamieniali się miejscami, by podchodzić do jedyne go wysoko umieszczonego okienka i zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie mieli ani picia, ani jedzenia. Tego kto zasnął, rozstrzelano. W obozie pracował w kamieniołomach. Przy załadunku wagonów spadła na niego ciężka rura, złamała mu rękę w kolanie i zmiażdżyła palce. Mimo bólu musiał pracować dalej. Po śmierci niemieckiego gospodarza na froncie rumuńskim wdowie było ciężko samej gospodarzyć, więc przydzielono jej Władka do pomocy. Po zakończeniu wojny wrócił do Polski. Niemka pisała listy do wujka, chciała z nim związać swój los, ale on wybrał życie w ojczyźnie. Za pracę w Niemczech otrzymał odszkodowanie i dobrą rentę. Przeznaczył to wszystko na nowy dom dla syna Bogusława.

Wujek jest spokrewniony z rodziną naszej błogosławionej Anieli Salawy. Jego siostra Julia wyszła za mąż za Cypriana, bratanka Anieli.

Ciotka Anna jest od wujka kilka lat starsza. To małżeństwo nie było zbyt szczęśliwe. Babka Petronela często się sprzeczała z zięciem. Pamiętam, jak oboje podczas krzyku na przemian to ścisiali, to pogłaśniali radio. Oboje byli bardzo nerwowi. Biedna ciocia pomiędzy nimi jak między młotem a kowadłem, tu matka, a tam mąż. To nie była łatwa sytuacja. Kilka lat po ślubie z Klawek przenieśli się do Falmierowa, gdzie kupili lepszą ziemię. Władka wybrano sołtysem, lecz więcej sołtysowała ciocia.

Przez kilka lat mieszkał u babki i stołował się u cioci w Falmierowie ksiądz Kruża. Gdy się przeniósł do Ciechocinka, poprosił ciocię na gospodynię. Bardzo mu odpowiadała jej lekka, dietetyczna kuchnia, stołującym się tam innym księżom także.

Żał mi cioci, jej życie mogło się inaczej potoczyć. Była reżolutna, przedsiębiorcza, odcytana i w każdym towarzystwie

czuła się swobodnie. Podczas wycieczki kuracjuszy z Polanicy spotkałam ks. Krużę oprowadzającego nas po kaplicy Świętej Rodziny w Szczytnie, którą założył na wzór Górki Klasztornej. Miło było wspominać z nim dawne lata.

Landrynki Petroneli

Babka szczególnie latem wolała mieszkać u Stasi i Jaśka, a zimą u Anny, ponieważ jej dom był dobrze ogrzewany. Umarła u Anny podczas modlitwy wieczornej na klęczkach pod świętym obrazem, oparta łokciami o tapczan. Żyła 90 lat. Szczęśliwa i krótka śmierć, cicha i bez cierpienia.

Babcię dość często odwiedzał syn Janek z Bydgoszczy. Otrzymywał od mamy wiktuały dla dziadka z nim mieszkającego. Częstoował nas miejskimi słodkościami. I zawsze zostawiał Petroneli cukierki. Widzieliśmy, że babka chowała je pod poduszką, a w przyływie dobrego humoru częstowała nas. Często mieliśmy na nie ochotę. Pewnego razu spostrzegła zbyt szybkie opróżnienie torebki z landrynkami. O ich podbieranie posądziła niewinnego Wieśka. Okazało się, że to prawie każde z nas się do tego przyczyniło, nie wiedząc oczywiście, że ktoś inny też babce podbiera słodkości.

Nasza mama też lubiła mieć w kieszeni fartucha jakieś cukierki, którymi ucieszyła niejeden raz dziecko cierpiące na ból zęba, głowy czy brzucha. Pocieszała też słodyczą cierpienie duszy, gdy kogoś spotkała niesprawiedliwa przykrość.

Przez wszystkie lata mieszkania z nami w Gromadnie codziennie bardzo wczesnym rankiem, a niekiedy świtem na cały głos babka śpiewała godzinki.

— *Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę Świętą, zacznijcie opowiadać cześć jej niepojętą...*

I tak przez godzinę, jak wskazuje nazwa. Owszem, pieśń z pięknymi słowami, ale nie o tej porze, gdy jeszcze dzieci śpią. A głos miała donośny, góralski. W codziennej rozmowie

czasami posługiwała się też niektórymi słowami góralskimi wyniesionymi z jej rodzinnego domu.

Mnie obdarzyła przydomkiem „pastereczka”, ponieważ podczas wakacji zawsze do pracy w polu przebierałam się w wygodne wiejskie ubranie, a na głowie wiązałam chustkę, by długie włosy nie przeszkadzały mi w robocie. A lubiłam zawsze iść na pastwisko, czy to paść krowy, gęsi czy wielkie stado owiec. Nieodłącznym przyjacielem była książka. Uwielbiałam powieści historyczne, biograficzne i liryki nie tylko miłosne. Do dzisiaj dla mnie dzień bez książki to dzień stracony.

Zakonnica Zofia

Moja kochana kuzynka Zosia Radwańska, siostra zakonna, skończyła już 91 lat. Przebywanie i rozmowa z nią to wielka przyjemność. Nigdy nie brakuje nam tematów. Radosna i wyrozumiała, zupełnie inna od wszystkich zakonnice, które znałam. Pełna dobroci i miłości bliźniego.

To moja mama poparła jej plany wstąpienia do klasztoru, gdy przyszła pytać o radę.

— Zosiu, pójdź za głosem serca i spełnij swe marzenie. Jeśli czujesz swoje powołanie, idź, daję ci dziecko moje błogosławieństwo.

Zosia już w dzieciństwie lubiła się umartwiać. Kiedyś nasza Janeczka przyznała się jej, że pogniewała się na którąś z kuzynek. Zosia zaproponowała, by w pokucie za popełniony grzech gniewu, razem poszły na ostre ściernisko i boso pochodziły po polu, aż stopy będą krwawić. To samo robiły, prosząc o zdrowie chorej mamy, jak również w intencji powrotu do naszego domu w Głuchowie. Dopiero gdy mama odkryła te cierpiętnicze praktyki, stanowczo im ich zabroniła. Lubiłam z Zosią zrywać porzeczek na plantacji jej rodziców w Klawku. Wówczas bardzo dużo rozmawiałyśmy. Wiele razy podczas urlopu odwiedzała nas i w Gromadnie, i w Nakle.

Za jej przyczyną piosenka *Zapada zmrok* poszła w świat. Niedawno tak wspominała moją mamę:

— Moja ukochana matka chrzestna — Stasia pięknie opowiadała o świecie i niebie, pieśnią i wierszem malowała najpiękniejsze obrazy. Zapytana, kto tak cudnie powiedział w tych strofach, skromnie odpowiadała, że same przychodzą. Pamiętam ją jako moją najdroższą przyjaciółkę, nauczycielkę, przewodniczkę mojego życia. Skromna, cierpliwa, rodzinna, miła i ciepła. Zawsze i wszędzie chciałam z nią być. Mieszkałyśmy obok siebie 15 lat, więc dużo czasu z nią spędzałam.

Zosia po przeczytaniu brudnopisu mojej rodzinnej historii napisała:

Kochana Wandziu, Helenko!

Czytając historię Twojej Rodziny, bardzo dużo skorzystałam. Przypomniałam sobie swoje dzieciństwo, wspomnienia swoich sielskich, anielskich lat. Piękny widok Kolonii Polskiej pod lasem w Głuchowie. Matka Boża na Zameczku w Bełzie, do którego chodziłam na odpusty. Sokół, gdzie jakiś czas mieszkałam u nauczyciela, gdyż bałam się bardzo ukraińskich band i mój tato mnie tam umieścił. Żona nauczyciela była bardzo dobra i szlachetna. Po lekcjach pomagałam jej pielęgnować dzieci. Przede wszystkim zaś chcę powiedzieć o Twoich rodzicach. Twoja mama i tato jeszcze przed swoim ślubem trzymali mnie do chrztu świętego. Pamiętam, jak moja mama mi opowiadała, że dlatego Pan Bóg mnie powołał do życia zakonnego, bo moimi rodzicami chrzestnymi byli — panna i kawaler, ciocia Stasia i wujek Jasiek. To Twojej mamie, Wandziu, zawdzięczam po części moje powołanie i odwagę zostawienia domu rodzinnego. Miałam kłopot, gdyż przed wyjazdem do klasztoru, będąc już spakowaną, usłyszałam w nocy, jak tato mówił do mamy:

— Julciu, jak my sobie damy radę bez Zosi? Będzie nam bardzo ciężko.

Pod wpływem tych słów wczesnym rankiem w te pędy pobiegłam do Gromadna i spytałam:

— Ciociu, co mam robić?

A ciocia Stacha powiedziała do mnie:

— *Jak sobie obrałaś to życie, to idź, tak Bóg chce. Najważniejsze Zosiu, żebyś była szczęśliwa.*

W tym powiedzeniu Twojej mamy widziałam wolę Bożą. Jestem jej za to wdzięczna.

Gdy mieszkaliśmy w Głuchowie, to bardzo często jako mała dziewczynka wymykałam się z domu i szłam do cioci Stasi, a ona nam czytała Żywoty świętych i inne piękne książki. U niej też zasypiałam i moja mama dopiero późnym wieczorem zabierała mnie do siebie.

Mama była zapracowana, bo po pracy w polu i gospodarstwie wieczorami i nocą jeszcze długo szyła.

Moja mama była cicha, skromna, pokorna i bardzo rozmodlona. Pamiętam jak szyła w dzień, jedną nogą kołysała dziecko, a drugą szyła na maszynie i pięknie przy tym śpiewała pieśni religijne.

Ciocia Stasia to dusza na wskroś apostołska, też pobożna, ale i aktywna, moja mama zaś to dusza kontemplacyjna. Dziękuję z całego serca za te dwa wielkie i piękne wzory życia — przykłady godne naśladowania. A wujek Jasiak — to wzór pracy, umiłowania rodziny i cichego życia; zawsze myślę o nim jak o św. Józefie.

Cioci Stasi zawdzięczam bardzo dużo, toteż codziennie włączam ją i wujka Jaśka do rejestru moich modlitw i opiece Boga polecam.

Zosia. S.M. Stanisława Radwańska

Przez wiele lat Zosia była siostrą przełożoną w kilku Klasztorach Szenszackich w Poznaniu, Otwocku, Świdrze. Zawsze z utęsknieniem czekam na jej urlop, podczas którego spędzamy mile czas na wspomnieniach i odwiedzinach miejsc naszego dzieciństwa i młodości.

Stokrotka pod ławką

Opisałam pokrótce życie starszego pokolenia mojej rodziny oraz rodzeństwa. Czas na podsumowanie mojego życia, na mały rachunek z przeszłością.

Bardzo często w myślach odtwarzam owych lat przeżycia i stwierdzam, że o wielu wspaniałych rzeczach, które mi się w życiu przytrafiły, nawet nie marzyłam.

Z gromadzkich pól i łąk, z chaty za wsią po podstawówce wyjechałam w 1956 r. na pięć lat do internatu w Nakle nad Notecią, które wówczas wydawało mi się wielkim światem. To było największe moje marzenie — zostać nauczycielką, uczyć dzieci.

Po zdaniu egzaminów ogarnęła mnie ogromna radość. Stale odliczałam dni dzielące mnie od wyjazdu do nowego, zapewne ciekawszego świata. Rozpierała mnie duma, że już wkrótce zdobędę swój wymarzony zawód nauczycielki. Skoro babka kiedyś zaprzepaściła plany mojej mamy, to niech chociaż jej córka spełni swoje marzenia. W Liceum Pedagogicznym nie miałam kłopotów z nauką, na ogół plasowałam się w pierwszej czwórce uczniów. Koleżanki i koledzy byli serdeczni, profesorowie mili i życzliwi.

Tato odwiózł mnie bryczką do przystanku autobusowego w Falmierowie z całym niezbędnym w internacie ekwipunkiem, tzn. pościelą, ręcznikami i walizką ubrań. Pościele do prania zawoziłam do domu, w którym jeszcze przez 16 lat nie było prądu elektrycznego. W Bydgoszczy zakupiliśmy z mamą skrzypce, instrument wymagany w naszym liceum. Nie miałam problemów z opanowaniem sztuki grania na tym trudnym instrumencie, tak że nawet należałam przez jakiś czas do orkiestry szkolnej. Mój pierwszy pokój mieścił 8 łóżek piętrowych. Odrabianie lekcji odbywało się w budynku Liceum im. B. Krzywoustego. W wyższej klasie były lepsze warunki i mniej osób w pokoju. Do domu można było pojechać raz w miesiącu, ale na prace jesienne w polu, wykopki ziemniaków

i wrywkę buraków cukrowych otrzymywałam tydzień zwolnienia z lekcji.

Mój wychowawca profesor Józef Kamiński obdarzył mnie przydomkiem Stokrotka. I ta jego Stokrotka uczyniła mu pewną przykrość! Nie planowałam tego absolutnie! Wyszło to jakoś tak spontanicznie. Do dzisiaj wspominając, co się zdarzyło, czuję wstyd i zakłopotanie. Chętnie bym to wymazała ze swej pamięci, jednak powiadają:

— Co się stało, to się nie odstanie.

Skończyła się przerwa, już dzwonek wzywa na lekcję. Wszyscy cichutko czekamy na wykładowcę. Otwierają się drzwi klasy i wchodzi nauczyciel wraz z dyrektorem Henrykiem Zielińskim, co oznacza wizytację lekcji z psychologii czy z pedagogiki. Krótkie nawiązanie do ostatnich tematów i odpytanie na ocenę. Wychowawca zaplanował zadać pytanie słabszemu uczniowi, a potem mnie, żeby się pochwalić dobrą uczennicą. Słyszając swoje nazwisko, tak strasznie spanikowałam, że czym prędzej czmychnęłam pod ławkę. To była sekunda. Żadnego zastanowienia się i głupia myśl, że może uzna mnie za nieobecną. Zamęt w głowie, mętlik w sercu, nic nie wiem, co mogę powiedzieć na zadany temat. Przecież nie byłam na tej lekcji, bo z powodu leczenia bolącego mnie zęba musiałam iść w tym czasie do dentysty. Mój nauczyciel posmutniał, bo tak się zawiódł na mnie. Wybaczył mi jednak moje niestosowne zachowanie. Przez długi czas było mi bardzo przykro i wstyd.

Kobieta Wschodu

Będąc małą, chudą dziewczynką o ciemnej karnacji nigdy nie przypuszczałam, nieśmiała i zakompleksiona, że kiedyś w przyszłości moją urodą zainteresuje się malarz i poeta. Mój wykładowca plastyki i sztuki poprosił mnie o pozowanie do obrazu *Kobieta Wschodu*. A swojemu profesorowi uczenni-

ca nie odmawia. Nie przypuszczałam, że ta czynność zajmie mi tak dużo czasu.

Na portrecie o wymiarach 50 x 70 cm widzimy młodą kobietę namalowaną olejną farbą. Z jej ramion spływa jedwabna szata w barwach złota, która częściowo odsłania karminową bluzkę.

Na drugim portrecie siedzę w fotelu w białej bluzce z kołnierzem Słowackiego, chabrowym sweterku, czarnej aksamitnej spódniczce z przebijającymi wzorami barwy indygo. A na stoliku, tuż obok, stoi błękitna figurka Wenus. Niektórzy oglądający to malarskie dzieło zapytują z lekkim, dwuznacznym uśmieszkiem:

— O czym to myślał malarz? A może marzył...?

Trzeci obraz miał być rekompensatą dla mnie za pozowanie. Jednak odmówiłam. Nie chciałam już dłużej zarywać każdej niedzieli. Koleżanki chodziły sobie na spacer i na randki, a ja przez kilkanaście miesięcy musiałam bez ruchu pozować. Było to bardzo nużące i czasochłonne zajęcie. W ogóle nie przywiązywałam wagi do tego wydarzenia, nie zdawałam sobie sprawy, że miło by było mieć swój portret w domu, nie tyle dla mnie, ile dla potomnych. Oba portrety są teraz oprawione złotymi ramami. Jak do tego doszło?

Otóż gdy rozpoczęłam w 1961 roku pracę w Wyrzysku, nauczycielka plastyki, zwróciwszy się do mnie, powiedziała:

— Byłam na wystawie prac profesora Zygmunta Przybyłowskiego. Wśród martwej natury, pejzaży i portretów widziałam *Kobietę Wschodu*. Bardzo podobną do pani. Czy obraz ma jakiś związek z panią?

— Zgadza się — rzekłam i opowiedziałam co, jak, gdzie i kiedy się zdarzyło.

Za jakiś czas mój mąż usłyszał w Lubaszczu od swojego dyrektora:

— Podczas wystawy widziałem piękny portret pańskiej żony.

Wkrótce moje zdrowie się bardzo pogorszyło. W tych smutnych dla mnie latach mój mąż chciał mnie pocieszyć,

więc pojechał do malarza, by wykupić moje portrety. Artyści za życia na ogół niechętnie rozstają się z niektórymi swoimi dziełami. Po dłuższej dyskusji profesor z trudem zgodził się na sprzedaż, choć każdy portret wycenił wysoko, na dwie dyrektorskie pensje. Władek miał przy sobie fundusze tylko na jeden obraz. Po drugi pojechał za miesiąc.

Po przywiezieniu obrazów do domu postawiłam je za szafą. Wydawało mi się, że zawieszenie ich na ścianie będzie o mnie źle świadczyć. Często odwiedzała nas bliska rodzina i przyjaciele. Rozmawiało się o wielu sprawach, jak to bywa podczas spotkań towarzyskich, od słowa do słowa pojawiał się temat moich portretów. Wyciągaliśmy je zza szafy i po kolei każdy zachęcał, aby dzieła wyeksponować. Z oporami to uczyłam. Teraz wciąż każdemu za skrzepowaniem objaśniam:

— To nie ja zamawiałam te obrazy, tylko profesor mnie poprosił o pozowanie, bo dopatrzył się u mnie orientalnych rysów.

Z kolei babka kilka razy mi opowiadała, że urodę odziedziczyłam po pradziadku Węgrze, któremu z jakiegoś powodu, prawdopodobnie politycznego, skonfiskowano duży majątek.

Był jednak pewien problem podczas kolędy. Księża podczas modlitwy zwracali się do największego obrazu. To mnie bardzo i krępowało, i peszyło, a nawet rozśmieszało, szczególnie, gdy tuż przy mnie klęczała moja wielka śmieszka Beata. Jednego razu, aż wbijałyśmy do bólu paznokcie w dłonie, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem, widząc natchnioną miłą księdza modlącego się do kobiety Wschodu. Udało nam się wycofać na korytarz i tam opanować wesołość. Na polu bitwy zostali Władek i Kora. Od tej pory przed kolędą zdejmowałam portret w tym pokoju, do którego miał wejść kapłan z błogosławieństwem dla mieszkańców tego domu.

Jeszcze gorszy napad śmiechu zawładnął nami pewnego razu w kościele. I to podczas największej ciszy w czasie mszy świętej. Mróz był wielki, a w modzie futra naturalne. Ubrałam więc kurtkę i czapkę ze srebrnego lisa. Jest mi ciepło i miło. Między mną a Beti siedzi mała Kasia z domu dziecka.

Kątem oka widzę, że mnie obserwuje. Nachyliłam się i pytam ją cicho:

— Co mi się tak przypatrujesz?

Na to szybko moja córka:

— Wyglądasz jak Tatarzyca...

I to wystarczyło, by głupi śmiech nas opanował. Zagryzałyśmy wargi, ścisnęłyśmy dłonie i jak się dało, odwracałyśmy od siebie głowy, by nawet kątem oka nie dostrzec spazmatycznej śmiejącej się towarzyszki. Trudno było się powstrzymać od wesołości! Plecy nam tak drgały, że znajomi siedzący za nami po wyjściu z kościoła pytali:

— Spotkało was jakieś nieszczęście? Dlaczego tak płakałyście?

Teraz, gdy idziemy razem do świątyni, na wszelki wypadek raczej nie siadamy obok siebie. Chyba, że sytuacja jest poważna. Beatka ma niezwykle dar rozweselania mnie w chwilach przygnębienia czy smutku. Można jej pozazdrościć, a sobie życzyć takiego radosnego usposobienia.

Zaproszenie Kasi do naszego domu było pomysłem kilkunastoletniej Beatki. Ona nawet mnie prosiła, abyśmy adoptowali jakieś porzucone przez matkę dziecko. To jednak było zbyt trudne dla mnie zadanie, bo już dość poważnie chorowałam. Ponieważ bardzo spodobało mi się marzenie mojej córki, chętnie je spełniłam. Pojechaliśmy z Mariuszem do Domu Dziecka w Kijaszkuwie i tam okazało się, że większość dzieci już ma zaplanowany wyjazd świąteczny. Zostało tylko czterech chłopców i jedna dziewczynka. Na szczęście Kasia od razu nabrała do nas zaufania i ucieszyła się, że ona też będzie miała święta u rodziny.

Te Święta Bożego Narodzenia były i dla nas, i dla czteroletniej dziewczynki bardzo radosne. Już wieczorem w Wigilię zapukał do drzwi święty Mikołaj z długą białą brodą ubrany w tradycyjny strój. To Irek, adorator Beatki, zrobił taką miłą niespodziankę. Podarował Kasi wówczas bardzo modną lalkę-niemowlaka, po którą pojechał aż do Szczecina. Katarzynka była wspaniałą dziewczynką, wszyscyśmy ją bardzo polubili.

Do domu dziecka odwieźliśmy ją dopiero po święcie Trzech Króli, kiedy już musiałam iść do pracy. Rozstanie było dla wszystkich pełne smutku. Umówiliśmy się, że spotkamy się znowu na ferie zimowe i wielkanocne. Nie doszło jednak do tego, ponieważ wkrótce zgłosiło się bezdzietne małżeństwo z Piły, które zaadoptowało Kasię.

Miłość życia

W liceum nie narzekałam na brak towarzystwa chłopaków. Na potańcówkach nigdy nie podpierałam ściany. Mile wspominałam drobne sympatie i przyjaźnie z lat szkolnych. Pół roku przed zakończeniem liceum rozpoczął się okres mojej miłości życia, miłości pełnej tęsknot i uniesień, marzeń i zawodów, radości i łez.

W ostatniej klasie licealnej wybrałam się z Janeczką i Józkiem na mój pierwszy bal. Bal Sylwestrowy w Wyrzysku.

Jest 31.12.1960 rok. Moją kreację sylwestrową, małą czarną, skończyłyśmy z siostrą szyć późnym wieczorem. Józek idzie wcześniej zająć stolik na sali balowej przy szkole podstawowej. My dochodzimy tam po godzinie dwudziestej drugiej. Zatrzymujemy się w drzwiach, by wzrokiem poszukać naszego towarzystwa. Przed nami nagle staje Władek Kwadrans, by przywitać się ze mną i zaprosić nas do swojego stolika. Dziękujemy, odmawiamy, gdyż mamy już swoje miejsca.

Bal trwa. Władek przychodzi prosić mnie do tańca. W swoim maturalnym czarnym garniturze i białej koszuli z krawatem prezentuje się elegancko. Dobrze nam się tańczy i ciekawie rozmawia. Po kilku tańcach, na jego ponowną prośbę, zgadzam się przejść do stolika, gdzie siedzi z kuzynostwem. Jest tam też jego starszy brat Stanisław, student SGPiS w Warszawie, Władek studiuje już pierwszy rok na AGH w Krakowie. Obaj ze mną tańczą, na zmianę, właściwie to Staszek nawet częściej.

Nagle wylana oranżada moczy garnitur Stanisława. Już nie tańczy. Do końca balu, do szóstej rano bawimy się z Władkiem wspaniale. Wspólne tematy i dobra zabawa zbliżyły nas do siebie. Nasza miłość rozwija się. Przez cztery lata piszemy do siebie niemal codziennie listy. Telefonów nie mieliśmy, ale przecież można iść na pocztę, gdzie połączą, choć długo trzeba czekać. Władek jest bardzo zdolnym studentem, zdaje wszystkie egzaminy przed terminem, aby częściej i dłużej pomagać w domu rodzinnym na gospodarstwie i spotykać się ze mną.

Po mojej maturze jest wspaniała okazja na spotkanie z Władkiem. Jeszcze nie pracuję, a więc nie mam swoich pieniędzy. Muszę o nie poprosić rodziców. Pokazuję im swoje dobre świadectwo maturalne i mówię, że chciałabym pojechać na Jasną Górę podziękować Matce Boskiej za ukończoną szkołę i prosić o opiekę w pracy z dziećmi. Mamie bardzo podoba się mój plan, więc mówi:

— To pięknie. Na tak zbożny cel znajdują się fundusze. Tylko martwię się, jak ty, dziecko sama tak daleko pojedziesz? Jak sobie dasz radę?

— Mamuś, w Częstochowie Władek będzie miał praktykę studencką, to się mną zaopiekuje. Nie martw się.

Spotkanie trwało raptem pół dnia, potem pojechałam do Myślenic odwiedzić rodzinę.

Oświadczyń

W domu wielkie wydarzenie, ponieważ na niedzielę zaprosiłam Władka, aby przedstawił się moim rodzicom. Na jego przywitanie w Wyrzysku kupiłam ładny chodnik do pokoju, bo poprzedni był już lekko sfatygowany. Ażeby mój kawaler nie błądził po polnych drogach i ścieżkach, umówiliśmy się, że ja wyjadę po niego do Młotkówka. Był piękny, słoneczny, wakacyjny dzień. Ubrałam nową sukienkę

w biało-niebieską kratkę, od pasa w dół suto marszczoną, abym miała swobodę przy jeździe rowerem. Niesiona skrzydłami miłości, szczęśliwa jadę na spotkanie z ukochanym. Nic nie wskazywało, że lunie rzęsimy deszcz. Przemokliśmy oboje do ostatniej nitki. Bardzo się zawstydziałam, bo moja bawełniana sukienka oblepiła dokładnie moje ciało, a ja poczułam się, jakbym stanęła przed nim zupełnie pozbawiona ubrania. To była bardzo krępująca dla mnie sytuacja. W domu szybko się przebrałam, a Władka ubraliśmy w rzeczy mojego brata. Ogólnie śmiechu było co niemiara. Ubranie narzeczonego dość szybko przeszło na słońcu, ale trzeba było jeszcze je wysuszyć do końca i zaprasować kanty żelazkiem na duszę rozgrzaną w ogniu pieca kuchennego. Teraz mógł w nim spokojnie wrócić do Jeziorek. Ja zaś nie mogłam się doczekać oceny rodziców mojego chłopaka. Okazało się, że zaakceptowali go bez zarzutu, co i mnie, i jego ucieszyło.

Rodziców Władka poznałam już wcześniej. Wymyśliłam sobie, że zrobię mu niespodziankę w dniu jego imienin. Dzień wcześniej kupiłam bordowe róże. Aby nie zwiędły, owinałam je w gruby szary papier, włożyłam do wiadra z wodą i zaniósłam do zimnej piwnicy. Nazajutrz róże wyglądały nadal bardzo okazale. Mogłam spokojnie pojechać autobusem. Idąc od szosy między domami, dopytałam się ludzi, gdzie mieszka rodzina Kwadransów. Kwiaty trzymały się tak świeżo, że z radością, wręczając je, mogłam zanucić popularną piosenkę: — *Przynoszę tobie siedem czerwonych róż, z miłosną pieśnią siedem...* Mój chłopak był szczęśliwy. Nie przewidział tak miłej niespodzianki.

Siedzimy wszyscy przy obiedzie, rozmawiamy o tym i o owym, jest przyjemna atmosfera. A mnie zdarza się czasem, że gdy coś wesołego lub śmiesznego opowiadam, zaczynam się śmiać. I tak było tym razem. Spożywamy pyszny rosół z domowej kury z makaronem i ja wybucham śmiechem. O zgrozo! Część zawartości z łyżki rozpryskuje się nie tylko na mój talerz, ale i na kawałek obrusa. Siedzę zawstydzona.

To zdarzenie jednak nie popsuło nikomu nastroju, a wręcz rozbudziło ogólną wesołość.

Z mamą Władka zawsze bardzo mile nam się rozmawiało, poruszaliśmy wiele tematów.

Za kilka lat duże poruszenie, szczególnie wśród moich młodszych braci, wywołała moja zapowiedź o oświadczeniach podczas planowanej wizyty Władka w święta. Ani na chwilę nie opuszczali gościnnego pokoju, przysłuchując się rozmowom starszych. Z wypiekami na twarzy czekali na to wydarzenie. Już mama przygotowuje kolację, Hanka zaparza wędzoną szynkę maminej roboty. Chyba też przejęta jak bracia, bo po raz pierwszy do wody wysypuje garść goździków. To była najlepsza szynka, jaką w życiu jadłam! Oświadczyny zostały przyjęte.

Nasz ślub cywilny zaplanowaliśmy na 20 czerwca 1964 roku. Do Krakowa przyjechałam nocnym pociągami z Janeczką i naszymi świadkami: Józkiem i Władkiem — moim bratem. Do ślubu było jeszcze sporo czasu, poszliśmy więc zachwycić się piękną architekturą zabytkowego miasta. Podczas spaceru, ku mojej radości, w oknie wystawowym sklepu obuwniczego zobaczyłam piękne białe pantofle. Stoimy pod sklepem, czekając na otwarcie, ale ekspedientka wciąż się spóźnia. Niecierpliwie się coraz bardziej. Może pójść do innego sklepu? A może w ogóle nie ma mojego numeru? Co robić?! Na dzisiejszą uroczystość przywiozłam odpowiednie buty, ale te na wystawie podobają mi się bardziej. Poza tym koniecznie pragnę je zdobyć na ślub kościelny. Wreszcie ekspedientka otwiera sklep, pantofel dokładnie pasuje na moją stopę. Na Plac Wiosny Ludów dochodzimy na czas. Wzruszeni zawieramy ślub na dobre i na złe, święcie przekonani, że do nas, zakochanych nigdy złe chwile nie przyjdą, że ogień uczuć nigdy w nas nie przygaśnie, bo przecież nas zawsze obroni miłość.

O jakże złudne są ludzkie nadzieje! Życie pokazało, że teoria i praktyka nie idą ze sobą w parze. Kiedy przyszło zdjąć różowe okulary, które dość długo nie chciały zauważać wad, a widziały same zalety, z latami wkradały się rozczarowania.

Nie jesteśmy doskonali i tak jak w wielu innych związkach, i w naszym zdarzały się kryzysy. Może to, co się za chwilę zdarzy, już jest przepowiednią, że radości przeplatać się będą ze smutkami, że życie może być słodko-gorzkie. Może to już jest preludium do bardzo trudnej sztuki życia, jaką jest małżeństwo?

Otóż tego szczęśliwego dnia cała nasza piątka po weselnym obiedzie w eleganckiej krakowskiej restauracji U Wierzyńka w radosnych nastrojach idzie spacerkiem przez słynne Krakowskie Planty, podziwiając okazy drzew, krzewów i kwiatów. W tym dniu jest słoneczna pogoda, jakby specjalnie dla nas, a w blasku słońca wszystko pięknieje. Kwiaty rozsiewają miłą woń, a ich płatki nabierają pełniejszych barw. Piękno otaczającej przyrody jeszcze bardziej nas uszczęśliwia. Mój mąż obejmuje mnie swoim ramieniem i delikatnie całuje. To był bardzo krótki, można nawet rzec, niewinny przyjacielski pocałunek, bo przecież w tych latach nikt przyzwoity nie pozwoliłby sobie na publiczne namiętne pocałunki. Wpadliśmy jak śliwka w kompot. I to w dzień ślubu. Niespodziewanie stanęła przed nami kobieta zwracająca nam srogim tonem uwagę, że całowanie w miejscach publicznych jest niemoralne, zabronione i karalne. Zmieniła swój wrogi wyraz twarzy, gdyśmy ją przekonali, że właśnie przed godziną staliśmy się legalnym małżeństwem. Uwierzyła całkowicie po okazaniu aktu naszego ślubu. Jej reprimenda na chwilę popsuka nam humory. Wspomnienie tamtego pechowego zdarzenia w tak ważnym dniu naszego nowego życia stale wprowadza nas w rozbawienie.

A my? Mimo bagażu bardzo różnych życiowych doświadczeń trwamy razem już 54. rok, wiedząc, że każde z nas w trudnych chwilach może na siebie nawzajem liczyć.

Kwadransowie

Rodziny mojego męża też nie ominęły dramaty czasów wojny. Rodzice Władka — Ignacy (1908–1973) i Maria (1917–2005) tak jak ich przodkowie pochodzą z Przeciszowa leżącego w województwie krakowskim.

10.03.1876 r. urodziła się babcia Władka — Maria Wójcik. Ciekawe, że również 10.03., ale 1917 roku urodziła się jego mama — również Maria. Babcia miała smutne dzieciństwo. Wychowywała się jako pólsierota od 8. roku życia, bo zmarł jej ojciec. Gdy miała 10 lat, jej matka wyjechała do Stanów Zjednoczonych za ukochanym mężczyzną i zostawiła małą Marysię. Nie zważała na płacz i prośby córki, by jej nie opuszczała. Zrozpaczonemu dziecku obiecywała, że przyśle bilet na statek i sprowadzi je do siebie. Niestety, nigdy tak się nie stało.

Dziadek Władka — Stanisław urodził się 10.05.1867 roku w Przeciszowie, tak jak babcia. Co ciekawe, oboje — i babcia i dziadek nosili to samo nazwisko Wójcik. Dziadek podczas I wojny światowej walczył w wojsku austriackim pod Dubrownikiem. W armii nauczył się języka niemieckiego, co jak się później okaże, uratuje rodzinie życie podczas II wojny. Był człowiekiem mądrym, czytany, dobrze zarabiającym, miał żyłkę do interesów. Cieszył się poważaniem wśród ludzi biznesu z Oświęcimia, znał się z właścicielami banku, współpracował również z Żydami. Stanisław prowadził sklep, który bardzo dobrze prosperował. Dzięki temu jako pierwsi w Przeciszowie wybudowali sobie murowany dom, co wtedy stanowiło sensację, gdyż w okolicy znajdowały się tylko domy drewniane. Po paru latach przy sklepie powstał też tzw. wyszynk, czyli karczma. Powodziło im się bardzo dobrze. Spotykał się też z księdzem, aby grać w karty. Podczas jednego z takich wieczorów, w roku 1933 babcia pokazała duchownemu trzyli-trowy garnek złotych monet. Ten niezwłocznie zaproponował, że wymieni je na papierowe w celu łatwiejszego przechowywania. Naiwni przyjęli jego ofertę, a po pół roku przyszła dewalu-

acja i stracili bardzo dużo. Za papierowe pieniądze mogli teraz kupić tylko jedną kurę. Po tym zdarzeniu dziadek stracił zaufanie do księży, nie ma się czemu dziwić. Na szczęście szybko się podźwignęli, dalej prowadząc dochodowy interes. Finansowo stali dobrze. Wychowywali pięcioro dzieci — Stefana, Juliana, Ludwikę, Marię i Aniełę.

Ich dom położony był w dorzeczu górnej Wisły między Sołą i Skawą, które nieuregulowane i bez wałów ochronnych powodowały częste podtopienia i powodzie. Dziadkowie opowiadali o tym, jak musieli ratować żywy inwentarz i zbiory, gdy woda wdzierала się do zabudowań gospodarczych oraz domów mieszkalnych, niszcząc dobytek. Ponadto ziemi było niewiele, a dzieci sporo do obdzielenia. Dlatego gdy w 1937 roku rodzice Władka dowiedzieli się, że na Pomorzu państwo sprzedaje korzystnie gospodarstwa w pierwszej kolejności powodzianom, postanowili tam się osiedlić. Państwo udzielało kilkudziesięcioletniego kredytu na połowę zakupu, a resztę trzeba było zapłacić. Ponieważ dziadkowie mieli oszczędności, wszystkim dzieciom sfinansowali zakup równych gospodarstw około 9–10 hektarowych w tzw. poniatówkach. Po odzyskaniu niepodległości Polski w wyniku I wojny światowej uchwałą z roku 1925 przeprowadzono parcelację wielkoobszarowych gospodarstw rolnych właścicieli niemieckich, zwłaszcza usytuowanych w pasie nadgranicznym, pod kierunkiem ówczesnego ministra rolnictwa Juliusza Poniatowskiego. W powiecie wyrzyskim w latach 1936–1938 założono 300 osad. Państwo kupowało majątki ziemskie, które dzielono na parcele i sprzedawało rolnikom narodowości polskiej. Sprowadzono ekipę cieśli z województwa krakowskiego oraz drewniane świerkowe elementy budynków mieszkalnych i gospodarczych. Na każdej działce posadzono 46 drzewek owocowych. Pierwszeństwo w nabywaniu osad mieli tzw. powodzianie z południowej Polski, weterani i inwalidzi wojenni, głównie z Legionów Polskich oraz stali pracownicy rolni z parcelowanych majątków.

Tym oto sposobem rodzice Władka zamieszkali w Jezior-

kach Kosztowskich. Zadowoleni z nowego miejsca do życia, zaczęli gospodarzyć. Mieli dom, oborę, stodołę i sad. Do tego dochodził 1 hektar łąki w Krostkowie. W ich osadzie położonej 2,5 km od wioski zamieszkało 10 rodzin z Małopolski. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie wybuchła wojna w 1939 r. Przerazenie, panika, popłoch mieszkańców okolicznych wsi sprawiły, że 2 września moi teściowie zabrali pierzynę, krowę przywiązali do wozu, nabrali, ile możliwe było jedzenia i rozpoczęli ucieczkę. Granica polsko-niemiecka znajdowała się około 8 km od Jeziorek. Od strony Piły nadciągali Niemcy. Z rocznym Stasiem uciekali dniem i nocą, bez dachu nad głową, w strachu o życie. W ciągu tygodnia dotarli aż pod Mogilno. Cały trud poszedł na marne, bo i z tamtych stron ludzie w panice uciekali, gdzie mogli. Wrócili do swojego domu. Okazało się, że podczas ich nieobecności został splądrowany. Między innymi ukradziono kierat. Za trzy tygodnie nocą o wpół dwunastej pojawiło się trzech Niemców. Strzelając w sufit, oznajmili przerażonym mieszkańcom, że mają wychodzić przed dom. Z Marią i Ignacym mieszkali też jej rodzice. Gdy wyszli na podwórko, dziadek Stanisław zaczął po niemiecku prosić o darowanie życia rodzinie. Wspominał swoją służbę wojskową w armii austriackiej podczas I wojny i w związku z tym, błagał o litość. Uprośzeni Niemcy dali im 15 minut na spakowanie się i opuszczenie gospodarstwa. Ubrali się więc szybko, dziecko opatulili kocem i ruszyli w drogę. Noc spędzili w stogu słomy na polu, a gdy nastał świt, poszli 5 km do Kosztowa, szukając schronienia u brata Juliana. W jego domu mieszkali kolejne 3 lata. Tata Władka codziennie musiał pracować w majątku Niemca Bitnera. Mama też dorywczo pracowała u Niemca. Aby wykupić kartki żywniowe, chodziła do oddalonej o 8 km Wysokiej. Pewnego razu, gdy wracała z zakupów, zatrzymał ją niemiecki żołnierz jadący rowerem. Kazał jej stanąć pod drzewem i wybrać miejsce, w które do niej strzeli. Maria padła na kolana, szlochając i błagając o litość. Na szczęście po chwili nadjechał drugi Niemiec, wyrwał broń gotowemu do strzału żołnierzowi i puścił oszołomioną kobietę

wolno. Od tego czasu miała nerwicę serca i przez wiele lat zdarzały jej się omdlenia. U Niemca, u którego pracował ojciec, było dużo volksdeutsche'ów. Jeden z nich bardzo okrutny i zaczepny często bił pracowników. Pewnego razu chciał też nieśluszenie uderzyć Ignacego, ale ten, bardzo buńczuczny, nie pozwolił na to. Zasłonił się widłami, grożąc, że prędzej mu je wbije, niż pozwoli się tknąć. Za to został wyrzucony z pracy. Poszedł więc do urzędu w Wyrzysku, zameldować się jako bezrobotny. Skierowano go na 6 miesięcy do kopania rowów w Fordonie. Mężczyzna, z którym miał zatarg, chciał go ukarać, dlatego nie pozwolił, by pracował bliżej swego miejsca zamieszkania. Po ponad dwóch latach pracy w majątku przeniesiono całą rodzinę do innego, mniejszego domu. Musiały się w nim pomieścić trzy rodziny: Julek z żoną i czwórką dzieci, Maria i Ignacy z dwójką oraz dziadkowie. Było im bardzo ciasno. Władysław urodził się 15.11.1942 roku. Ochrzcił go ksiądz Klimacki z Nakła, który raz w miesiącu przyjeżdżał do Krostkowa na msze. 9.01.1944 r. dziadek Stanisław zmarł. Kwadransowie przerzucani z jednego miejsca w drugie przebieдали wojnę. Po jej zakończeniu wrócili do swojego domu, ale był on do połowy okien rozebrany przez Niemców, zabudowania gospodarcze zrujnowane, drzewka owocowe wyrwane. Nie było możliwości, aby w nim zamieszkać. W związku z tym dostali nakaz wprowadzenia się do sąsiada. Tam przez rok mieszkali i w tym czasie doprowadzali do stanu używalności swoje zrujnowane gospodarstwo. Z Białosłowiwa sprowadzili drewniany barak, w którym mieszkali dawniej jeńcy wojenni. Mieszkali w nim przez 3 lata, gdyż odbudowa domu przeciągała się z powodu braku pieniędzy oraz materiałów budowlanych. Światło elektryczne zabłysło u nich dopiero w 1956 roku, tak więc Władek i Staszek kończyli podstawówkę przy lampie naftowej. Maria i Ignacy wychowali i wykształcili troje dzieci, piątka maleńkich zmarła w pierwszych latach po ślubie. Stanisław po skończeniu SGPiS-u Wydziału Handlu Zagranicznego mieszka i pracuje w Warszawie. Władysław ukończył AGH w Krakowie Wydział Maszyn Górniczych i Hutniczych, a Maria

Koczał WSP w Rzeszowie Wydział Matematyki. W wieku 65 lat po wielkich cierpieniach na raka żołądka zmarł Ignacy — mój teść. Maria przez ponad rok została sama na gospodarstwie. Dzieci miały już swoje rodziny, ale Maryla, a głównie Władek, którzy mieszkali blisko, bardzo jej we wszystkim pomagali. W latach 90-tych teściowa przekazała gospodarstwo dzieciom w spadku, za co otrzymała rentę. Dom rodzinny w Jeziorkach Kosztowskich istnieje do dziś.

Wdowa po Ignacym w 1,5 roku po jego śmierci zamieszkała w Nakle u swojej córki, nauczycielki matematyki w I LO im. Krzywoustego. Wychowała wnuczkę Annę, która jest lekarzem. Mimo, iż dożyła 88 lat, nie dane jej było cieszyć się prawnukiem Pawłem. Nazwisko Kwadrans nie zginie w rodzinie, ponieważ u Stanisława urodził się Piotr, wnuki Bartłomiej i Kamil, a w 2017 r. u Bartka prawnuk Oliwier.

Wymarzona praca

Wysłałam za mąż za chłopaka inteligentnego, operatywnego, przedsiębiorczego, a co najważniejsze — z wielkiej wzajemnej miłości. Władek szybko awansował, odnosił sukcesy w pracy. Pierwszą pracę przyjął w POM-ie Lubaszcz, gdzie szybko awansował na dyrektora technicznego. Wkrótce został dyrektorem największego wówczas zakładu w Nakle, POLAM. Podczas stanu wojennego w 1982 r. rozpoczął produkcyjną działalność prywatną w budynkach gospodarskich rodziców.

Z naszego związku urodziły się dwie upragnione córki.

Po maturze podjęłam pracę w Szkole Podstawowej w Wyrzysku, wówczas mieście powiatowym położonym w niecce okolonej kilkoma zalesionymi pagórkami i parkami. Nad nim góruje Czubatka z prastarymi drzewami zwanymi Adam i Ewa. Przez miasto płynie rzeka Łobżonka wpadająca do Noteci. Wyrzysk leży na trasie Bydgoszcz–Piła.

Żałuję, że nie poszłam na dzienne studia, ale musiałam jak najszybciej na siebie zarabiać, by nie obciążać rodziców nowymi wydatkami.

Ukończyłam Studium Nauczycielskie w Bydgoszczy, kierunku nauczanie początkowe i zajęcia praktyczno-techniczne. Wolałabym studiować filologię polską, ponieważ od dzieciństwa moją pasją było czytanie książek, ale szkoła potrzebowała nauczyciela klas I–IV.

Aktywnie działałam w ZHP. W wieku 27 lat zostałam radną Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy, gdzie pełniłam funkcję sekretarza Komisji Ochrony Porządku i Bezpieczeństwa Publicznego przez dwie kadencje, czyli 8 lat. Byłam najmłodszą radną i to bezpartyjną. Obecnie radni i posłowie zarabiają, wówczas praca radnej była absolutnie społeczna. Poza sesjami musiałam jeździć na kontrole wielkich zakładów przemysłowych w województwie, badałam skargi i zażalenia. Ze szczerością muszę przyznać, że ta działalność nie przynosiła mi satysfakcji. Traciłam też na niej materialnie, bo mi nie płacono za godziny nadliczbowe. Podczas wystąpień publicznych zżerała mnie trema. Jednak gdy już mówiłam, stres znikał.

Natomiast uwielbiałam zajęcia lekcyjne w szkole i w harcerstwie z młodzieżą. Przecież od najmłodszych lat marzyłam o pracy nauczycielskiej. W wieku 33 lat, po 14 latach pracy, uhonorowano mnie w Warszawie Brązowym Krzyżem Zasługi, chociaż władze wnioskowały o srebrny. Większość udekorowanych stanowili ludzie starsi, profesorowie, uczeni, a ja skromna nauczycielka z wyrzyckiej szkoły podstawowej. Wielu odznaczonych podchodziło do mnie, pytając:

— Skąd to taka młoda dziewczyna tutaj przybyła?

Gratulacji i uścisków dłoni nie było końca. Cały dzień spędziłam w szpilkach. Wczesnym rannym pociągami wyjechałam z Nakła, nie pomyślawszy, żeby zabrać na zmianę wygodne buty. Był to jednak czas, kiedy zakładałam tylko szpilki, zawsze i wszędzie. Uroczysta kolacja odbywała się w przepięknej sali w Belwederze, na stojąco. Stoły były zastawione elegancką za-

stawą i niezliczoną ilością przeróżnych apetycznie wyglądających dań. Przyjęcie trwało na dobre, ale ja opuściłam je dość szybko, bo nogi niemiłosiernie bolały. Taksówką pojechałam do Staszka, tam w dzienniku wieczornym zobaczyłam fragmenty uroczystości oraz siebie podczas odznaczania. Po powrocie do szkoły żartem mówiono, abym teraz długo nie myła rąk całowanych przez tylu dostojników państwowych.

W przeddzień wyjazdu do Warszawy po odznaczenie w Wyrzysku zdarzyła się sytuacja, która nieodłącznie wiąże się z tymi wydarzeniami.

Otóż kiedy listonosz przyniósł mi pismo zapraszające mnie do Belwederu, obie z Janeczką stwierdziłyśmy, że na tak ważną uroczystość nie mam odpowiedniej garderoby. W wyrzyskich sklepach nic ciekawego nie znalazłyśmy, wsiadłyśmy więc w autobus do Piły, gdzie w Peweksie rzucił nam się w oczy granatowy jedwabny materiał usiany bukiecikami żółtych, drobnych kwiatków. Jesteśmy zadowolone z tak miękkiego i ładnie układającego się, a przy tym niemnącego się, nabytku. Do terminu wyjazdu zdążymy wspólnymi siłami uszyć elegancką garsonkę. Chociaż Janka ma moc pracy w kawiarni, nigdy mi nie odmówi pomocy. Zgodnie z naszymi planami dzień przed wyjazdem po swoich lekcjach mam odebrać uszytą kreację. Przychodzę do siostry i widzę ją zasmuconą, oczy trochę zapłakane, dawna energia gdzieś odpłynęła, nie ma ochoty na żarty. Sukienka jeszcze nieskończona, ale to już drobiazg, bo tylko trzeba obdzierać dziurki i przyszyć guziczki. Garsonka leży na mnie doskonale, dobrze w niej się czuję. Rozmowa jednak nam się nie klei. Pytam: „Czy coś się złego stało, czy któryś z synów coś w szkole przeszkrobał albo mąż ciebie obraził? A może ja ciebie czymś uraziłam?” Na wszystkie pytania Jania przecząco kręci głową. Widzę, że coś ją gryzie, że coś głęboko przeżywa, ale nie nalegam, szanuję jej tajemnicę. Po niedługim czasie wchodzi zadowolony Józek. Już od progu mówi do niej:

— To pomyłka, ktoś przekreślił nazwisko.

Janka natychmiast się ożywia, ściska mnie i Józka. Dopiero teraz mi opowiadają, co się tutaj wydarzyło. Dzisiaj rano zatelefonowano, że w szpitalu w Pile zmarła nasza mama. Już jest zarezerwowany lokal na stypę, z księdzem ustalony dzień pogrzebu, z grabarzem wykopanie grobu. Janka wysłała Józka do Gromadna, aby powiadomił o tym ojca. Zajeżdża przed dom, patrzy i oczom własnym nie wierzy, mama jak zwykle uśmiechnięta, na podwórku przy studni karmi drób. Z lekkim sercem szybko wrócił do Wyrzyska, by tę dobrą wiadomość przekazać zasmuconej żonie. Janka z radości postawiła trzy lampki białego Martini, przy którym toczyła się relacja dotycząca tego niecodziennego zdarzenia.

Kiedy ją zapytałam, dlaczego mi o tym nic nie powiedziała, odrzekła, że nie chciała mi zburzyć czekającego mnie miłego wydarzenia. Wszystko przemyślała, dzień pogrzebu zamówiła taki, w którym ja już wrócę z Warszawy. Mówiła:

— Znam ciebie i wiem, że zrezygnowałabyś z Belwederu, a jeżeliby udało się nam ciebie przekonać, to przecież i tak przez całą uroczystość byłabyś smutna i zapłakana. A tego bym dla ciebie nie chciała. Pragnę, abyś mogła jak najwięcej przeżyć szczęśliwych chwil.

I jak tu nie kochać swojej wspaniałej siostry?

Kiedy zaczęłam chorować, wysłano mnie do sanatorium w Kudowie Zdroju.

I tak zaczęła się moja „kariera sanatoryjna”. Wielokrotne pobyty w szpitalach i wyjazdy do sanatoriów, a także coraz lepsze lekarstwa i metody leczenia na tyle podreperowały moje zdrowie, że po czterech latach II grupy i całkowitej niezdolności do żadnej pracy, mogłam jeszcze wrócić do szkoły na siedem lat na niepełny etat. Nadal aktywnie prowadziłam drużynę harcerską.

W mojej 4. Drużynie Harcererek im. Ludwiki Wawrzyńskiej dużo się działo. Podczas zbiórek, biwaków i obozów dziewczęta zdobywały sprawności harcerskie przydatne w życiu codziennym, przeprowadzały Akcje Niewidzialnej Ręki na rzecz

osób starszych, schorowanych i samotnych, sadziły lasy, zbierały kasztany i żołędzie na dokarmianie zwierząt leśnych, poznawały historię i tradycje swojej małej Ojczyzny, dbały o miejsca pamięci narodowej oraz zaniedbane mogiły.

Za tę opiekę w roku 1966 Rada Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa nadaje mi odznakę Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej.

Początki mojej działalności harcerskiej sięgają lat spędzonych w liceum pedagogicznym, chociaż szczerze mówiąc za wiele wówczas się nie działo. W mej pamięci jednak pozostało wzruszenie, jakie mnie ogarnęło w chwili składania przyrzeczenia harcerskiego.

Po roku pracy w szkole wyrzyckiej dyrektor przydzielił mi drużynę dziewcząt. Rozkazem hufca zostałam instruktorem w stopniu przewodnika, poprzez podharcmistra do harcmistrza w roku 1968. Oprócz funkcji drużynowej zostałam mianowana szczepową i komendantką Związku Drużyn Wyrzyk. Wciąż pamiętam fragment zobowiązania instruktorskiego:

— (...) Zobowiązuję się w mojej pracy wychowawczej kształtować u młodzieży poszanowanie godności ludzkiej, patriotyzm, potrzebę sprawiedliwości społecznej i dążenie do jej realizowania w Polsce i na całym świecie (...).

Przyjęłam swoje obowiązki „w pełni poczucia odpowiedzialności za swą pracę i za powierzoną sobie młodzież”. Drużyna bardzo aktywnie włączała się do uroczystości środowiskowych, świąt narodowych, przygotowując na okolicznościowe akademie montaż słowno-muzyczny. Bardzo podniosłą chwilą były przyrzeczenia harcerskie składane przeważnie wieczorem przy płonącym ognisku w obecności zaproszonych gości. Dbałam o to, by w blasku ognia rozbrzmiewał śpiew miły dla serca i ucha. Na nasz repertuar składały się piosenki harcerskie, patriotyczne i popularne.

Pamiętam konsternację jednego z nauczycieli, gdy podczas akademii szkolnej harcerki zaśpiewały *Rotę* Marii Konopnickiej, której przez wiele lat w PRL-u zakazywano. Ja też o tym wiedziałam, jednak uważałam, że każdy Polak, dorosły i dziec-

ko, powinien znać tę piękną, wzruszającą, patriotyczną pieśń. Nie baczyłam na ewentualne konsekwencje tego czynu.

Bardzo lubiałam capstrzyki i pochody z orkiestrą dętą, podczas których moja liczna drużyna pięknie się prezentowała w szarych mundurkach harcerskich, z zieloną chustą i białym kołnierzykiem zdobionym ręcznie wykonanym haftem kaszubskim. Na czele drużyny kroczył poczet sztandarowy. Na przedzie grupy szłam z moją kilkuletnią córeczką Kornelką ubraną również w mundurek harcerski. Na to wspomnienie robi mi się cieplej na duszy. Nadal ilekroć spotykam harcerkę czy harcerza, moje serce bije w przyspieszonym rytmie, oczyma duszy widzę obrazy z tamtych cudownych lat pracy szkolnej i działalności społecznej, lecz niestety natychmiast w głowie mi się tłucze „nie wróć te lata, te lata szalone”.

Kochałam swoją pracę, uwielbiałam dzieci i rozumiałam je. Dyrektor Stefan Walczykowski kiedyś stwierdził, że walczę o swoje klasy jak lwica. Byłam wychowawczynią dwóch oddziałów od klasy pierwszej do ósmej, więc każdego ucznia dobrze poznałam. W klasach I–IV uczyłam wszystkich przedmiotów, a w V–VIII różnych: język polski, język rosyjski, fizyka, historia, wiadomości o Polsce i świecie współczesnym, wychowanie plastyczne i zajęcia praktyczno-techniczne. Na lekcji wychowania muzycznego nową, łatwiejszą melodię grałam na skrzypcach. Główny nacisk kładłam na rozśpiewanie młodzieży, aby nie miała problemu z repertuarem piosenek na spotkaniach towarzyskich. Władze szkolne doceniały moją pracę, przyznając mi nagrody i dodatek specjalny.

Kiedy przeprowadziliśmy się do Nakła, inspektor oświaty proponował mi pracę w tym mieście, nie tylko w szkole podstawowej, ale i w liceum. Nie zgodziłam się. Byłam bardzo związana z moją szkołą, mimo że dużo czasu traciłam na dojazd, gdyż nie każdy autobus pasował do planu lekcji. Tak się szczęśliwie złożyło, że po odejściu na emeryturę nauczycielki zajęć praktycznych i plastyki było zapotrzebowanie na nauczyciela tych przedmiotów, co było zgodne z moimi studiami. Uczyłam w klasach V–VIII grupy dziewcząt, ale go-

spodarstwo domowe i podstawy krawiectwa miałam również z chłopcami.

W tym czasie spotkało mnie kilka miłych wydarzeń przynoszących mi dużo radości.

Otóż pewnego dnia podchodzi do mnie polonistka Jadwiga Wawrzyniak, mówiąc, że ma dla mnie miłą niespodziankę:

— Klasa VIII miała napisać wypracowanie pt. *Mój ulubiony nauczyciel*. Prawie wszystkie dziewczęta pisały o pani. Gratuluję.

— Miło mi o tym słyszeć, chociaż nie wiem, czym sobie zasłużyłam na takie wyróżnienie. — odparłam zawstydzona.

Podawała mi kartkę jednej z uczennic. Zaciekawiona czytałam jej pracę:

Cześć Ewo!

Bardzo serdecznie i gorąco dziękuję Ci za list. Byłam bardzo ciekawa, co u Ciebie się dzieje.

Piszesz, że uczą Cię bardzo dobrzy nauczyciele. Moi nauczyciele są też bardzo dobrzy. Muszę Ci się przyznać, że ja w ogóle poważam nauczycieli za ich trudną pracę i podziwiam ich wytrwałość w wyjaśnianiu problemów, a także wielką wyrozumiałość w stosunku do nas. Może dlatego, że mam mamę nauczycielkę i mogę bliżej niż inni przypatrzeć się tej pracy.

Najbardziej jednak lubię nauczycielkę zajęć praktyczno-technicznych, panią Helenę Kwadrans. Jest szczupłą, średniego wzrostu. Ma czarne włosy i ciemne oczy. Jest zawsze zadbana. Ubiera się w miarę modnie i elegancko. Nie wygląd zewnętrzny decyduje jednak o tym, że ją lubię szczególnie. Pani ma 44 lata. Ma dwie starsze ode mnie córki i może właśnie dlatego dobrze zna sprawy młodych dziewcząt.

Często, kiedy pracujemy, pani rozmawia z nami bardzo szczerze o różnych sprawach dotyczących młodzieży. Umie stworzyć taką atmosferę, że i my potrafimy mówić szczerze o naszych sprawach. Tematem rozmów są także ciekawi ludzie, książki i filmy. Czasami pani czyta nam urywki ciekawych książek popularno-

naukowych. Wspomina czule swoich byłych uczniów. Właściwie nigdy podczas pracy nie milczymy. Kiedy zabraknie nam tematu do rozmowy, a dzieje się to rzadko, to śpiewamy różne piosenki. Ulubioną piosenką pani są Jagódki. Kiedy mamy praktykę, to zawsze jedna grupa piecze, a reszta robi na drutach różne rzeczy lub haftuje. Pani Kwadrans pozwala nam również robić herbatkę, którą potem w miłej atmosferze pijemy.

Nie myśl, droga Ewo, że ta pani jest przysłowiową „dobrą ciocią”. Pomimo swej dobroci jest wymagająca. Wymaga od nas sumiennego wykonania każdej pracy i umie dostrzec każdy jej błąd.

Myślę, że wszystkie koleżanki lubią panią Kwadrans, bo jest prawdziwym przyjacielem młodzieży.

Iza Gordon

Szybko przepisałam sobie ten list, aby jego miłą treścią karmić się na przyszłe, stare lata.

A Izabela wybrała zawód nauczyciela i uczy w swojej szkole.

Spotkanie po latach

Inne miłe wydarzenie było większego kalibru. Moja klasa zorganizowała zjazd klasy VII a. Nie brano pod uwagę klasy VIII, ponieważ ta grupa na skutek reformy szkolnej była wymieszana z pozostałymi uczniami i dziećmi dojeżdżającymi z okolicznych wiosek do naszej szkoły zbiorczej.

Od kilku lat mieszkalam w Nakle, wobec czego nie miałam styczności z moimi wychowankami. A oni pragnęli spotkać się ze mną. Wymyślili więc ten zjazd klasy, ewenement w naszej szkole. Nikt tego wówczas jeszcze nie organizował. Kilka lat wstecz takie spotkanie było w toku organizowania przez moją wcześniejszą klasę, jednak stan wojenny przeszkodził, bo władze wydały zakaz wszelkich zgromadzeń. Tej klasie się udało. Nic im nie doradzałam, nie reżyserowałam, nie wnikałam. By-

łam tylko poproszona, aby nie odmawiać im tej przyjemności i wziąć udział w ich przedsięwzięciu. Byłam zaskoczona, ale i uradowana perspektywą spotkania się z moimi wspaniałymi wychowankami.

To był cudowny dzień, który przeciągnął się do białego świtu. Dzień spędzony z moimi uczniami był dla mnie o wiele ważniejszy niż ten sprzed dziesięciu laty w Belwederze.

Cała uroczystość była przygotowana perfekcyjnie. Nie było ani jednej minuty nudy.

Wystawione czujki obwieściły zgromadzonym w świetlicy remizy, że się zbliżam. Gdy weszłam w otwarte na oścież drzwi, wszyscy elegancy, przystojni, odświeżnie ubrani, stali w półokręgu z radosnym uśmiechem i jaśniejącym błyskiem w oku. Poda mną nogi się ugięły ze wzruszenia i zachwytu nad urodą młodości. Na moje przywitanie zaśpiewano *Sto lat*, a potem nastąpiło przywitanie z każdym po kolei. Chociaż zmężnieli i trochę zmienili się na twarzy, pamiętałam dobrze każdego imię i nazwisko. W ochronce, w której odbywały się lekcje religii, uczeń naszej szkoły odprawił mszę w intencji całej klasy oraz o spokój duszy bestialsko zamordowanej Elżbiety Królikowskiej. Na jej grobie pełni zadumy zapaliliśmy znicz, złożyliśmy białe kwiaty. Stąd poszliśmy do szkoły. Woźny włączył dzwonek elektryczny, ale nikt nie wszedł. Poproszono go o dzwonek ręczny, ten którego używał za ich lat szkolnych. Zwiedzaliśmy całą szkołę z zachwytem nad pozytywnymi zmianami.

Odszukaliśmy naszą salę. Każdy usiadł w swojej dawnej ławce. Jeden z chłopców wydał grupie rozkaz „Baczność” i, zwracając się do mnie, zameldował:

— Okolicznościowy dyżurny, Zdzisław Kalas melduje — najmilszej, najdroższej, najukochańszej naszej pani — klasę VII a, przybyłą na pierwsze spotkanie, w 20. rocznicę rozpoczęcia nauki szkolnej.

Usłyszałam najpiękniejszy meldunek w moim życiu. Uśmiecham się czule, choć z oczu płyną łzy, łzy szczęścia. Ze wzruszenia nie jestem w stanie wypowiedzieć słowa. Widzę

też wzruszenie na twarzach uczniów, a dziewczęta ukradkiem wycierają łezkę. Ofiarowują mi kwiaty oraz kryształowy upominek okraszone czułymi słowami, od których robi się serdecznie i radośnie.

Z wielkim zainteresowaniem zaglądają do dziennika lekcyjnego zdobytego przeze mnie z archiwum. Każdy opowiada o swoim życiu, o czym marzył, co się spełniło, o porażkach i zwycięstwach, na co czeka z nadzieją. Wspominają przygody, jakie się zdarzyły w ciągu lat szkolnych. To są bardzo szczere rozmowy moich dzieci, takie jak w tamtych odległych latach.

Śpiewamy piosenki z lat szkolnych, a znamy ich bardzo dużo. Cudowny, niezapomniany dzień. Miód na serce. Wyjątkowa, okolicznościowa lekcja przedłuża się o kilka godzin. Karol Wacholc, który za kilka lat odkryje w sobie powołanie do kapłaństwa, przygotował kabarecik nawiązujący do szkolnych zajęć, nauczycieli i kolegów. Śmiechu i radości było co niemiara.

W świetlicy strażackiej czeka wspaniały obiad i kolacja przygotowane przez dziewczęta. Nauka gospodarstwa domowego zdała egzamin. Wszystko smaczne i estetycznie podane. Chłopcy zadbali o muzykę głównie z lat szkolnych i sprawili, by wszyscy pięknie się bawili. Tańce, śpiewy, wspomnienia do białego rana. Po spotkaniu odwieziono mnie do Nakła. Wzruszała mnie obecność przybyłych z odległych miast kilku młodych mężatek oczekujących bliskiego porodu. Ten szczególny, wyjątkowy majowy dzień 1986 roku napełnił mnie dumą i szczęściem bez miary.

Moje wnuczęta

Jak szybko czas płynie. Szkoda, że nie można zatrzymać ani jednej godziny, ani jednej minuty. Cóż, *tempora labuntur* — czas upływa, jak powiedział Owidiusz.

Weszliśmy już w XXI wiek. Dochodzi koniec trzeciej dekady maja 2000 roku. Dopiero dzisiaj, po ponad miesięcznych

nieprawdopodobnie wielkich upałach spadło troszeczkę deszczu na biedną, wysuszoną ziemię i obumarłe rośliny. Niespotykane upały o tej porze roku rozpoczęły się w Wielki Piątek 17 kwietnia. Szłam do Grobu Pańskiego w południe już bez rajstop i w letniej sukience.

Dla wczasowiczów wymarzona pogoda, bezkresny błękit nieba i wygrzewające ciało słońce. Dla rolników to dramat. Ponadto kilka nocnych przymrozków narobiło wiele spustoszeń wśród ogrodów i kwitnących sadów.

A u nas gorączka przygotowań do I Komunii św. naszych wnucząt, Ewuni i Michałka. Wydaje się, że przecież tak niedawno się urodzili — Ewa Pytlarczyk 5.03.1991, a za rok Michał Giminski 25.03.1992. Oboje z jednego miesiąca, a jakże różni charakterem. Oboje są wspaniali i kocham ich nad życie. O nich mogłabym pisać długie rozdziały, gdyż miałam możliwość śledzić ich życie od pierwszych dni narodzin. Wszyscy mieszkamy w Nakle, więc na co dzień widzimy się i słyszymy.

Miałam to szczęście, że moje córki chętnie korzystały z mojej pomocy przy opiece nad maleństwami. Urlopy macierzyńskie były o wiele krótsze, niż mają obecnie młode mamy. Zanim więc dzieci poszły do żłobka i do przedszkola, z radością zajmowałam się nimi. Miałam ogromną satysfakcję, ponieważ i one lubiły z babcią bawić się, śpiewać, grać w ciuciubabkę, chowanego, domino, kapelusiki, państwa miasta oraz wiele innych ciekawych gier. Podczas pierwszych lat ich życia założyłam w kiosku Ruchu teczkę, do której odkładano dla nas cyklicznie wydawane publikacje „Wielcy malarze” oraz dzieła „Wielkich kompozytorów” muzyki klasycznej. Muzykę pięknych utworów wykorzystywaliśmy jako tło niektórych zabaw. Ewunia jeszcze dziś wspominała, jak podczas ciuciubabki dziadzik zawsze włączał Vivaldiego. Ja lubiłam *Carmen* Bizeta, *Poławiaczy pereł* i wiele innych. Dzieci wybierały utwory, co sprawiało im dodatkową przyjemność. Nasze mieszkanie nie jest zbyt wielkie, ale można było w nim znaleźć dobre miejsce do chowanego. Maluchy się cieszyły, gdy dziadek i babcia bardzo długo nie mogli odnaleźć ich ta-

jemnej kryjówki. W warcaby i szachy z babcią zawsze wygrywały, choć gdy rozumiały w czym rzecz, nie pozwalały na to babcine krętać. Natomiast dziadek zawsze wygrywał, co ich zniechęcało do podejmowania z nim tej gry. Uwielbiały bajki i baśnie czytane, ale czasami wołały, abym je sama opowiadała, tworząc przy tym mały teatrzyk domowy. Bardzo wcześnie nauczyły się czytać, więc role mogły być czasami odwrócone. Ewunia i Michaś wychowywali się razem. Lubili występować podczas rodzinnych spotkań z wierszykami i piosenkami, których nauczyli się w domu lub przedszkolu. Jednak do czasu. Im starsze, tym więcej nieśmiałości i skrępowania. Z rozczuleniem wspominam małego Michasia, który nas zadziwiał swoją nieprawdopodobną pamięcią bardzo wielu tekstów i melodii trudnych piosenek. Umiał je zaśpiewać bezbłędnie i dokładnie tak, jak robi to dany zespół, np. wykonać zgodnie z rytmem *Takie tango* Budki Suflera — *Na sali wielkiej i błyszczącej tak jak nocne Buenos Aires...* nie jest łatwe dla dorosłego, a mój kilkuletni wnuczek potrafił to wspaniale zrobić i wpleść nawet partie instrumentalne. Obowiązkowym wierszykiem patriotycznym każdego malucha był Władysława Bełzy „Kto ty jesteś? Polak mały. Jaki znak twój? Orzeł biały. (...)”, a także piosenka „Jadą, jadą dzieci drogą, siostrzyczka i brat i nadziwić się nie mogą, jaki piękny świat...”

Dzieci bardzo chętnie słuchały opowieści prawdziwych, z życia członków rodziny. A jeśli za którymś razem coś tam pozmieniałam lub opuściłam, to zaraz nawracały mnie, że mówię niedokładnie. Czasami zostawały na noc, szczególnie w weekendy lub wakacje. Kiedy po odrobieniu lekcji, zabawie, dobranocce, obejrzeniu dziennika i obowiązkowej codziennej lekturze, trzeba było iść spać, a do nich sen jeszcze nie przychodził, kładliśmy się do łóżek, gasiliśmy światło i zaczynały się tak zwane nasze *nocne rozgaworki*. Podczas nich poruszaliśmy różne tematy filozoficzno-życiowe. Nieraz musiałam dobrze się nagimnastykować, by na ich czasem trudne pytania tak odpowiedzieć, by zrozumieli i zaakceptowali otaczający ich

świat. Zawsze mnie cieszyły pytania wskazujące na głębokie przemyślenia odkrywające bogactwo ich wewnętrznego świata dziecięcego, a już tak bardzo dojrzałego. Zdumiewali mnie swoją przenikliwością i wrażliwością.

Ważną sprawą było trafienie w ulubione smaki wnuków. Obowiązkowym przysmakiem był kogel-mogel ukręcony na puszystą masę z żółtka jajka i cukru, czasem według życzenia wzbogacony kakao. Niedawno zaskoczył mnie Michaś podczas odwiedzin już po skończeniu studiów. Gdy wymieniałam dania, którymi mogę go w tej chwili poczęstować, mój dorosły wnuk zapytał:

— Babiczka, a mogłabyś zrobić kogel-mogel?

W tym wspomnieniu przywołał swoje dzieciństwo, co sprawiło mi wielką radość. Przez wszystkie lata bardzo lubił słodycze, głównie te kupione w sklepie, a mimo to jest szczupły i zgrabny.

A dzisiaj Ewunia wspominała z czułością małą porcelanową filiżaneczkę w różowe kwiatuszki, z której zjadała kogel-mogel i surowe ciasto odkładane podczas wypieków dla obojga wnucząt. Michaś miał bardziej męską filiżankę, ozdobioną szlaczkiem w geometryczne wzorki, kojarzące się z rysunkami egipskimi.

Michał podczas swojej chłopięcej zabawy samochodzikami czy klockami lubił, by ktoś obok niego przebywał. Ewka mogła godzinami bawić się sama. Jednak najbardziej zadziwiała niesamowitą prędkością układania nawet bardzo skomplikowanych puzzli. Nikt z nas dorosłych nie mógł jej dorównać. Była dzieckiem bardzo czułym i wrażliwym. Bardzo przestrzegała nakazów i zakazów. Zawsze mówimy, że Ewunia już się urodziła grzeczna i nie trzeba jej było uczyć dobrego wychowania. Pewnego dnia, może miała dwa lata, bo chodziła jeszcze do żłobka, przebywałyśmy obie w pokoju. Posadziłam ją na huśtawce zawieszanej na framudze drzwi i podczas bujania podawałam jej do buzi winogrono. Początkowo jadła je z przyjemnością, lecz przy którymś kolejnym owocu jej pogodna twarzyczka nagle się zmieniła. Ścisnęła

usta i widzę, że nie połyka, tylko trzyma grono nadal z obrzydzeniem w buzi. Pytam:

— Ewuś, co się stało? Nie smakuje?

Kiwa główką, że kwaśne i niedobre. Mówię więc, by wypłukała. A ona z oczkami pełnymi łez, po wyjęciu przeze mnie owocu z buzi mówi:

— Nie mogę wypłuć, bo pani mówiła, że tylko łobuzy pluja.

Innym razem wychodzimy z domu na spacer albo na zakupy, a ona taka jeszcze maleńka, ale już, wychodząc, martwi się, czy pranie na balkonie nie zmoknie, bo widzi na niebie czarną chmurę. A gdy idziemy chodnikiem, trzymając się za ręce, pyta mnie:

— Babciu, czy jest ci wygodnie? Czy ja dobrze trzymam rączkę, aby cię nie bolała twoja?

Ewka była bardzo spokojna. Jako niemowlę, leżąc na pufie, czekała bez ruchu, aż się ją weźmie do wózka. Natomiast Misiu był bardzo ruchliwy. Niechętnie kładł się do łóżka, ponieważ uważał, że szkoda czasu na spanie. Miał bardzo dużo zainteresowań. Kiedy położyłam go na tapczanie na codzienną drzemkę, tak się kręcił, że wciąż trzeba było zaglądać do pokoju, czy zaraz nie spadnie. I tutaj przyszła mi z pomocą malutka Ewunia.

— Babciu, rozłóż kącik, z kołdry i poduszki zrób legowisko dla Misia w tej głębokiej dziurze i przykryj go kocykiem.

Jego pomysł okazał się wspaniałym rozwiązaniem, teraz bez lęku o dziecko mogłam zająć się czym innym.

Michałek bardzo szybko czytał na pamięć całe książeczki. Jeszcze siedział na „tronie”, a już potrafił „czytać”. Jego wielką pasją były zwierzęta, wszelkie gatunki zamieszkujące wszystkie kontynenty, szczególnie fascynowały go dinozaury. Ich skomplikowane nazwy wymawiał bezbłędnie, mając niepełna dwa latka. Nieraz zadziwiała mnie jego znajomość najdrobniejszych szczegółów w budowie i zwyczajach danego osobnika. Był wielkim znawcą i miłośnikiem zwierząt. Jak dobrą musiał mieć pamięć, wprost fotograficzną, by to wszystko spamiętać! Jeśli ktoś z nas potrzebował jakiejś wiadomości z tej dziedziny, mówiliśmy:

— Trzeba zapytać Michałka, on na pewno wie.

Sprawdzaliśmy w encyklopedii i wszystko, co mówił, się zgadzało.

To samo było z samochodami. Taki jeszcze maleńki, a już potrafił rozpoznać każde auto. Wystarczyło, że widział zza rogu domu tylko małą jego część, a już wiedział, co to za marka. Zresztą nie musiał wcale widzieć, bowiem po odgłosach poznawał, co jedzie.

Oprócz zajęć intelektualnych lubił, jak prawie każdy chłopak, siłować się z dziadkiem.

Pod blokiem na Chrobrego stały dwie huśtawki. Był czas, kiedy dzieci bardzo lubiły z nich korzystać. Kiedy Misiu był jeszcze mały, nad nami przelatywał samolot. Wywiązała się między nami rozmowa o maszynach latających. Wśród wielu pytań usłyszałam wypowiedziane z wielką troską:

— Babciu, przecież te samoloty, sputniki i rakiety tak bardzo wysoko latają. Czy one nie utną nóżek Bozince i Jezusko-wi? To musi ich bardzo boleć.

Rozmyślenia małego chłopaczka bardzo mnie wzruszyły. My, dorośli nawet nie wyobrażamy sobie, jakie zmartwienia mają nasze dzieci.

A kiedy z okazji zbliżającego się Dnia Matki zapytałam małego Michałka:

— Jak byś opisał swoją mamę, co byś o niej powiedział pani w przedszkolu?

Po bardzo króciutkiej chwili namysłu odpowiedział:

— Chodząca encyklopedia.

Podczas wakacji nasze córki pojechały na dłuższą wycieczkę zagraniczną, a my dziadkowie z maluchami nad Bałtyk na kilka dni pod namiot z Ewunią i Michałkiem.

Dla nas, starszych już ludzi, nie było to zbyt wygodne mieszkanie, ale dla kochanych wnuków wszystko się zniesie i to nawet z pogodą ducha. Pechowo trafiły się nam dni deszczowe, co nie było zbyt przyjemne. Dzieciom się podobało, bo one zawsze potrafią ciekawie zająć sobie czas. Pomogła nam w tym żabka ropucha. Dla małych to wspaniały obiekt

przyrodniczy. Anabela codziennie przez kilka godzin popołudniowych i wieczornych zjawiała się przy naszym namiocie. Dzieci były szczęśliwe, bo mogły ją obserwować, a nawet bawić się z nią, ponieważ ona w ogóle ich się nie bała i nie uciekała przy dotknięciu ręką, nie odstraszały ją głaskania. Zaczarowana królewna na noc odchodziła do parku.

Jednak kiedy w dzień odjazdu rankiem zaczęliśmy pakować się do samochodu, nieoczekiwanie pojawiła się Anabela, a dzieciom nawet się zdawało, że patrzy na nich błagalnym wzrokiem, mówiąc smutnym głosem:

— Jestem zaczarowaną królewną, zabierzcie mnie ze sobą, nie zostawiajcie mnie tutaj.

Cóż więc było robić? Prośby dzieci zostały spełnione.

— Dobrze, zabiorę waszą królewnę, jeśli zorganizujecie dla niej wygodny kartonik.

Szybko pobiegły do kiosku z goframi i kartonik zdobyły. W drodze do domu robiliśmy w lesie przystanki, by znaleźć dla niej pokarm.

Pod namiotem i na trawniku miło przebywało się z tym stworzeniem, ale w domu, gdzie są dywany, fotele i meble to już nie to samo. Ropuszka była pokryta śluzem, dla mnie dość nieprzyjemnym, ale przecież nie pozbędę się jej, bo dzieciom byłoby bardzo przykro. Wykąpałam ją i zorganizowałam jej mieszkanko w dużej, głębokiej miednicy. Miała również wytoczony swobodny teren na kocu pokrytym dużymi ręcznikami na czas zabawy z dziećmi. Ażeby ją nakarmić, maluszki przynosiły z dworu zieloną trawę i organizowały polowanie na muchy i komary. Uciechy miały co niemiara. Po powrocie ich rodziców zaczarowana księżniczka pojechała do Michałka, jednak po kilku dniach uroczyscie została przeniesiona na działkowe ogrody położone obok Osiedla Łokietka. Z pewnością w swoim zielonym środowisku była bardziej zadowolona niż w mieszkaniach blokowych. A może księcia w królewskim mieście spotkała?

Gdy Ewka miała 11 lat, 10.08.2002 roku Beatka urodziła drugie dziecko — Adasia. Rodzice czuli ogromne szczęście

z powodu narodzin ich syna. Ewunia od pierwszych dni była pochłonięta opieką nad maleństwem, choć sama była jeszcze dzieckiem. Do niedawna uwielbiała zabawę lalkami, teraz całą swą opiekuńczość przeniosła na braciszka. Wszystko umiała przy nim zrobić i z ochotą to czyniła. Podziwialiśmy jej zręczność w wykonywaniu wielu czynności przy niemowlaku. Była wielką pomocą dla matki.

Adaś był bardzo żywym, pogodnym dzieckiem. Uwielbiał towarzystwo, bardzo lubił chodzić na podwórko. Od 4. roku życia wychodził już sam. Najczęściej ze swoją rówieśnicą Julką, gdy byli razem, wzajemnie się pilnowali. Bardzo szybko jeździł na dwukołowym rowerku, pływał, lubił wszelki ruch. Poszedł do przedszkola, gdy miał 2 latka, bo był już samodzielny. Gdy zdarzył się wolny dzień, Adam budził się skoro świt, wpadał do łóżka rodziców na poranne zabawy i zawsze pytał: „A co będziemy dzisiaj robić?” Kiedy pojechali do Zakopanego i wchodzili na Giewont, najmłodszy 5-letni Adaś wyprzedzał wszystkich. Wciąż w biegu, pełen siły i energii, ze wszystkiego zadowolony, rozgadany i radosny. Był słonecznym dzieckiem, radością całej rodziny. Siedmioletni chłopiec tryskał energią, dla której trzeba było znaleźć ujście, dlatego wraz z rozpoczęciem nauki w szkole, zaczął uczęszczać na zajęcia karate. To był strzał w dziesiątkę. Trener od razu zwrócił uwagę na Adasia, gdyż miał ogromne predyspozycje do uprawiania tej dyscypliny sportu. Już w pierwszym roku treningów brał udział w zawodach i odnosił sukcesy. Karate jest jego pasją, trenuje już dziewięć lat. Triumfuje na zawodach ogólnopolskich czy międzynarodowych np. w Berlinie czy Charkowie. W roku 2016 został powołany do Kadry Narodowej Karate Shotokan.

Kiedy Irek zachorował, Adaś był w pierwszej klasie. Choroba taty była dla niego wielkim stresem. Dializy, szpitale, paraliż, balansowanie między życiem a śmiercią sprawiały, że dziecko żyło w wiecznym lęku o życie ojca. Potrafił dzielnie i z czułością opiekować się tatą, robił mu kanapki, okrywał kocem, troszczył się o jego wygodę, wykazując się przy tym dużą

wrażliwością. Wiele razy Adaś zamartwiał się też, czy mamusia wróci bezpieczna do domu, czy nie ma gołodzi, czy pijany kierowca innego samochodu nie wjedzie na samochód mamy. Gdy wyjeżdżał na zawody karate, co jakiś czas dzwonił, aby się upewnić, czy wszystko w porządku w domu. Zadawał wiele pytań świadczących o dręczących go przeżyciach i lęku o najbliższych.

Mimo wielkiej traumy spowodowanej śmiercią ojca Adaś wyrósł na dobrego, wrażliwego i dzielnego chłopaka. Odnosi nadal sukcesy w karate. Jego pokój jest pełen pucharów i medali. Najważniejsze jednak, że godzi sport z nauką i przynosi świadectwa z paskiem.

U Beatki panuje piękny zwyczaj rodzinnych gier planszowych czy innych gier rozwijających inteligencję i poszerzających wiedzę. Niektóre z nich są bardzo trudne czy wręcz karkołomne. Budzą wiele śmiechu i innych uczuć, nie zawsze pozytywnych. Ale jest wesoło. Ewa i Adam od najmłodszych lat przepadali za takim spędzeniem czasu, np. po obiedzie urodzinowym, imieninowym i świątecznym. Scrable czy kalambury zawsze budzą wiele emocji. Młoda generacja często nas, dziadków zapędza w kozi róg, bo u nas już nie ten wzrok — jak to się mówi na usprawiedliwienie swej przegranej.

Zarówno Ewa, jak i Michał skończyli swoje studia magisterskie z bardzo wysokimi notami, Ewunia filologię angielską i pedagogikę na UKW w Bydgoszczy. Taka cicha i spokojna jako dziecko, zupełnie zaskoczyła nas swoją aktywnością i operatywnością jako studentka. Okazało się, że jest osobą otwartą na nowe wyzwania i nie boi się ich podjąć. Marzyła o tym, by poznawać inne kraje i ich kulturę i dopięła swego. Podczas studiów przez 3 wakacyjne miesiące była w USA, skąd poleciała do Norwegii na rok studiów w Tromsø, za kołem podbiegunowym. W Stanach przez 2,5 miesiąca była opiekunką dzieci i młodzieży na obozie.

Słała stamtąd listy i maile...

08.08.2012

Mamuś! Jest 20-sta, właśnie TL mi powiedział, że jutro od razu po śniadaniu jadę na wycieczkę! Dwa dni jeżdżenia na rowerach!! Tylko ja i on jako opiekunowie mamy ze sobą 12 osób! I wóz — vana. Spytałam, jak śpimy, powiedział, że on w vanie, a dzieciom da namiot i spytał, co ja wolę — ja wolę vana!!:D Będę w końcu spała w samochodzie!!:D fajnie, co? Co prawda szkoda, że nikt mi nie powiedział wcześniej, ale dobrze, że choć teraz. TL jest fajny :) Zaręcza, że nie zamarznię, mówi, że w aucie cieplej niż w namiocie i szybciej mi zleci :) Będę dzwonić, jeśli nie będzie noc 9-tego, jeśli będzie, to i tak postaram się w Adasia urodziny zrobić wszystko, by do cioci rano zadzwonić. Póki jeszcze nie będziecie na imprezie.

Bardzo Was kocham!!!!!!!!!!!!

10.08.2012

Mamuś, właśnie wróciłam!! Boże, jaki wycisk!! To nie była wycieczka rowerowa!! To było skakanie po szlakach, gdzie wcześniej się wspinałam!! Najpierw trenowaliśmy na torach przeszkód! Wyskoki, wskoki!! Szaleństwo!! A potem to wszystko na drodze!! W lesie, na korzeniach, między drzewami, gdzie tylko cm do cm odmierzona trasa na kierownicy!! Szaleństwo!! Prawdziwa jazda rowerowa po górskich wąwozach, które są ciężkie nawet do wspinaczki!! Jestem cała i zdrowa, tylko raz spadłam z góry, ale wylądowałam po narciarsku :) i spociałam się jak nigdy, bo pod góry jeździliśmy tyle samo co z gór! A w ogóle to to było w Miasteczku Olimpijskim zimowym USA!!! Cieszę się, że u Was oki :) TL przywrócił mi wiarę w mężczyzn:) Bardzo dobry z niego człowiek :) Kocham Was baaaaaaardzo!!!

09.09.2012

Adasiek!! Baaaaaaardzo za Tobą tęsknię!! Mam nadzieję, że czeka Was miły weekend — ostatni ze mną w USA! woohoo :) Mamuś, ten cały wyjazd tylu myśli nowych mi przysporzył. Muszę znaleźć coś dobrego, co zamierzam zrobić ze swoją przyszłością, ale nie wiem jeszcze...

Cieszę się, że próbuję Norwegii :) dziękuję, że mogę :)

Na razie wymyśliłam taką przyszłość najbliższą, że jak tylko wyląduję w Norwegii i się tam ze szkołą oprzątnę — zorientuję się, jak mogę pracować na stoku, w sensie cokolwiek robić w tym kompleksie sportowym, ale w zamian mieć darmowe jazdy na nartach :) Nawet jakbym miała dni wolne od szkoły w większości przepracowywać i tak będzie fajnie jak np. dzięki temu będę mogła sobie nocami śmigać :)

Bardzo za Wami tęsknię i nie mogę się doczekać wtorku.

I jestem większa, przygotujcie się. ale zgubię w zimie norweskiej. Nie jest to rzeczą istotną.

Ściskam!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!

Po obozie Ewunia spotkała się z koleżanką — Polką, z którą przez dwa tygodnie podróżowały i zwiedzały m.in. Nowy Jork, San Francisco i Los Angeles. Podczas swoich zagranicznych wojaży poznała wielu ciekawych ludzi z różnych stron świata, z którymi wciąż utrzymuje kontakty. Wydawało się nam wszystkim, że wspaniałą sprawą jest móc stanąć na drugiej półkuli świata i zachwycić się cudami oglądanymi dotąd na filmach lub opisywanymi w książkach. Prawdą jest, że udało się jej wiele zwiedzić i tych miłych wrażeń nikt jej nie odbierze. Natomiast miała strasznego pecha. W lesie, gdzie mieszkała z dziećmi w drewnianych domkach, znajdowały się groźne dla człowieka kleszcze i inne pajęczaki. U Ewy ta poważna choroba — borelioza oraz kilkanaście towarzyszących jej infekcji ujawniła się dopiero po trzech latach. Leczenie jest bardzo trudne i kosztowne. Najgorsze jest to, że choroba przynosi straszliwe bóle i powoduje wyniszczenie organizmu. O Ewę bardzo się martwimy.

Michał skończył kognitywistykę na UAM w Poznaniu. Kognitywistyka to nauka o umyśle, mózgu i procesach poznawczych. Zajmuje się badaniem takich zagadnień jak percepcja, reprezentacja, świadomość, emocje, pamięć, rozumowanie, komunikacja. Studia te pozwalają na zgłębienie zarówno wiedzy

teoretycznej, jak i praktycznej związanej szczególnie z informatyką, m.in. interakcją człowiek–komputer, naukami medycznymi, m.in. zaburzenia mowy i widzenia, neuroobrazowanie mózgu, neurorehabilitacja i nowoczesne terapie. Wiedza ta może pomóc wielu ludziom dotkniętych chorobą w lepszym funkcjonowaniu w społeczeństwie.

Mój wnuk zdobył również uprawnienia sędziego piłki nożnej. Mieszka w Gdańsku, ma tam ciekawą pracę, a dodatkowo realizuje swoją pasję sportową, sędziując na meczach. Michał jest bardzo kochającym synem, wciąż chętnie odwiedza dom rodzinny i często dzwoni. Już jako dorosły z przyjemnością spędza wakacje ze swoją dziewczyną Laurą i rodzicami, co świadczy o naprawdę ogromnej więzi i wzajemnej miłości. Nigdy nie odmówi pomocy. Jest osobą bardzo błyskotliwą, elokwentną, w towarzystwie często wiedzie prym, ponieważ opowiada wiele ciekawych lub zabawnych anegdot.

Bez wnuków moja codzienność byłaby smutniejsza i mniej ciekawa. One wnoszą tyle radości, nadziei, miłości i wiary. Dzięki nim moje życie nabiera nowych barw, celów i wyzwań. Od dnia ich narodzin miałam to szczęście, że mogłam na bieżąco obserwować ich rozwój, zarówno fizyczny jak i umysłowy, mogłam się nimi opiekować i pomóc pracującym córkom w wychowaniu maleństw. Jestem dumna z intelektualnych osiągnięć moich wnuków, jednak najbardziej cieszy mnie ich właściwa postawa życiowa, wrażliwość i szacunek do drugiego człowieka.

Moje córki

Oczyrna duszy widzę czas oczekiwania na urodzenie się Beatki, matki Ewuni i Adasia.

Był rok 1969. Kolejny rok mojej wielkiej aktywności zawodowej i społecznej. Zdałam egzaminy do Studium Nauczyciel-

skiego w Bydgoszczy i już w lipcu jeździłam na zajęcia na ul. Chodkiewiczza. Zostałam też radną.

Za rok w 1970 r. 1 sierpnia urodziła się Beatka.

Kornelia była jeszcze mała, miała pięć lat. Nie sprawiała najmniejszych problemów wychowawczych, ale często chorowała, no i była wielkim niejadkiem. Nakarmić ją, to był nie lada wyczyn. Całe szczęście, że Beti nie grymasiła przy jedzeniu. Uczyłam się na studia i przygotowywałam na lekcje, dopiero gdy dziewczynki zasnęły. Jeśli zdarzyła się senna dla nich noc, to miałam spokój, gorzej, gdy popłakiwały i cały czas trzeba było im poświęcać. W domu nie miałam pomocy. Po urlopie macierzyńskim w czasie mojej pracy Beatką opiekowała się Pelagia Madzińska albo w naszym domu, albo u siebie. Beti bardzo kochała swoją nianię. Nawet po przeprowadzce do Nakła jako dziecko spędzała u niej po kilka dni wakacji, a gdy dorosła, też ją odwiedzała. Pelagia była kucharką i to u niej Beti pobierała pierwsze nauki kulinarne np. nauczyła się tak mocno ubijać pianę z białek, że ta ani drgnęła przewrócona w dół. Fusy kawowe z cukrem — to był przysmak, który Beatka wyjadała z dna szklanki po wypitej nianinej kawie. Pelasia zawsze miała dla swojej wychowanki cierpliwość, dobre serce i czas. Dawała jej dużo swobody. Niania była osobą emanującą ciepłem, tęgą, taką, do której chce się przytulać. Kiedy Beti już chodziła do przedszkola w Nakle, podczas Dnia Nauczyciela wraz z innymi dziećmi miała wręczyć opiekunom kwiaty. Każdemu przedszkolakowi wyznaczono osobę, do której powinien podejść z pachnącym upominkiem. Beatce przydzielono panią dyrektor. Ale wśród oczekujących była też pani kucharka bardzo podobna fizycznie do Pelagii, do której, zdaniem mojej córki, nikt długo nie podchodził. Beatka bez zastanowienia pobiegła z kwiatem właśnie do niej, przytulając się z całych sił do jej miękkiego ciała tak bardzo przypominającego ukochaną nianię. Tak więc po chwili pani kucharka stała z dwoma kwiatkami, a zaskoczona pani dyrektor jako jedyna nie została uhonorowana upominkiem. Potem ten błąd naprawiono, a zawstydzona córka musiała wyjaśniać powody swojego zachowania.

Kornelii zabrałam rok dzieciństwa, zapisując ją w wieku sześciu lat do szkoły. Chętnie do niej poszła, bo umiała już czytać, pisać i liczyć, a egzamin dojrzałości szkolnej zdała celująco. Po moich lekcjach zabierałam ją ze świetlicy szkolnej i w drodze do domu robiłam zakupy. Nasz dom stał poza miastem, gdzie nie było sklepów. Wszystko nosiłam pieszo, bywało ciężko.

Tak więc jeździłam autobusem z Beatką w brzuszku na uczelnię do Bydgoszczy. Na zajęciach praktycznych, gdy były ciężkie prace w metalu, szkłe czy nawet drewnie moi profesorowie czasami stosowali taryfę ulgową, pomagając mi wykonać zadany przedmiot. A jeden z nich nawet kilka razy prosił mnie, bym mu pozowała do tematu „Macierzyństwo”. Nie zgodziłam się, gdyż jeszcze dobrze pamiętałam, jakie to nużące zajęcie. Profesor często robił szkice mojej postaci podczas pracy. Nie zainteresowałam się, gdzie je wykorzystał.

Z Beatką miałam kilka upadków. Raz na ul. Długiej w Bydgoszczy biegłam do tramwaju, by zdążyć na pociąg do Osieka i wyłożyłam się jak długa, miesiąc przed rozwiązaniem. Na ulicy popłoch, ja leżę na szynach tramwajowych. Bogu dzięki dziecku nic się nie stało, a ja miałam tylko stłuczone kolano. Innym razem w Wyrzysku, wychodząc po schodach ze sklepu masarskiego z zakupami, straciłam równowagę i upadłam. Dobrzy ludzie pomogli pozbierać rozrzucone rzeczy na chodniku.

Mimo wielu zajęć radziłam sobie dobrze i tak też się czułam. Zupełnie niepotrzebnie przyplątało mi się zatrucie ciężowe. Musiałam jakiś czas spędzić w szpitalu obłożona książkami na egzaminy, a ginekolog był bardzo zdziwiony, gdy go poprosiłam o przepustkę na zajęcia w Bydgoszczy.

Szczerze mówiąc, lubiłam być w ciąży. Cieszyłam się, że dane mi było spełniać tak ważną misję. Nie wyobrażałam sobie życia bez dzieci i nadal współczuje tym, którzy ich nie mają. Janka oraz ciocia Julia szyły mi ładne sukienki. Zgodnie z modą karczek, a pod nim marszczenie lub kontrafałdy dla zatuszowania zmienionej figury. Obowiązkowe białe mankietiki i kołnierzyki na zmianę, każdy inny.

Beti miała urodzić się w połowie sierpnia. Pod koniec lipca skończyła się sesja egzaminacyjna. Pojechałam do Jeziorek pomagać teściom zerwać porzeczki, których tam było dość dużo. Podczas zbiorów przenosiłam skrzynki z porzeczkami z jednego rzędu na drugi ponad krzakami. Nie było to rozsądne. Nie mieliśmy jeszcze samochodu, więc wsiadłam na motor. Korę wzięłam na kolana, w rękach trzymałam wiadro i koszyk z owocami, opierając je na swoich stopach, za kierownicą Władek. Najgorsze były odcinki drogi wysadzone brukiem, kocimi łbami, od ul. Wierzbowej i przez miasto, gdzie bardzo trzęsło. Po powrocie czułam się dobrze, nic się nie działo. Jednak już rankiem Beata rwała się na ten świat, a w Wyrzysku był remont porodówki. Pogotowie przewiozło mnie do Łobżenicy. Były tam tylko położne, a poród okazał się bardzo ciężki. Dziecko nie mogło opuścić mego łona, czas płynął, ono coraz słabsze i ja też. Wreszcie późnym wieczorem po wielu trudach główka zaczęła się ukazywać. Dziecko było strasznie sine, aż fioletowe i bez tchu, szyja mocno owinięta pępowiną. Jeszcze chwila, a by się udusiło. Położna musiała jej dać kilka porządnych klapsów w pupę, aby złapała oddech. Całe szczęście udało się, dziecko rozdarło się w głos. Taki klaps musiał ją nieźle zabołec. Czyżby to była zapowiedź przyszłości? Dostała niejedne cięgi od losu. Antoni Libera napisał w *Madame*, że chwila narodzin determinuje dalsze życie. Pewnie ma rację.

Ogromnie się ucieszyłam, że mam córeczkę. W tamtych czasach nie było USG, więc płeć dziecka nie była znana. Bardzo pragnęłam mieć drugą dziewczynkę, a trzeciego syna. Nazywałam ją Beata Izabela. Była pięknym niemowlakiem, miała taką kształtną główkę, śliczne uszka, figurkę — super, wciącia i wycięcia tu i tam.

Przez rok karmiłam ją własnym mlekiem, tak jak wcześniej Kornelkę. Jadła lepiej i spała lepiej niż pierworodna. Mogłam dalej się uczyć i w terminie zdawać egzaminy. Z pracy społecznej nikt mnie nie zwolnił, więc trzeba było i w niej się wykazać. Dawałam sobie świetnie radę, byłam silna psychicznie i lubiałam coraz to nowe wyzwania.

Gdy Beatka miała dwa latka, zachorowałam. W tym natłoku spraw miliona, ze skierowaniem na leczenie szpitalne z marca czekałam do końca października. Kilka lat szpitale, praca, sanatoria. To wszystko nic nie pomogło, abym mogła się wymigać od kolejnej kadencji radnej wojewódzkiej. Panowie z województwa przychodzili do szpitala przez kilka dni, mówiąc, że nie wyjdą, dopóki nie wyrażę zgody, bo po pierwsze nie widzą nikogo innego na moje miejsce, a po drugie są już wydrukowane afisze itp. No więc dla świętego spokoju wyraziłam zgodę na dalsze kandydowanie. Łudziłam się, że może w wyborach przepadnę. Niestety! Przed upływem drugiej kadencji znowu miałam propozycję z województwa, by tym razem kandydować do sejmu. Absolutnie nie zgodziłam się, nie czułam się dobrze w tej roli.

Tylko praca z młodzieżą sprawiała mi wielką radość i satysfakcję.

Córki dają mi wiele szczęścia, jestem z nich dumna, bo są dobre, mądre i urocze, więc jak nie być z ich powodu szczęśliwą? Kiedy urodziła się Betunia, Nelunia miała pięć lat. Na szczęście już wyszła z choroby nerek. Jednak ja stale drżałam o jej zdrowie. Była dzieckiem bardzo odpowiedzialnym, chętnie zajmowała się małą Beti, gdy ja miałam inne sprawy do załatwienia. Lubiła się z nią bawić i czytać jej książeczki.

Beatka była dzieckiem bardzo żywym, wszędzie jej było pełno. Lubiła wspinać się na drzewa, wdrapywać na płoty, biegać z chłopakami. I nosić spodnie. Nie przeszkadzała jej umorusana buzia i zabrudzone rączki. Lubiła być podrapana, nawet specjalnie upadała na kolana na chodniku, bo chciała sobie zderzyć z nich skórę. Do drugiej klasy nie pasjonowały jej książki tak jak Korę. Dopiero od trzeciej zaczęła namiętnie czytać. Jej pierwsza ulubiona lektura, jaką przeczytała kilkakrotnie, to *Przygody FILONKA bez ogonka*. Strasznie się ucieszyłam z jej nowej pasji. Przecież ja nigdy nie potrafię się położyć do łóżka bez przeczytania choćby kilku kartek książki, a najczęściej czytuję do późnych godzin nocnych lub rannych, kiedy w danym dniu nie muszę iść do pracy.

Z Beatką nie miałam specjalnego problemu z przygotowaniem dla niej menu żywieniowego. Zawsze jadła chętnie i raczej wszystko jej smakowało. A przede wszystkim była *zupiarą*. Wchodząc do domu po lekcjach, zawsze już w progu zadawała głośne pytanie:

— Zupa jest?

A mnie to bardzo cieszyło, bo ja też lubię wszelkie zupy i staram się, aby tego dania raczej nigdy nie brakowało w mojej kuchni.

Pewnego dnia zauważyłam leżący na biurku nieznany mi dotąd zeszyt. Zainteresowałam się nim, i o dziwo, okazało się, że moja trzynastolatka pisze pamiętnik, notuje tam swoje ciekawe przemyślenia i kilkanaście swoich wierszy. Bardzo mnie poruszyło i ucieszyło jej dojrzałe spojrzenie na pewne sprawy oraz nadzwyczajna wrażliwość charakteru. Byłam pod wielkim wrażeniem jej młodzieńczych liryków i szczerze powiem, że gdybym nie wiedziała, że to Beti tworzyła, myślałabym, że to dzieło dużo starszej dziewczyny. Gdy się przyznałam do odkrycia jej notatek, moja córka nie była z tego zadowolona, bo naruszyłam jej prywatność. A ja nie czułam się winna, bo przecież nie grzebałam w jej rzeczach, tylko wzięłam to, co było na wierzchu. Poza tym szczęście mnie rozpierało, że mam чуłe, myślące dziecko.

Beata uczyła się również bardzo dobrze. Jedyny raz miałam z nią problem szkolny. Otóż w VIII klasie młodzież brała udział w przymusowych wykopkach ziemniaków. Taki przerwownik od nauki w szkole i klasówek odpowiadał dzieciom, a zespołowa praca stwarzała możliwości integracji. Jednego dnia klasa Beti pojechała na wykopki w wyjątkowo brzydką pogodę — było zimno i padał deszcz. Praca na błotnistym polu w ziemi bardzo nie spodobała się mojej córce i postanowiła się zbuntować. Zdenerwowana rzuciła koszyk w pole i oznajmiła, że w takich warunkach nie będzie pracować. Spytała, kto się do niej przyłączy. Podeszło kilka najbliższych osób i szybkim krokiem ruszyli w stronę Nakła. Nie zważali na protesty opiekunów, po prostu wrócili do domów z oddalanej o kilka kilo-

metrów wsi. Gdy następnego dnia Beatka wróciła ze szkoły, oznajmiła mi, że dyrektor zapowiedział obniżenie zachowania wszystkim uczestnikom tego samowolnego oddalenia się. Wpadłam w popłoch:

— Matko Jedyna, jaki wstyd! Przecież świadectwo z I półroczka trzeba będzie dołączyć do dokumentów składanych do Liceum Krzywoustego. To się będzie za nią ciągnęło przez wszystkie lata. Kora co dopiero skończyła liceum z pięknymi ocenami i zachowaniem, a teraz jej siostra... — kłębiły się moje myśli i spać nie mogłam w nocy.

Nazajutrz poszłam do szkoły wybadać sytuację. Wyprosiłam u dyrektora zmianę kary, dzieci biorące udział w buncie ziemniaczanym musiały przez kilka dni po lekcjach grabić liście na trawnikach przed szkołą. Wróciłam do domu z lekkim sercem i podniesiona na duchu, że zachowanie nie będzie obniżone.

Po przeprowadzce do Nakła Beti chętnie chodziła do przedszkola w przeciwieństwie do Nel, która cały czas płakała i umyślnie nic nie jadła. Wiedziała, że w ten sposób swoje wywalczy. I miała rację. Nie miałam sumienia zmuszać jej do czegoś, czego nie chciała. Po trzech dniach już jej nie posłałam. Kora bardzo kochała Wiktorię i tęskniła do niej. Była z nią silnie związana uczuciowo. Opiekunka była dobra, miła, zadbana. Całe życie wychowywała dzieci. Moja córka była jej szesnastą wychowanką. Pierwszym chłopcem, którym zajmowała się Wikcia był urodzony w 1912 roku Wernher von Braun, niemiecki konstruktor pocisków rakietowych V2. Od 1948 r. pracował w przemyśle rakietowym USA (m.in. rakiety Saturn). Opracował również projekt wyprawy na Marsa. Jego rodzice posiadali browar w Wyrzysku i mieszkali w kamienicy koło lustra na zakręcie przy ul. Bydgoskiej.

Mąż Wiktorii, Janek był kulturalnym i spokojnym mężczyzną. Ich córki, Ewa i Maryla o kilka lat starsze od mojej córki, zawsze chętnie z nią się bawiły. W tej miłej rodzinie nigdy nie gościło ani chamstwo, ani krzyki. Jan miał za sobą trudne wojenne przejścia, kilka lat spędził w obozie koncentracyjnym.

A dlaczego Korunia była pod jej opieką? W latach sześćdziesiątych rodzina z dużym metrażem miała obowiązek przyjmując pod swój dach kogoś, kto nie ma mieszkania. Po rozpoczęciu pracy początkowo mieszkalam u siostry, ale na dłuższą metę było to dla nas wszystkich krępujące. Mieli tylko dwa pokoje i dwóch synów. Staralam się w gminie o przydzielenie choćby jednego pokoju. W urzędzie pracował Jan, więc zaproponował mi, abym u nich zamieszkała. Obawiał się przydziału kogoś, do kogo nie będą mieli zaufania.

Kuchnię i łazienkę miałam wspólną z nimi. Pokoju nie zamykałam na klucz. Ogrzewałam go piecem na węgiel tzw. kozą. Za szafą przy oknie w kąciu pokoju wygospodarowałam małą kuchenkę, przysłoniętą kotarą. Miałam jeden grzejnik elektryczny oraz grzałkę do gotowania wody. Nie chciałam się pałętać po kuchni gospodarzy.

Wiktoria bardzo dbała o Nelunię. Zawsze ją ubierałyśmy w białe rzeczy, a ona w ogóle się nie brudziła. Problem był tylko z jedzeniem.

Pewnego dnia bardzo przeżyłam następujące zdarzenie. Nasza Kruszyna miała niespełna dwa latka. Było ciepło. Wiktoria zostawiła ją na moment w wózku przed domem, pewnie śpiącą. No i stało się nieszczęście. Nie wiemy czy złe dziecko, czy kot zrobił jej na policzku cztery zadrapania. Widoczne były bruzdy pod zdartym naskórkiem. Boże, gdy to zobaczyłam po przyjściu ze szkoły, wpadłam w panikę. Płakałam i rozpaczalam, że będzie miała ślady na twarzy przez całe życie. Czulałam żal i złość, bałam się, że zostanie zeszpecona na zawsze. Miałam ogromne pretensje do Wiktorii, że zostawiła dziecko bez opieki. Pogniewałam się na nią. Znalazłam inną opiekunkę, lecz niestety Kora absolutnie jej nie chciała zaakceptować. Płakała u niej przeokropnie. Nie miałam więc sumienia jej gnębić. Poszłam do Wiktorii z gorącymi przeprosinami za moje ostre słowa. Ze smutkiem i wstydem zwróciłam się do niej:

— Błagam, niech pani przyjmie ponownie moje dziecko pod swe opiekuńcze skrzydła, bo u innej opiekunki nie śpi, nie je, płacze i chce tylko do swojej kochanej niani.

Ponieważ Wiktoria bardzo kochała nasze maleństwo, uległa mej prośbie. Na szczęście żadna blizna Kornelii nie została, zadrapania szybko się zagoiły i cała afera zakończyła się dobrze. Później było mi przykro i głupio się czułam, że tak zareagowałam. Przecież taka sytuacja mogła się każdemu przydarzyć, nawet najbardziej kochającej i uważającej matce.

Jako dziecko Nelunia została nauczona przez Zaletów gier karcianych w wojnę i makao, których potem i mnie nauczyła. Bardzo szybko mówiła i czytała. Pamiętam jej pierwszy dłuższy wierszyk, który z wdziękiem recytowała:

*Jestem lala z porcelany,
Mieszkam w sklepie na wystawie.
Jeśli kupisz mnie dziewczynko,
To potrafię cię zabawić.*

*Pozamykam jasne oczka,
Mówię pięknie: tata, mama
I wyglądam w nowej sukni
Jak prawdziwa wielka dama.*

Ten wiersz to jakoby motto jej życia. Słowa prorocze, posiadała ogrom zalet i talentów.

Na urodzenie Kornelii czekałam z niecierpliwością i macierzyńską miłością. Nie rozpaczałam, że nie mamy odpowiedniego mieszkania, nie dramatyzowałam, że Władek ma jeszcze ponad rok studiów w Krakowie, że nie mamy żadnej zaoszczędzonej gotówki, żadnych mebli i tylko znikomą pomoc od rodziców. Z domu dostawaliśmy sporadycznie jajka, kurę, mięso czy smaczną wiejską szynkę i kiełbasę po świniobiciu. Nie mieliśmy nawet lodówki, aby przechowywać produkty żywnościowe. Podczas studiów Władka nie było mi lekko, bardzo tęskniłam. Pisałam często długie listy, by był na bieżąco i znał każdy szczegół dnia codziennego naszej rodziny. Pożyczonym aparatem fotograficznym robiłam wiele zdjęć, by widział, jak wyglą-

da i jak się rozwija jego córka. Obiad i zupki dla Nel gotowałam tylko na dany dzień na malutkiej maszynie elektrycznej za kotarą w pokoju. Nie przychodziło mi na myśl, że są to raczej biedne warunki życiowe. Patrzyłam w przyszłość z optymizmem. Byłam przekonana, że z czasem dorobimy się i wszystko się ułoży. Na jedzenie dla dziecka nie żałowaliśmy pieniędzy. Jednak ja w ciąży odżywiałam się nieodpowiednio. Może dlatego maleństwo miało stale niedowagę.

Ślub cywilny z Władkiem braliśmy w Krakowie, a kościelny w Wyrzysku. Dziecko urodziło się 2 czerwca, rok po ślubie. Termin co do dnia zgodny z obliczeniami ginekologa. W nocy o godzinie drugiej poczułam bóle. Nikomu z nas nie przyszło do głowy, żeby iść po pogotowie lub taxi, aby przetransportować mnie do szpitala. Szliśmy pieszo z ul. Kościuszki za Jagienką do szpitala przez całe miasto. Moją pierworodną urodziłam rano o 6.05. w środę. Byłam bezgranicznie szczęśliwa. Dziecko piękne, zgrabne, o ciemnej karnacji, bez żadnych wad. Ze szczęścia zapomniałam o upokorzeniu i bólu, jaki musiałam przeżyć prawie czołgając się na kolanach, podpierając się rękami przez długi szpitalny korytarz, ponieważ zaczęłam już rodzić w pokoju, a nikt się mną nie zajął, bo w pokoju-porodówce rodziła inna kobieta, a była tylko jedna położna. Gdy mówiłam, że bardzo boli, powiedziała:

— Tak, tak, kochaniutka, za pięć minut przyjemności trzeba teraz cierpieć wiele godzin.

Jestem bardzo szczęśliwa, że moje córki łączy silna więź miłości siostrzanej, codzienna wzajemna troska i pomoc, gotowość do każdego trudu lub ofiary oraz wiele wspólnych zainteresowań. Obie skończyły studia polonistyczne, obie pracują z młodzieżą i obie wprost połykają ogromne ilości dobrej, ambitnej lektury. To wszystko z pewnością łączy, jednak myślę, że przede wszystkim mają w sobie ogromne pokłady miłości i empatii. Wiem, że patrzą sercem na bliźniego, dlatego widzą więcej, głębiej i dalej. Kiedy często się słyszy, że jakieś rodzeństwo walczy między sobą o jakieś bzdury, nienawidzą się, cały-

mi latami nie rozmawiają, trudno mi to zrozumieć i rozpiera mnie radość, że my nie znamy takiego uczucia.

Pierwsze mieszkanie

W miesiąc po urodzeniu córki Władek wyjechał do Austrii na studencką praktykę. Było to wyróżnienie dla bardzo dobrego studenta otrzymującego stypendium naukowe. W Austrii pracował ciężko trzy miesiące przy gorącym piecu hutniczym. Zarobił sporą sumkę. Kupił wiele rzeczy do ubrania dla nas, prezenty dla najbliższych i rzeczy na sprzedaż. Wówczas były bardzo modne koszule nonironowe, płaszcze ortalionowe i kaszmirowe szale.

Po powrocie z Austrii pojechał ponownie do Krakowa, aby dokończyć i obronić pracę magisterską. Pracę zawodową podjął w Lubaszczu dopiero w grudniu.

Nie przyjął pracy w ZNTK w Bydgoszczy ani na AGH w Krakowie, ponieważ nie oferowali tam mieszkania, a od Józka wiedziałam, że POM Lubaszcz proponuje dwupokojowe w Wyrzysku vis-a-vis mojej siostry. Wprowadziliśmy się tam w lutym, gdy Nel miała pół roku. Nie była to wielka przeprowadzka. W koszu na bieliznę przenieśliśmy wszystkie ubrania i pościel. Prócz tego mieliśmy kilka talerzy i szklanek, patelnię i trzy małe garnki oraz około 30 książek. Skromnie urządziliśmy jeden pokój i kuchnię. Drugi pokój stał pusty ponad rok. W Bydgoszczy wypatrzyłam niemieckie meble, to były początki meblościanek. Już żyło się nam wygodniej. Te segmenty stoją do dziś w moim małym pokoju. Na dziennik telewizyjny i filmy chodziliśmy do Janeczki. Po kilku latach kupiliśmy czarno-biały telewizor, kolorowych jeszcze u nas nie było. Kanały były tylko dwa. Program edycji krótki, dziennik wieczorny i film, w czwartki *Kobra*, w poniedziałki spektakle teatru telewizji dla ambitnego widza. To nie zabierało tyle czasu, co obecnie, więc było go więcej na czytanie i rozmowę. Życie rodzinne i to-

warzyście bardziej kwitło niż obecnie, nieliczni mieli telefony, więc aby się skontaktować z ludźmi, należało albo do nich pójść, albo napisać list. Prowadziłam dość ożywioną korespondencję szczególnie z rodziną ze strony mamy.

Mieszkając na Wierzbowej, musiałam wcześniej wstawać, by przed wyjściem do szkoły na ósmą godzinę wyprasować Neluni ubranko, bo miała ich mało na zmianę, zapakować ją do wózka i zaprowadzić do niani, trzymając w ręce bańkę z mlekiem prosto od krowy kupionym od gospodarza. Uważano, że takie jest wartościowsze niż ze sklepu. Najgorzej było iść z górki po kocich łbach podczas gołodzi, śnieżycy czy w deszczu. Wszystko to znosiłam z pogodą ducha i bez utyskiwań. Dopiero teraz, gdy porównuję obecne życie matek dysponujących samochodami, gotowymi potrawami, jednorazowymi pieluszkami, komórkami, zdaję sobie sprawę, jaka była kolosalna różnica w trudach opiekuńczo-wychowawczych w dawnych latach. Gdy Władek jeszcze pracował w Austrii, postanowiłam z dzieckiem pojechać na kilka dni na wieś, do mamy. A wrzesień był piękny tamtego roku. Zapakowałam więc małą do wózka, zabrałam torbę z ubraniem i wsiadłam do autobusu. Z Falmierowa do mojego domu trzeba było iść polną drogą prawie cztery kilometry. Kawałek drogi nad jeziorem do wioski Gromadno wyłożony był kamieniami. Z trudem dotarłam do ludzkich zabudowań. Na drodze ruch, ktoś jedzie wozem, ktoś gna bydło do stajni. Bardzo się staram, aby szczęśliwie przebyć ten krótki odcinek drogi. Ścieżka nad skarpą bardzo wąziutka i spadzista. Przejść pieszo samemu nie tak źle. Natomiast przeprowadzić wózek z niemowlakiem gorzej. W pewnym momencie wózek się przechylił w kierunku jeziora, Nelunia razem z nim. Jestem przerażona, tracę częściowo równowagę, boję się tego, co może nastąpić. Szarpie się z wózkiem. Dzięki Bogu, udaje mi się w ostatniej chwili go zatrzymać i złapać dziecko tuż przed uderzeniem główki o ziemię. Mam troszeczkę poturbowaną nogę, ale to nic, zadrapania wkrótce się wygoją. Najważniejsze, że dziecko uratowane bez skaleczeń i potłuczeń. Gdyby jednak nie udało mi się

zatrzymać przewracającego się wózka, to niestety mogłoby się źle skończyć.

Chociaż mogła być jeszcze nadzieja w topolach, którymi jest obsadzona cała wysoka skarpa nad wodą, a które jeszcze przed laty sadił Stasiu z uczniami szkoły podstawowej.

Zostały mi jeszcze prawie dwa kilometry piaszczystej, polnej drogi do domu. Iść nią było niemożliwością, wąskie koła wózka wbijały się w miazgki piasek. Przeszłam na skarpę na wąską ścieżynę, którą mogła przejść tylko jedna osoba. Nie było lekko pchać wózek z dzieckiem i bagażem, ale poradziłam sobie. W poprzednie wszystkie wakacje podczas żniw pomagałam w polu, w tym roku po raz pierwszy czas żniw spędziłam w Wyrzysku z moją urodzoną w czerwcu pierworodną.

Dlaczego tak dokładnie opisałam tę podróż? Może ktoś zapyta: A nie mógł ktoś po was przyjechać? Odpowiem — nie mógł, to były inne czasy. W roku 1965 nie było komórek, nie było Internetu. Przecież w moim domu nie było nawet elektryczności; światło elektryczne zabłyśnie dopiero za 7 lat. Jak miałam powiadomić ojca, że przyjeżdżam z dzieckiem? Prosić sołtysa, aby ktoś ze wsi poszedł dwa kilometry do rodziców z tą wiadomością? Nie chciałam robić wokół siebie tyle ceregieli. I chciałam mamie zrobić miłą niespodziankę.

Zmartwienie przyszło, gdy półtoraroczna Kornelka zachorowała na nerki. Choroba przyszła jako powikłanie po anginie. Wykorzystałam wszystkie możliwe zwolnienia lekarskie na opiekę, a następnie wzięłam dwa miesiące bezpłatnego urlopu, o który musiałam bardzo walczyć. W Inspektoracie Oświaty nie chciano mi go przyznać, mówiąc, że nie ma takich przepisów.

Po rozwinięciu się choroby musiałam Korę położyć w szpitalu. Załatwiłam jednak z lekarką i siostrą oddziałową, że cały czas będę przy niej. Wówczas takich zwyczajów nie praktykowano, ale ponieważ ze łzami bardzo prosiłam, zlitowano się nade mną i pozwolono zostać. W nocy trochę się przesypiałam na krześle lub w drugim, większym łóżeczku dziecięcym. Te niewygody się nie liczyły. Ważne było, że nie zostawiłam có-

reczki ani na chwilę samej. Jak mogłam, również zajmowałam się innymi chorymi dziećmi. Doktor Melaniuk, bardzo przeżywała chorobę Kory. Podczas wizyty powiedziała mi:

— Wolałabym, aby miała cztery razy w roku zapalenie oskrzeli niż tę chorobę nerek.

Wówczas nawet nie zdawałam sobie sprawy, co choremu może grozić — dializy lub co najlepsze, jeśli się znajdzie dawcę, przeszczep nerki. Dopiero w piątym roku życia wyniki były bez zmian, a ja odetchnęłam z ulgą.

Kornelia była dzieckiem grzecznym, posłusznym, nie trzeba jej było niczego dwa razy powtarzać. Wszystko wykonywała natychmiast i bez grymaszenia. Lubiła się bawić, ale jeszcze chętniej czytała i uczyła się. Była tak uważająca i czysta, że w białym fartuszk w błękitne groszki zawiązywanym na kokardki na ramionach mogła chodzić kilka dni, a wciąż nie był brudny. Prałam go jednak, bo płócienko bardzo się gniotło. Bardzo dbała o porządek wokół siebie i czasami pomagała w kuchni przy drobnych pracach. Mając sześć lat, samodzielnie upiekła babkę. Była uczennicą i zdolną, i pilną, często stawianą klasie za wzór. Gdy była w klasie czwartej czy piątej, już pasjonowała ją mitologia grecka i rzymska. Nie raz się zastanawiałam, jaką ona musi mieć dobrą pamięć, że może tak bez zaglądania w książkę bardzo interesująco opowiadać o tylu bogach, boginiach i ich fantastycznych historiach. Bardzo lubiłam jej słuchać.

Jak na owe czasy powodziło nam się wtedy dość dobrze. Władek jako magister inżynier, których w tamtych latach można było w okolicy policzyć na palcach jednej ręki, zarabiał lepiej ode mnie, dorabiał jeszcze, ucząc w szkole zawodowej w Wyrzysku i na wycenie maszyn rolniczych w terenie. Kupiliśmy motor WSK.

Syrenka

Gdy Beatka miała dwa latka, a ja jeszcze pełniłam funkcję radnej wojewódzkiej, miałam łatwy dostęp do ówczesnego wojewody bydgoskiego. Wystarałam się o przydział na syrenkę. To już był luksus! Niewielu w tamtych czasach miało samochody. Mnie udawało się od kilku lat mieć dużo nadgodzin w szkole, tak że w tygodniu pracowałam nawet do 40 godzin, również soboty były pracujące. Etat pracy nauczyciela był wyższy niż obecnie. Przez jakiś czas miałam również lekcje w szpitalu na oddziale dziecięcym.

Każdego roku starałam się w jakiś sposób pomóc rodzicom w różnorodnych pracach polowych i domowych. Moje córki również były wdrażane do zajęć dostosowanych do ich sił. Starsza Kornelia lubiła pomagać babci przy przygotowaniach posiłków dla żniwiarzy. Podczas szczytowych zbiorów zbóż zjeżdżali się bracia i siostry, tak że była niemała grupka pracujących w polu lub przy młóceniu. Sprawne ręczki małej Kornelii stanowiły wielką pomoc przy klejeniu pierogów z serem, wałkowaniu i krojeniu makaronu, urabianiu ciast, formowaniu pączków, obieraniu warzyw, ziemniaków itp.

Gdy miała 13 lat, zabrakło nam traktorzysty. Zbieraliśmy z pola postawione w sztygi snopki żyta. Wiesiek podawał snopy widłami, a ja je układałam w odpowiednim porządku tak, by przyczepa ze zbożem w drodze do stodoły lub stogu nie rozwała się. Wiesiek po każdym zabraniu z półkopka snopków musiał wskakiwać na traktor, aby go uruchomić i przejechać do drugiego. To była pewna strata czasu. A czas goni, bo nadchodzą ciemne chmury zapowiadające ulewy, jaskółki coraz niżej zataczają swoje koła i nadlatują całe zgraje kraczących wron.

Gdy zboże zmoknie, potrzeba będzie kilku słonecznych dni na jego wysuszenie. Musimy się spieszyć, by nie zmarnować ani jednej chwili. Nie pamiętam dokładnie, kto poddał tę myśl, aby rolę traktorzysty przejęła Kornelka. W lot pojęła instrukcje

Wieśka i świetnie podjeżdżała po kolejne snopki. Skróciła czas zwózki. Zdążyliśmy zwieźć suche żyto. To był piękny obrazek, do dzisiaj mam go przed oczyma: mała, drobniutka dziewczynka przy pracy w polu na traktorze ciągnącym przyczepę. Zaraz mi się skojarzyły powojenne plakaty nawołujące kobiety do maszyn i do traktorów. A tutaj mała dziewczynka daje sobie wspaniałe radę z wielką maszyną.

Małutka Beatka w owym czasie lubiła również pomagać przy karmieniu drobiu, pasieniu owiec i gęsi, zrywaniu wiśni i porzeczek. Woląla jednak z kuzynami z Wyrzyska i Bydgoszczy hasać po stogach, wspinać się na drzewa, obserwować żabki i kijanki w stawkach lub przynosić koszyczek pieczarek z pobliskiej łąki.

Zawiany żołnierz

Pewnego dnia przyjechała w odwiedziny do Wyrzyska moja mama. Były to imieniny Józka. Położyłam Korę spać, a gdy zasnęła, dołączyłam do towarzystwa. Mieszkania jak zwykle nie zamykałam. Idąc do pracy, zawsze zostawiałam klucz pod wycieraczką, o czym wszyscy wiedzieli. Dzisiaj nigdy bym tego nie zrobiła. W tamtych latach nie było tylu napadów, rozbojów czy kradzieży. Tamtego wieczoru mała Kornelka już spała w swym łóżeczku w dziecięcym pokoju, a my u Józków rozgadani, rozbawieni — mama zawsze dużo opowiadała. Od czasu do czasu zaglądałam do naszego mieszkania, czy dziecko śpi.

W pewnym momencie wchodzę, patrzę i co widzę? W fotelu pod oknem w dużym pokoju siedzi sobie nieznajomy starszy żołnierz-rezerwista i śpi w najlepsze. Natychmiast spanikowana wszystkich zawołałam. Władek i Józek chcieli go wyprowadzić z domu, ale to nie było takie łatwe. Okropnie pijany nie mógł się utrzymać na nogach, nie chciał wyjść. Bełkotał, że chce pić i iść do jakiejś Teresy. Byłam strwożona,

ale szczęśliwa, że Korze nic złego się nie stało. Nie wiem, jak mu się udało w tym stanie przejść po gazetach do fotela przez cały pokój, którego podłoga była świeżo przez nas pomalowana. Władek dzwonił po milicję, ale ta nie chciała interweniować, twierdząc, że to sprawa wojska. W końcu jakoś udało się go wyprowadzić z domu i zawieźć na dworzec.

Innego dnia pod naszymi drzwiami siedziała pijana kobieta, brudząc korytarz i wycieraczkę, pod którą leżał klucz. Jak go wyjąć i wejść do domu? Nie chciała się ruszyć z miejsca. Po tych zdarzeniach już nigdy nie zostawialiśmy klucza pod wycieraczką ani w drzwiach. I już nie zostawialiśmy w drzwiach kartki z informacją, „klucz pod wycieraczką”, jak to zdarzało się dotychczas. Mieszkaliśmy na obrzeżach miasta, więc tym bardziej wejście do mieszkania było mniej zauważalne przez sąsiadów i łatwiej było się komuś włamać do domu. Z domów rodzinnych wynieśliśmy ufność do ludzi. Przez wiele lat w Gromadnie nie było nawet klucza do domu.

Hojność Kornelki

Sąsiedzkie dzieci lubiły nasze córki, bo zawsze mogły liczyć na jakieś łakocie z ich strony. Kornelka była znana ze swej hojności. Wracam kiedyś do domu i już z drogi widzę następującą scenkę. W oknie stoi moja córunia i rzuca stojącym pod domem dzieciom całe garście cukierków i gum do żucia, które czasami przywoziła znajoma ze Szwecji. U nas takie słodkości były tylko w Peweksie za dolary.

Kora wołała dać innym, niż sama zjeść. Wciąż nie miała apetytu. Karmić ją, to była męka. Co dzień wymyślać coś innego, chodzić z nią od okna do okna, by czymś zainteresować. Wkładałam jej łyżeczkę do buzi, a ona zaciska ząbki. No więc:

— Proszę, zjedz za tatę, za babcię, za mamę, za Wikcię uwielbianą i za wszystkich świętych. A może do garażu wjedzie brumbrumek?

Albo:

— Szybko, szybko, bo wrona wleci i wydziobie wszystko z łyżeczki.

Sukces, gdy zjadła właściwą porcję. Ileż to było radości, huśtania i podrzucania w górę w nagrodę za ten wielki wyczyn, za takie wspaniałe bohaterstwo.

Zdarzało się, że miała ulubione potrawy. Był czas, że chciała jeść tylko żołądki, więc przez kilka dni musiałam okłamywać ją, że je wciąż żołądki, tylko robione na kilka sposobów albo chciała jeść zupę buraczkową lub pomidorową tak długo, aż jej obrzydły. Albo wymyśliła sobie, że nie będzie jeść zupy mlecznej, bo w niej są same kości. Miała bujną fantazję. Może więc jej syn Michał po niej odziedziczył fantazjowanie i brak apetytu? Karmienie go to też skarang boskie.

Zaraz po urodzeniu nasza Kruszyuka Nel była cicha, dobrze spała, pozwalala i mnie w nocy troche pospać. Dopiero w dniu chrztu, czwartego lipca wszystko się zmieniło. Wciąż płakała w nocy, trzeba było po kilkanaście razy do niej chodź, lulać i huśtać, by ponownie zasnęła. I tak do ponad roku.

Karmiłam ją piersią przez cały rok. Mówi się, że to dobrze. Może. Ale też i źle, bo nie widziałam, ile wypila pokarmu. Być może to stąd jej dziecięca niedowaga i do dziś drobna, filigranowa sylwetka. Wciąż jest zgrabna jak nastolatka. Brawo! Tak trzymać dalej. Widać, że na zawsze zachowa swoją wspaniałą sylwetkę i raczej nigdy nie zbabieje.

Sympatie Kornelii

Mała Kornelia miała kilka sympatii. Nie znała prawdziwej twarzy Lenina, jednak bardzo go lubila, ponieważ w książce *Lenka szuka ojca* to właśnie on podczas wojny pomógł go dziewczynce odnaleźć.

Drugi jej ulubieniec to Fryderyk Chopin. Wzruszała się, gdy opowiadałam, że mały Frycek tak kochał muzykę i grę

na fortepianie, iż na noc wkładał sobie między palce klocki z drewna, by w ten sposób rozszerzać pole objęcia dłońią klawiatury. Nigdy nie mogłam powiedzieć, że już nie żyje, gdyż ta wiadomość powodowała u niej płacz i żal, po którym nie mogła długo zasnąć.

W podstawówce cichy wielbiciel wkładał do kieszeni jej kurtki w szatni piękne trójwymiarowe pocztówki, których w naszych sklepach jeszcze nie było. Nigdy się nie dowiedziała, kto ją obdarzał takimi prezencikami. Pamiętam też, jak tęskniła do wychowawczynie na kolonii w Żłotoryi. Aż mi było trochę przykro, że ja jej nie wystarczam. Dopiero po wielu latach przyznała się, że to nie do pani, a do miłego chłopaka z grupy starszej tak tęskniła.

Dorośla Kornelia była bardzo skryta. Nie wiem, jakie były potem jej sympatie. Do naszego domu do Kory przychodziło wielu chłopaków ze szkoły. W liceum nastąpiła era Janusza Gimińskiego z jej klasy. Po czwartym roku studiów wzięli ślub, jak jej rodzice. Po skończeniu filologii polskiej na WSP w Bydgoszczy, będzie dalej podnosić swe kwalifikacje, studiując w Toruniu na podyplomowych studiach — wiedzę o teatrze, dramacie i filmie XX wieku. Nie przyjęła propozycji zajęć ze studentami na swojej uczelni. Zakotwiczyła się w I LO im. B. Krzywoustego w Nakle.

Kiedy patrzę na małżeństwo Kory, to myślę, że każda matka życzyłaby swojej córce takiego męża, jakim jest Janusz, a teściowym takiego zięcia, jakiego mam ja. Nie chodzi mi o wygląd zewnętrzny. Jest przystojnym mężczyzną o miłej powierzchowności, mimo upływu lat wciąż zachowuje szczupłą sylwetkę. W Bydgoszczy studiował na ATR wydział mechaniczny, a w Gliwicach zdobył tytuł Europejskiego Inżyniera Spawalnika. Zdolny i pracowity, szybko awansował na kierownicze stanowiska w dużych przedsiębiorstwach, co wiązało się z wieloma wyjazdami zagranicznymi i nienormalnym czasem pracy. Najdłużej zarządzał w ZNTK w Paterku. Nie to jest jednak najważniejsze. Dla mnie istotniejsze są jego zalety ducha i właściwa postawa życiowa. Jeszcze

nigdy nie słyszałam go mówiącego podniesionym tonem. Widać swoje nerwy umie trzymać na wodzy. Wiem, że jest czułym mężem i wzorowym ojcem. A nade wszystko cieszę się, że chce i umie okazać mojej córce swoją miłość.

Kiedyś byłam świadkiem rozczulającego zdarzenia. Jest zima, gołoledź, Janusz, typowy pracoholik, nawet po wypadku samochodowym chodzi do pracy z nogą w gipsie, mimo iż jest na zwolnieniu lekarskim. Ja akurat jestem u Kory, bo Michaś jeszcze potrzebuje towarzystwa. Słyszę dzwonek u drzwi, otwieram i kogo widzę? Oczywiście Janusza z bukietem róż w zębach, w obu rękach kule i teczka służbowa. Jak on dał radę przykuśtykać na czwarte piętro z tym całym bagażem? Dla niego zawsze najważniejsza jest Kornelia. Nie patrzy na własną wygodę, tylko pragnie uszczęśliwiać swoją żonę. Obsypuje ją stale kwiatami i drogocennymi prezencikami, a przecież są już małżeństwem z dość długim stażem, gdyż nie tak dawno święcili swoje Srebrne Wesele. Miło jest patrzeć na tak sympatyczną parę obdarzającą się wzajemną troską i szacunkiem.

Ich wesele było niezapomniane...

Piękny, słoneczny, sierpniowy dzień i wzruszający ślub zakochanej pary. Przyjęcie weselne Kornelii i Janusza przebiega bez zarzutu. O północy oczepiny, zmiana kreacji młodej panny. Zabawa dalej trwa, orkiestra gra miłe dla ucha i serca przeboje ostatnich lat. Nagle w jednym momencie wszystko się zmienia. Już nikt nie ma ochoty tańczyć, atmosfera gęstnieje, choć orkiestra nie milknie od razu i jeszcze w eterze płyną ostatnie dźwięki piosenki *Meksikana, meksikana... to jest rumba, to taniec sprzed lat...* O rety! Co się dzieje? To właśnie ja staję się upadłą kobietą. Bo szpilka mojego buta wpada z impetem w głąb szpary podłogowej znajdującej się między parkietem a pozostałą częścią sali balowej i moje uwieszone ciało traci równowagę. Nie jestem w stanie go zatrzymać w żaden sposób. Zresztą to trwa zaledwie ułamek sekundy. Jak do tego doszło? Najzupełniej po prostu. Mój tancerz zbyt aktywnie odepchnął mnie do tyłu (podczas przyciągania, odpychania),

a ja, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa upadku całym ciężarem ciała na szklaną szybę i wielką ilość wazonów z kwiatami stojącymi na podłodze za moimi plecami, szybko podpieram się ręką o parkiet, mając nadzieję, że to mnie zatrzyma. Niestety. Ręka w nadgarstku z trzaskiem łamie się. Początkowo w szoku bólu nie czuję w ogóle i zadowolona ze swojego eleganckiego ułożenia ciała, w długiej czerwonej sukience przetykanej srebrną nicią, szybko wstaję gotowa do dalszego tańca. Jednak mój brat Władek tańczący nieopodal zauważa, że moja lewa dłoń po prostu wisi. Zaraz robi się tumult, przybiega zatroskana córka, mój mąż szybko zawozi mnie do szpitala, jednak gdy się okazuje, że dyżur pełni ginekolog, karetka transportuje mnie na ostry dyżur do Bydgoszczy. I tam robię błąd. Nie godzę się na zastrzyk znieczulający, który by przedłużał moją nieobecność na weselu córki. Teraz wiem, że zaoszczędziłyby mi nieprzewidzianego bólu podczas nastawiania przemieszczonych kości. Wyrozumieli lekarze biorą pod uwagę wyjątkową okoliczność tego wypadku i szybko poza kolejnością udzielają mi pomocy. Wracam do weselników, nie ma już atmosfery zabawowej, a raczej troska pełna współczucia dla mojego cierpienia. Planowane wcześniej poprawiny nie odbędą się. Po sześciu tygodniach niewygody w gipsie ręka wygląda fatalnie, aby nią ćwiczyć i doprowadzić ją do porządku, kupuję niebieską włóczkę i dziergam Beatce sweter. Oczko prawe, oczko lewe, to świetna rehabilitacja. Polecam każdemu w podobnej sytuacji.

Przeprowadzka

4 grudnia 1974 r. przeprowadziliśmy się do Nakła. Bez większego entuzjazmu wyprowadzałam się z Wyrzyska. Teraz jestem zadowolona.

Już od kilku miesięcy blok w Nakle był zamieszkały, ale nasze mieszkanie wciąż stało puste. Wprawdzie przyjeżdżałam

i robiłam porządki, ale nic mnie tu nie ciągnęło. W Wyrzysku rodzina, praca, młodość. Danego dnia przed południem mój mąż zadzwonił, że mam się pakować, bo po pracy przyśle samochody. Nie zdążyłam wszystkich szaf opróżnić z ubrań, więc zabierano je tak, jak były. Nie miałam czasu wyjąć spod bielizny pudełka z drobną biżuterią, więc martwiłam się, czy dojedzie na miejsce. Nic nie zginęło. Z mieszkania nie zabraliśmy pięknego pianina, które wkrótce zostało sprzedane. Jeszcze tego wieczoru, w dzień imienin Barbary, przekazaliśmy Pelagii klucze od naszego mieszkania. Była bardzo szczęśliwa, że już będą mieszkać w lepszych warunkach.

Z naszą przeprowadzką do Nakła Beatka szybko się pogodziła, chociaż tęskniła do swojej niani. Z powodu braku miejsc w przedszkolach, przez kilka pierwszych miesięcy spędzała czas ze mną w domu, gdyż tak się złożyło, że ja byłam na zwolnieniu lekarskim. Jeśli miałam leczenie sanatoryjne, opiekowała się nią babcia Maria. W przedszkolu bardzo szybko zaaklimatyzowała się, ponieważ zawsze lubiła zajęcia w grupie. W drodze na swoje zajęcia starsza Kornelka zaprowadzała ją do przedszkola i odbierała po lekcjach. Do szkoły podstawowej poszła bez stresu, gdyż miała świadomość obecności w niej starszej siostry, która z pewnością będzie jej służyła pomocą w razie jakiegoś problemu. Umiała już czytać i liczyć, pięknie się wypowiadała, więc nie było obawy, że może nie podołać obowiązkowi szkolnym.

Serce mi mocnej zabiło, gdy Beatka ubrała mundurek harcerski. Skoro sama prowadziłam drużynę w Wyrzysku, wiedziałam, że w harcerstwie dzieją się same dobre i ciekawe zajęcia. Cieszyło mnie, że przez całą podstawówkę i większość czasu w liceum nadal działała w harcerstwie.

Rozłąkę ze szkołą wyrzyską bardzo przeżyła Kornelia. Lubiła nauczycieli i swoje koleżanki z klasy. Bardzo płakała przy rozstaniu, nie chciała od razu pójść do nowej szkoły. Pozwoliłam jej pozostać w domu przez kilka dni do końca tygodnia, aby się przyzwyczaiła do nowego środowiska. Poszłam z nią w poniedziałek do Szkoły Podstawowej nr 3 i poprosiłam

dyrektora, by przydzielił ją do ambitniejszej klasy. Uczyła się świetnie. Nie było jeszcze wtedy ocen celujących w szkole, lecz gdyby były, na pewno by je zdobywała. Myślę, że swoje dzieciństwo wspomina dobrze. Niczego jej nie brakowało, tzn. według nas. Odżywiałam ją dobrze, ubierałam ładnie. Trochę szyłam z Janką, trochę sama. Kornelia, gdy dorosła, również szyła sobie ładne ciuszki, robiła na drutach piękne swetry wełniane i serwety haftem richelieu. Gdy Władek zaczął wyjeżdżać za granicę w delegacje służbowe, przywoził modne rzeczy, wyróżniające się od naszych sklepowych szarych i uszytych bez fantazji.

Niebieski wózek

Do Szwecji Władek jeździł kilka razy. Ja tylko raz z Korą, gdy miała sześć lat. Bardzo mi się utrwalił w pamięci nasz wyjazd. Płynąc promem ze Świnoujścia do Ystad, Kora wygrała 100 koron czyli 25 dolarów, ówczesne trzy pensje, w jednorękiego bandytę. W Szwecji za tę wygraną kupiła sobie ładny, niebieski wózek dla lalek, w którym nawet moje małe wnuki — Ewunia i Michałek woziły się dla zabawy.

W Ystad przeżyliśmy chwilę trwogi i osamotnienia. Nikt po nas nie przyjechał, a noc późna i zimna, jak to w listopadzie. Władek nie zadzwonił do znajomych, że jedziemy, a ja nie miałam drobnych monet do automatu. Widząc nas bezradne, celnicy pomogli się skontaktować z Falkenbergiem. W domu był jeszcze Erik, który właśnie wychodził do kolegi. Jego rodzice już wcześniej wyjechali do swojej córki. To wielkie szczęście, że chłopak podniósł dzwoniący telefon i natychmiast rodziców powiadomił o naszym przyjeździe. Oczekiwanie na nich trwało trzy godziny. Po przyjeździe, wyznali:

— Tak się po was spieszyliśmy, że pierwszy raz w życiu nie przestrzegaliśmy dozwolonej prędkości.

Byłyśmy tam dwa tygodnie. W rewanżu za przywiezione im produkty żywnościowe, Wanda zabrała nas na zakupy. Przed wypłynięciem promu w drogę powrotną do Polski, mieliśmy opóźnienie z powodu sztormu. Poszłam więc z Korą do poczekalni dla matki z dzieckiem. Co za pech! Zamek zaciął się i nie mogłam otworzyć drzwi, by się stamtąd wydostać. Waliłam, stukałam, wołałam, bo słyszałam jak już zapowiadano odpłynięcie naszego promu. Na szczęście ktoś usłyszał mój alarm, otworzono nam drzwi i zdążyłyśmy odpłynąć do Polski.

Na promie dopadła mnie choroba morska, więc mała Kornelka musiała biegać z woreczkami. Jej nic nie było, na szczęście.

Zagraniczne wojaże

Z naszymi dziećmi dość wcześnie wyjeżdżaliśmy za granicę. Najpierw do Berlina, gdzie na placówce pracował brat męża Stanisław. Dzięki temu mogliśmy kupić wiele ładnych ubrań i przydatnych rzeczy. W tamtych czasach, aby móc wyjechać z kraju, niezbędne było zaproszenie od kogoś z zagranicy. Takie właśnie mieliśmy od Stanisława. W naszych sklepach wszystkie rzeczy były dość siermiężne, a NRD to już był przedsmak Zachodu. Na wyjazd mogliśmy kupić przydział dewiz. Poza tym w domu nie wolno było mieć żadnych dolarów.

Innym celem wypadów zagranicznych była Szwecja, w której mieszkała Polka odbita w czasie II wojny światowej z transportu niemieckiego przez Czerwony Krzyż. Polubiła nas i zaopatrywała w ładną odzież i słodycze, jakich u nas nie było. My odwzajemnialiśmy się jej szynkami i spirytusem, który w Szwecji można było dostać tylko na receptę i był bardzo drogi, a u nas w sklepach półki się pod nim ugięły. W Polsce nie brakowało alkoholu, stąd jedna z naszych paskudnych cech narodowych — pijaństwo. Prawda jest jednak taka, że nikt nikogo nie zmusza do picia, każdy sam podejmuje de-

cyzję. Lubi, to pije. I zazwyczaj dostaje małego rozumu i krzywdzi najbliższych.

Z mężem i dziećmi zwiedziliśmy prawie całą Europę. W roku 2006 odbyłam też bardzo sentymentalną podróż do Lwowa, Bełża, Głuchowa, Ostrowa i Krystynopola. Zabrałam nawet łyżkę i woreczek na ziemię z naszych pól, gdzie się urodziłam i gdzie rodzice w międzywojniu byli szczęśliwi i zamożni. Kiedy moja stopa stanęła na ziemi naszych ojców i dziadów, spalarizowana i wzruszona patrzyłam na szyby kopalniane stojące na tych polach. Z oddali widziałam dom, w którym przyszłam na świat, a który został przystosowany po wojnie do potrzeb zagłębia węgla kamiennego. Na wyobrażonych przeze mnie przeżyciach przesunęły się obrazy z przeszłości mojej rodziny. Te dobre i te bolesne. Skamieniała i poruszona do głębi swojego jestestwa zapomniałam o woreczku i ziemi ojczystej, której garść pragnęłam dorzucić do mogiły Stasi i Jaśka w Wyrzysku.

Natomiast nie mogłam się oprzeć pokusie, by przy cerkwi, do której mama zaniósła nasze symbole wiary katolickiej w celu ocalenia ich od zniszczenia przez nadciągające bandy ukraińskie, nie pociągnąć za sznury, aby usłyszeć bicie zawieszonych obok dzwonów. To było niesamowite uczucie: biją dzwony poruszone moją ręką! Słyszę dźwięk dzwonów, które przed wiekiem przywoływały moich rodziców i dziadów, które mogą obudzić pamięć i opowiedzieć o minionych czasach. Spojrzałam w błękitne niebo i w duszy zawołałam:

— Mamo, tato, jestem tutaj! Spójrzcie!

W Krystynopolu, mieście założonym przez Potockiego dla swojej żony Krystyny, nie mogłam powstrzymać łez. W powszedni dzień, wczesnym rankiem w kościele na nabożeństwie zebrało się kilkanaście osób, głównie same staruszki rozproszone w kilku ławkach. Nikt im nie przewodził, nie podawał tonu, nie dyrygował. A one potrafiły tak zachwycić swoimi pieśniami, iż miało się wrażenie, że w tej świątyni brzmi profesjonalny wielogłosowy chór. Odwracam głowę, oglądam się, by zobaczyć tych wspaniałych artystów. Nie widzę nikogo, tyl-

ko te biednie ubrane starsze kobiety w chustkach na głowie. Urzeczona ich śpiewem jeszcze bardziej zrozumiałam tęsknotę mojej mamy do minionych tutaj lat młodości. Dla niej ważny był świat nie tyle materialny, ile właśnie duchowy. Tak strasznie żał mi się jej zrobiło, że wojna jej zabrała tyle piękna, tyle bogatych przeżyć duchowych, że tu, gdzie ją los rzucił, nie miała możliwości usłyszenia takich pięknych koncertów, jakie słyszała na Kresach nawet w zwykły dzień, obcując z ludźmi mieszkającymi w tamtych stronach, a obdarzonymi przez naturę pięknym cerkiewnym głosem. Jak bardzo musiała to przeżywać. Te przemyślenia poruszyły mnie do głębi, a z oczu płynęły łzy. Przez długą chwilę nie byłam w stanie podnieść się z klęczek, jak przykuta do kamienia.

Natomiast w cerkwi prawosławnej dostąpiliśmy wielkiego zaszczytu. Pop przeprowadził nas przez złote carskie wrota, przez które podobno tylko duchowni przechodzą, a także specjalnie dla nas odsłonił słynący łaskami obraz Matki Bożej. Wokół ogrom ikon i figur świętych. Po pieriestrojce Gorbaczowa większość kościołów i cerkwi, które przez wiele lat przemieniono, np. na magazyny, teatry, kawiarnie zostało pięknie odremontowanych, odmalowanych i teraz lśnią przepychem, kapią złotem i zachwycają bogatymi marmurami. Nawet w tych mniejszych miasteczkach i wioskach, nie tylko we Lwowie, Sokalu, Czerwonogrodzie i przebogatej architektonicznie Ławrze w Poczajowie, gdzie rygorystycznie przestrzegano chustki na głowie i długiej spódnicy oraz zakrycia dekoltów.

Niestety, w samym centrum Ostrowa ujrzałam przykry widok: ruiny kościoła, szkoły, domu ludowego i plebanii zniszczone przez banderowców ukraińskich. Odbudowano spalone miasteczko, ale już w innym układzie ulic. W środku centralnego placu pozostawione ruiny nadal przypominają o wojnie i rzezi Polaków.

W swoim już dość długim życiu odbyłam wiele wycieczek i pielgrzymek, zachwycałam się wspaniałymi światowymi dziełami sztuki, podziwiałam cudowne krajobrazy, misterne dzieła ludzkich rąk, niebosiężne budowle, słyszałam wiele pie-

śni uznanych chórów, ale najmocniej zabiło moje serce, a nawet nagle przyspieszyło swój rytm, gdy stanęłam na ojcowiznie, w miejscu swych narodzin, swego pierwszego oddechu, pierwszego krzyku, uśmiechu i łzy.

Myślę, że każdy człowiek ma w duszy zapisaną tęsknotę do miejsca swojego urodzenia, krajobrazów dziecięcych, szczęśliwych lat, klimatów pierwszych miłosnych wzruszeń i uniesień.

Zanim zaczęliśmy odbywać wojaże z dziećmi, Władek zaliczył już kilka podróży służbowych i wycieczek prywatnych, np. do Egiptu, Mongolii, Gruzji czy ze mną do Turcji. Podczas wypadów z małymi córkami mogliśmy się zaopatrzyć w rzeczy, jakich w Polsce wówczas nie było, np. eleganckie buty, kakao, słodczyce czy nawet prozaiczne termometry lekarskie.

Dłuższe wycieczki nad Adriatyk do Jugosławii w latach 1978, 1981 i 1987 wymagały specjalnego przygotowania. Nie zamawialiśmy hoteli, a ciągnęliśmy za sobą przyczepę campingową, w której cztery osoby mogły swobodnie przespacerować się i ugotować obiad. Zabierałam ziemniaki, ryż, makaron, sery twarde, dżemy, różnego rodzaju konserwy mięsne i rybne w puszkach, jajka, a nawet masło w słoiku zalane słoną wodą, by stale było świeże. Woleliśmy jak najmniej wydać na jedzenie, aby móc dłużej wypocząć nad ciepłym morzem i jak najwięcej zwiedzić. Z Jugosławii pamiętamy smak pierwszy raz jedzonych przepysznych lodów — rożków z posypką orzechową. Wieczorami nęcił nas smakowity zapach pieczonych na grillu mięs i kiełbasek. Szczególnie, gdy apetyczne dymy unosiły się nad całym campinglem, zaciekawieni odbywaliśmy spacer, podczas których mieliśmy okazję odkryć to niespotykane wówczas u nas zjawisko. Okazało się, że przy grillu głównie Włosi, Niemcy i Norwegowie podczas przygotowanej na ogniu kolacji w radosnym nastroju, wśród śmiechu, wesołych śpiewów i zakrapianych toastów do późnych godzin, a często do wczesnego ranka, bawili się wesoło. Ich przyczepy były nowocześniejsze, z wszelkimi wygodami,

ale my byliśmy i z naszej zadowoleni, bo jednak lepiej się tam mieszało niż w namiotach.

Zwiedziliśmy całe Wybrzeże Adriatyckie, zachwycając się pięknymi krajobrazami, zabytkowymi miastami oraz różnorodną roślinnością śródziemnomorską. Najgorzej miał Władek, bo górskie drogi bardzo wąskie i kręte nie pozwalały w czasie jazdy podziwiać kierowcy mijanego krajobrazu. Często trzeba było zatrzymywać się tuż nad urwiskiem, aby przepuścić nadjeżdżający w naszą stronę inny wielki pojazd. Nie raz gęsia skórka pojawiała się ze strachu i cierpły plecy z obawy, czy aby nie wpadniemy w przepaść, w której widzieliśmy wiele rozbitych samochodów. Mimo trudnej drogi zależało nam, aby jak najwięcej zwiedzić, a nie siedzieć tylko w jednej miejscowości i wylegiwać się na plaży. Wiele kamiennych kąpielisk nie pozwalało na dłuższe leżenie, natomiast ciepła i bardzo słona woda umilała nam czas po zwiedzaniu okolicy.

Pamiętny jest dzień urodzin Beatki, kiedy to w Ičići w pobliżu Opatii nauczyła się pływać. Sprawiała i sobie, i nam wspaniały prezent. Z wysokiego kamiennego urwiska zeskakiwała strzałką do wody. Szybko pojęła sztukę pływania i od tego momentu obie dziewczynki mogły razem baraszkować i cieszyć się ochłodą w przyjemnej wodzie, kiedy to upał wprost zniewalał człowieka. Beatka zawsze w wodzie czuje się jak ryba, nie odrzuca jej, tak jak mnie, nawet bardzo zimna woda w Bałtyku. Starsza Kornelka już wcześniej nauczyła się pływać w basenie Astoria w Bydgoszczy, gdzie zawoziliśmy ją po lekcjach na kurs prowadzony przez profesjonalnego instruktora. Ten wspaniały dzień uczciliśmy kolacją w pięknej restauracji wśród rozśpiewanych gości. Jubilatka Beata miała przywilej wyboru potraw. Było smacznie i obficie. Nie sposób było zjeść wszystkiego z ogromnego półmiska. Uprzejmy kelner zaproponował nam zabranie jeszcze nietkniętych potraw i pięknie zapakował je do pojemnika. Skąd mieliśmy wiedzieć, że pod nazwą *skara* mieści się aż tyle różnych gatunków smakowitych, pieczystych mięs?

Zapamiętaliśmy też urodzinowy prezent Kory dla młodszej siostry. W Polsce używały dziewczyny zwykłych czarnych gumek, by związać włosy. Takie gumki były tępe, twarde, urywały włosy i nie stanowiły żadnej ozdoby a jedynie praktyczną pomoc w utrzymaniu porządku na głowie. W dniu urodzin Beti Kornelka znalazła w kabinie, gdzie brała prysznic, delikatną czerwoną gumkę przetykaną złotą nitką, o jakich w Polsce nawet nie wiedziałyśmy, że istnieją. Szczęśliwa z powodu niezwykłego znaleziska podarowała ją siostrze. Cóż to była za radość dla obu dziewczyn! Tę gumkę szanowała obdarowana jak najcenniejszą biżuterię i bardzo bolała, gdy wskutek ciągłego noszenia rozciągnęła się, przetała, a wreszcie pękła.

Prawdą jest, że wycieczki organizowane pozwalają lepiej wypocząć, a w hotelach wygodniej spać, ale też taki wyjazd jest o wiele droższy. Postanowiliśmy większość obiadokolacji robić w swoim zakresie. Pewnego razu podczas przygotowywania późniejszego śniadania wybuchła mi butla gazowa. Wydobytą się z niej ogień poparzył mi rękę i przypalił kawałek brwi. Ból ciała dość szybko minął, jednak strach o przyszłość moich brwi i rzęs trwał dłużej, dopóki nie rozpoczął się proces ich odrastania.

Podczas zwiedzania Jugosławii w roku 1978 widzieliśmy w Górach Dynarskich niezwykle zjawisko. Właśnie tutaj dalszą drogę zagrodziła nam góra porośnięta lasem, przesunięta podczas trzęsienia ziemi przez ruchy tektoniczne na szosę, aż do góry stojącej po lewej stronie szosy, którą zmierzaliśmy nad Adriatyk. Patrząc na ten zniszczony teren, przypomniało mi się powiedzenie „Góra z górą się nie zejda, a człowiek z człowiekiem zawsze może” i potwierdziło, że każda reguła ma wyjątek. Na własne oczy widzieliśmy, że właśnie góra z górą się zeszczyły. Wiadomo, że ta sytuacja trochę nas przeraziła, bo doszliśmy do wniosku, że to musiało się stać tuż przed naszym dotarciem, bo nikt nie zawracał stąd, a za nami zaczął gromadzić się sznur samochodów. Beata natychmiast wystraszona przytuliła się do mnie. Czym prędzej uciekaliśmy z tego niebezpiecznego miejsca w panice, co się może zaraz zdarzyć,

bo szosa już też była popękana. Tam, gdzie tym razem jechaliśmy, jeszcze nie było wielu szkód. Natomiast gdy pojechaliśmy drugi raz w 1981 r., to np. piękny kiedyś Kotor dotknięty był poważnymi zniszczeniami. Pamiętam też, że w Czarnogórze słuchałam w naszym małym radyku turystycznym o strajkach, Lechu Wałęsie i Solidarności. Z obawą wracaliśmy do Polski.

Nasze podróże z przyczepą samochodową zakończyliśmy po dwóch niebezpiecznych zdarzeniach mających miejsce podczas trzeciej eskapady w 1987 roku. Otóż w drodze powrotnej na ostrym zakręcie z Triestu do bazy noclegowej na Półwyspie Istria zapalił się silnik w naszym samochodzie. Upał niesamowity, nie ma czym zgasić dymiących przewodów, żaden z wielu przejeżdżających obok nas samochodów nie zatrzymał się z pomocą. Dość długo trwało, zanim auto mogło znów ruszyć.

Jeszcze wiele większe przerażenie nas ogarnęło podczas powrotu do domu. Kiedy na parkingu wieczorem w Bratysławie weszłam do przyczepy, aby przygotować kolację, zastałam niesamowity widok. Ubrania porzucane na podłodze, szufladki i szafki pootwierane, słoiki z ogórkami kiszonymi poprzesuwane w inne miejsce, jakaś szklanka rozbita. Tego nigdy nie było, zawsze wszystko stało czy leżało na swoim miejscu. Po obejrzeniu samochodu przez Władka okazało się, że pękł wspornik haka zaczepowego łączący samochód z przyczepą. Właściwie tylko kilka milimetrów brakowało do całkowitego przerwania i oderwania się przyczepy. Gdyśmy sobie uzmysłowili, jaka ogromna tragedia mogłaby spotkać nie tylko nas, ale i sznur samochodów ciągnących za nami, to dziękowaliśmy Opatrzności, że przypadkowo nasz postój znajdował się tuż za płotem warsztatu samochodowego. Gdzie w nocy szukać mechanika i niebezpiecznie pojechać z zepsutą częścią? Gdyby urwała się przyczepa, wszyscy znaleźlibyśmy się w przepaści, bo droga prowadziła wśród bardzo wysokich gór, głębokich dolin i niebezpiecznie ostrych zakrętów. Na szczęście szybko została usunięta usterka i szczęśliwie wróciliśmy do domu. Postanowiliśmy odtąd jeździć wygodniej i spać w hotelach. Dziewczęta

podrosły, więc również mogły samodzielnie korzystać z uroków pięknego świata. A kiedy urodziły się ich dzieci, bardzo wcześnie zabierały je w ciekawe miejsca nie tylko w naszym kraju, ale i w Europie. Gdy z kolei one wydorosłały, zaczęły podróżować same.

Spotkanie z Janem Pawłem II

Bardzo głębokim przeżyciem były dla mnie spotkania z największym Polakiem Papieżem Karolem Wojtyłą. Nasza pielgrzymka była tak wspaniale zaplanowana, że mogliśmy się z nim spotkać i w Watykanie w Bazylice św. Piotra i w Castel Gandolfo w jego letniej rezydencji usytuowanej pośród malowniczego krajobrazu. Mieliśmy ogromne szczęście, ponieważ tego dnia — 26 lipca 1990 r. po odprawionej przez Ojca św. Liturgii Eucharystii zaproponował on następujący plan:

— Kochani — zwrócił się do tłumu — wiem, że każdy z was chciałby mieć na pamiątkę zdjęcie z Papieżem, a i Papież również gorąco tego pragnie. Podejdę do każdej grupy pielgrzymkowej, a mój osobisty fotograf Arturo Mari uwieczni nas na fotografii. Jeśli dzisiejszy eksperyment się uda, tak będzie zawsze.

Ta zapowiedź wywołała ogromny entuzjazm wśród zgromadzonych tłumów. Był piękny słoneczny dzień, niebo błękitne, każda grupa na dziedzińcu przed świątynią szybko się ustawiała. Ochrona Papieża stale przestrzegała, aby go nie dotykać, nie zatrzymywać rozmową, nie przekazywać do jego rąk pamiątek, ponieważ po nie podejdzie ktoś z obsługi. Do powitania tego Wielkiego Polaka nasza bydgoska grupa wytypowała Władka.

Wszyscy w podniosłym nastroju i z wielkimi emocjami kar nie czekamy na spotkanie tej wielkiej osobowości. Papież uśmiechnięty i radosny natychmiast stworzył cudowną atmosferę dialogu. Ogromnie się ucieszył, że spotyka swoich roda-

ków przybyłych z umiłowanej Ojczyzny. Przy naszej grupie zatrzymał się wyjątkowo dłużej niż przy innych. Rozmawialiśmy z nim jak z dobrym znajomym.

Pytał, skąd przybyliśmy, wspominał piękną bydgoską Brdę i naszą Noteć, kiedy to przed laty przemierzał ich wody kajakiem. Nie wiem, jak to się stało, że niespodziewanie dostąpiłam tak wielkiego zaszczytu. Stałam razem z Basią Rozmarynowską gdzieś w środku dużej grupy, a nie na pierwszym planie. Wtem Jan Paweł II zmierza w naszym kierunku, wchodzi między nas, bierze nasze ręce w swoje dłonie i udziela papieskiego błogosławieństwa klęczącym rodakom. Z niejednej twarzy spłynęła łza świadcząca o głębokim przeżywaniu tego gestu. Wzruszenie ogarnęło nas tak wielkie, że przez godzinę w autokarze trwała niewzruszona niczym cisza, nikt nie rozmawiał, nie śpiewał. Dopiero gdy serca się uspokoiły, można było to wielkie wydarzenie jeszcze raz przeżywać, dzieląc się swoimi wrażeniami.

Przed odjazdem zakupiliśmy kilka profesjonalnie wykonanych zdjęć. Szczególnie porusza mnie uchwycona scena, gdy św. Jan Paweł II prawą swoją ręką czyni znak krzyża tuż nad moją głową, lewa jego dłoń objęła moją prawą, a ja klęcząca i bardzo wzruszona, przytulałam swój policzek do jego czułej dłoni. W lewej trzymam szkatułkę z masy perłowej, przeznaczoną na upominek dla Papieża. Pięknie uwieczniony jest też moment powitania Jana Pawła II przez Władka. Takich chwil się nie zapomina.

Józek

Przed dwoma miesiącami skończył się XX wiek. Przybywa nam lat, ubywa zdrowia. W marcu 2000 roku umarł Józek. Jeszcze w wieczór przed śmiercią jak zawsze przygotował dwa tapczany, jeden dla siebie, drugi dla Janki. Poćwiczył na rowerku. Za dwa dni miał wrócić do POM-u, aby nadal przeprowadzać przeglądy techniczne pojazdów. Nic nie wskazywało

na zbliżającą się śmierć. Rano sam się ogolił, choć już był słaby. Zmarł wieczorem w szpitalu po podłączeniu kroplówki. Była przy nim cała najbliższa rodzina. Janeczka została wdową.

Nie mogę w tym miejscu nie opowiedzieć, co mu zawdzięczam. Idąc do liceum, nie umiałam tańczyć, gdyż zabaw tanecznych w podstawówce nie było, a na wiejskie nie chodziłam. Jak więc pójść na szkolną potańcówkę w liceum? Raz w miesiącu można było pojechać do domu, a w pozostałe soboty w auli ktoś z licealistów grał na akordeonie i zabawa była gotowa. Koleżanki i koledzy prosili, abym też przyszła. Taki wstyd! Przecież nigdy nie tańczyłam! Pojechałam do Janki do Wyrzyska po pomoc. Oboje z Józkiem wzięli mnie w obroty, dobrze tańczyli. Szwagier świetnie prowadził, miał płynne, elastyczne ruchy. Nauczył mnie podstawowych kroków tanga, walca wiedeńskiego, walca angielskiego — bostona, poleczki, chodzonego. Pamiętam, że pierwsze kroki stawiałam przy piosence *Szewczyk zuch, mały chwatał bardzo, bardzo tańczyć chciał*. Magnetofonu nie było, więc sami śpiewaliśmy piosenki odpowiednie do uczonego tańca. Już nie było problemu, w jeden wieczór pojęłam wszystko, jak należy. Na potańcówki i zabawy chodziłam z przyjemnością, a że wielu tancerzy zabiegało o taniec ze mną, dlatego nigdy nie podpierałam ściany. Zawsze miałam miłe wspomnienia z wielu balów i dancingów. Z mężem byliśmy zgraną parą, a nasze bale karnawałowe, bardzo modne w czasach naszej młodości, trwały do białego rana.

Przez wszystkie lata mojego życia uwielbiałam muzykę i taniec. Nogi same chodziły w takt melodii, a moja bujna wyobraźnia sprawiała, iż oczyma duszy przenosiłam się w inny świat, świat lepszy i piękniejszy, w świat marzeń i czarów serdecznych. Podczas tańca znikwały bóle duszy i bóle ciała.

W latach 60-tych bardzo modne były szerokie, suto marszczone spódnice szyte z koła. Chciałyśmy z Janką zadawać szyku w mieście, więc Józiu zrobił nam do nich odpowiednie koła z cieniutkich prętów, by ładnie układały się na naszych biodrach.

W pierwszych latach mojej pracy w szkole uczyłam wszystkich przedmiotów, również fizyki i chemii. Bałam się, jak wyj-

dą mi doświadczenia na lekcjach i ile mi czasu zajmą, i tu znów pomocny był mi szwagier. Organizował różne potrzebne akcesoria do planowanego doświadczenia i doradzał, jak je przeprowadzić.

Wkrótce po śmierci przyśnił się Beatce. Jakby z przesłaniem z tamtej drugiej strony. Rzekł do niej:

— Nie bójcie się, nie martwcie się o nas, jest nam tutaj dobrze, nikt nie cierpi, jesteśmy szczęśliwi.

Przyśnił się jej również Sebastian. Zobaczyła go w zachwycającym krajobrazie cudownych śnieżnobiałych gór na tle błękitnego nieba. U podnóża gór lazuruwa woda otoczona bujną zielonością drzew i barwnych kwiatów. Wśród przepychu cudownej przyrody szczęśliwy Sebastian. Może to był proroczy sen? Czy może to była wskazówka dla niej, aby za kilka lat, gdy umrze Irek, jej mąż, nie zamartwiała się i nie pytała: „Czy tam Irek już nie cierpi?”.

Romantyczna historia

Po śmierci męża Janka nadal szefowała w kawiarni Jagien-ce, tym samym pomagając Leszkowi. Bez tego zajęcia nie widziała sensu życia. Wiodła spokojne życie wdowy, kochającej matki i babci. Nagle, niespodziewanie wszystko się odmieniło. Może nie tak nagle, bo dopiero moje przekonujące rozmowy nakłoniły ją do spotkania z mężczyzną, którego długa droga przywiodła do Jagienki.

Już od trzech lat czynił poszukiwania zakochany w niej jeszcze w szkole w Falmierowie Zdzisław B. Po podstawówce ich drogi się rozeszły, oboje rozjechali się do szkół. Janka pojechała do stryków w Górze Śląskiej, gdzie zdała maturę, a Zdzisław do Władysławowa do Szkoły Marynarki Morskiej.

Jeden raz przypadkiem spotkali się na zabawie, na którą Janka poszła z kuzynem. Pracę podjęła w Wyrzysku, a komandor Zdzisław nad morzem. Przez 53 lata nie mieli ze sobą żad-

nego kontaktu, jedno o drugim nic nie wiedziało. Każde już założyło swoje rodziny. Właściwie to Zdzisław napisał do Janeczki 4 listy, ale do niej dotarł tylko jeden, gdyż tato pozostałych nie przekazał. Wiedział, że sympatyzuje z Józkiem, więc po co ma to burzyć?

13 sierpnia 2006 roku Zdzisław przyjechał po raz trzeci do Wyrzyska. Długo spacerował po mieście, zaglądał do sklepów i restauracji z nadzieją spotkania swojej dawnej sympatii. Nie pytał nikogo o nią, bo obawiał się, czy nie robi jej przykrości, gdyby o tym ktoś doniósł mężowi, jeśli go ma. Postanowił pojechać do źródeł, czyli do Gromadna. I tam na cmentarzu podczas odwiedzin grobu swojego dziadka nadarzyła się okazja do rozmowy o Chorabikach. Po „nitce do kłębka” dowiedział się, że Jania żyje i pracuje w restauracji Jagienka w Wyrzysku. Już wiedział, co robić. Przy bufecie poprosił kelnerkę o spotkanie z Janiną. A ona długo zwlekała z odpowiedzią. Dopiero po telefonicznej konsultacji ze mną na drugi dzień spotkała się z nim w kawiarni.

Okazało się, że oboje już od kilku długich lat są osobami wolnymi. Zdzisław nieśmiało wspominał o przyszłym związku, lecz siostra jeszcze długo nie chciała się zdecydować na ślub. Zaczęły się codzienne telefony od po raz drugi zakochanego Zdzisława. Codzienne czułe, pełne tęsknoty kartki pocztowe i listy. Wyjazdy do wielu atrakcyjnych miejsc. Byłam z nimi w Ciechocinku, bowiem chciałyśmy zaobserwować, jakim człowiekiem jest mój przyszły szwagier i czy moją siostrę mogą oddać w ręce tego mężczyzny. Na dancingach pięknie się prezentowali, wirowali w tańcu. Otrzymywali wielki aplauz i gratulacje za klasę oraz grację. Różne wydarzenia, podczas których okazywał się dobrym i czułym człowiekiem, sprawiły, że jeszcze bardziej przekonałam się o jego miłości i pełnym oddaniu swojej pierwszej miłości.

Kiedy pod koniec listopada podczas sumy w ciechocińskim kościele Janka straciła przytomność i runęła na posadzkę jak długa, przerażony tłum wiernych natychmiast się rozstał, robiąc drogę Zdzichowi niosącemu bezwładną kobietę. Oboje

już niemłodzi, a on prawie biegł, by na powietrzu wrócił jej oddech. Oczywiście wszyscy chcieli się zająć bezsilną chorą. Od razu przybiegli lekarze i kiedy Janka otworzyła oczy, Zdzisław natychmiast czule do niej przemówił:

— Widzisz, Janiu, jakie kruche jest życie? Nie czekajmy do wiosny. Spotkajmy się na święta. Zostań już teraz moją żoną.

Podczas jego przyjazdu do Wyrzyska zawsze nocował w hotelu, bo Janka bała się, co ludzie powiedzą, jeśli przyjdzie do jej mieszkania. Przekonałam ją więc, że jednak najlepszym rozwiązaniem będzie ślub. A ludzie zawsze będą gadać.

— Niejedna kobieta ci zazdrości, uwierz mi — perswadowałam.

Tak więc nastąpił ich ślub. Bukieciak ślubny tworzyły błękitne niezapominajki, choć to był dopiero marzec. Miłość dodaje sił, bez niej nie byłiby w stanie z wdziękiem tańczyć całą noc. Zaczęły się piękne dni, wycieczki szlakiem młodości, poznawanie nowej rodziny, wyjazdy na wczasy lecznicze. Żyć, nie umierać.

— Zdzisław to chodzący anioł. Wyręcza mnie w każdej pracy domowej i w dokumentacji kawiarnianej. Nigdy o nic się nie denerwuje, jest łagodny i zawsze ma dobry humor — relacjonowała siostra.

Można by rzec: „Trwaj chwilo, jesteś piękna!”

Niestety. W słoneczny, ciepły dzień kwietniowy pojechali do lasu na spacer, by zaczerpnąć wiosennego powietrza. Wszystko budziło się do życia, świeża zieleń różnych gatunków drzew i krzewów cieszyła oczy, wczesnowiosenne kwiatki uśmiechały się do spacerujących, nad głowami trwał ptasi koncert na wiele głosów. Lekki zefirek i ciepłe promienie słoneczne dodawały radości. Janeczka szczęśliwa, bo już wyszła z udaru mózgu, który ją dopadł przed miesiącem. Zdzisław radosny, że wszystko się układa. Dnie są coraz dłuższe, piękniejsze. Planują wyjazd nad morze, bo Jania potrzebuje jodu dla tarczycy. I dla serca, które po zawale nie pracuje jak należy. Od kilku lat wspomaga je stymulator.

— Zobacz jakie piękne kwiaty, zerwiemy kilka do wazonu. — zaproponowała Janka.

Nagle omsknęła się jej noga, mimo iż trzymała męża pod rękę. Nastąpiło złamanie nogi, bardzo skomplikowane, z przemieszczeniem. Po operacji w Pile nic nie wskazywało na mającą się rozegrać tragedię. Zdzisław był u niej każdego dnia od rana do wieczora. Pielęgnował jak najlepsza opiekunka, rozśmieszał, aby się nie smuciła, masował stopy i dłonie oraz plecy, by się nie rozwinęło zapalenie płuc, bo dużo leżała na wznak. Wszyscyśmy ją odwiedzali, nie przeczuwając, że coś złego może się wydarzyć. Na poniedziałek planowano wypis do domu. Ustalono z lekarzem zamianę gipsu z ciężkiego na lekki. Nieważne były koszty, najważniejsze, aby Jania miała wygodę.

Rankiem 3 maja podano chorej tabletki w pozycji półleżącej. Współtowarzysze z sali widzieli, że siostra się zakrztusiła i wkrótce straciła przytomność. I już jej nie odzyskała...

Natychmiast pojechaliśmy do chorej. Zastaliśmy opłakany widok. Janeczka śmiertelnie blada, lodowate nogi i ręce, którym nie pomagały czułe masaże Zdzisława. Szwagier jeszcze wciąż łudził się nadzieją, że za chwilę otworzy oczy i zaraz się uśmiechnie. EKG wskazywało słabą krzywą, ale ja byłam pewna, że jej z nami już nie ma. Miała przecież stymulator serca tykający na baterie. Święto, lekarza nie widać, obsługa wołała się nie pokazywać. Uzyskaliśmy tylko informacje:

— Stan chorej ciężki, prawdopodobnie skrzep się urwał, serce nie przetrzymało wysiłku...

Dopiero rankiem zadzwonili, że zmarła w nocy. Myślę, że nie chcieli nam wcześniej powiedzieć prawdy. Odeszła ci-chutko, przeżywszy 77 lat. Miała jeszcze tyle planów.

Jakże nieprzewidywalne są wyroki losu. Tego nikt się nie spodziewał, a szczególnie, że właśnie z takiego, wydawałoby się błahego, powodu Janka nas opuści. Kobieta zajmująca się sprawami kawiarni, będącej jej życiem do ostatnich dni. Od lat Jagienka była ich gniazdem rodzinnym, co-

dziennie odbywały się tu spotkania z synami, omawianie planów, radości i niepowodzeń.

Kawiarnia Jagienka to miejsce również ważne dla nas.

Przeżyliśmy w niej wiele wesel i styp członków naszej rodziny. Po śmierci moich rodziców gromadziliśmy się tam wszyscy w każde Święto Zmarłych po mszy św. odprawianej na cmentarzu. Na ogół zmarznęci po długich wędrówkach na różnych cmentarzach i czuwaniu modlitewnym nad mogiłą rodziców i dziadków z przyjemnością zasiadaliśmy przy długim stole z gorącym rosołem, barszczykiem z kultowymi przepyszными pasztecikami i zestawem różnych mięs i ciast. Wszystko smaczne, bo w Jagience była zawsze znakomita kuchnia jak w domu. Po rozgrzaniu i zaspokojeniu pustych żołądków snuliśmy wspomnienia z życia osób, które już odeszły. Każdy z nas miał swoje przeżycia, które zdarzały się tylko podczas jego obecności, a że było nas wielu, to do kuferka pamięci wciąż dochodziły nowe historie i anegdoty, tworzące cały długi łańcuch rodzinnych wspomnień. Przez 30 lat witała nas i gościła Janeczka. Nikt nie przypuszczał, że tak nagle i niespodziewanie i jej życie zgaśnie. Teraz, kiedy jej ducha zabrakło, nasze spotkania rodzinne stały się smutne. Tym bardziej, że zdawaliśmy sobie sprawę z trudnej sytuacji Leszka, bo stracił dobrego przewodnika, a jego choroby nasilały się coraz bardziej. Jak on sobie poradzi z restauracją bez niej?

A ja? Ja straciłam drugą matkę, przyjaciela, siostrę ukochaną gotową nieść każdą pomoc, jeśli jej potrzebowałam. To strata niepojęta. Jak żyć bez codziennych z nią rozmów, wspomnień, jak pić w samotności bez niej kawę przedpołudniową. Od 35 lat rozdzwaniały się nasze telefony, oznajmiające, że któraś z nas zaraz włączy wodę w czajniku na kawusię ze śmietanką. Delektując się pić smacznego napoju, zdawałyśmy sobie nawzajem długie sprawozdania z ostatnich wydarzeń osobistych, rodzinnych i politycznych. Teraz pocieszało mnie tylko to, że kilka ostatnich lat spędziła z dobrym, opiekuńczym człowiekiem.

Ale nie zostawiła mnie zupełnie samej. Nawiedzała mnie w snach szczególnie często, gdy jej syn śmiertelnie zachoro-

wał. Zauważyłam, że większość naszych nocnych spotkań odbywa się albo na cmentarzu obok wykopanego dołu grobowego, albo w kościele. I często przy niej stał Leszek. Miałam przeczucie, że wkrótce go zabierze. I rzeczywiście były to pro-
roczne sny. Nie pamiętam rozmów, bo na ogół śni się obrazy, jednak dokładnie wryły mi się w serce i pamięć wypowiedziane do mnie jednej nocy słowa: *Wandziu, najważniejsze w życiu to wiara, nadzieja i miłość.*

Beti i Irek

Pod koniec pierwszej klasy ogólniaka Beatka razem z kilkoma osobami z zastępu pojechała do Matecznika w Olsztynie na trwający kilka dni Zlot Harcerzy. Tam poznała Tomka z Prabut i dla niego zrezygnowała ze wszystkich swoich dotychczasowych kolegów. Do naszego domu od jakiegoś czasu przychodziło kilku miłych chłopaków, stale dzwoniły telefony, przychodziły kartki i listy, a Beatki serduszko w różnych fazach znajomości to przyspieszało, to zwalniało rytm swego bicia. Pamiętam, jak pewnego dnia przyszła do niej kartka cała zapisana zdaniem „Przepraszam, że Cię tak bardzo kocham!”

Ślub Beatki z Tomkiem odbył się po jej pierwszym roku studiów na WSP. Już ceremonia cywilna, jak potem stwierdziliśmy, zapowiadała dalszy ciąg tego związku. Gdy urzędnik odczytał oficjalną formułkę zawierającą pytanie o chęć zawarcia małżeństwa, Tomek od razu przytaknął, a Beti milczała jak zakłęta. Zapadła przejmująca cisza, wszyscy zgromadzeni zamarli z niepokojem, czekając na ciąg dalszy. Pytanie zostało odczytane drugi raz, a przyszła panna młoda wciąż milczała i płakała. Wreszcie, po naprawdę długim i ściskającym serce wahaniu, wydusiła swoją zgodę. Nikt jej do tego małżeństwa nie zmuszał, była bardzo zakochana w Tomku, a jednak intuicja jej podpowiadała, że to nie jest odpowiedni partner dla niej, że nie będzie z nim szczęśliwa.

Wkrótce urodziła się nasza pierwsza ukochana wnusia Ewunia. Zajęcia na uczelni w Bydgoszczy potrafiła nasza córka tak sobie ułożyć, że jeszcze będąc w ciąży, część egzaminów zdała wcześniej, by mieć więcej czasu na opiekę nad mającym się urodzić dzieckiem. Zrezygnowała z akademika, dojeżdżała z Nakła. Byłam z niej dumna, że nie przerywa studiów, nie bierze urlopów ani zwolnień, lecz jak taran idzie do przodu. Bez trudu łączyła obowiązki studentki i matki. Będąc studentką V roku filologii polskiej podjęła pracę nauczycielki w szkole. W przyszłości ukończy studia podyplomowe — oligofrenopedagogikę.

Harcerskie małżeństwo nie było sielanką i nie przetrwało próby wspólnego, dojrzałego i odpowiedzialnego życia. Znowu pojawił się Irek... Ten chłopak zwrócił uwagę na moją córkę, gdy ta była w siódmej klasie szkoły podstawowej. Wpadła mu w oko, kiedy oboje kibicowali przejeżdżającym przez Nakło kolarzom wyścigu kolarskiego. Stałam na chodniku i widziałam podjeżdżającego rowerem nieznanego, miłego chłopaka. Pamiętam jego promienny uśmiech i radosne, niebieskie oczy spoglądające na kogoś w tłumie ludzi oczekujących na kolarzy. Wówczas jeszcze nie wiedziałam, że ten ciepły wzrok jest skierowany na moją Beatkę. Nie było nikogo, kto mógłby ich ze sobą poznać, więc oczarowany chłopak rozpoczął codzienne wieczorne spacerować przed naszymi blokami, aby spotkać Beti. Nie dało się nie zauważyć, że wodzi za nią wzrokiem, przygląda się z upodobaniem. Nie miał jednak odwagi na rozmowę, wymieniali więc tylko uśmiechy. Mijały wakacje, przez dwa miesiące Irek stał pod blokiem, wypatrując ukochanej. Czasami chodził na klatkę schodową do bloku stojącego naprzeciwko naszego, z nadzieją ujrzania dziewczyny w oknie pokoju albo chociaż jej cienia przesuwającego się za firanką. Do dziś wspominamy zabawną historię. Otóż w tym czasie z więzienia w Potulicach uciekło kilku więźniów. Ogłaszano na ten temat komunikaty i apelowano do mieszkańców o pomoc w ujęciu zbiegów. Irek bardzo lubił nosić szerokie spodnie z jasnego płótna, które jak nic mogły przypominać więzienne drelichy.

Mieszkanka bloku, w którego klatce stał zakochany, podejrzewała, iż jest on jednym z uciekinierów i wezwała milicję. Młodzieniec nie miał przy sobie żadnego dowodu tożsamości i długo nie chciał się przyznać, dlaczego przebywa na klatce. Obawiał się, że milicja, chcąc sprawdzić jego prawdomówność, pójdzie do domu wybranki i ona będzie miała z tego powodu nieprzyjemności. Przecież wtedy jeszcze nie znali nawet swoich imion! Kiedy jednak zabrali go na komendę i zagrozili dłuższym zatrzymaniem, wszystko opowiedział, prosząc o zachowanie tajemnicy przed rodzicami dziewczyny. O dziwo władza przyjęła ze zrozumieniem to wyznanie. Odwieziono Irka do domu, aby jego rodzice potwierdzili tożsamość syna.

Chłopak był bardzo wytrwały i ujmujący w swej romantycznej miłości. Rano, przed lekcjami, zawieszał bukieciki fiołków na klamce naszego mieszkania, dzwonił do drzwi i szybko uciekał, myśląc, że nie zostanie zauważony. Wreszcie odważył się na zawarcie znajomości, odezwał się i poprosił o rozmowę. Irek miał wtedy 18 lat, a Beatka 14. Młodzi pisali do siebie listy, jakiś czas się spotykali, ale Beti wydał się on już dorosłym i przez to nieodpowiednim dla niej chłopakiem. Pozostali na stopie koleżeńskiej. Irek był zakochany od pierwszego wejrzenia i jego uczucie wciąż trwało niezmiennie. Wciąż czekał, liczył, że w Beatce dojrzeje wzajemne uczucie. Był oddanym i cierpliwym przyjacielem, który wszystko wybaczał, cicho i z boku podpatrywał jej życie. Beti miała już roczną córeczkę i dojeżdżała pociągiem na zajęcia. Przypadkiem na stacji kolejowej w Bydgoszczy spotkała Irka, z którym nie rozmawiała dwa lata, ostatnie listy wymieniali, gdy ten był w wojsku, a córka kończyła liceum. Okazało się, że tematy im się nie kończą, a wzajemne towarzystwo daje wiele radości. Irek był wciąż samotny, mało tego — nie miał po Beatce żadnej dziewczyny i wciąż darzył ją głębokim uczuciem. Stał się prawdziwym przyjacielem w trudnym okresie życia swojej wymarzonej. Pokochał malutką Ewunię jak własną córkę, był przy niej, gdy się rozwijała i dorastała. Zabierał ją na długie wyprawy, pielęgnował w chorobie, bawił się z nią,

uczył jeździć na rowerze, usypiał, robiąc teatrzyki na dobranoc. Beatka, widząc, jak wspaniałym jest ojcem dla Ewki i z jakim oddaniem, cierpliwością i pełną akceptacją wciąż darzy ją miłością, nie mogła się oprzeć sile jego uczucia i je odwzajemniła. Irek dopiął swego! Z ich związku urodził się Adaś w 2002 roku, a w 2008 roku wzięli ślub. Miało być jak w raj, Ewa i Adam oraz szczęśliwi rodzice. Niestety, tak nie było.

Irek zaczął chorować. Mimo licznych wizyt żaden z nakielskich lekarzy nie potrafił właściwie zdiagnozować jego dolegliwości. Dopiero gdy nieprzytomny padł przed szpitalem, pogotowie zabrało go do szpitala Jurasza w Bydgoszczy. Okazało się, że jego nerki już nie pracują. Cały napuchł, nie oddawał moczu, wciąż spał, w oku wylew krwi. Musiał zostać dializowany, aby odtruć organizm i uratować jego życie. Lekarze jednak nie kwapili się z podjęciem tych zabiegów. Dopiero po interwencji Władka dializy ruszyły. Przez dwa lata zabiegów życie nie było łatwe: liczne ograniczenia dietetyczne, reżim płynowy, toksyny zatruwające organizm, częste bóle szczękowe, migreny, słabość. Trzy razy w tygodniu po cztery godziny dializ w Bydgoszczy. Tak naprawdę to te dni były całkowicie zajęte przez chorobę, najpierw zabieg a potem dochodzenie do siebie. Na szczęście po dwóch latach zdarzył się oczekiwany przeszczep nerki, cóż to była za radość dla wszystkich! Irek dostał nowe życie, które trwało kolejnych dwanaście lat. Najszcześniejsze dwanaście lat ich życia: wychowywanie dzieci, podróże, współpraca ze Studiem Borowski, budowa domu.

Nowa nerka przywróciła Irkowi siły. Mógł wrócić do działalności zawodowej.

Władek odstąpił zięciowi warsztat w Lubaszczu, tam Irek wykonywał metalowe elementy. Poza rodziną dla Irka liczyła się tylko praca, ona była jego prawdziwą pasją. Był witrażystą. Gdy opanował już umiejętność wykonywania witraży, sam je projektował i tworzył, sprzedawał w galeriach i dla klientów indywidualnych. Robił witraże płaskie, lampy, misy, świeczniki, wszystko to bardzo misterne i wyszukane, niepowtarzalne.

Razem z Beti, Ewunią i Adasiem żyli naprawdę szczęśliwie, ale zły los znów sobie o nich przypomniał. W lutym 2010 roku nastąpił odrzut przeszczepionej nerki. Już dłuższy czas Irek czuł się nie najlepiej, dłużej nie można było zwlekać z dializami, organizm był zbyt zatruty. Na szczęście praca w warsztacie szła doskonale. Irek miał wszystko dopięte na ostatni guzik, projekty skatalogowane, przyrządy gotowe. Praca mogła iść mimo jego choroby. Obawiając się przyszłości, czując, że choroba się znów zbliża, przygotował wszystko tak, by móc jedynie nadzorować wykonywanie produktów. Na szczęście miał dwóch zaufanych pracowników, którzy wiedzieli, jak wykonywać poszczególne rzeźby, bo tworzyli je z Irkiem. Również Władek, już jako emeryt chętnie przyjeżdżał do warsztatu i pomagał przy niektórych pracach. Jak dobrze, że tak robił, bo mógł przejąć pracę w warsztacie i dzięki temu pomagać Beti w utrzymaniu rodziny, gdy zięć się rozchorował. Cały ich świat niespodziewanie runął 23.03.2010 roku...

Pięć lat później 14.01.2015 r. po spotkaniu z Beti i jej mężem dziennikarka Jolanta Zielażna w „Gazecie Pomorskiej” opublikowała artykuł o Irku pt. *Rzeźbiarz życia. Kuty metal, szkło, tętniak i obrazy. Irka życie „przed” i „po”*

(...) Gdy pękł tętniak, Irek przeszedł 12-godzinną operację. Nastąpiło nagłe zatrzymanie krążenia, później trzy tygodnie w śpiączce, podejrzewano śmierć mózgu... Rokowania były najgorsze.

Tętniak przeciął życie Ireneusza Gacy na dwie części: „przed” i „po”. Ta „po” jest dziesięć razy krótsza od „przed”, ale nieporównanie bardziej trudna. Jeszcze do niedawna wypełniała ten czas niemal wyłącznie rehabilitacja. Najpierw żmudna walka z porażeniem rąk i nóg, później — o każdy centymetr większej samodzielności, o pamięć, a przede wszystkim — chęć do życia i działania.

O swojej przygodzie ze szkłem Irek może opowiadać długo i barwnie. Choć mówi wolno, czasami się zacina, pozostał inteligentny dowcip, autoironia. Póki nie uświadomi sobie, że to już zamknięty rozdział życia.

Przez kilka lat miał własną pracownię witraży. Któregoś razu w hucie szkła „Irena” zaczął Gacę Marek Pekel, właściciel huty szkła w Żarach. Zaczęła się znajomość, zlecenia. Po jakimś czasie Pekel zabrał Irka do Borowskich.

Studio Borowsky w Tomaszowie Bolesławieckim to szkło artystyczne z najwyższej półki, znane w świecie — w Polsce mniej. Trzech braci kontynuuje i rozwija hutę oraz galerię, którą przed laty zapoczątkował ich ojciec Stanisław. Stanisław Borowski szukał kogoś, kto w metalu wykona projekty jego syna Pawła: części rzeźb i przedmiotów użytkowych, tak zwanych outdoorowych, czyli prezentowanych na zewnątrz, w ogrodach, parkach itp. Praca Irka spodobała się seniorowi Borowskiemu. Został współpracownikiem Studia. Nie w szkłe, ale w metalu. Współpraca ze Studiem Borowski trwała już kilka lat. Irek miał pracę, która była pasją i pasję, która dawała pracę. Przyszedł marzec 2010 rok i nagle... Trrraach! Pękł tętniak aorty piersiowej. 12-godzinna operacja, zatrzymanie krążenia, śpiączka.

— Lekarze mówią, że to my go obudziliśmy, bo nikt nie dawał wiary, że przeżyje — z trudem opowiada Beata.

Codziennie po pracy żona ze swoją siostrą a czasem też jej mężem byli przy nim, opowiadali, wspominali. Mąż Beaty obudził się po trzech tygodniach, ale był jak kłoda drewna. Nie ruszał ręką ani nogą, nie poznawał bliskich, nie pamiętał. Serce wspomagał rozrusznik. Przeszedł kilka trudnych operacji, zanim wreszcie opuścił bydgoski szpital Jurasza po pięciu miesiącach.

Później żaden szpital w Bydgoszczy i okolicy nie chciał go przyjąć na rehabilitację. Drogę zamykały mu odleżyny, które pojawiły się podczas śpiączki. W końcu szwagier Janusz załatwił rehabilitację w Tarnowskich Górach. Wrócił stamtąd do szpitala w Nakle po 3 tygodniach, gdyż zachorował na zapalenie płuc. Po miesiącu trafił na oddział rehabilitacyjny w Smukale. Tu, po ośmiu miesiącach, pierwszy raz samodzielnie wstał z fotela. Wstał, z chodzeniem było jeszcze kiepsko. Wcześniej zaczął samodzielnie jeść łyżką. Do domu wrócił po 9 miesiącach, na Boże Narodzenie 2010 r. Na wózku, całkowicie zdany na pomoc innych. Świadomość własnej niemocy nie da-

wała ochoty do życia. To był bardzo trudny dla wszystkich czas.

— Bez ciągłego wsparcia moich rodziców, dzieci, Kory i jej męża, Irek nie byłby teraz taki, jaki jest — kilka razy podkreśla Beata.

Wreszcie, gdy już na tyle ruszał jedną ręką, że mógł pisać, na komputerze wystukał: „Dla mojej ukochanej Betuś, bez której nie istnieję. Jesteś moją pamięcią, moim wszystkim”. Ta kartka ciągle wisi w pokoju i przypomina.

Mimo ogromnych postępów w rehabilitacji Irek nie odzyskał pełnej sprawności. Chodzi samodzielnie, dość dobrze radzi sobie prawą ręką. Lewa jest zupełnie niesprawna.

Kontakt ze Studiem Borowski przetrwał. Oprócz układów biznesowych łączą ich teraz przyjacielskie relacje. Paweł Borowski nie opuścił swojego współpracownika w potrzebie.

— Nie znam osoby, która z taką pokorą podchodzi do życia — mówi Paweł Borowski o Irku Gacy. — Cenię go jako osobę bardzo dzielnie radzącą sobie w życiu, nieuzalającą się. Nie trzeba szukać daleko, by znaleźć ludzi przekraczających granice swoich możliwości.

Żadne słowa nie oddadzą tego, jak trudne, pełne bólu i ciągłego cierpienia stało się życie Irka, Beatki i ich dzieci, którzy na co dzień pomagali mu zmagać się z chorobą. Pięć lat nieustannej walki o życie, wizyt lekarskich, pobyków w szpitalu. Mimo iż miał tyle licznych chorób, jego śmierć 25.05.2015 r. była wstrząsem i niepowetowaną stratą dla całej rodziny. Odszedł człowiek cierpliwy, dobry, łagodny. Niezastąpiony dla Beti. Odszedł mój dobry zięć, który zawsze, nawet wtedy, gdy sam był bardzo słaby i cierpiący, interesował się moim stanem zdrowia. Podziwiałam go za bohaterską walkę o każdą chwilę życia, a przede wszystkim za to, że wykorzystał każdy lepszy dzień na tworzenie czegoś pięknego, swoich niepowtarzalnych dzieł pełnych artyzmu ukazujących jego bogaty świat wewnętrzny. Ileż miał w sobie samozaparcia. Jestem pewna, że miłość wzajemna dodawała mu mocy.

Irka już nie ma, ale w całym mieszkaniu na każdym kroku widzimy jego rękodzieła, można rzec, to jedna wielka galeria. Gdzie spojrzeć, stoją jego piękne, misterne lampy witrażowe, świeczniki, obrazy, prace ze szkła i metalu. Zostawił po sobie liczne ślady twórczego życia.

SOLI DEO – moja pasja

Na początku roku 2003 znalazłam kolejną piękną pasję. Otóż podczas wspólnych śpiewów na spotkaniu absolwentów mojego liceum zorganizowanego przez Eugenię Czyż, słysząc mój głos Jolanta Matusiak, zaprosiła mnie do chóru Soli Deo. Ucieszyłam się i już na najbliższej próbie zgłosiłam się na przesłuchanie. Wolałabym śpiewać w sopranie, tak jak to było w licealnym chórze, zespole wokalnym u Czesława Dyląga czy podczas studiów w Bydgoszczy, ale tutaj była potrzeba zasilenia altów. I tak zostało do dzisiaj. W amatorskim czterogłosowym chórze a cappella śpiewam już 15 lat i stale czerpię z tego wielką przyjemność. Chór to moja pasja, to moje drugie życie, to motor do ciągłego działania i rozwijania się. W krótkim czasie okazało się, że chór nie posiada kroniki. Zabrałam się za jej prowadzenie od 2000 roku. Teraz mamy dokładny opis naszej działalności ilustrowany fotografiami, artykułami z prasy, dyplomami, podziękowaniami itp.

Ucieszyło mnie również wstąpienie do chóru Eli, mojej siostry, i jej pomoc w prowadzeniu księgowości przez trzy lata.

Wraz ze zmianą proboszcza chór ma kłopoty finansowe. Problemem jest utrzymanie dyrygenta. W trosce o dalsze istnienie zespołu, proponuję w 2004 r. założenie stowarzyszenia *Nakielsis Deo*, które, mając osobowość prawną, będzie mogło zdobywać fundusze na działalność chóru.

Nie mamy dyrygenta i nie mamy środków finansowych. Na kilka tygodni zawieszone są próby. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w Górcie Klasztornej udaje mi się namówić

do współpracy dyrygentkę dr Grażynę Wolter, a dopiero za kilka miesięcy zdobywamy grant na wynagrodzenie dla niej.

Działam całkowicie społecznie, nawet swoją nagrodę otrzymaną ze starostwa natychmiast przelałam na potrzeby chóru. Podczas uroczystej promocji albumu burmistrz, doceniając moją pracę, odczytał następujący list:

Prezes

*Nakielskiego Stowarzyszenia Nakielsis Deo
i Nakielskiego Chóru Kameralnego Soli Deo
Pani Helena Kwadrans*

„Człowiek jest wielki nie tym, co ma, lecz tym, czym potrafi dzielić się z innymi.”

Jest to motto, które znakomicie oddaje Pani charakter. Właśnie Pani jest jedną z tych nielicznych osób o sercu szczególnie. Niezwykłość Pani działania polega na tym, że w umiejętny sposób łączy Pani pasję tworzenia z żyłką autentycznego społecznika. Jest Pani nie tylko prezesem, ale też menedżerem, kronikarzem, swoistym mentorem chóru i jego spiritus movens. Pani zaangażowanie i bezinteresowność połączone z wolą realizacji tego, co piękne, przełożyło się na działalność w Nakielskim Chórze Kameralnym, który na stałe wpisał się w krajobraz naszej małej Ojczyzny i znakomicie promuje ją poza jej granicami. Efektem tych działań są dwie płyty i dwie publikacje ukazujące twórczość i działalność chóru. Dziękując za trud krzewienia kultury muzycznej, życzę Pani dalszej samorealizacji w tym, co Pani lubi i kocha, by spełniając swe marzenia, w zdrowiu, pogodzie ducha i z uśmiechem na ustach, kroczyła Pani przez życie.

*Zenon Grzegorek —
Burmistrz Miasta i Gminy Nakło nad Notecią
Nakło, 9 grudnia 2009*

Jestem bardzo zadowolona z moich dokonań na rzecz chóru. Najbardziej cieszą przygotowane przeze mnie do druku (w roku 2009 oraz 2011) dwie edycje albumu *Pieśni mojej duszy*, zawierające dwie płyty CD: *Gaude Mater* z 25 pieśniami sakralnymi i świeckimi oraz *Nad Betlejem* z 17 kolędami. Z myślą o osobach starszych i niepełnosprawnych na każdej płycie umieściliśmy odczytywany przez autora, Władysława Horabika poemat, utwór przepełniony miłością do ojczyzny, Boga i muzyki. Inspiracją do napisania poematu stały się koncerty chóru. Do albumu dołączyłam spisane przeze mnie: historię chóru pt. *Nasz Chór — moja pasja* i *Historię Nakła* w pigułce oraz poemat. W II edycji w mojej książeczce dodałam nowe rozdziały, treści zostały zaktualizowane. Władek Horabik także zrobił pewne zmiany i swój poemat upiększył muzyką Fryderyka Chopina.

Stworzenie tego pięknego albumu było bardzo żmudną pracą.

Większość utworów wyszukałam głównie z nagrań koncertów, które zarejestrował kamerą video mój mąż. Wielu pieśni już chór nie śpiewa, zmieniali się dyrygenci, a z nimi repertuar. Kolejno prowadzili chór dyrygenci: Radosław Wilkiewicz, Monika Wilkiewicz, Grażyna Wolter-Kaźmierczak, Joanna Sobowiec-Jamioł, Marta Ronek-Koślińska oraz Michał Gacka.

Miałam marzenie, aby te piękne perełki wyciągnąć z lamusa i ocalić od zapomnienia. Udało się! Bez tych płyt nikt już by nie wiedział, jakie pieśni chór posiadał w swoim repertuarze i jak one brzmiały.

Na 15-lecie chóru wydałam płytę *Bóg się rodzi* z 24 kolędami.

W tym roku postanowiłam wydać hity śpiewane przez chór pod dyrygenturą Michała Gacki w latach 2011–2018.

Ogółem wydałam 5000 płyt w wykonaniu naszego chóru. Przyczyniły się one do promocji w kraju i zagranicą nie tylko chóru, ale i Nakła.

Ogromnie się cieszę, że udało mi się zdobyć środki z różnych źródeł na wyjazd zespołu do Wilna, Trok, Pragi, Rzymu,

Florencji, Toskanii na festiwalu chórów, i to za przysłowiową złotówkę. Od początku swego istnienia chór koncertował 276 razy w wielu miastach i wszędzie uzyskiwał wielki aplauz. W 16 konkursach ogólnopolskich aż 15 razy znaleźliśmy się w gronie laureatów. To cieszy i mobilizuje do dalszej działalności.

Na początku 2018 roku spotkała mnie miła niespodzianka. Otrzymałam Nominację Kapituły Redakcji „Gazety Pomorskiej” do tytułu Osobowość Roku 2017 w kategorii Kultura za promowanie tradycji chóralnych. Dostałam zaszczytu, bo ktoś mnie docenił i zgłosił do udziału w plebiscycie gazety o zasięgu wojewódzkim.

O wyniku plebiscytu decydowała ilość smsów wysłanych na poszczególnych nominowanych. 6.02.2018 zakończyło się głosowanie. Zdobyłam 706 głosów i tym samym II miejsce w powiecie nakielskim. Muszę przyznać, że w najśmielszych oczekiwaniach nie spodziewałam się aż tak wysokiego poparcia wśród znajomych i oczywiście rodziny. Jestem usatysfakcjonowana, ponieważ spośród 24 nominowanych w Nakle, Kcyni i Szubinie w czterech różnych kategoriach nikt nie uzyskał większej ode mnie liczby smsów. Najbardziej sobie cenię zdobycie I miejsca wśród kandydatów będących mieszkańcami mojego miasta Nakła.

Miło jest wygrać, ale nie to jest najważniejsze. Zacytuje Pierre’a de Cuberta — ojca Nowożytnego Ruchu Olimpijskiego: „Nie chodzi o wygrywanie, ale o zaszczyt wzięcia udziału w igrzyskach”.

Uzdrowiająca moc ogrodu

Nie sposób nie wspomnieć o mojej najnowszej pasji, która mną zawładnęła przed kilku laty. Stało się to wówczas, gdy moje córki wyprowadziły się z bloków i zamieszkały z rodzinami w nowo wybudowanych domach, niedaleko siebie. Je-

stem bardzo szczęśliwa, że teraz mogą się cieszyć dużymi przestrzeniami wewnątrz i pięknym otoczeniem żywej przyrody wokół swoich domostw. Każda ma inaczej urządzone mieszkanie i inny ogród. I to jest bardzo dobre, bo nic się nie powtarza, nic nie jest powielone. Każda ma inny styl.

Kornelia i Janusz do założenia swojego ogrodu zaprosili profesjonalnego fachowca. Wszystko zaplanowane, wymierzone, posadzone drzewka, krzewy i byliny. Jest elegancko i pięknie. Przyjemnie jest odpoczywać w tak miłym otoczeniu przypominającym ogrody z południowej Europy. Różnorodne w kolorach i gatunkach krzewy cały rok stanowią piękną ozdobę posesji. Przed wejściem do domu i na tarasie w ogromnych donicach i skrzynkach uśmiechają się do nas zmieniające się w każdym sezonie inne kwiaty. Kora musi się wciąż wokół nich uwijać, nawozić, by pięknie kwitły, skubać zwędłe kwiatki, dbać o taras, który co rusz jest pełen opadających liści z gęsto okalających go roślin. Przycinanie krzewów i drzew to już zadanie Janusza, który również chętnie działa w ogrodzie, odprężając się po umysłowym wysiłku w pracy. Każdej wiosny bardzo lubię chociaż częściowo uczestniczyć w ich pracy, pomagając córce przy nasadach i sprawiając jednocześnie sobie wielką przyjemność. Czekam tylko na jej wezwanie i bardzo chętnie przybywam z odsieczą.

U Beatki jest bardziej złożona sytuacja. Wkrótce po wybudowaniu domu Irek bardzo poważnie zachorował i nie mógł już w niczym pomagać, bo sam potrzebował ciągłej pomocy. Zielony drewniany płot przed ich domem postawili Janusz, Władek i Rysiek. Szczodrzy Kora i Janusz zadbali o posianie trawnika za budynkiem i otoczenie tujami całej działki na Goździkowej. Córka z dziećmi nie poradziłaby sobie sama z tą dość dużą połacią przydomowego gruntu. Postanowiłyśmy więc same sukcesywnie upiększać przestrzeń wokół domu. Naszym głównym doradcą była Kora jako już doświadczona ogrodniczka. U Beti jest stale dużo pracy od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Ogród mieni się masą przeróżnych kwiatów wieloletnich i jednorocznych oraz ozdobnych krzewów. Każda

roślinka cieszy, a każda decyzja usunięcia zbyt gęstych wzrostów, choć bardzo potrzebna, trochę smuci. Czasami poza plecami Beatki udaje mi się wyrzucić nadmiar rozsianych lub za bardzo rozkorzenionych okazów. Zdarzają się też zaciekle dyskusje między nami przy tworzeniu nowych klombów, ale zawsze po ich zakończeniu i dojściu do konsensusu, zaśmiewamy się z siebie do łez. Lubimy też rozmnażać i przesadzać rośliny, czym same sobie dodajemy pracy. Gdziekolwiek spojrzeć, wzrok pada na wielobarwne rabatki kwiatów o różnorodnych kształtach, kolorach i zapachach. A ile kręci się nad nimi pięknych motyli i pracowitych pszczół! I trele ptaków uprzyjemniają czas pracy lub odpoczynku. Typowy polski ogród. Jest również miejsce na ognisko, przy którym można grillować. Nasze spotkania rozpoczynamy obchodem całego ogrodu, najczęściej z kubkiem dobrej kawy w dłoni, po czym zabieramy się do właściwej roboty ogrodowej. Uwielbiam to. I chociaż to tu boli, a tam strzyka, zatracam się w tym zajęciu. A kiedy przez jakiś czas, z różnych powodów, jestem w polu nieobecna, zadaję pytanie: „Bet, czy ziemia mnie nie woła? Bo ja już do niej tęsknię.” I wkrótce znajduję się pochylona nad grządką ze szpadlem czy sekatorem w ręce. Bardzo lubię te prace i czuję się podczas nich w swoim żywiole. Nawet kiedy się zdarza, że w moim mieszkaniu czuję się słabo i ogólnie źle, to jeśli pojadę do dzieci i wejdę do ogrodu, uklęknię na ziemi i pochylę się nad roślinką, wracają mi po chwili siły. Praca w ziemi dodaje mi skrzydeł i mocy. Wszystko mnie wówczas cieszy. Ruch na świeżym powietrzu i przekonanie, że jestem swoim dzieciom potrzebna i jeszcze potrafię być pomocna, stają się motywacją do dalszego działania.

Rok 2018

Tyle osób bliskich memu sercu już odeszło... Pozostała po nich wielka pustka. A życie toczy się dalej...

Minęło osiem lat od nagłej i niespodziewanej śmierci uko-
chanej siostry, a ja od tamtego czasu nie byłam w stanie nic
napisać na kartkach rodzinnej opowieści. Straciłam węgę.
Nie ciągnęło mnie już do pióra. Jednak kiedy podczas grudnio-
wego pobytu w bydgoskim szpitalu z powodu ciężkiej choroby,
coraz bardziej uświadomiłam sobie, że czas goni jak szalony,
wróciłam do *Błękitu*. Rozsądek mi nakazał. Zostało mi jeszcze
trochę wspomnień, więc trzeba z nich utkać to tu, to tam, nie-
dokończone strony rodzinnej opowieści. Mogłabym snuć jesz-
cze wiele opowieści, bo tematów i wątków bez liku. Ale zakoń-
czę na tym, co napisałam. Muszę wolny czas spożytkować
na podleczenie i odpoczynek „u wód”, dobrą lekturę i zaległe
filmy z przebogatych bibliotek i filmotek moich córek, a także
na pracę w ogrodzie, bo wiosna już idzie wielkimi krokami.

Lat i chorób mi przybywa, a sił niestety ubywa. Przed dwo-
ma laty do litanii moich uciążliwych chorób dołączył jasno-
mórkowy rak nerki. Wiadomość o nim przyjąłam ze stoickim
spokojem, nie załamalam się, nie uroniłam dotąd ani jednej
łzy. W ciągu kilku dni otrzymałam kartę dilo, tzw. zieloną,
pierwszą w Nakle po wprowadzeniu nowego zarządzenia,
a już za miesiąc podczas termoablacji złośliwe komórki zostały
zlikwidowane. Jednak wciąż pozostaję pod stałą opieką onko-
logów. Mimo wszystko z optymizmem patrzę w przyszłość
i nie zwalням tempa moich działań. Władka też nie ominęły
ciężkie przeżycia, w 2008 roku w Katowicach przeszedł poważ-
ną operację na otwartym sercu, podczas której wymieniono
mu zastawkę mitralną.

Osiemnaście lat temu obiecałam sobie i dzieciom, że spi-
szę nasze dzieje, bo warto, aby rodzina wiedziała, skąd przy-
byliśmy na Pomorze i co się u nas wydarzyło w okresie ponad
półtora wieku. Cennym dokumentem dla żyjących i ich poko-

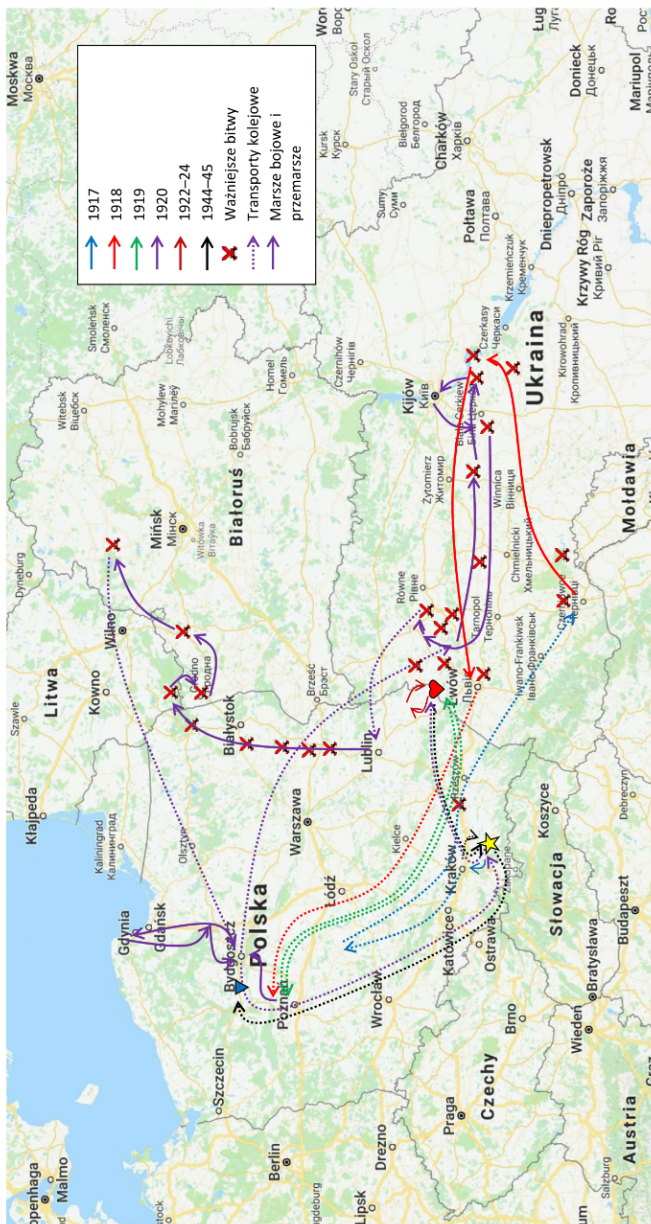
leń jest stworzone Drzewo Genealogiczne Jana Chorabika i Stanisławy Bałuk, liczące już 136 członków rodziny. Wiele czasu i zachodu zajęło mi poszukiwanie danych rozsianej po kraju familii, a tym samym poszerzył się krąg Bliskich więzami krwi, co sprawiło wiele radości i przywołało wspomnienia. W czasie mojego pisania, przerywanego na długie miesiące, a nawet lata, jedni zeszli z tego świata, a drudzy się narodzili. Tych, co odeszli, przywołujemy we wspomnieniach i modlitwach. I w snach.

Wierzę, że kiedyś, kiedy rozstaniemy się z tym obecnym pięknym światem pełnym cudów, zachwycających zjawisk i rzeczy, spotkamy się wszyscy — całą rodziną — w tym drugim niepojętym i tajemniczym, który istnieje ponad niebieskim firmamentem.

Oni już tam doszli, my jeszcze idziemy. Pełni wiary i nadziei, pamiętając o słowach Boba Dylana: *Nawet jeśli niebo zmęczy się błękitem, nie gaś nigdy światła nadziei.*

Nakło nad Notecią, 2000–2018

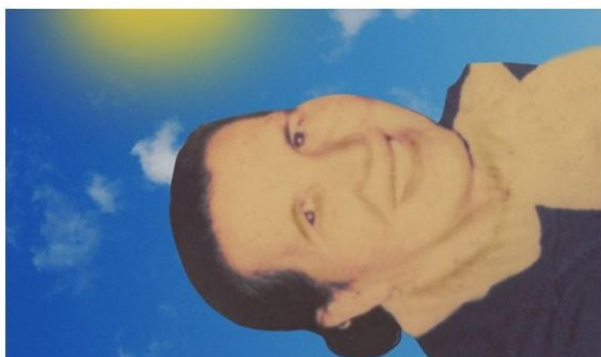
Szkic szlaku ułana Jaśka



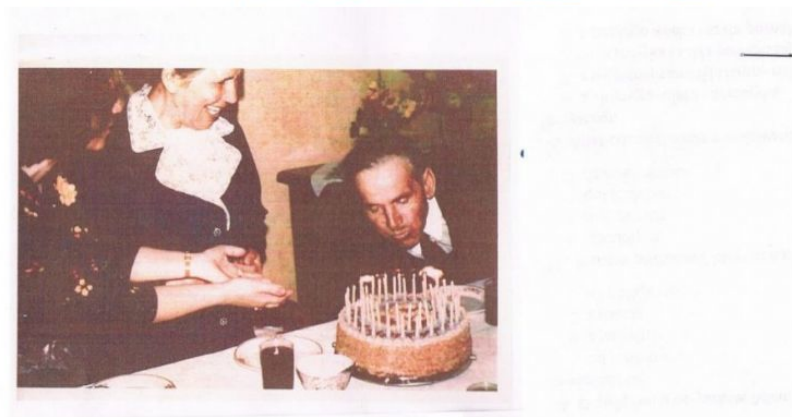
- Brzeczowice – miejsce urodzenie i powojennych powrotów
- Gluchów – miejsce wymarzonego życia, założenia rodziny, gospodarstwa
- Gromadno – miejsce życia od 1945 r. po utracie ukończonych terenów na Kresach

Kalendarium zdarzeń

- **1917** Brzeczowice 5.04.1917, Kraków – Legiony Polskie – PSZ, odmowa przysięgi na wierność obcym monarchom. 11.07.1917 – rozwiązanie, internowanie oddziałów (kolej) Szczypiorno, formowanie 2. Brygady Legionów Józefa Hallera i przejazd pod Przemysł (kolej) – potyczki na Bukowinie X 25.08.1917, potyczki pod Czerniowcami X (20.12.1917).
- **1918** Potyczki pod Czerniowcami X 13.02.1918, bitwa pod Rarańczą X 15–16.02.1918, przemarsz – Chocim, Dniestr pod Żwańcem, Kamieniec Podolski, bitwa pod Kaniowem X 11.05.1918 – Niemcy jeńców ograbiają, obozy jenieckie, ucieczka z niewoli. „Królewicy” w PSZ dotrwali 11.1918 – dając początek Wojsku Polskiemu, 08.10.1918 – Lwów – PKP – 22.11.1918 – siły polskie wypierają Ukraińców ze Lwowa X 24.12.1918 – wyjazd koleją do Poznania, miejsce formowania się 16. Pułku Ułanów Wielkopolskich – Biedrusko 29.12.1918.
- **1919** 9.03.1919 – Kompania rusza do Małopolski – Wojna polsko-ukraińska. Potyczki i walki – Bełz X, Uhnów X, Rawa Ruska X, Gródek Jagielloński X, Mościska X. Walki do połowy lipca 1919 – wyjazd 20.10.1919 do Poznania – Biedrusko.
- **1920** 17.01.1920 – marsz Wolności na Pomorze, 20.01.1920 – uroczyste powitanie w Bydgoszczy, przemarsze do Grudziądza, „Zaślubiny z Morzem” – Puck 10.02.1920 – Grudziądz – Bydgoszcz, Wyjazd koleją na front 3.1920 – Potyczki i bitwy – Zdołbunów, Koziatyń X 27.04.1920, Biała Cerkiew X 3.05.1920, Bereźnia X 29.05.1920, Rohoźna X, Antonów X, Chałaimgródek X, Berdyczów, Równe, Kowel, Zamość, Sokal, Beresteczko X, Smarżów X, Szczurówice X 26–28.07.1920, Brody X, Jazłowiec X, Kamionka Strumiłowa – Przejazd koleją do Lublina i wymarsz na „Bitwę Warszawską” - Wisznica X, (16–21.07.1920) Niemirów X, Mielejczyce X, Dasze X Białystok, Operacja Niemeńska X 20.09.1920, Sejny X, Raduń X, Runa X, Lida X, Druskienniki X, Kopciowa X, Niemen X, Raków X, Krzywicz X, Głębokie – przejazd koleją do Bydgoszczy 15.11.1920. 25.11.1920 – Uroczyste powitanie 16. PUW w Bydgoszczy – Stary Rynek. 30.11.1920 – Zdemobilizowany Jaśko powraca koleją do – Kraków, – Brzeczowice.
-→ Transport koleją – 10.02.1921 – wyjazd Jaśka z braćmi, matką do Głuchowa woj. lwowskiej.
- ↪ **1922–1924** Głuchów – Zamość – Głuchów służba wojskowa.
-→ **1944–1945** Ucieczka rodziny Jaska z Głuchowa (od 1942 do 25.08.1944) i powrót do Kraków – Brzeczowice. 20.09.1945 Brzeczowice – Kraków, wyjazd na ziemie zachodnie – Osiek, Kławków pod Wyrzyskiem, Gromadno – 06.10.1945.



1. *Stanisława Chorabik, 1979*
2. *Jan Chorabik, 1970*
3. *Błogosławiona Aniela Salawa, obraz autorstwa Ireneusza Gacy, 2015*



4. Rodzina Chorabików na Złoty Godach — od lewej Stanisława i Jan oraz ich dzieci Anna, Maria, Władysław, Wiesław, Stanisław, Helena, Janina, Elżbieta, 1979
5. 50 świeczek na 50-lecie małżeństwa rodziców, 1979



6. *Złote Gody rodziców, 1979*

7. *Złote Gody, Gromadno 1979*



8. Ślub Heleny i Władysława, 1964

9. Helena Wanda w malinowym chruśniaku, 1964

10. Kobieta Wschodu, portret autorki namalowany przez
Zygmunta Przybyłowskiego w 1959



11. Z Janem Pawłem II, Watykan 1990



12. Od lewej Ireneusz, Adaś, Beata, Ewunia, Kornelia, Janusz, Michaś, Helena i Władysław, 2006



13. Wigilia 2008, Helena z mężem i córkami



14. Helena z najbliższą rodziną, 2014

15. Chór Soli Deo, Praga 2014

Opinie Czytelników

„Błękit nieba” to osobista, a przez to niezwykle wzruszająca historia z prawdziwymi bohaterami. Bohaterami, którzy utrwalili swój ślad w pamięci Autorki.

Helena Wanda Kwadrans z petyzmem i miłością buduje portrety swoich najbliższych. Tych, którzy są już w błękitnym niebie i tych, którzy kontynuują rodzinną misję, korzystając z wielobarwnego dorobku minionych pokoleń, na który złożyły się silne więzi między bliskimi i dalszymi krewnymi, tradycje, namiętności, zwyczaje.

Przywoływana historia nie tylko świadczy o profesjonalnym podejściu do tematu przez Autorkę, ale także potwierdza prawdę o nierozzerwalności losów ludzi z dramatami, których stawali się ofiarami lub cichymi bohaterami. Dlatego tak ważny jest przebijający się przez karty utworu optymizm egzemplifikowany konkretnymi sytuacjami i zdarzeniami.

Lekkość narracyjna powoduje, że książkę czyta się z niesłabnącą przyjemnością i zainteresowaniem.

„Błękit nieba” krzepi swoim nieprzypadkowym tytułem i uniwersalnym przesłaniem o wartości rodziny. Jest ciekawą lekturą dla wszystkich czytelników, a nie tylko dla jej bohaterów.

Anita Kozak-Sadowska, polonistka

— ...Jest wspaniałą lekturą, która nieco wrażliwszych uczy życia i historii. Napisana piękną polszczyzną o pięknych — zwyczajnych ludziach. Także o ich trudnym, przepełnionych miłością życiu. Wspaniałe świadectwo czasu i wydarzeń...

Roman Chwaliszewski, historyk